



Maria  
STĘPKOWSKA-SZWED

MANIUSIA  
MARYNIA  
MARIA

saga rodzinna

Maria  
**STĘPKOWSKA-SZWED**

MANIUSIA  
MARYNIA  
**MARIA**

saga rodzinna

bis

Warszawa 2011

Każdy okruch wyrwany zapomnieniu staje się święty.

*Jean Quetton*

## Wstęp

Ja, Maria Elżbieta Szwed z domu Stępkowska, nosząca po mieczu herb Suchekomnaty, po kądzieli Starża, opisuję sagę naszej rodziny, opierając się wiernie na dokumentach i zasłyszanych opowiadaniach mojej babki, Urszuli Sulimierskiej, rodziców: Michała Waclawa i Walerii Stępkowskich, a także na opowieściach ciotek.

Ponieważ noc jest dla mnie zawsze dobrym doradcą, zaczynam w imię Boże opowiadanie 1 stycznia 1989 roku o północy, w siedemdziesiątym trzecim roku życia, i zostawiam dzieciom i wnuczkom dla pamięci.

Marzyłam o dotarciu do korzeni mojego rodu, do ustalenia faktów, cofnięciu się mocno w czasie, aby głębiej przeżyć losy osób mi bliskich, znanych i nieznanym, które tworzyły również moją historię.

\* \* \*

W Bibliotece Narodowej w Warszawie z ogromnym wzruszeniem odkryłam źródła, prowadzące mnie, jak za rękę, przez setki lat wypełnione dziejami moich przodków.

## Losy rodziny mojego dziada – Ludwika Błażeja Stępkowskiego

Był synem Feliksa Augustyna Stępkowskiego. Urodził się na Podlasiu. Rodzina jego – skoliigacona z możliwymi rodami z Podola, z ziemi kijowskiej, braclawskiej, sandomierskiej i lwowskiej – wydała ojczyźnie wielu sławnych potomków: kasztelanów, podczaszych, mieczników, biskupów, opatów i fundatorów kościołów. Kasztelan Jabłonowski żył na ziemi braclawskiej i zasłynął z męstwa. Michał Stępkowski – biskup, ufundował kościół w Miechowie, gdzie jest wmurowana pamiątkowa tablica. Dziad mój, Ludwik Błażej, był sędzią w Radomiu, dokąd dojeżdżał na sprawy (roki) i posiedzenia ze swojego majątku Witowa pod Szczekocinami w ziemi kieleckiej. Pojął za żonę Irenę Zarembiankę, z którą miał troje dzieci, córki – Natalię i Kamillę, i syna Michała Waclawa, mojego ojca. Oto fragmenty opowiadań ojca, które zapamiętałam.

Życie w Witowie upływało dzieciom beztrąsko na zabawach, wizytach i rewizytach w sąsiednich dworach, kinderbalach i kuligach. Ojciec narzekał jednak, że jako młodszy często dostawał w skórę od starszych sióstr i wtedy zabezpieczony biegł do matki wypłakiwać żal na jej kolanach. Mam jego zdjęcie, kiedy jako pięcioletni chłopczyk w szamerowanej bekieszce i myśliwskim kapelusiku z piórkiem siedzi naburmuszony z bacikiem w jednej, a jabłkiem w drugiej ręczce. Na tym zdjęciu dostrzegam w nim podobieństwo do mojego syna Macieja, kiedy był mały.

Po skończeniu nauk z guwernerem domowym ojciec uczęszczał do gimnazjum w Radomiu, a później został wysłany do Warszawy i mieszkał u stryja Feliksa na stacji. Skończył Szkołę Wawelberga. Opowiadał, że zamieszkał później na stacji u pani Obodowskiej, zubożałej szlachcianki, która go bardzo polubiła i we wszystkim mu dogadzała. Ze dworu szły paczki, dowożone przez „umyślnego”, pełne wiejskich specjałów. Zaczny mój ojciec dzielił się z biednymi kolegami ze studiów, którzy, aby jakoś przeżyć, zadowalali się niejednokrotnie dwiema bułkami na dzień. Opowiadał, ile to razy jechał do nich dorożką z koszem prowiantu, jak po trzęsących się schodach wchodził na poddasze, a będąc jeszcze przed drzwiami, zawieszał sobie na szyi zwój serdelków i - tak obładowany – zjawiał się w pokoiku, gdzie go witała gromada rozkrzyczanych głodomorów. A byli wśród nich zdolni przyszli inżynierowie, lekarze i prawnicy. Uczta kończyła się stosem pączków od Bliklego lub braci Pakulskich, a po niej nie obyło się bez huśtania na rękach kochanego fundatora Michała Waclawa, zwanego Wackiem. Biedni chłopcy. Wielu z nich nie ukończyło studiów. Umierali młodo na suchoty. Ojciec pokazywał nam w rodzinnym albumie ich zdjęcia. Choroba zbierała żniwo wśród wygłodzonych studentów, często mieszkających w nieopalanym izbach, chodzących w podszytych wiatrem paletkach i dziurawych butach. Mówił, że

nieraz wstydził się swojego futra i bobrowej czapy. A trzeba wiedzieć, że był to czas zaboru rosyjskiego, kiedy za nauczanie płaciło się bajońskie sumy.

Za przyzwoleniem dziada, Ludwika Błażeja, ojciec zabierał często kolegów na wakacje do Witowa. Tu dobra babka odżywiała wychudzoną brać, zastępowała rodzoną matkę, której niejeden już nie miał. Kiedy zjechało ich pięciu, sześciu, spali w bokówce, budynku stojącym w ogrodzie. Czuli się szczęśliwi, że mogli być razem z Wackiem, syci i w ciepłe zacnej rodziny. Opowiadał nam ojciec o pewnym incydencie, który na krótko zakłócił im wakacyjny spokój.

Pewnej nocy śpiących chłopców obudziły stąpania na strychu. Trzciny pułap trzeszczał i wszyscy poczuli się nieswojo. Przy świeczce, bo nikt z nich nie myślał już o dalszym spaniu, przesiedzieli tak do rana w trwożnym oczekiwaniu. Ponieważ mój ojciec miał w dworskiej sieni na ścianie guldynkę, z której strzelał do ptactwa, postanowili na następną noc zabrać broń do bokówki. Zaryglowawszy na wszelki wypadek drzwi, przesiedzieli po ciemku do północy. Nagle nad głowami rozległo się ostrożne stąpanie. Zapalili więc świecę i zobaczyli, jak sufit wybrzusza się pod czyims ciężarem. „Wacek, strzelaj” – szepnęli przejęci. I ojciec, niewiele myśląc, wypalił w ten „brzuch”. Nagle wszystko ucichło, a z sufitu zaczęły kapać krople krwi. „Rany Boskie, zabił”. I piątka zuchów rzuciła się do ucieczki. Cóż, kiedy drzwi zaryglowane. Zbyszek drżącymi rękoma szarpał zasuwę, krzycząc przy tym: „Ratunku! Wacek kogoś zabił”. Wojcio w panice pchnął okno, które wyleciało z zawiasami, i pierwszy dał susa w pokrzywy, za nim Lutek i Michałek, a na końcu Wacek, mój ojciec, ale bez guldynki, którą porzucił w popłochu. Zbudzone hałasem psy obsiadły chłopców, szarpiąc za hajdawery. Były to psy łańcuchowe, które w dzień zamykane w szopie – gości nie znały. Dopiero stróż z latarnią stojącą w ręku rozpedził kijem ujadającą sforę. A tymczasem dziad Ludwik, zawsze czujny, usłyszawszy strzał i szczekanie psów, narzucił na ramiona burkę i wyszedł na ganek ze światłem. Dowiedziawszy się, o co chodzi, zabrał niefortunnych myśliwych do siebie. Tam, w gabinecie, na rozścielanych derach przesiedzieli do rana, rozpamiętując nocne wydarzenie.

Z pierwszym brzaskiem poszli gęsiego do bokówki i schodami weszli na stryszek. W gnieździe leżała martwa kuna, która wiele szkód czyniła w kurniku. Dziad pochwalił celny strzał syna i już ze śmiechem wrócili do dworu, gdzie zasiedli przy suto zastawionym stole.

Lato było w pełni, biegły ciepłe dni wakacyjne, niezapomniane. Pewnego razu przyjechała do Witowa dziewczyna z Częstochowy, kuzynka babki, ładna, błękitnooka Maria. Była jakaś – jak mówili chłopcy – nieprzystępna. Zawsze z książką w ręku, zaszywała się w gąszczu parku i tam na ławeczce czytała powieści i romanse. Podchodzili do niej, zagadywali, ale rozmowy się nie kleiły. Wreszcie, zniechęceni, dali spokój. Aż pewnego razu Wojcio wypatrył, że przepłynęła staw łódką, czego nigdy dawniej nie robiła. Wysiadła na porosłej

drzewami wysepce z altanką. Zauważył, że nie weszła do altanki, tylko wdrapała się na rozłożyste drzewo i tam przysiadła z książką w ręku. Chyłkiem przebiegł przez oczerety, znalazł chłopaków i wszystko im opowiedział. Nie trzeba było długo się zastanawiać. Wacek wskazał przeciwległy brzeg stawu, gdzie wśród traw stał mnich do spuszczenia wody. Na czworakach, uciszając się nawzajem, dobrnęli do niego, podnieśli śluzę i - tak samo jak przyszli - bezszelestnie zapadli w burzanach. Co robili później, nie wiadomo. Gdy po trzech godzinach znaleźli się z powrotem - oczom ich ukazał się przedziwny widok. Woda, łącznie z rybami, poszła do rzeki, a w stawie zobaczyli błotniste dno. Łódka osiadła na mieliźnie.

Maria musiała tego nie widzieć. Zaczytana tkwiła wciąż wśród konarów. Nieszczęsna, nie przewidziała, co ją spotka. Młodzi, zdjawszy buty, zawinęli nogawki i dobrnęli po błocie do wysepki, gdy wtem odezwał się dzwon wzywający na obiad. Maria już miała zeskoczyć, gdy nagle ujrzała pod drzewem pięć roześmianych beczelnie gęb i usłyszała dyszkancik Wojcia: „Kuzyneczko, poczekaj, my cię przeniesiemy do brzegu na rękach. Ot, widzisz, wody nie ma. Tylko zejź z drzewa”. Skoczyła więc bez pamięci w dół, ale tak nieszczęśliwie, że zawisła falbanami sukni na sęku, rozdierając sobie boleśnie skórę na brzuchu. Podskoczyli, zdjęli ją ostrożnie i niosąc na rękach, ruszyli po błotnistym dnie, śpiewając triumfalny marsz. Pochód zamykał Wojcio z miną niewiniątka, trzymając na kiju koniec zabłoconej falbany. Maria miała oczy zasłonięte dłońmi, spod których płynęły łzy bezsilnej wściekłości.

Po dwóch dniach kuracji u babki Ireny, nasmarowana maściami gojącymi, rozżalona, wyjechała do domu, nie żegnając się z chłopcami. Opowieść tę usłyszałam ponownie wiele lat później. Tym razem nie od ojca, ale od niej samej. Pani Maria po wyjściu za mąż za architekta inżyniera Rychtera otworzyła w Częstochowie stancję dla panien. Mieszkałam u niej z Hanią Jagodzińską, córką nadleśniczego z Kurzelowa. Kiedyś, przy stole, opowiadała o koszmarnych wakacjach we dworze w Witowie pod Szczekocinami. Zrozumiałam, że mam przed sobą daleką krewną, wspaniałą Marię, która nas, pensjonarki, karmiła wyśmienicie i dbała o nasze potrzeby. Wspominkom i śmiechom nie było końca. W tym czasie pani Maria miała dwoje już dorosłych dzieci. Halinę, kochaną śmieszkę, która często przyjeżdżała do matki ze Lwowa, gdzie mieszkała z mężem, profesorem polonistyki - Zychem. Z wiarygodnych ust słyszałam, że podczas wojny oboje byli wywiezieni na Wschód. Syn natomiast, inżynier Witold, był rajdowcem samochodowym. Wykładał w technikum i dużo jeździł. Przed każdym takim rajdem matka modliła się i błagała syna, żeby uważał. Zawsze wracał cały, zdrowy i zadowolony.

Kiedy dowiedział się, że potrafię malować, poprosił mnie o jakiś obraz do stołowego, bo urządzał dom. Pamiętam, wymyśliłam sobie kosz z truskawkami. To naprawdę było dobre. Kiedy zobaczył skończone malowidło, oniemiał, a może

tylko udawał. „Toś ty to zrobiła akwarelę? Nie do wiary! Kobito, będą z ciebie ludzie”. Byłam czerwona jak piwonia i bardzo szczęśliwa. Witek sam też wiele malował. Na ścianie, na wprost stołu, wisiał jego olbrzymi obraz ofiarowany matce, przedstawiający pejzaż z wiatrakiem i słonecznikami. Uwielbiał styl Jacka Malczewskiego. Szastał czerwienią i czernią, gdzie się tylko dało. Namalowany przez niego Mefisto ociekał wprost krwią – był straszny. Przypuszczałyśmy obie z Hanią, że był to jego autoportret. Dopatrzyłyśmy się wielkiego podobieństwa. Witek był bardzo przystojnym i eleganckim mężczyzną. Twarz pełna urody a zarazem zaborczości, z rozdętymi nozdrzami i brwiami – jak mówiłyśmy po francusku – w *accent circonflexe*, czyli taki daszek. Obie smarkate durzyłyśmy się w nim na zabój. Czekaliśmy na jego powroty z rajdów samochodowych i razem z rodziną przeżywałyśmy radość z sukcesów. Trzeba przyznać, że był bardzo odważny i prawie zawsze pierwszy na mecie.

Często w ich eleganckim salonie grałam na wielkim fortepianie. Próbowałam również i na skrzypcach, bo wówczas brałam lekcje u profesora Opalińskiego, mistrza w tej sztuce. A i Witek kochał muzykę. Przychodził do salonu, nucił jakąś znaną melodię, ja zaś dobierałam prościutki akompaniament. Najczęściej były to rzewne dumki. Wszyscy siedzieli w fotelach. Pani Maria płakała, bo, jak mówiła, miała miękkie serce. Pan Rychter senior, zmęczony, z zaczerwienionymi stale powiekami od rysowania planów, zasypiał snem sprawiedliwego. Były to przemile wieczory i zapisały się na długo w mojej pamięci. Czułam, że choć na chwilę byłam tym ludziom potrzebna.



## Ostatnie wakacje mojego ojca w Witowie

We dworze życie płynęło zwykłym nurtem, niezmacone. Czas przesypywał się jak w klepsydrze. Burze wojenne omijały jakoś ten dom, który po pracach jesiennych zapadał w sen zimowy, a ożywał wraz z wiosną. Podczas wakacji zaś huczał weselem, kiedy zjeżdżali się nieodłączni koledzy Wacka. Jeździli konno, polowali, a wieczorami z dziadkiem Ludwikiem i jego ojcem zasiadali na pogawędki, politykowali zawzięcie lub grali w bezika. I znów jesień nadeszła i ciężka zima, podczas której pojawiła się w kraju epidemia cholery.

Dwór w Witowie okrył się wtedy żałobą, bo oto sędzia Ludwik Błażej po strasznej chorobie zmarł tuż przed świętami Bożego Narodzenia w roku 1874. Babka, zwyczajem polskich matron, chodziła w czerni już do śmierci. Olbrzymi kok podpinała czarnym taftowym stroikiem, a że paliła całe życie fajkę, wyglądała groźnie i zdawała się nieprzystępna. A tak naprawdę, była to kobieta anielskiej dobroci, wrażliwa na cudzą biedę. Kiedy zaszła potrzeba, okazywała się energiczną i zapobiegliwą gospodynią. Palenie fajki to było takie odstępstwo, na które rodzina przymykała oczy. Babka często sięgała po srebrną tabakierkę, zażywała niuch tabaki i kichała solennie, mówiąc, że to jej dobrze robi. Takie miała upodobania. Mamy jej zdjęcie w albumie rodzinnym.

W pół roku po tragicznej śmierci dziadka Ludwika ojciec mój ukończył studia chwalebnie i z odznaczeniem. Zamieszkał we dworze na stałe ze swoją matką, a moją babką, Ireną. Czas płynął monotennie. Babka jednak nie dała za wygraną. Życzeniem jej było, aby syn osiadł na swoim kawałku ziemi i rządził się, jak umiał. Sprzedała więc las, resztę dołożyła z gotowizny, którą skrzętnie chowała na mający się odbyć ślub córki Natalii. Czekali tylko, aż „żałoba wyjdzie”, Natalii bowiem oświadczył się pan Kazimierz Wierusz-Kowalski, inżynier, choć panna bardziej gustowała w słynnym malarzu Alfredzie, bracie Kazimierza. Babka, zostawiwszy wszystko opiece rządcy i klucznicy, kazała pewnego letniego dnia zaprząć konie do ciężkiej bryki, odpowiedniej na daleką podróż. Zabrała syna i wyruszyła do odległych o trzydzieści pięć kilometrów Boczkowic. Mieszkający tam państwo Linowscy nosili się z zamiarem sprzedania majątku. Jak dowiedziała się od sąsiadów, część ziemi już rozparcelowali chłopom. Został tylko „ośrodek”.

Oczywiście, podróż nie była jednodniowa. Trzeba było się zatrzymać na popas, a i babka, sterana kłopotami, bowiem po śmierci męża sama zarządzała gospodarstwem, potrzebowała wypoczynku. Do tego pogoda się popsuła, zaczął padać deszcz. Błotniste i pełne wybojów polskie drogi nie przyśpieszały podróży. Babka czuła, że się przeziębila, tak że z gorączką zajęchała na miejsce. Gospodarze szczerze ucieszyli się na widok gości. Pani Linowska zatroszczyła się od razu o odpoczynek i leki dla babki, która choć miała podobno żelazne zdrowie – przeleżała pod opieką pani domu aż trzy dni.

Przez ten czas Waclaw z panem Linowskim oglądali las, szacowali go, polnymi drogami przejeżdżali dwukółką wśród łąnów zbóż, buraków, warzyw, mijali małą rzeczkę – dopływ Nidy, która zasilala w czystą wodę pięć rozległych stawów. Pan Linowski, choć już niemłody, był dobrym gospodarzem. Miał zarybione cztery stawy, piąty, nazywany dzikim, był zarośnięty i zapuszczony. Była tam mała łódeczka uwiązana wśród trzciny, którą wypływało się na staw. Tu ponoć łowiono, na potrzeby kuchni, szczupaki nieraz trzykilogramowej wagi. Szczupaki rozbójniki, które sprytnie potrafiły rankiem po rosie prześliznąć się groblą, jak węże, do stawu z małym narybkiem, by siać spustoszenie i szaleć do woli, póki czujne oko gospodarza ich nie wypatrzyło. Dziedzic pokazywał też ojcu łąki niezmiarzone, okryte kwieciem, łąki samosiejki, których siano słynęło z aromatu. Tylko w Nagłowicach, „przez miedzę”, w dawnej siedzibie Reja – były jeszcze podobne, z których siano, jak mawiał pan Linowski, „mogła jeść i panna w połogu”. Oczywiście był to dowcip na miarę dawnych facecji.

Ojciec był w siódmym niebie, kiedy wysiedli przed sadem i przeskakując rowy, znaleźli się wśród drzew oblepionych w tym czasie owocem. Turkot bryczki usłyszały psy. Wyczuwszy pana, obskoczyły ich, łaszac się. Ojciec też pachniał stajnią i psami, więc nawet nie szczekały na niego. Piękne, brązowe wyżyły o mądrych oczach ocierały się im o nogi, małe cięte kundelki zaś doskakiwały do rąk, czyniąc niesamowity harmider i jazgot.

Sad był ogromny, dobrze utrzymany, obsiany w międzyrzędziach łubinem i seradela, które się płytko w jesieni zaorywało, co dawało drzewom pokarm i wiele azotu. Na wysokości dwóch stawów „zimochowów”, gdzie wpuszczane były na zimę karpie matki, ciągnęły się jabłonie najprzedniejszych gatunków. Najrozmaitsze renety, kosztele, antonówki, glogierówki. Były to już teraz niemodne, rozłożyste drzewa, które rodziły późny owoc, jabłka całkiem płaskie, tak zwane rzepki, o delikatnej skórcie buraczkowego koloru, nakrapiane białymi cętkami. Dalej szły malinówki, kalwile i przewyborne boskoop. Trudno mi wymienić wszystkie, bo jeszcze były oliwki i koksa pomarańczowa – wyborny zimowy gatunek. Za jabłoniami biegły rzędy gruszek najrozmaitszych gatunków, potem śliwy damachy, węgierki włoskie i francuskie – olbrzymie. Na końcu sadu, aż do samego pola, rzędy wiśni szklanek, sokowych, lutówek i czereśni. I tak od wschodu na zachód ciągnęły się pod górę w stronę żywopłotu grabowego, który jakby oddzielał i zamykał sad od parku i gazonów.

Żywopłot był tak gęsty i stary, że nawet kura nie przeszła ani kaczka. Te nieraz, dostawszy się z dziedzińca w alejkę grabową, pędziły z górki na małych nóżkach, koiebiąc się przy tym pociesznie. Warto było popatrzeć, jak wieczorem szły tą samą drogą obzarte, z głowami wykręconymi na bok, tak miały wola przepelnione kijankami i kielbami. Za tymże żywopłotem stał na wzgórzu biały dwór otoczony gazonem. Po bokach rosły buldeneże, czyli śnieżne kule

(szczepione na kalinie), obsypane kwiatem, głogi krwawe, bzy w najrozmaitszych kolorach, jaśminy i smukłe tuje. Bliżej zachodniej ściany dworu klomby kwietne, a tuż przy bielonych ścianach wiejskie malwy i dwa olbrzymie rycynusy.

Sam dwór składał się z dwóch złączonych budynków. Pierwszy był sześciopokojowy, zbudowany z belek modrzewiowych, o oknach kwadratowych, dużych, z obszernym gankiem i tarasem. Okryty był gontem. Do niego przylegał dobudowany później dwór murowany, składający się również z sześciu wysokich pokoi. Miał też dwa pokoje na pięterku. Całość wdzięczna, choć może niewyglądająca z pańska, ot, zwykły dwór szlachecki, jakich tysiące były w całej Polsce.

Przy pomocy pana Linowskiego ojciec mój wyliczył, że dwór ma około 120 lat i jak na ten wiek jest jeszcze w dobrym stanie, a najważniejsze, że suchy i zdrowy, bo z modrzewia zbudowany. Budynek tonął w przeolbrzymich lipach. Przed nim był wielki gazon z podjazdem, za którym rozciągał się i zbiegał w dół park. W parku rosły olbrzymie tuje, wysokie kwitnące głogi, lirodendrony, słodkie kasztanowce. Wśród trawników złociły się różaneczniki, a alejki wysadzone były pigwami, które rodziły małe, zielone cytrynki, tak bardzo smaczne w konfiturze. Z lewej strony dworu, za ogrodzeniem, znajdował się drugi sad inspektowy, z przednimi gatunkami drzew owocowych, gdzie rosły też rzędy wielkich malin, porzeczek, truskawek, kosmatych i prążkowanych agrestów, zieleniły się małe wały szparagowe, a na południowej ścianie obór i stajen pięły się rozpostarte winogrona czarne i złote. Obok okna inspektowe, дума państwa Linowskich, a później mojej mamy. W głębi ogrodu, bliżej płotu, który oddzielał sad od pól, stało ze trzydzieści uli czteromatecznych. Miodu więc było w bród.

Olbrzymi dziedziniec trawiasty zamykały z czterech stron budynki gospodarcze i spichlerz z daszkiem nad drzwiami, gdzie zawieszony na belce dzwon wzywał na obiad całą rodzinę i robotników pracujących na polach. Od północy stała długa, o trzech klepiskach stodoła, z gniazdem bocianim na dachu. Od wschodu owczarnia i wozownia, na której końcu, pod tym samym dachem, świeciły oknami czworaki wydzielone dla ogrodnika z rodziną i dla służby. Od południa zaś zamykały ten olbrzymi czworokąt budynki ze stajnią, oborą i chlewami. Stodoła miała młocarnię – późniejszą dumę ojca. W przybudówce stały najprzeróżniejsze maszyny rolnicze i lokomobila, w wozowni natomiast różnego typu bryki, wasągi, linijka i powozik. Obszerna owczarnia mieściła stado owiec. W stajni stały cztery konie robocze, prócz tego jeden pod wierzch do wyjazdu, para do bryczki i klacz imieniem Wojna, arabka pod siodło. Duża, widna obora mieściła kilkanaście krów dojnych, trochę jałowizny i małych cieląt. W chlewach okazałe opasy i maciory.

Idąc w stronę bramy wjazdowej, wchodziło się w aleję jarzębinową, która dzieliła pola, wszystkie o pierwszej klasie gleby. A w dali, na granicy pól,

poprzeczna aleja topolowa prowadziła do młyna dworskiego. I oto całe gospodarstwo, które tak ojcu przypadło do gustu, że kiedy tylko matka doszła do zdrowia – przywieziono z miasta geometrę. U rejenta w miasteczku spisano umowę, która zawierała klauzulę, że babka kupuje wraz z dworem, lasem, ziemią, stawami i budynkami gospodarczymi również inwentarz żywy i wszystkie maszyny. Pan Linowski dla siebie załatwił tymczasem kupno majątku na Kresach, gdzie miał córkę. A że zastrzegł sobie mieszkać jeszcze przez jakiś czas, pozostał więc w Boczkowicach do następnego roku<sup>1</sup>.

## Lata kawalerskie mojego ojca Wacława

Będąc już we własnym majątku, ojciec zaprowadził swoje rządy. Ale nie tylko w Boczkowicach spędzał czas. Zapraszany przez sąsiadów, szukał odpowiedniej dla siebie żony. W Częstochowie, u dawnego kolegi z uczelni, został przedstawiony rodzinie Saramowiczów. Tam poznał pannę Walerię (moją matkę). Kolega zaś, Julian Makowiecki, „był po słowie” z jej młodszą siostrą – Salomeą. Po powrocie z Częstochowy ojciec odwiedził swoją matkę w Witowie i opowiadał szeroko o wspianej, niezrównanej starszej pani Urszuli Saramowicz, która mocną ręką prowadziła duży dom, wychowując sześciu synów i sześć córek. Mąż pani Urszuli, a mój dziadek, był profesorem języka niemieckiego. Prowadzili więc życie dostatnie. Największą jego pasją było oprawianie w skórę starych ksiąg, mszałów i psalterzy. W tym czasie, kiedy ojciec został wprowadzony do ich domu, panny już były podlotkami. Pani Urszula urządziła raz w tygodniu potańcówki z małym bufetem. Przychodził grać do tańca stary profesor, który uczył wszystkie dwanaścioro dzieci gry na fortepianie. A że był niskiego wzrostu, dziewczęta nazywały go „Półmetrem”. Wszystkie córki były muzykalne, więc lekcje gry na fortepianie odbywały się codziennie. Na potańcówki przychodzili zaproszeni przez braci koledzy, a dziewczęta z kolei umawiały się ze swoimi przyjaciółkami. Tańce odbywały się tylko do godziny dziewiętej, potem kolacja i odwożenie obcych pań do domów. Na takiej to potańcówce pojawił się mój ojciec, zaproszony przez panią Urszulę, gdyż przystojny pan Wacław spodobał się jej przy pierwszej wizycie i po cichu wiązała z nim swoje plany. W niedzielę, kiedy była pogoda, wyruszała cała rodzina na majówkę, poza miasto. Zajeżdżał przed dom wynajęty olbrzymi szaraban, przez całą jego długość biegły miękkie ławy. Wóz był na resorach i nie trząsał, a mógł zmieścić kilkanaście osób. Na końcu tego dzwoniącego pojazdu siedziała, jak w gnieździe, służąca Kostusia, z dwoma koszami pełnymi prowiantu i z wielkim samowarem.

Po wybraniu dogodnej polanki wysiadała cała gromada, przekrzykując się nawzajem, śmiejąc i goniąc po lesie. W upalne dni zatrzymywali się w gajówce, u znajomego gajowego, do którego wpadał nieraz dziadek na polowanie. Tu zamawiała babka gar zsiadłego mleka. Rozścielano serwety na trawie i z razowym chlebem (wypieku gajowej) i ze świeżutkim masłem pałaszowano z ochotą wiejskie przysmaki.

Pewnego razu zdarzył się incydent, który tak rozbawił wszystkich, że potem opowiadano o nim dzieciom. Stąd i ja znam tę historię.

Tata z panem Makowieckim, przyszłym mężem Salomei, przywieźli kolegę, świeżo upieczonego myśliwego. Gość z nowiuteńką dubeltówką i psem przyłączył się do wycieczki. Babka nie miała nic przeciwko temu, zwłaszcza że był „obyty” i po studiach. Zajechał brek, wszyscy się ulokowali i ze śmiechem i gwarem

wyruszone w las. Celem była gajówka, a w niej picie zsiadłego mleka, wystudzonego i pysznego, które dało się wprost nożem kroić. Po podwieczorku, grach i różnych zabawach, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, zapowiedziano rychły powrót. Szaraban ujechał zaledwie wiorstę, gdy „myśliwy” (tak go będę nazywać) zaczął się kręcić jakoś niespokojnie i rozglądać na boki. Nagle zeskoczył. Rzucił się razem z psem w przybrzeżne krzaki. Ciotka Salomea, śmieszka, szepnęła bezgłośnie do mojej mamy: „Mleko” – i obie parsknęły śmiechem, a najstarsza z sióstr, ciotka Stasia, oświadczyła już poważnie, że poszedł „na berberysy” (tak się dawniej mówiło o naglącej potrzebie). Skwitowali to wszyscy śmiechem, ale babka wzrokiem zgromiła dziewczęta i nastąpiła cisza. Cóż, kiedy jeden z koni, zapierając się w piachu, pozwolił sobie zakłócić spokój. Bomba wybuchła. Już nawet surowy wzrok babki nie powstrzymał ogólnego rozbawienia. Ale jakoś nasz „myśliwy” nie pokazywał się, choć dziewczęta, ciągle wyczekując, patrzyły w stronę lasu. Tymczasem konie zwolniły, bo piach przesypywał się przez piasty i znów było pod górkę. Nagle, z przydrożnych krzaków, wyskoczył pies myśliwego, przesadził rów i niosąc w zębach jakąś białą szmatę potrząsał nią i powiewał na wszystkie strony. Nauczony bowiem aportować i karny nie pozostawił pańskich „jedenastek” w lesie, lecz triumfalnie trzymał je w pysku, biegnąc przed końmi. Tu śmiech przeszedł wszelkie granice. Dziewczęta padały sobie w objęcia, wiły się i piszczały całkiem wyzbyte sił. Chłopcy zaś wierzgali nogami i ryczeli tubalnym głosem. I pomyśleć, takie niewinne mleko, a tyle zabawy. Skonfundowany pan Wicio nie pokazał się więcej w towarzystwie i, jak wieść niesie, odjechał do rodziców, do majątku.

Opowiedziałam o samych wesołych stronach życia Saramowiczów. A przecież ten dom tętnił przede wszystkim pracą, bo to nie były żarty wychować, nakarmić i ubrać tak wielką gromadę. Dziewczęta chodzące na pensję musiały mieć czyściutkie mundurki z białymi kołnierzykami i fartuszki z czarnego kaszmiru, żmudnie plisowane. Włosy, choć długie, podpinało się „z czoła” olbrzymią fiszbinową przepaską, sięgającą do pół głowy. Nie było rady. Dyrektorka pensji, pani Garsztecka, wymagała, aby czoła były odkryte, żadnych fryzur, żadnych loczków. A jeśli któraś z uczennic nie przyszła z włosami zaczesanymi – potrafiła własnoręcznie, gąbką umoczoną w syropie z cukru, skleić niesformą czuprynę, szczesując ją energicznie do góry. Ciotka Salomea, wielka elegantka i strojnisia, która mizdrzyła się do sztubaków, a którą rodzeństwo często obdarzało epitetem „flinta”, jako że lubiła pociągać nosem, przychodziła nieraz splakana ze szkoły i bijąc piąstką o piąstkę, mówiła, co też ona robi pani Garszteckiej, kiedy dorośnie. Rzeczywiście, godna była politowania ze swoimi przylizanymi włosami i czerwonym od płaczu nosem. A był on dość wydatny – po ojcu.

Tymczasem burze dziejowe przewalały się nad krajem i domem

Saramowiczów. Wojna zniweczyła plany pana domu, okupacja wprowadziła kartki na żywność i trudno było naprawdę związać koniec z końcem. Najpierw siedzieli w tych stronach Prusacy, później przepędzili ich Ruscy, którzy pozostali już na wiele lat. Nauka w szkołach odbywała się w języku rosyjskim. Do dziś pamiętam śpiewaną przez mamę, a niegdyś wykonywaną w kościele przez młodzież szkolną, na zakończenie mszy świętej, pieśń o carze. Początek hymnu brzmiał następująco: „Boże, cara chрани, silnyj, dzierżawnyj car prawosławnyj...”.

Młodzież starsza, która gromadziła się pod chórem, wołała uniknąć śpiewu, obrażającego godność Polaka. Niektórzy wymykali się chyłkiem na zewnątrz. Ale jeśli zostali przyłapani przez stojących tam i szpiegujących profesorów, mogli pożegnać się z dalszą edukacją – otrzymywali wilczy bilet.

Babka Urszula, żeby sprostać potrzebom rodziny i pomóc w jakikolwiek sposób mężowi, wynajmowała dwa małe pokoiki studentom, których również stołowała. Byli to chłopcy z majątków, więc ich rodzice zasilali pustą spiżarnię. Córki znalazły sobie również pracę, którą wykonywały po lekcjach w domu. Było to robienie rękawiczek z białej glansowanej skórki. Wycięte w fabryce, należało pozszywać pięknym ścięciem. Kostusia zaś, którą już znamy z wycieczek – wychowywała dzieci, mając do pomocy pokojówkę i kucharkę.

O Kostusi jeszcze napiszę.

## Dom Sulimierskich

We dworze w Sulimierzycach przyszło na świat dziecię płci męskiej, któremu dano na imię Roch. A w rok później dziewczynka, Urszula – moja babka. Rodzicami byli: Jan Marcelli Sulimierski, herbu Starża, i Marija, z domu Albertini, Włoszka, śpiewaczka opery La Scala, o pseudonimie scenicznym Castellati.

Był początek roku 1842, kiedy to mój pradziad Jan Marcelli, będący w randze porucznika Legii Cudzoziemskiej, wraca do majątku Sulimierzyce położonego na Wyżynie Piotrkowskiej. Wraca, ale nie sam. Jadąc na koniu obok sań, z lubością zerka na śpiącą w nich damę, która w świetle księżyca wydaje się efemeryczna, wprost ulotna. Bledziutka i piękna w swoim kołpaczku na ciemnych włosach, okryta po czubek maleńkiego noska miękkim futrem, przybywa teraz do nieznanego kraju z człowiekiem bezgranicznie jej oddanym.

Patrząc tak na nią, Jan wspomina chwile poznania i inne szczęśliwe momenty, później ceremonię ślubną w Wiedniu, gdzie przechodząc pod sklepieniem z szabel, patrzy jej w oczy, jakże obiecujące. Ileż to razy, siedząc na paradyzie w La Scali, zachwycił się jej ciepłym, koloraturowym głosem.

Już księżyc zapadł za las, na wschodzie świta. Koniec męczącej podróży. Oto ostatni zakręt i w dali bieleje dwór utopiony w gąszczu parku. Wrota otwarte. Zgraja psów skomli i łasi się do pana, który wreszcie powrócił do domu. Na progu witający go wódz oznajmia o śmierci starszych państwa. Panujący w okolicy tyfus nie oszczędził obojga. Tak więc pradziad Jan Marcelli zostaje sam na dużym gospodarstwie. Mijają szczęśliwe lata. Ustabilizowany wreszcie – udziela się w sąsiedztwie, jeździ na sejmiki, przyjmuje gości, dumny z pięknej żony. Wiecznie zakochany przywozi jej z zagranicy drogie prezenty, łakocie, wszystko dla Maryjki. I powozy, i kuligi, najhuczniejsze w okolicy bale, najczulsze słowa.

Osiem lat trwa idylla. Marija wyjeżdża często „do wód”, jako że zdrowie jej nie dopisuje i tutejszy klimat nie służy. Po urodzeniu drugiego dziecka – Urszulki, przyplątał się jakiś zły kaszel, suchy, z gorączką. Lekarz kręcił głową, szeptał do zafrasowanego męża i radził wyjazd na południe. Choroba robiła szybkie postępy. Nie było już mowy o wyjeździe. W jakieś pół roku później rozstała się z życiem kobieta młoda, piękna, co jak roślina przesadzona na inny grunt – zmarniała.

Mój pradziad strasznie rozpaczał. Zamknął się u siebie, nie chcąc widzieć nikogo z sąsiadów. Zajął się tylko dziećmi i doglądał – aczkolwiek niechętnie – gospodarstwa.

Miał wśród służby Zofijkę Nienacką, pannę z małą pięcioletnią dziewczynką, niestety ułomną. Nieszczęście się stało, gdy były adorator Zofii, a ojciec dziecka, w przypiływie złości, że nie powiła mu syna, chwycił małą za nóżkę i ją uszkodził. Odtąd dziecko kulało. Sulimierski przyjął kobietę z litości, kiedy zalana łzami opowiadała mu o swoim nieszczęśliwym życiu. Służyła mu



wiernie. Patrząc w oczy, zgadywała pańskie myśli, wychowywała dzieci, doglądała domu i była uczciwa. Pradziad był z niej zadowolony, a że była szlachcianką (z tej zubożałej, zaściankowej), dopuścił ją po latach próby do takiej konfidencji, że powierzał opiekę nad kredensem i spiżarnią. Małej dziewczynce pozwalał bawić się ze swoją Urszulką. Zofijka była wdzięczna za zaufanie, wszędzie jej było pełno. I na gumnie, i w oborach przy udoju. Cicha, wiecznie czynna.

Ile godzin sypiała – nie wiadomo. To tylko dziadek wiedział, że od wielu lat wszystko szło w gospodarstwie idealnie. Ale pewnego razu, a było to w czasie epidemii cholery, poszła Zofka do swojej wsi, do chorej matki w odwiedzin. Nie przewidywała, że już nie powróci ani do dziecka, ani do dobrego pana, którego szanowała i kochała jak ojca. I w ten sposób mała Kostusia została we dworze. Z początku bawiła się z Urszulką i starszym Rochem, a później, kiedy przyszedł czas i dziewczynki podrosły, przyjął ojciec do nich pannę, która uczyła i wychowywała trójkę dzieci.

W tym czasie po raz drugi nadciągnęła epidemia cholery tak groźna, że całe wsie wymierały. Opowiadała mi babcia Urszula, że pewnego razu wybrały się z Kostusią i folwarczną dziewczyną do pobliskiego sadu. Ona zęła sierpem chwast dla inwentarza, a one pokucały przy krzaczkach agrestu i chrupały ze smakiem jeszcze zielone owoce. Drogą przechodził jakiś człowiek i rzekł do babci: „Nie jedz tego, kochaneczko, bo idzie cholera”. Na to babcia podniosła się i wyjrzała przez dziurę w płocie, żeby zobaczyć, jak to też wygląda ta cholera. Opowiadała nam potem i śmiała się, mówiąc, że nic im się wtedy po zjedzeniu agrestu nie stało. A epidemia powoli wygasła.

Lata biegły. Z dziecka wyrósł podłotek, czas pokazać pannę w okolicy. Był zwyczaj urządzania wspólnych zabaw, spotkań, więc zjeżdżano się w tygodniu to w jednym, to w drugim dworze. Urszulka wyróżniała się urodą i wdziękiem po matce. Grała niezłe na fortepianie i śpiewała. A głos miała niski, ciepły. Przypadkiem na jednym z balów w sąsiedztwie znalazł się pruski generał. Ta właśnie część Polski była pod zaborem niemieckim. Tylko z panną Sulimierską chciał tańczyć gruby Prusak, tylko dla niej przy mazurze leciały drzazgi z podłogi. Dwoił się i troił. Podkręcał wąsiki i patrzył w oczy. Zauroczyły go dwa grube warkocze i przepastne czarne oczy Urszuli.

„Herr Sulimierski – mówił – nie żyć mi bez niej. Daj ty mnie ją za żonę. Złotem obsypię. Nie pożałujesz ty, Herr Sulimierski”. Ale decydujący głos miała sama Urszula, którą ojciec kochał bez pamięci i liczył się z jej zdaniem. Odmowa spowodowała rychły wyjazd niedoszłego adoratora. Podobno pociągnął z wojskiem w inne strony. Babcia potem lubiła powtarzać, że i ona należała do tych, „co nie chciały Niemca”.

W tych burzliwych latach Sulimierzyce przechodziły z rąk do rąk okupanta. Austriacy przepędzali Prusaków, to znów Rosjanie zajmowali ich wczorajsze

stanowiska. Dość na tym, że dwór był rabowany z żywności, topniały zapasy, szło pod nóż bydło i wszelki drób. Był rok 1863. Roch ukończył konspiracyjne gimnazjum, a że był zdolny, zamierzał dalej studiować. W owym czasie zawiązywały się potajemnie grupy młodych ludzi, którzy ćwiczyli i uczyli się rzemiosła wojennego. Roch Sulimierski miał wtedy około dwudziestu lat. Wyrośnięty, zręczny nad podziw, przyuczony przez ojca w strzelaniu – wodził rej wśród młodzieży. A byli to synowie okolicznej szlachty. Nie brakowało chłopów pod wędrowcem, którzy tylko czekali, by stanąć w szeregu obrońców uciemiężonego kraju.

22 stycznia 1863 roku rozpoczęło się powstanie w Królestwie Polskim, nazwane styczniowym. Oddziały partyzanckie zaatakowały garnizony rosyjskie. Na wiosnę walki rozszerzyły się na Litwę, Białoruś i Ukrainę. Największe potyczki odbywały się w lasach, ale brak uzbrojenia dawał się coraz częściej we znaki. Wobec przeważającej liczby wroga powstanie upadło. Zaczęły się zsyłki na Sybir, gdzie wywieziony został także Roch. Opowiadał później, bo zsyłkę przeżył, że pracował w kopalni na Kamczatce w strasznych warunkach, o głodzie, źle ubrany. A że w wielu potyczkach był ranny i wykrwawił się, ciągle był słaby i nie mógł wrócić do zdrowia. Praca ponad siły, głód i surowy klimat nie sprzyjały poprawie. Tak minęło długich dwadzieścia lat w poniewierce, w straszliwych mrozach.

## Zamążpójście

Tymczasem moja babka Urszula, a jedyna siostra Rocha, gospodarzyła razem z ojcem. Poznała młodego profesora Saramowicza i po jego oświadczeniach postanowiła oddać mu rękę. Smutne było rozstanie ojca z ukochaną Urszulką, młodą, osiemnastoletnią dziewczyną. Ale małżonek – tak zakochany, że świata poza nią nie widział – przysięgał dozgonną miłość, opiekę i troskę o jej dobrobyt. Owszem, był dobrobyt, ale było też po latach dwanaścioro dzieci. Pewnie zdążyła już zapomnieć, jak beztrosko brzmiała śpiewana dla niej przez dworskie dziewczęta pieśń weselna:

Oj, skowroneczek śpiewa, dzień się rozwijewa, Urszulka się stroi, gości się spodziewa.

Wyjdźże do nas, dziewczko miła, jeszcze raz prosiewa, Dla ciebie to, Ulisiu, wianeczki wijewa.

Prawdziwą pomocą, zesłaną chyba od Boga, okazała się Kostusia, która przyjechała ze swoją panią do Częstochowy i z całym oddaniem i poświęceniem opiekowała się dziećmi – po kolei. Za mąż nigdy nie wyszła. Może z powodu kalectwa, a może poświęciła siły i serce rodzinie, która kiedyś przygarnęła jej matkę i ją samą. Zamieszkali przy ulicy Siedmiu Kamienic.

## Sąsiedzi z kamienicy

W tej samej klatce schodowej, tylko na wyższym piętrze, mieszkała właścicielka kamienicy, wdowa, pani Stefania, z dwojgiem dorosłych dzieci. Córka, ruda panna Seweryna, wielce nadobna, ciągle się mizdrzyła i krygowała, kręcąc grzywki, loczki i grajczarki. Po całych dniach grała *Modlitwę dziewicy*, bo nic innego nie umiała, lub śpiewała solfeż, cieniutko i fałszywie. Z kolei jej brat, Izydor, często zaglądał do mieszkania mojej babki. Ta go lubiła i częstowała. Niesprawnym umysłowo, ale niegroźnym dla otoczenia, chodził wiecznym tanecznym krokiem i czuł się w jej domu jak u siebie. Zaglądał wszędzie, niczego jednak nie ruszał. Nieraz, kiedy Kostusia kołysała dziecko do snu, odsuwał ją i sam delikatnie huśtał, śpiewając: „Oj, ta da da, kozakfińscok, oj, ta da da...” – i tak w kółko. Bardzo lubił kawę. Więc kiedy mu się sprzykrzyło kołysanie, wstawał i mówił: „No, trza iść”. Babka wtedy do niego: „Niech pan Izydor poczeka, kawa będzie”. Wówczas siadał znów, zjadał przyniesiony ser, wypijał kawę, a chleb chował dziecku pod poduszeczkę. Pewnego razu przyszedł zapłakany, więc go babka pyta, co się stało. A on na to: „Stefka (matka) ze Seberką (Seweryna) tyłą kichę zeżarły, a mnie nic nie dały”. Na pocieszenie dała mu babka kawał kielbasy. Śmiał się, jedząc, i na palcach „strugał marchewkę” w stronę sufitu, gdzie było jego mieszkanie.

Będąc na roratach, zobaczyła go babka, kiedy szedł przez cały kościół, zmieniając ciągle nogi w podskokach. Dokąd on tak idzie, pomyślała. Tymczasem młodzieniec zbliżył się do ołtarza, położył na białym obrusie dwa pieczone ziemniaki, uderzył się pięścią w piersi, aż zadudniło, i uklonił czapką. Innym razem ukląkł obok babki. Miał wtedy na szyi różaniec z pierników, który można było kupić na straganie przed klasztorem. Sięgał ręką po piernik na karku i trzymając go, mówił: „Zdrowaś mara, raskiś perna...”. Wtedy nagle zrywał piernik, szybko zjadał, sięgał po następny i mówił to samo od początku. Wiejska kobieta, która klęczała obok, zwróciła mu uwagę: „Panie, źle mówicie”. Ale on tylko popatrzył na nią z góry i znów sięgnął za kark po nowy paciorek. Taki to był pan Izydor. Biedny, dobry, pomyłony chłopiec.

Naprzeciwko mieszkania babki, na tej samej klatce schodowej, zajmowała kilka pokoi żydowska rodzina o nazwisku Mokrauer. Ojciec lekarz tak wychowywał dzieci, że synowie w wieku pięciu-sześciu lat umieli czytać po polsku. Później uczyli się języka jidysz i hebrajskiego. Trzeba trafu, że najstarszy z synów, Lewi, skończył również medycynę i był lekarzem we Włoszczowej, najbliższym miasteczku obok Boczkowic. Leczył moją mamę i nas. Mama przypominała mu dawną znajomość z Siedmiu Kamienic. Ucieszył się i od tej pory był naszym domowym lekarzem. Z córkami innej rodziny żydowskiej chodziły moje ciotki na pensję do pani Garszteckiej. Było ich kilka, a nazywały się tak:

najstarsza Małka, później Ruchla, Estera, Fajga i Sulamitka, najładniejsza z sióstr. Pewnego razu zmarła im ciotka o nazwisku Galewska. Przyszła więc do mamy Małka i prosi, aby jej zredagowała depeszę do rodziny. Mama, owszem, napisała, ale Małce nie spodobała się treść. Ułożyła więc po swojemu i przyszła jeszcze raz, aby przeczytać. Brzmiało to tak: „Na ciocie Galeske przyszedł ostatni kres, przybywajcie, ciało jeszcze gorące”. Trudno było się nie śmiać, ale wobec smutnej chwili mama zachowała powagę.

W podwórzu, gdzie kamienice tworzyły prostokątną studnię, biegł przez pierwsze piętro krużganek, balkon, na którym dzieci chętnie urządzały wyścigi i gonitwy. Ale trzeba było uważać, czy czasem piekarz, Niemiec, który mieszkał na tym właśnie piętrze, nie wystawił tu chlebów i bułek „rosnących” na deskach. Bo kiedy zobaczył dzieci – wrzeszczał tak, że aż pąsował. Wówczas bractwo chowało się do swoich mieszkań. Czeladnicy ubrani na biało wynosili deski, posypywali je mąką i układali pod okiem piekarza utoczone już bułeczki, kajzerki, rogaliki, chatki i przeróżne kugle, aby w chłodzie nie rosły za szybko, ponieważ w piekarni panował wielki upał. Na tym samym piętrze mieszkał pan, który miał małego psa Surka. Ten Surek lubił nieraz wychodzić z potrzebą na balkon i nigdzie się nie załatwiał – tylko właśnie pośrodku rozłożonych bułek. Gdy go tylko dojrzał piekarz, wyskakiwał wściekły na balkon i wymyślał piskliwym głosem: „Tu szrim? (tu się załatwiasz), a idi na wichodki, szakrew! Policmajster na pesz (na psa), pesz na policmajster, Surek na pesz”. Tak się biednemu w zdenerwowaniu wszystko poplątało. Uporawszy się z porządkami, wracał jak burak czerwony do piekarni, ciężko dysząc zatrzaskiwał drzwi, aż się szyby trzęsły. Dla dzieci polskich nie był dobry, bo gdy nieraz głodny chłopiec prosił o bułkę, odpowiadał: „Nyma pynendzy, nyma pulka. Jak będzie pynondze brać, to będzie pulka dać”.

## Moja babka Urszula

Była bardzo podobna do swojej matki Włoszki. Odziedziczyła po niej urodę, wspaniały głos i absolutny słuch muzyczny. Saramowiczowie mieszkali w kamienicy położonej u stóp Klasztoru Jasnogórskiego. Codziennie więc babka chodziła na prymarię czy też, jeśli to był adwent, na roraty. Opowiadała, że bardzo lubiła, kiedy silny wiatr nie pozwalał jej iść. Szarpał salopą i rozwiewał poły. Pewnego zimowego ranka, otulona ciepło, w „budce” na głowie, szła na mszę. A tu nagle zawiąło, popchnęło – i ani się spostrzegła, kiedy znalazła się w wielkiej zaspie. Śmiała się w głos i gramoliła niezdarnie. Wtedy jakieś ręce w rękawiczkach wyciągnęły się do niej i z okrzykiem: „Mamy kuropatewkę!”, wydobyły ją z zasy.

Było ich dwóch; jeden, jak później mówiła, ten przystojniejszy, zajrzał pod budkę, a widząc niezwykłą urodę, powiedział: „Pewnie te czarne brewki korkiem malowane” (dawniej kobiety czerniły brwi opalonym nad ogniem korkiem). Babcia na takie *dictum* pośliniła palec i przejechała nim po brwiach, mówiąc: „O, taki to i korek”. Długo stal i i patrzyli na nią, ale ona, zwinna i szybka, była już w bramie klasztornej. Spotykała ich jeszcze w Dolinie Szwajcarskiej (teren obok dzisiejszych Łazienek w Warszawie również kiedyś nosił tę nazwę), gdzie prowadziła swoje córki na naukę jazdy na łyżwach. Panowie radzi byli nawiązać kontakt, ale babka była dumna i choć dusery prawili, nie chciała zawierać znajomości.

Kamienica, w której mieszkali Saramowiczowie, nie miała wygod. Nie było tu łazienki. Przeznaczyła więc babka na ten cel mały pokoik, kazała wybudować kuchenkę, wmurować kocioł – i urządziła pralnię. W kącie stała wysoka kadź, w której co sobotę kąpano dzieci, począwszy od najmłodszego, a skończywszy na dorosłych. Myjąc dziewczynki, Kostusia rozplýwała się nad urodą każdej z nich, mówiąc, że mają nóżki jak prąteczki, rączki jak wałeczki i gładkie ciała jak „krupek soli”. To był najwyższy komplement. Po kąpieli dzieci Kostusia podgrzewała znów kocioł, wymieniała wodę i myli się dorośli. A na końcu, już późno bardzo – ona. Pewnej nocy, a była trzecia nad ranem, zobaczyła babka światło pod drzwiami. Weszła więc zaniepokojona, a tu w łaźni półmrok, bo filuje lampa naftowa, a Kostusia śpi w kadzi. Zsunęła się tak głęboko, że woda sięgała jej już do ust. Babka wystraszona szarpnęła dziewczynę, zbudziła nieprzytomną, pomogła wyjść z zimnej wody i okryła prześcieradłem. W zadymionym pomieszczeniu otworzyła okno na oścież. Kto nie palił nigdy naftą, ten sobie nie wyobraża, ile taka filująca lampa może narobić biedy. Czarne płatki sadzy fruują tak gęsto, że wprost zaciemniają pokój. Zmarzniętą Kostusią napoiła babka Urszula gorącą herbatą z arakiem i wysmarowała na rozgrzewkę. Jakoś obyło się bez zaziębienia, ale sprzątnięcia było co niemiara.

## Mój dziad Wincenty

Wincenty Saramowicz pochodził z Galicji, z Tarnopola. Mówił o swojej rodzinie, że wywodziła się z Czech. Miał też czeski humor, rubaszność i dowcip. Korzystając z tych jego skoligaceń, babcia Urszula przy niezgodności zdań, w przypływie złego humoru, nazywała go „czeskim knedlem”. Wprawiało go to w jeszcze gorszy nastrój, tak że potrafił nieraz nie odzywać się parę dni.

Pamiętam opowiadanie o takim długim milczeniu po tym, kiedy to babka, wracającemu późno z resursy, podała na obiad filiżankę czerwonego barszczu z pasztecikami. Usłyszała tylko jedno oschłe słowo: „Zimny!”. Odpowiedziała spokojnie: „Spróbuj”. Wyszła, ale nie domknęła drzwi, szparutką obserwowała, co nastąpi. Dziadek założył serwetę pod brodę, wziął w obie ręce filiżankę i pociągnął duży haust. Wypluł go natychmiast z przekleństwem. Babka, zadowolona, cichutko zachichotała i zamknęła drzwi. Co się okazało – barszcz był gotowany na tukowej rurze i kiedy na powierzchnię wypłynęło jedno tłuste oko, nie było widać uchodzącej pary. Po tym incydencie Wincenty nie odzywał się z tydzień.

Dziadek był bardzo przystojnym, roslym mężczyzną. Dobrze zbudowany i silny, nosił długą brodę i sumiaste wąsy tak długie, że zakręcał je dwa razy naokoło uszu. Wielce pielęgnował ten swój zarost. Mył, szczotkował, a na noc smarował fiksatuarem i zakładał bindę. Rano szedł do pracy wypachniony, oczyszczony z pyłków przez troskliwą żonę. Żegnał się ze wszystkimi po kolei. Taki już miał zwyczaj. Kiedy był starszy, bywały dni, że pracy miał mniej. Szedł więc do resursy kupieckiej na piwko i grał z przyjaciółmi w preferansa lub w winta.

Pamiętam opowiadanie babki o nim, kiedy to po takiej grze w karty u kolegi, mieszkającego przy cmentarzu na Kulach, wracał późną nocą do domu. Jeszcze mocne wino nie wyszumiało z czupryny. Był a zima, mróz ciął w twarz. Postawił więc dziadek kołnierz, nacisnął futrzaną czapkę na czoło. Mając zamiar przeciąć cmentarz i zyskać na czasie, skręcił do furty cmentarnej. Kiedy chciał omijać mogiłki – te, jak na złość, pchały mu się same pod nogi. Szedł więc niepewnie, zapadając się chwilami w głęboki śnieg. Przyspieszył kroku, zaniepokojony trochę ciszą i ciemnością. Wydawało mu się, że już-już powinna być brama wyjściowa, a tu jej wciąż nie było. Ciągle pagórki, teren nierówny. Poczucie niepewności rosło. Zmęczenie dało się we znaki i pot zalewał oczy. Jak na złość gałęzie biły go w twarz. „Dobrze ci, dziadu, po coś tu wszedł, a w dodatku podchmielony” – mówił do siebie mokry i roztrzęsiony. Nagle coś go uderzyło w czoło, spadła czapa. Za grdykę chwycił zwykły ludzki strach. Nie wiedział, kiedy zostawił za sobą niegościnne mogiłki. Wreszcie wpadł w bramę i nieco zwolniejszy kroku – rozpiął futro. Krew w uszach pulsowała jak szalona. Oparł się o drzewo, by wydyszeć strach i zmęczenie.

W sypialnym pokoju świeciła mdłym światłem lampka przed obrazem.

Babka siedziała, odmawiając różaniec. Dziadek wszedł, zrzucił futro i przypadł jej do rąk. Całował i zachłystywał się opowiadaniem o strachu, który przeżył. Pomogła mu się rozebrać, ułożyła do łóżka – myśląc, że jest nietrzeźwy. Na drugi dzień opowiedział przygodę raz jeszcze na spokojnie. Zamiast iść do pracy, powiedział: „Mamuńciu, pójdziemy razem na cmentarz sprawdzić, co to było”. Szli po śladach, bo śnieg nie zasypał ich jeszcze. Tym razem omijali mogiłki, aż doszli do miejsca, gdzie już z dala czerniała na śniegu futrzana czapa. Tuż obok leżała pęknięta obręcz od beczki, która nadepnięta w jednym końcu – drugim zrzuciła mu czapę z głowy. Ujrawszy to, dziadek usiadł na ośnieżonej ławeczce i śmiał się, śmiał... Jednak od tej pory unikał kart, mocnego wina i samotnych nocnych wędrówek. Pamiętam go jedynie z fotografii. Zmarł wcześnie, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Był sangwinikiem. Przyczyną zgonu był wylew do mózgu.



## Powrót

W mroźną noc zimową 1884 roku zapukał do drzwi Saramowiczów w Częstochowie niemłody już człowiek, zarośnięty i zbiedzony. Kiedy mu Kostusia otworzyła, cofnęła się zaraz. Po chwili wzięła pieniądze z szuflady i wyszła ponownie, wręczając mu jałmużnę. Zachnął się. Nie przyjął. Zapytał tylko, czy tu mieszka pani Urszula Sulimierska. Kostusia zawahała się, ale mając przed sobą człowieka, który wzbudzał zaufanie, wpuściła go do przedpokoju, a sama poszła po panią.

Babka stanęła przed nieznanym nieco zdziwiona. Ten nie odezwał się ani słowem. Patrzył tylko na nią, a z przepaścistych oczu płynęły mu łzy. Zrozumiała wreszcie. Tak, to on, umiłowany brat – Roch. Umęczony w kazamatach i wycieńczony do szczytu.

Umyty, przebrany, przeleżał w gorączce kilka tygodni. Rany się odnowiły, a miał ich aż siedem. Najlepszy lekarz czuwał nad jego zdrowiem, a właściwie życiem. Wreszcie na wiosnę podniósł się blady, wychudzony, ale już zdrowszy. Opowiadaniom nie było końca. Zwłaszcza dziewczęta uroniły niejedną łzę wpatrzone, zasłuchane... Dla Urszuli przywiózł Roch smutną wiadomość o spalonym dworze w Sulimierzycach i o śmierci ich ojca – Jana Marcelego. Pozostałym dobytkiem opiekował się teraz oficjalista, człowiek zaufany i wierny. Część majątku rozparcelował, uprawiając sam ośrodek.

Losy majątku potoczyły się teraz inaczej. Ponieważ budynki były spalone, ziemię sprzedano chłopom, spłacono wiernego oficjalistę i część gotówki dostał Roch. Wrócił jednak w swoje strony i tam zahaczył się w majątku dawnego znajomego jako administrator. Przyjeżdżał często do siostry do Częstochowy, do dzieci, które kochał bardzo. Sam nigdy się nie ożenił. Miał już wtedy czterdzieści lat.

## Córki Saramowiczów

Tymczasem córki Urszuli rosły i kolejno wysuwały się z domu Saramowiczów. Pierwsza wyszła za mąż Michasia, za Marcela Chmielewskiego, który miał kamienicę czynszową w Częstochowie. Druga z kolei, Stanisława, zakochała się w Julianie Braunie, dyrektorze gazowni w Łodzi. Uwielbiany przez nas (młodzież) wujcio Julian śpiewał pięknym basem. Należał do chóru Lutnia i grał na cytrze, którą potem ofiarował Waluni, mojej mamie, najzdolniejszej do muzyki.

Braunowie pobrali się, ale los chciał, że w drodze do kościoła bryczka wioząca młodą parę wywróciła się i ta piękna kobieta złamała nogę w biodrze. Ślub odłożono. Odbył się za rok, jednak ciotka była już kaleką do końca życia. Urodziła czworo dzieci. Najstarszy, Staś, wielki romantyk, poeta i muzyk, pracował w gazowni. Drugi, Tadeusz, po prawie, został prezydentem Łodzi. Z córek – Lidka pracowała w biurze, a Nunia, najmłodsza, była nauczycielką. Na jej studia w seminarium nauczycielskim w Łodziłożył mój ojciec (jako jej ojciec chrzestny, ponieważ Julian już nie żył).

Trzecia córka Saramowiczów, Władysława, profesorka germanistyki, wyszła za mąż za inżyniera Mencla - Polaka, choć niemieckiego pochodzenia. Małżeństwo nie trwało długo. Bezdzietne, rozeszło się. Ciotka wzięła do siebie matkę, czyli moją babkę Urszulę, która po zlikwidowaniu mieszkania w Częstochowie, woli na już od kłopotów rodzinnych, bo dzieci poszły z domu – chętnie przeniosła się do niej. Ciotka miała bogato urządzone mieszkanie, z wielkim fortepianem, na którym lubiła grywać w wolnych chwilach. Bywałam u niej z mamą, będąc jeszcze dzieckiem, na ulicy Świętej Barbary blisko Klasztoru. Ona z babcią przyjeżdżała również do nas na wakacje. Włączały się do prac domowych: zrywały owoce, drylowały wiśnie, smażyły wspaniałe konfitury. Nie rezygnowały ze spacerów. Wraz z rodzicami odwiedzały naszych znajomych sąsiadów. Jak już mówiłam, ciotka pięknie grała na fortepianie, choć miała palec środkowy prawej ręki, przy pierwszym stawie, amputowany po wypadku. Zastępowała go sztucznym paluszkiem ze skórki. Dziwiłam się, kiedy nieraz z moją mamą grały na cztery ręce melodie, które ćwiczyły jeszcze pod okiem „Półmetra”. A grały niektóre utwory w tak zawrotnym tempie, że wprost wierzyć się nie chciało, że od czasu nauki upłynęło aż piętnaście czy dwadzieścia lat. Tak sprawnie biegały ich palce.

Waleria, czwarta z kolei – moja mama – wyszła za mąż za Wacława Michała Stępkowskiego i zamieszkała, jak wiemy, na Kielecczyźnie, w majątku Boczkowice. Miała dwoje dzieci. Była to moja siostra Janina, nazywana Aniusią, i ja – Maria – Manusia. Dowiedziałam się później, że miałyśmy jeszcze brata, który urodził się pierwszy, ale zmarł w dzieciństwie. Tata nie mógł przeboleć, że nie ma następcy.

Piąta córka Saramowiczów – Salomea, zwana w domu Meą, a przez swoich sześciu braci „Flintą”, wyszła za mąż za Juliana Makowieckiego, herbu Ostoja. Był zawiadowcą na dworcu kolejowym w Częstochowie. Elegancki, przystojny, mógł się ciotce podobać. Ale dzieci nie mieli. Ona, zawsze zadbana, trzpiotowata przez całe życie, lubiła być po prostu podziwiana przez panów, którzy rzeczywiście ubiegali się o jej względy. Wierna jednak swojemu mężowi – spławiała lekką ręką niechcianych adoratorów. Pamiętam, że miała książkę indyjską do stawiania kabały. Były tam najprzeróżniejsze sytuacje, układy kart i powiązania. Wyuczyła się tego tak, że w czasie wojny dorabiała do skromnej emerytury męża. Stawiała karty znajomym i nieznanym, wszyscy ją polecali jako dobrą kabalarkę. Podczas II wojny światowej była sanitariuszką w Czerwonym Krzyżu. Pielęgnowała rannych w szpitalu polowym. Miała bardzo dobre serce. Wspomagała biednych i potrzebujących. Często wracała do domu późną nocą zmordowana, ale szczęśliwa.

Zdarzyło się kiedyś, że dostała od chorego w szpitalu kawałek kiełbasy. Tak ją z wujem jedli, że kładąc jeden plasterk na kromce chleba, przesuwali go na sam jej koniec, aby tylko jak najdłużej pachniała.

Wujostwo często bywali głodni. Przywoziłam im prowiant z mojej leśniczówki, kiedy już byłam zamężna. Ciotka najbardziej cieszyła się z mąki, z której robiła makaron kraszony margaryną. Wuj Julian wypijał wszystką kluszcankę w ciągu dnia i mówił, że poczytywałby sobie za grzech ciężki, gdyby ją wylał.

W 1944 roku ciotka Salomea została wywieziona z wojskiem w głąb Związku Radzieckiego. Tam zaprzyjaźniła się z panią Marią Rychter, również pielęgniarką z czasu wojny, u której kiedyś, jak pisałam, mieszkałam w Częstochowie na stacji. Po latach wróciły do Polski z Kamczatki. Zniszczone, postarzałe, ale szczęśliwe, że są już w kraju. Cóż, kiedy nie zastały swoich mężów przy życiu. Wuj Makowiecki zmarł podobno w biedzie, a pan inżynier Rychter, rozstrzelany przez Niemców, nie wiadomo nawet, gdzie był pochowany.

Ostatnia z dziewcząt, Helenka, wysoka, szczupła, ciemnooka, z długim warkoczem, wyszła za mąż za niejakiego Pieczabę, rosyjskiego pochodzenia. Po urodzeniu córeczki ona i dziecko zmarły na galopujące suchoty.

## Synowie Saramowiczów

Trzej: Józio, Janek i Michaś, zginęli na wojnie z Moskalami, a czwarty zmarł na czarną ospę. Najmłodszy: Apoloniusz i Franio (ojciec Mietka Saramowicza z Kielc), byli nam najbliższym i najbardziej kochani. Franio, pokaźnej tuszy, podobny do swojego ojca Wincentego, o wydatnym nosie i wijących się włosach, pięknie śpiewał basem. Grał na fortepianie i należał do chóru Harfa. Pełen humoru, był zawsze roześmiany. Kiedy przyjeżdżał do kochanej Waluni, mojej mamy, pierwsze kroki kierował do pianina. Naciskał pedały i grał fortissimo *W mogle ciemnej*. Mama tego nie lubiła. Waliła go więc w plecy. On z kolei porywał ją do góry i obcałowywał serdecznie. Bardzo lubił spać. Kiedy wybierał się z Kielc do nas, przejeżdżał najczęściej naszą stacją i otwierał oczy dopiero w Częstochowie, kiedy pociąg kończył bieg. Nieraz specjalnie płacił konduktorowi, aby go zbudził w odpowiedniej porze. Wuj Franek miał browar w Szydłowcu. Kiedyś zaprosił nas z mamą w odwiedziny, radości było wiele. Do tego miasteczka, zamieszanego przeważnie przez Żydów, można było dojechać tylko kolejką wąskotorową. Jechało się do położonej w lesie stacji Szydłowiec trzęsącymi się wagonikami kolejki przy niezamkniętych drzwiach. Te rozklekotane pudełka ciągnął przedpotopowy parowóz, opalany jeszcze drewnem. Dymił niesamowicie i nie wiadomo dlaczego ciągle gwizdał. Co za frajda! Która to z koleżanek miała okazję jechać taką kolejką? Ile to będzie opowiadania po powrocie do szkoły – myślałyśmy.

Na stacji nie czekał nikt, bo wizyta nie była zaplanowana. Wsiadłyśmy więc na małą, śmiesznej stacyjce, wyładowałyśmy nasze walizki i stoimy, nie wiedząc, dokąd się udać. Patrzymy, idą ulicą dwie dziewczynki – jedna blondynka, druga brunetka. Obie z warkoczami. Pyta więc mama, czy nie wiedzą, jak się można dostać do browaru. „Ach, Boże drogi – woła jedna.

– Przecież to chyba ciocia Waleria. Zaraz pobiegnę do ojca, aby przyjechał bryczką. A wy tu, kochane, czekajcie”. I rzeczywiście, za jakieś piętnaście minut jechałyśmy starym, rozklekotanym wolantem jeszcze po babce Białkowskiej, teściowej wuja Frania. I tak się zaczął tygodniowy pobyt naszej trójki wśród kochanej i nieznannej do tej pory rodziny.

Pamiętam te wycieczki do lasu na grzyby, borówki, łowienie ryb nad rzeczką i dalekie spacerunki w pola, gdzie powietrze czyste, a psy u nogi.

Wujostwo mieli ośmioro dzieci. Dzisiaj żyją tylko: Mietek, Alinka i Henia. Mietek dokuczał mi bardzo, ciągnął za warkoczyki, a kiedy chciałam z nim iść na ryby, wykręcał się do mnie tyłem i mówił, cedząc przez zęby: „Ja się tam nie bawię z babami”.

## Waleria i Waław

Ślub młodych miał się odbyć w lipcu. Tymczasem zaszło nieoczekiwane wydarzenie, które zmusiło do przesunięcia daty tej uroczystości. Mama moja dzień przed ślubem prasowała suknię. Kiedy dość energicznie wygładzała koc, wbiła sobie igłę z nawleczoną bawełną w żyłę nadgarstka tak, że widać było tylko koniec nitki. Kiedy doktor chciał pociągnąć za nią, ta wywlokła się z uszka. Musiał więc zrobić obok cięcie. Mama nacierpiała się wiele i do końca życia drętwiały jej przy pracy cztery palce. Ślub odłożono. Odbył się dopiero w październiku w 1900 roku w Częstochowie, na Jasnej Górze. Zamieszkali w Boczkowicach razem z matką Waławą, babką Ireną, surową i rozkazującą, męskiego usposobienia. Tą, która paliła fajkę. W pół roku później babka umarła. Ale była to śmierć pozorna. Bo kiedy na trzeci dzień, tuż przed eksportacją, usiadła w trumnie i patrząc na czarny żabot, zapytała: „Po co ten strój i ta cała iluminacja?” – co wrażliwsze matrony pomdlały. Uczynił się niemały rwetes we dworze. Do bladego z wrażenia lekarza powiedziała podniesionym głosem: „Nigdzie nie jadę. Wyłożyć konie! Zimno mi” – i położyła się na bok. „Hic mulier” – szepnął sąsiad do sąsiada i opuścili salon. Lekarz, zbadawszy babkę dokładnie, stwierdził zgon. Przybyły ekstrapocztą drugi lekarz odsunął tamtego i przyłożył jej do ust lusterko. Gdy nie zaparowało, zawołał o lak i po podgrzaniu go nad gromnicą lał gorący na żyły rąk. Zmarła naprawdę.

Płakała biedna Walunia. Na gospodarstwie wcale się nie znała. Postanowiła więc sprowadzić do pomocy matkę, czyli moją babkę Urszulę, która już wtedy po zlikwidowaniu domu mieszkała u swojej córki Władzi.

Babka przyjeżdża. Czuje się na wsi dobrze, jakby odmłodniała, wolna już od swojej dwunastki dzieci. Krząta się między kuchnią, spiżarnią a oborami. Dogląda wszystkiego. Kochana przez wszystkich pani starsza, jak ją służba nazywała, jest duchem opiekuńczym całego dworu. Ojciec mój, bardzo do niej przywiązany, liczy się zawsze z jej zdaniem, szanuje i nie raz zasięga porady. Babka zna dużo mądrości życiowych. Wiele razy wzywana do chorych na wsi siadała w bryczuszkę z pudłem baniek i torbą z ziołami. I ludzie wiejscy pokochali ją bardzo. Ojciec okazuje się dobrym rolnikiem, rybakiem, hodowcą i znawcą koni. Jego klacze lśnią wypasione, z rowkami na zadach, nawet arabka Wojna, pomimo swojego kalectwa (postrzał w pęcinę), jest zadbana i wozi do dworu wodę na użytek domowy i bydła. Woda jest czysta, krystaliczna, a czerpią ją ze stoku tuż przy polu. Wielkości dużego pokoju – ujęty w drewniane belki – bije stok dziesiątkami źródeł, widocznymi na jego piaszczystym dnie, a daje wodę tak smaczną, że chętnie ją pijemy w ciągu dnia. Na beczce umocowanej na lekkim wozie siedzi mały, może dziesięcioletni Janek, syn ogrodnika, i cały prawie dzień dowozi do dworu wodę. Wcześniej sprowadzał ojciec różdżkarzy, studniarzy, kopali kilkakrotnie przy dworze – i wody nie znaleźli. Pochłonęło to masę pieniędzy i w końcu ojciec

zrezygnował. Dwór usytuowany był na górze o podłożu gliniastym i jedynie dopiero w stoku, oddalonym o jakie pół kilometra, znajdowały się źródła.

## Życie w Boczkowicach

A teraz o nas, siostrach. Janina (Aniusia), urodziła się w 1911 roku, ja, Maria (Maniusia), w 1915. Podobno kiedy się urodziłam, miałam nos taki maleńki, że go prawie nie było. Kusilo to moją czteroletnią siostrę, aby mi go nagniatą – aż do płaczu. Kiedy się na nią gniewano, tłumaczyła, że to przecież guziczek.

W 1916 roku, kiedy przeiasowywały się wojska, do Boczkowic zjechał na kwaterę niemiecki generał von Moltke ze sztabem i stanął we dworze, zajmując pięć pokoi. Szły na rzeź cielęta, barany i drób. Pamiętam z opowiadania mamy, że kiedy do generała przychodzili oficerowie z raportami i pytali o niego – mała, pięcioletnia wówczas Aniusia mówiła do nich: „zweite Zimmer, zweite Zimmer”. Salutowali jej i z uśmiechem szli do wskazanych drzwi. Generał widocznie polubił naszą rodzinę, bo trzymał wojsko w ryzach i nie pozwolił żołnierzom ruszać niczego, co dworskie. Po paru dniach nieobecności przywiózł z Berlina dla Aniusi piękny gipiurowy fartuszek i złote kolczyki z rubinami. Uszy zostały przekłute przy akompaniamencie wycia Aniusi, ale, niestety, przy każdym zdejmowaniu sukienki czy swetra przez głowę kolczyki sprawiały jej ból. Kiedyś, mało myśląc, kazała niance zdjąć obydwu. Podeszła do otwartego okna i wyrzuciła je w maliny rosnące przy ścianie domu. Szukała mama, szukała niania, ale przepadły. Generał nie zauważył braku kolczyków, tylko podnosił dziewczynkę wysoko i mówił: „Jak Anusze ładnie z tym fartuszkim”. Niemieckie wojsko odeszło, przyszły inne: rosyjskie, austriackie. Mijały zimy i skwarne lata.

Pamiętam te upalne dni, kiedy to nad dworem przetaczały się potężne burze z piorunami i grzmotami. Dom wtedy trząsał się w posadach, echo niosło się po pustych pokojach. Przeżywałam nerwowo te burze już jako mała dziewczynka i dlatego pewnie dotąd – nawet w Warszawie – odruchowo zamykam lufciki, kiedy się błyska.

Do naszego domu na każde wakacje zjeżdżali z Warszawy kuzyni: Jacuńscy, Jeżmanowscy, Myszczyńscy, Drewnowscy, Chodakowscy. Roilo się od dzieci, studentów, podlotków. Biedna mama i babcia musiały się wiele namozolić, aby wykarmić tę czeredę rozkrzyczaną i wiecznie głodną.

Kiedy była pora zrywania porzeczek i agrestu, szliśmy wszyscy z koszykami do inspektowego ogrodu i tam, siedząc na stołeczkach, zrywaliśmy dorodne owoce na przetwory, galaretki i konfitury. Mną opiekowała się mamy siostra, ciotka Stasia Braun. Pamiętam ją w fioletowej podomce w tureckie wzory i w kapeluszu słomkowym z wielkim rondem, bo bardzo dbała o cerę i bała się opalić. Siedziałam wtedy u niej na kolanach i śpiewaliśmy razem: „Szybko, szybko, moja rybko, daj buzi na drogę, bo ja jadę na paradę i czekać nie mogę. Główka moja jako bomba, oczko jak rodzenek, nosek mały jako trąba, brzuszek jak bębenek”. Co w moich ustach brzmiało: „Chipko, chipko, oja ipko, daj buzi na

djoge...”.

Ciotka się zaśmiewała i zaczynała inną piosenkę: „Koniu, koniu” – a ja kończyłam...„buła koniony”, co miało znaczyć – koniu bułany.

Właśnie od ciotki Stasi, kiedy byłam starsza, nauczyłam się wielu piosenek, które do tej pory pamiętam. A były to różne szumki-dumki oraz wojskowe, te o różach, bzach i rozmarynach. Ale przede wszystkim pamiętam moją mamę, śpiewającą i akompaniującą sobie równocześnie na pianinie lub cytrze. Muzyka dawała jej pewnego rodzaju komfort psychiczny w czasach, kiedy intelektualnych przyjemności było niewiele i do ludzi było daleko.

Dobrze, że kochany i lubiący muzykę nasz ojciec nie skąpił na płyty do starego patefonu, dając nam choć namiastkę tych przeżyć, których doświadczał, będąc parę lat w stolicy, gdzie miał szansę bywać w teatrze i na koncertach.



## Mała Manusia

W pogodne letnie dni nasi goście wyruszyli do okolicznych lasów obfitujących w prawdziwki. Pewnego sierpniowego ranka, a miałam już wtedy cztery lata, umówili się wszyscy jeszcze przy stole, że jadą na borowiki. Machałam do nich na pożegnanie, płacząc, że nie jadę. Prowadzona przez nianię za rękę doszłam aż do topolowej alei. Długo patrzyłam za nimi, aż zniknęli mi z oczu w pobliskim lesie. Podobno grzybobranie udało się nad podziw. Na drugi dzień wymyślono, że dla odmiany pojedą na Bebelno – na borówki. Aby mi nie robić przykrości, kazali niańce jakoś mnie zabawić, żebym nie była przy ich odjeździe. Więc wzięła mnie do kuchni, tam nałożyła do żelazka węgli, pokazała, jak się żarzą na wietrze. Po wyjściu na taras nie zobaczyłam już nikogo. Na tarasie stał stół, który niania przykryła kocem, prześcieradłem i zabrała się do prasowania. Ja dostałam zabawki i jakieś słodczy, ale zabawa nie szła.

Marudziłam, więc kiedy przysła do niańki kucharka i spytała, dlaczego beczę, ta odpowiedziała, że pewnie tęsknię za mamą. No pewnie, że tęskniłam. Pojechali do lasu, a mnie nie wzięli. Myślę więc sobie – przecież sama tam trafię, bo znam drogę. I kiedy niańka poszła z żelazkiem do kuchni po świeże węgle, zesłam z tarasu schodkami, zbiegłam alejką z góry i wyszłam na drogę, która wiodła do lasu. Minęłam stawy, potupałam parę razy na mostku na rzeczce i weszłam na łąki.

Jak długo szłam, nie wiem, dość na tym, że małe nóżki zabołały, białe buciki zrobiły się czarne od torfu. W dodatku upadłam w dołek i zabłociłam sukienkę. A była biała, haftowana atłaskiem, przepasana błękitną wstążką z mory. Z takiej samej wstążki był na czubku głowy związany motyl. Motyl zginął, suknia w błocie, a Manusia spłakana.

Szłam dalej, ale czułam, że zgubiłam drogę. Na łąkę weszła od strony wsi kobieta. Prowadziła krowę. Po jakimś czasie zobaczyła mnie i spytała, co tu robię. Usłyszawszy w odpowiedzi tylko chlipanie, wzięła mnie za rękę, w drugą powróz z krową i tak weszłyśmy do wsi i znalazłyśmy się w jej chacie. Nie pamiętam rozbierania i mycia, wiem tylko tyle, że obudziłam się na ciepłym przypiecku, na rozłożonym kozuchu i było mi dobrze. Ale kiedy kobieta nachyliła się nade mną, znów zaczęłam płakać i wołać mamy.

Tymczasem we dworze niańka zagadawszy się w kuchni, wyszła wreszcie na taras i zobaczyła, że mnie nie ma. Nawoływała, biegała po pokojach, później po parku, wreszcie zwołała całą służbę i czeladź. Wszyscy szukali, godziny mijały, chłopci na koniach wrócili z niczym.

Pod wieczór zajęchały przed ganek bryczki. Kiedy wszyscy dowiedzieli się o moim zniknięciu, rozbiegli się po polach i parku. Tata stracił głowę. Kazał bosakami szukać w stawach, kłął, krzyczał i płakał, odgrażając się, że ubije niańkę.

Ta, znając ojca porywczość, schowała się w pokoiku kucharki. Ktoś przybiegł z wiadomością, że znaleziono na łąkach błękitną wstążkę, ale już za rzeczką i stawami. Parobcy przestali więc szukać w wodzie, nadzieja wstąpiła we wszystkich. Najprzycytniejszy stryj poszedł do wsi i tam znalazł jakąś babinę, która widziała jeszcze rano, jak stara Mikuszewska prowadziła dziecko do swojej chałupy. Wszedł więc w obejście, skopał ujadające psy i wpadł do izby.

Pamiętam ten moment, kiedy usłyszałam huk otwieranych nogą drzwi i zobaczyłam wielkiego stryja, który zziębnięty, na rozstawionych nogach, z zaciśniętymi pięściami stał w drzwiach, na tle zachodzącego słońca. Radość przeniknęła małe serduszko. Z płaczem wyciągnęłam do niego ręce, choć na co dzień bałam się go zawsze, bo miał wielkie wąsy i kłuł nimi, kiedy całował. Porwał mnie golutką na ręce, zwymyślał kobietę i sklął na czym świat stoi wszystkie głupie baby. „Wiedziałaś, czyje to dziecko, i nie odprowadziłaś do dworu?”. W końcu rzucił kobiecie jakiś banknot. Ubrała mnie sama, wystraszona i pociągająca nosem. Trzymałam się kurczowo szyi stryja, tuliłam do zarośniętego policzka i beczałam pewnie ze szczęścia, nieświadoma swojej wielkiej winy.

Kiedy tak doszliśmy do dworskich ogrodzeń, stryj, ażeby skrócić drogę, przeszedł przez wyrwaną w płocie dziurę, ale tak niefortunnie, że pozostawionym w ryglu gwoździem skaleczył mi czoło. Taką też, umazaną krwią i spłakaną, postawił przed wszystkimi na podłodze w stołowym. Mama zerwała się z krzykiem, ale po obmyciu okazało się, że to niewielka rana.

Tak zakończył się dzień. Niance nieźle się oberwało, odtąd pilnowała mnie na każdym kroku, bo lubiłam wędrować sama. Spacerując ze mną po parku, prowadziła mnie nieraz do starej lodowni (pozostałość po poprzednich właścicielach, Linowskich), gdzie w dołach porośniętych łopianem i tarniną można było wykopać białą glinę, z której wyczyniała cuda, lepiąc sarenki stojące lub leżące, świnki, ptaszki. Żałuję, że ktoś nie wpadł wtedy na pomysł, aby te figurki wypalić, bo naprawdę były to małe arcydzieła sztuki.

Między stawami biegła droga, jakaś zawsze podmokła, która rokrocznie zarzucana i reperowana faszyną i balami, zawsze tonęła w błocie. A przecież tędy przejeżdżały wozy ze zbożem i sianem. Niejednemu z nich ugrzązł w czarnym, lepkiem torfie albo nawet się wywrócił. Nie pomagało zasypywanie gruzem, drewnem, wszystko to zaraz gdzieś tonęło, a rowy wykopane z dwóch stron były po brzegi pełne wody. Cała okolica znała ze słyszenia tę drogę. Mówiono nawet, że nocą świeci na niej błędny ogień, który, jeśli się do niego zbliżać, ucieka. Jeśli natomiast przed nim się ucieka, wtedy człowieka goni. Wszyscy wierzyli, że to „zły” chodzi z lampką i pilnuje skarbów. Kiedy byłam starsza, to wybieraliśmy się tam wieczorem, aby się przekonać na własne oczy. Wszystko się zgadzało, bo raz ogień uciekał, a innym razem gonił.

Obok tego przepaścistego bagna, na grobli, stał pień starej wierzby, zwałonej

kiedyś przez burzę. Była w nim nad samą ziemią dziupla, z której nieraz można było wypłoszyć zmiję. Gorzej – jeśli zamieszkiwały ją szerszenie. Próchno tej wierzby pachniało jakoś słodko i tak dziwnie, że przypominało nam gruszkę kłapkę. Stryj nieraz mącił nam w głowach, mówiąc, że na tej wierzbie rosły kiedyś gruszki, stąd ten zapach, a że byłam mała, święcie w to wierzyłam.

Kiedy był upał, chodziliśmy na upust na rzece. Był tak zbudowany, że wodę można było zatrzymać tamą z desek. Z jednej strony woda miała więc wysoki poziom. Przepływając ponad deskami, waliła z góry z hukiem kaskadą białej piany. Nigdzie nie był o lepszej kąpiel niż pod upustem. Zwłaszcza że dalej można było w płytkiej wodzie łowić kielbie, które chowały się pod podłogę. Tu właśnie baraszkowały dzieci, kąpiąc się, piszcząc i oblewając nawzajem. Z drugiej strony, za śluzą, była głębia. Tu znów pływali dorośli. Widocznie dlatego do tej pory lubię zimny prysznic, bo tam, pod wodospadem, używałam go do woli. O zachodzie słońca, gdy woda była nagrzana, szedł stryj ścieżką w dół z przewieszonym przez ramię zgrzebnym ręcznikiem, a kiedy wracał po kąpiel, był różowy i w humorze. Mawiał, że należy się wycierać tylko lnianym ręcznikiem, bo to pobudza krew i potem długo czuje się błogie ciepło. Rzeczywiście, dożył późnej starości w czerstwym zdrowiu.

W porze przedwieczornej szłyśmy z ojcem nad stawy, a każda z nas niosła na plecach mały woreczek ospy pszennej lub śruty ze słodkiego łubinu. Sypałyśmy ją szufelkami do wody, co dzień w jedno i to samo miejsce, bo tam już czekały na to maleńkie rybki. Kłębiły się, roiły jak w kotle, mieniąc w słońcu złotą łuską. I napatrzeć się nie mogłam, jak żarłocznie otwierały pyszczki, ba, dziesiątki, setki pyszczków. Raz w roku, przed świętami Bożego Narodzenia, woda ze stawu była spuszczana do rzeki. Na dnie rowów wykopanych wzdłuż całego stawu zbierały się ryby. Nie miały gdzie uciec, bo mnich był zamknięty gęstą siatką. Wtedy chłopcy w wysokich gumowych butach wyławiali podrywkami trzepoczące się ryby i wsypywali je do beczek z wodą ustawionych na wozach. Wieziono je później do miasta na sprzedaż, na świąteczne stoły. Oddzielnie wyławiano matki i przewożono do mateczników – zimochowów. Stawy te były zasilane źródlaną wodą, przeprowadzaną ze stoku drewnianymi rurami, a całe dno nabijane było grubymi kołkami dębowymi, co sprawiało, że woda w stawie nigdy nie zamarzała, nawet w czasie wielkich mrozów.

Wielką zabawą dla dzieci było łowienie żab – tak, żab – i właśnie na wędkę. Robiliśmy to dlatego, że wielka ilość żab zagrażała tym dopiero co wyklutym rybkom. Ojciec ustanowił zapłatę. Za dziesięć złowionych żab otrzymywało się złotówkę, co się równało w tych czasach jednej roboczodniówce. Jak się poszczęściło, to można było zarobić i dziesięć złotych na dzień, a to była dla takiej małej osoby olbrzymia suma.

Ciekawy był sam sposób łowienia. Na haczyk nawlekało się żółty środek

rumianka. Nie trzeba było dżdżownicy ani innej przynęty. Kołysało się żabie przed nosem takim rumiankiem, a ta głupia go chwyciła. Prócz żab łowiło się kielbie na muchy i na małe dżdżownice. Większe sztuki piekło się przy ognisku na rozgrzanym kamieniu. Nauczył nas tego Jasiak woziwoda. Mniejsze rybki zjadały koty na surowo.

Nie było też nic przyjemniejszego w upalny dzień niż to, że jedynie w chustce na głowie i na golasa brodziło się po ciepłym piasku, łapało w siatkę ryby, zbierało muszle po szczeżujach i ślimakach lub przynosiło z łąk pęki zielska i kwiatów. Wszystkie półki, stoliki i podłogi były obstawione wazonami pełnymi kwiatów.

Chodziliśmy też często „na siano”, zwłaszcza przy braku pogody. Po cichutku wsuwaliśmy się w otwarte wierzeje stodoły, pilnując, aby nie skrzypiały, bo tata nie pozwalał bawić się na sianie. Rej wodził mały Jaś – kiedy nawiózł dostateczną ilość wody do gospodarstwa, puszczał Wojnę na trawę i wtedy był do naszej dyspozycji. (Wojna była uprzywilejowana. Ona jedna mogła przebywać w parku i nawet na gazonie skubać delikatną trawę, czego nigdy nie dostąpiły inne konie).

A w stodole, w dwóch zapolach, leżało zwiezione z łąk siano, na które można się było dostać tylko po piętrowej drabinie – szczyt odwagi jak na moje pięć lat. Tam, na górze, fikało się kozły, zagrzebywaliśmy się w pachnącym sianie aż po czubki nosów lub bawiliśmy się w chowanego. Dość niebezpieczną zabawą były skoki z górnej belki tuż spod dachu, gdzie się człowiek dusił wprost od żaru bijącego z góry. W skokach celował Janek. Robił w powietrzu salto, trzymając się za pięty. Bardzo nam to imponowało. Staraliśmy się go naśladować. Aniusi udawało się to poniekąd, a mnie zawsze w powietrzu chciało się siusiu i leciałam ze ściśniętym gardłem na łeb, na szyję. Ale inaczej się nie dało, bo z tyłu na belce inne dzieci, rozkrzyczane jak wrony, czekały tylko na swoją kolejkę.

Jeszcze lepsza zabawa była na strychu, nad dobudowaną częścią dworu, nieco wyższą od starego. Tam mogliśmy się dostać, wchodząc po szerokiej topolowej desce – jak po kładce – i w dodatku po ciemku trafiając do drzwi. Tu dopiero otwierał się świat pełen dziwów, tajemnic i... pajęczyn. Pod rozgrzanym dachem buchał strych zapachami suszonych ziół i żywicy płynącej po belkach. Zawsze otwieraliśmy dwa okna na przestrzał, bo nie można było tchu złapać. Strych, pocięty z ukosa promieniami słońca, zdawał się bajkowym zwidem, w którym wirował pod światło kurz i złościł rozwieszony po kątach pajęczyny.

Nigdy nie było dość zabawy, gdy przeglądało się stare, brzuchate kufry ze zleżalą odzieżą wydaną na pastwę myszy i moli. W jednych były suknie z trenami, tiurniurami, ciężkie salopy do podróży, w innych kapelusze o olbrzymich rondach, toczki z kwiatami, piórami objedzonymi przez mole, torebki różnego kalibru, na drutach robione sakiewki na pieniądze, sprytnie zaciągane, w następnych sute

halki, gorsety na fiszbinach. Wszystko to leżało od niepamiętnych czasów. Ale któraż to dziewczyna, nawet bardzo mała, nie przymierzyłaby sukni z tafty z koronkowym żabotem? Wkładaliśmy więc przedpotopowe kiecki, piszcząc z zachwytu, ozdabialiśmy głowiny kapeluszami-straszydłami, na ręce szły rękawiczki nie od pary aż po pachy lub mitenki, a nad zakurzoną całością rozpinano się poźółkłe od starości parasolki. Były tańce powolne, ukłony, krygowanie się i głupie miny. W starym, pękniętym i popstrzonym przez muchy lustrze wszystko wydawało się tak groteskowe i karykaturalne, że pokładałyśmy się ze śmiechu, przewracając się na przydeptanych halkach i trenach. Powstawał nieopisany harmider, tupanie, co przywoływało zaniepokojoną matkę, która kładła kres tym przewspaniałym zabawom.

Innym razem oglądałyśmy tam stare, zakurzone lampy, okrągłe ample, kinkiety, najprzeróżniejsze figurynki z porcelany, bibeloty sprzed lat – pasterki bez głów, arlekiny bez rąk, a pośród tych drobiazgów na półce dwa stare, zardzewiałe zegary, które starałyśmy się uruchomić.

Pod ścianami leżały sparciałe siodła, chomąta, zbutwiałe końskie czapraki, dery pod siodło, olbrzymie buciska berlacze (zimowe, z futra, nakładane na inne buty) i gumowe sięgające aż do bioder. W kątach poniewierały się wędki różnego rodzaju, podrywki, saki i włoki. Taka zabawa „w strych” odbywała się przeważnie w pochmurne dni.

Kiedy świeciło słońce, biegaliśmy do utraty tchu po gazonach i alejkach, graliśmy w berka, w serso, w ambasadora – lub zaszyci w gąszcz parku budowaliśmy mieszkania między kępami leszczyn, tworząc ścianki pokoi z oknami i drzwiami wyplatany z wikliny. Moc wikliny rosło w lasku, najbliższym i chętnie odwiedzanym, bo kiedy poszło się w poziomkowym czasie – tak pachniało i słońcem, i poziomkami, że wprost dech zapierało.

Wczesną jesienią zaś zbierało się jeżyny, które całymi wałami otaczały łąki, zarastały miedze i rowy. Wtedy pachniało jeżynami. A ile tam było kozaków przy brzożach i osiczynach, ile kurek i surojadek, a i rydze się trafiały.

Park od strony północnej chroniły przed wiatrami rzędy starych świerków. Tam również rosły kozaki i maślaki. Raz dziewczyna z czeladnej niosła całą opałkę starych, ale zdrowych maślaków. Ujrzawszy ją, tata pyta: „Cóż to będzie z tych kapciuchów?”. Dziewczyna uśmiechnęła się i powiedziała: „Zobaczy pan dziedzic przy kolacji, już tam pani starsza da dużo masła, cebuli i pieprzu. To dopiero będzie smakować!”.

Przypominam sobie jeszcze lata, kiedy byłam mała, a niańka jedząc swoje śniadanie, trzymała mnie na kolanach. W czeladnej gotowali codziennie pyszną zalewajkę, okraszoną skwarkami, a że się dopominałam, niańka karmiła i mnie. Do tego glon razowego chleba uzupełniał śniadanie. Smakowało to nadzwyczajnie, więc mała Manusia wyławiała paluchami „skwaruńciki” i mówiła „bloble”. Stąd

utarło się w rodzinie mówić na przysmak – bloblik. Byłam tłusciutka, co widać na zdjęciach.

Pomagałam z Aniusią w zrywaniu drobnych owoców na przetwory, a gdy byłyśmy starsze, zdobywałyśmy w kuchni dworskiej umiejętność sztuki kulinarnej. W domu brałyśmy lekcje na poziomie szkoły podstawowej z przedmiotów ogólnych, a prócz tego uczyłyśmy się języków obcych, muzyki, robótek ręcznych i malowania wedle uzdolnień czy ochoty. Toteż nie można się dziwić, że wolny czas zapępniały nam zabawy proste i pełne naiwności. Brak innych form rozrywki zmuszał jakby do poszukiwań i wypełniania wolnego czasu w sposób może niewyszukany, ale naturalny i urokliwy. Pewnie stąd – dzisiaj – jesteśmy jakby z innego świata, z lekka „nawiedzone”, z głową w chmurach, jakby zapóźnione o jedno stulecie.

## Chrzest u Siemieńskich

Opowiadał ojciec, jak w zimie został zaproszony po sąsiedzku, by podawać dziewczynkę do chrztu. Do dworu państwa Siemieńskich było 8 wiorst (około 8 kilometrów). Pogoda prześliczna, choć mroźna, zachęcała do przejażdżki, dzwoniły janczary, a konie mknęły szybko, wypoczęte, że tylko parskały. Mama nie pojechała, gdyż była zaziębiona. Ojciec zajechał przed kościół, gdzie już cała rodzina czekała niecierpliwie w kruchcie, a oto i ksiądz wyszedł z mszą. Posiadali wszyscy w stallach, organy gruchnęły, zaczęła się suma. Zwykle po sumie odbywały się chrzty, więc rodzice z dziećmi poustawiani rzędem czekali na swoją kolej. „Czy wierzysz w Boga i Kościół Święty?” – za małą Agnieszkę Siemieńską odpowiedzieli rodzice, potem polanie główki, krótki płacz i wszyscy poklękali, szykując się do wyjścia. Tylko dziedzic Siemieński poszedł do zakrystii prosić proboszcza na obiad.

Pomknęły sanie przez wieś ku białemu dworowi, który otoczony rzędami świerków i wysokich, nagich teraz drzew, błyszczał w słońcu szybami. Zapadnięty w zaspę wydawał się jak przykucnięty. Bo i rzeczywiście śnieg sięgał do okien. Psy z ujadaniem opadły konie, ale ktoś z ganku gwizdnął przeraźliwie i cała zgraja popędziła w jego stronę.

Powitania, uściski. Wielka jak Horpyna niania poniosła niemowlę przez obszerną sień do jadalni i tam złożyła je na stole, na białym obrusie. „Ażeby ci, panienko Agnieszko, nigdy w życiu chleba nie zabrakło” – powiedziała. Czekąca na ten moment matka dziecka, jeszcze słaba, bledziutka, i dziadkowie, którzy z radością powitali nowo ochrzczone. Z wielkiej i chłodnej sieni, gdzie wisiały na ścianach skóry, broń i rogi – przeszli goście zapraszani przez pana domu na pokoje.

Stół suto zastawiony potrawami i pękatymi flaszkami zapowiadał prawdziwą ucztę dla podniebienia. Obiad i kolacja przeciągnęły się do zmroku, później kawa w salonie i cygaro. Ojciec, już niespokojny, że to szybko zrobiło się ciemno, chciał przeprosić i pożegnać się, tłumacząc daleką drogą, ale panowie krzyknęli – veto, rozstawili w mgnieniu oka stolik do wista, wniesiono zapalone kandelabry i ani się obejrzał, jak już miał karty w ręku. Gdy karta nie idzie, wiadomo, można się wycofać, ale tu – szła. Same atuty pchały się do rąk. Jak więc grę przerwać?

Służba nieznacznie dolewała do kielichów ciężkie miody, pani podsuwała bakalie, tak że nie można się było nijak wywinąć bez urażenia gospodarzy.

Dobiegła wreszcie północ, z czubów nieźle się kurzyło, trzeba było odjeżdżać. A tu ćma na dworze i taka zawieja, że nie widać dosłownie światła latarni. Z kuchni wyszedł wreszcie Antoni, stangret, rozespany, syty i napojony – aż przysnął na ławie. Założył wolno konie, skłął „lewego”, że ślepy, bo wlaź mu na nogę, łokciem zgarnął byle jak śnieg z siedzeń i wreszcie powiedział: „Panie dziedzicu, to jadziem”. „Szczęśliwej drogi” – życzyli sąsiedzi z ganku. „Bóg

zapłać” – odkrzyknął ojciec.

Kiedy tak jeszcze jechali przez park i mały las, było jako tako. Ale gdy koło krzyża skręcili w pola, nie wiadomo było naprawdę, w którą stronę jechać, bo to ani koleiny, ani żadnego krzaczka, a wiatr na pustej przestrzeni smaga i wciska się wszędzie. „Psiach mać, ale duje” – woła wśród poświstu zamieci Antoni. Ojciec poprawia na kolanach baranicę, ciepłą, podbitą szafirowym sukniem, ręce chowa w rękawy wielkiej burki, i tak rozgrzany trunkami, kołysany jazdą drzemie. Obudziło go „Prrr...” furmana. Pyta więc: „Co się tam dzieje?”. Antoni do niego: „A to, panie dziedzicu, powinna tu być figura ze Świętym Janem, jako że wjeżdżamy w bebelskie pola – ale jak nie było, tak nie ma”. Popatrzył ojciec spod czapy – rzeczywiście, konie prawie niewidoczne, śnieg, wszędzie śnieg. „No cóż, będziemy to stać? Niech Antoni da po bacie, żeby choć na rano dojechać”.

Ruszyli, a w niedługą chwilę ujrzeli olbrzymią starą wierzbę, a pod nią figurę świętego całą w czapie. Ojciec się przeżegnał uspokojony i znów zapadł w drzemkę.

Nagle zbudził go ledwo dosłyszalny głos w porywach wichru: „Panie dziedzicu, a toż znowu ta sama figura. Zaraz sobie myślałem, że musi złe wodzi nas w kółko. Pewnie dziedzic jeszcze nie raz zobaczy dzisiaj tę figurę”. W istocie tak było, jak chłop przepowiedział. Znów wierzba skrzypi, znów figura w czapie. Odechciało się ojcu spać, zwłaszcza że nogi mimo baranicy zmarzły mu na kość. Chłop ciągnął: „A mówiłem panu, że my stąd nijak się nie wydostaniemy, aże rano, bo tu na tej wierzbie obwiesił się chłop, bo mu ktosiś schowane w dziupli talary ukradł, a kiedy nie znalazł, ni miał wyjścia, musiał zginąć marnie”. Ojciec pierwszy raz słyszał tę historię, zrobiło mu się jakoś nieswojo, zwłaszcza że i konie były niespokojne i prychały – wiadomo, złe nie śpi. Robił sobie ojciec wyrzuty, a miał sumienie nieczyste, bo i pił za wiele, i grał trochę w karty, więc był z siebie niezadowolony. Zaczęło powoli świtać, wicher ustał, a i śnieg padał coraz rzadszy. Chłop się wreszcie zorientował i skręcił nagle w stronę lasu. „Panie dziedzicu – odezwał się Antoni – pewnie mu jest zimno, a mię tu dała jedna baba z kuchni małą buteleczkę haraku do herbaty, nie wlałem wszystkiego, niech no dziedzic na rozgrzewkę pociągnie”. Ojciec uśmiechnął się tylko, pociągnął niezły łyk i jakoś cieplej mu się zrobiło i w żołądku, i na sercu. Później biegli obaj przy saniach na skończonych nogach, dopiero zasapawszy się – okryli się baranicą i siedli w saniach obok siebie. Brzask już był na świecie. We wsi, przez którą przejeżdżali, skrzypiały żurawie, obabulone postacie przemykały w obejściu, jęczały otwierane wierzaje stodół, baby ze skopkami dreptały do udoju, kłapiąc drewniakami o zmarzniętą ziemię. Każdy umykał do cieplej izby – bo mróz ścisnął nad ranem.

A oto i dymy cienką strużką popłynęły w niebo, jakieś zapachy smakowite rozchodziły się po wsi, pewnie ziemniaki z barszczem, słoniną dobrze oskwarzone. I dziedzic, i furman z niecierpliwością wyglądali lasu, bo tam cieplej, a za lasem



dwór widać. Wreszcie po półgodzinie szybkiej jazdy wjechali w aleję topolową – to już tak jak w domu. I konie chętniej biegły, parskając na bliskość pełnego żłobu. Słysząc ujadające psy. Ktoś w ganku.

Przemarznięty ojciec zszedł z sanek i na nieswoich nogach pokuśtykał. Tam go w sieni rozebrano z futra, omieciono ze śniegu i za chwilę znalazł się w objęciach żony. Wszyscy cieszyli się z jego powrotu. Obiecał sobie nie wyjeżdżać nigdzie daleko w zimie i nie błędzić więcej. Przy grzonym „krupniku” ze spirytusu, masła, miodu i korzeni opowiedział wszystkim o niefortunnej podróży. Na koniec zwrócił się do mamy: „Bo widzisz, Waluniu, czapkę, papkę i solą, ludzie ludzi niewolą”.

## Ogrodnik Wawrzyniec

Pracował we dworze jeszcze za czasów państwa Linowskich ogrodnik – cichy, pogodny, a chętny do pogawędki jak nikt. Mieszkał z żoną i ósmiorgiem dzieci w czworakach. Ile razy widziałyśmy go przekopującego grządki, biegłyśmy do niego, aby posłuchać opowiadań o kwiatach, roślinach, stworzeniach. Mówił o nich jak o ludziach. Ten kwiat na przykład lubi słońce, czyli światłolubny, a ten znów lubi cień... Mocno zastanawiałyśmy się, dlaczego kwiat nie mówi, a może coś lubić. Jabłoń, kiedy się ją na jesień obłoży nawozem – jak nic – zapłaci owocem w lecie. A to, rzekotka. Słyszycie? Małeńka zielona żabka wróży rychły deszcz i siedząc na liściu, skrzeczy. Zaś kiedy kania przeciągle śpiewa, niechybnie będzie długotrwała ślota. Kiedy znów wiatr niesie się górą, wierzchołkami drzew, też za dwa dni deszcz murowany. Albo i ptaki. Niech no kury skubią pióra przed nocą i namaszczają je, i wcześniej idą spać, ani chybi, od rana będzie lało. Słońce zachodzące za chmurę przed zachodem również wróży trzydniówkę. Wrony, które obsiadły pola, potwierdzają długotrwałą niepogodę. I tak można by mnożyć przysłowia, przepowiednie, które znał Wawrzyniec.

Już kiedy byłam starsza, wpadłam na pomysł, aby oszukać Wawrzyńca. Podałam mu wysuszoną ikrę ze śledzia, która była podobna do nasion. Powiedziałam, że mama kazała to zasiać. Upłynęło parę dni. Wawrzyniec nie odzywał się do nas, a my nie śmiałyśmy go zapytać. Wreszcie, zniecierpliwione, podeszłyśmy do niego, pytając, czy już nasionka wzeszły. „A tak – powiedział spokojnie – chodźcie, panienki, ze mną”. Na długiej rabacie, w dużych odległościach, sterczały z ziemi łebki od śledzi. Wawrzyniec powiedział tylko: „Nie wszystkie wzeszły”.

Pewnego dnia, kiedy uczył nas siać kwiaty, nagle zaszło słońce za chmurę jak za ciemną ławę. Wawrzyniec wysunął w stronę nieba swą małeńką, podobną do ulęgałki buzię i powiedział: „Nieprzespieczna, nieprzespieczna chmura. Uciekajcie, panienki, do dworu, bo będzie lało”. I rzeczywiście. Jak nie lunęło, jak nie błysnęło i tylko jeden wielki grzmot przewalał się nad parkiem. Błyskawice prawie nie gasły i taka się rozszalała burza, jakiej wielu nie pamiętało. Woda chlustała w okna jak wylewana z wiader niewidzialną ręką. Wichura szalała. Wtedy to runęła olbrzymia lipa, pamiętająca pewnie budowę dworu. Dobrze, że upadła nie na dach, tylko pod ciężarem gałęzi w stronę parku, łamiąc po drodze co mniejsze drzewa. I tak to zakończyła swój żywot stareńka, potężna, dziuplasta i miododajna.

Patrząc z okna od zachodu widziało się, jak pioruny wałę w staw, tworząc wytryskające w górę fontanny wody. Krzewy kładły się od wichru na trawnik. Coś w górze fruwało, jakieś kępki traw, strzechy zerwane z chłopskich dachów i słoma. Jabłka pokotem zaległy ziemię. Podczas dwugodzinnego strachu w oknach dworu stały święte obrazy. Katarzyna, kucharka, wyniosła na podwórze łopatę od chleba,

żeby ponoć ustrzec dwór przed piorunami, a mama obchodziła pokoje, dzwoniąc dzwonczkiem loretańskim.

W dali jeszcze błyskało i huczało, kiedy wyszliśmy wszyscy na taras. Pachniało burzą, ozonem i świeżością. Woda brnęła z górki całą szerokością podjazdu, beczki, kadzie pod rynnami, wydawały się wielkimi kuflami piwa z pianą. Dzieci jak dzieci, na bosaka! Chociaż jeszcze padało, było ciepło. W podkasanych sukienkach brodziłyśmy po kałużach, robiłyśmy rowy, przepusty w naniesionym piachu, by uczynić odpływ stojącej w klombach deszczówce. W przyrodzie następował powoli ład. Słońce znów wyjrzało zza odchodzących wolno chmur, mieniając się kolorowo w wielkich kroplach wody, skapującej z przygiętych ku ziemi gałęzi. Nad lasem ukazała się podwójna tęcza – znak, że już po burzy. Na dziedzińcu parobcy przekopywali rowy, bo woda dostała się na klepiska do stodoły, podmyła chlewy i rdzawym bajorem świeciła pod oborami. Parobcy zauważyli na horyzoncie smugę dymu, która coraz to rosła, potężniała, wreszcie okryła się krwawą łuną. To Przygradów się palił. Podobno zostało zaledwie kilkanaście chałup. Wszystko poszło z dymem od pioruna. Sama nazwa wskazywała na to, że wieś leżała w miejscu, które często nawiedzały burze i grady.

Ale nas, dzieci, zajęła inna sprawa, bo oto ogrodnik biegnie do mamy i woła: „Koło czworaków na kupie gnoju leżą dwie maciory i ani zipną. Prosięta głodne kwiczą, obskakują je dookoła – a te nic, tylko postępują”. Pobiegliśmy wszyscy popatrzeć. Stryj kopie maciory nogą, żeby wstały, a ogrodnik sprytnie zagląda do ryja. „O rany – mówi – krew! Musi już z nich nic nie będzie. Pewnikiem krwotok”. Ale jeszcze raz zagląda i mówi: „One się czegosik obżarty, bo im z ryjów jak nic wódką jedzie”. Dopiero teraz mama zrozumiała. Wczoraj zlała z gąsiorka nalewkę na wiśniach, które stały zalane spirytusem. Miała zamiar przelać owoce jeszcze wodą, ale dziewczyna się uwinęła i całe wiadro wiśni wyrzuciła na kupę gnoju. Świnie po zjedzeniu takiej ilości owocu ze spirytusem po prostu się upiły. Już i kury, które zawzięcie grzebały – słaniały się na nogach. Kogut piał chyba bez powodu – bo raz za razem, a my, dzieci, zarykiwaliśmy się ze śmiechu, udając pijanych. Wreszcie maciory przyszły do siebie i zapędzono je do chlewa. Jeszcze na drugi dzień, mówiła świniarka, prosięta, jak je tylko matki nakarmiły, spały calutką noc i rano. Dopiero na południe wstały i zataczając się, znów zabrały się do ssania. Tak to niewinne wiśnie przyczyniły się do zamieszania w gospodarstwie.

## Pachciarz

Jest upalne lato. Bursztynowe krople znów kapią z belek. Patrząc z okna na zachodzące słońce, na kolorowe kwietniki, barwne solitery, dalej – na łączkę zagrodzoną nagle gęstym, grabowym szpalerem, i już sad. Rzędy owocowych drzew zbiegają z górki w stronę stawów, gdzie ciepła woda mieni się przeświecona słońcem. W sadzie, na niewielkim pagórku, rokrocznie na tym samym miejscu, wznoszona jest buda kryta strzechą. W jej wnętrzu, na słomie i kraciastych pierzynach, przez cały dzień baraszkują i piszczą usmarkane Żydzieta. To rodzina Izaaka Gwiazdy, pachciarza, który tu co rok zjeżdża wozem zaprzężonym w siwą chabetę, z żoną Rachelą i dziewięciorgiem dzieci.

Między moi m ojcem a Izaakiem istniała niepisana umowa, że pod koniec owocobrania Żyd będzie dawać dla dwom odsyp z każdego gatunku owoców, zwłaszcza zimowych. Nazywało się to braniem sadu w pacht.

Chodzi więc Żyd po sadzie przez całe lato, nawet nocą, bo gdy słyszy ujadanie psa, zrywa się z pościeli, by przepędzić gromadę chłopaków ze wsi podkradających owoce. Ten ujadający pies to Surek, jednooki pomocnik, który tylko w nocy biega na wolności. W dzień, uwiązany do pnia gruszki, leży beczynnie. Łypie tylko swym jedynym okiem na muchy, a kiedy z drzewa spada dojrzała gruszka – zjada ją. Dziwny pies. „Jak to, mamgo?! Dlaczego nasze psy nie chcą jeść gruszek, a Surek je” – pytałyśmy. „Kiedy się ma pusty brzuszek, je się wszystko, nawet to, co mniej smakuje” – wyjaśnia mama. Od tej pory pamiętałam o Surku i nieraz przynosiłam mu resztki z obiadu. A oko wybił mu nasz mały kuzynek, urwis Tadzio. Przyjeżdżając do dworu na wakacje, przywiózł ze sobą łuk i uczył się trafiać do ruchomego celu, strzelając do kur i indorów. Psu oberwało się najboleśniej. Ten wypadek spowodował, że ojciec przerwał sportowe wyczyny Tadzia, rekwirując mu indiańską broń do końca wakacji.

Izaak, prócz zrywania owoców i pilnowania sadu, jeździł co dwa dni do pobliskiego miasteczka na targ, wozem wypełnionym owocami i bańkami mleka od dworskich krów. Pewnie niewielki miał z tego zysk, niewspółmierny do wysiłku i niewygód. Było mi go żal, gdy widziałam, jak wracając po południu z miasta, drzemie zmęczony na wiązce słomy rzuconej na spód wozu. Koń sam wjeżdżał w bramę i kierował się w stronę budy. Tam czekała na męża Rachelą.

Rachela była niezwykle piękna – urodą wschodnich kobiet. Wysoka, gibka, kołysała się w biodrach, idąc w swej długiej, fałdzistej spódnicy. Jej migdałowe oczy lśniły zawsze dziwnym blaskiem, w uszach srebrzyły się wielkie koła-kolczyki. Widziałam podobną twarz na obrazie nieznanego włoskiego malarza. Mam ją przed oczyma do dziś. Izaak z lubością patrzył na żonę, kiedy przegięta do tyłu, owinięta szalem, szła z dzieckiem przy piersi, otoczona rozwrzeszczaną gromadką większych i mniejszych. Imiona tej dziewiątki pamiętam

do dziś. Najstarsza – Fajga, opiekowała się młodszym rodzeństwem. Po niej był a Cira, potem Cipa i Łaja, a chłopcy nosili imiona: Mosze, Jojne, Mordka, Słojme i Iciulajb – najmłodszy, ledwo zaczynający chodzić. Był taki pulchniutki i rumiany, że na pewno Rubens pokusiłby się o to, by go malować. Gdyby ktoś chciał oddać koloryt jego włosków – z pewnością zapożyczyłby miedzi u Tycjana na te bujne pierścienie, wijące się wokół buźki. Kochali go wszyscy. Był zawsze uśmiechnięty i nigdy nie płakał. Bawiłam się z nim chętnie, przynosząc nieraz słodczyce i zabawki.

Lubiłam przebywać wśród gromadki tych dzieci pewnie dlatego, że w domu nie miałam rówieśników, i dlatego jeszcze, że tu wszystko było inne niż we dworze. Kiedy przychodziłam, Rachela witała mnie uśmiechem, kłaniała się nisko ręką i zapraszała bliżej.

Przed budą, na złocistej słomie, jak na wspaniałej tacy, leżał stos kolorowych jabłek, a nad nim krążyły pszczoły i osy. Wybierając jedno z nich, Rachela mówiła: „To najpiękniejsze dla panienki!”. Chrupałam jabłko ze smakiem, siedząc na przewróconej do góry dnem skrzynce. Nade mną pochylały się oblepione owocem drzewa. Patrzyłam na nie, było spokojnie i radośnie. Wtem trzasnęły łamane gałązki. To Fajga dokładała do piecyka patyki z suchych drzew owocowych. Piecyk o jednej fajerce, ustawiony na ceglach, dymił długą zardzewiałą rurą i roznosił po sadzie zapach kadzidła. Rachela mieszała w żeleźniaku drewnianą chochlą i od czasu do czasu podnosiła ją do ust, dmuchając. Kiedy zupa była gotowa, wołała dzieci. Biegły do niej jak stadko wróbli, niecierpliwie podstawiały obite blaszane miseczki i garnuszki. Potem siadały na słomie i zjadały brązową zupę, przegryzając chlebem. Rachela nazywała ją juszką, że jest z krwi, bardzo pożywna i smaczna. „A może panienka życzy spróbować?”. Podziękowałam wystraszona, zapewniając, że nie jestem głodna. Kiedy opowiedziałam to mamie – okazało się, że gotowana u nas w domu podobna zupa nosi nazwę czerniny, a z suszonymi owocami i łazankami jest wyborna.

Pewnego dnia, z za żywoplotu, obserwowałam modlącego się śpiewem Izaaka. Wyglądał inaczej niż na co dzień, gdy stojąc przed ojcem, patrzył mu w oczy z uwagą i szacunkiem. Pewnie podobnie musiał patrzeć jego ojciec i dziad, którzy tu kolejno arendowali. Teraz Izaak stał przy starej gruszy z psem u nóg, poważny, z oczyma utkwionymi w niebo. Ramiona okrywał mu tałas w czarne i białe pasy, a rękę po łokieć owijał rzemień.

Do czoła miał przymocowane małe pudełeczko zawierające, jak się dowiedziałam, dziesięcioro przykazań. Kiedy tak kiwał się w takt smętnej pieśni-modlitwy, ogromny, z czarną brodą i oczyma jak węgle, wzbudzał we mnie lęk i podziw. Czulałam powagę chwili zasłuchana w tę przedziwną melodię. Nagle ruszył się wiatr i niepokojąco zaszumiał wśród liści. Spojrzałam na niebo nad stawami – było ciemnostalowe. Dalekie błyskawice rozjaśniły horyzont.

Wystraszona pobiegłam do dworu. Wiatr, wpadający wraz ze mną do sieni, przyniósł pierwsze wielkie krople deszczu. Błyskawice coraz częściej rozcinały niebo, grzmoty zbliżały się, dudniąc nad parkiem.

Mama, jak to było w zwyczaju, obchodziła pokoje z dzwoneczkiem loretańskim i wystawiała w oknach święte obrazy. Kucharka, owszem, wierzyła w świętych, ale zasunawszy uprzednio wszystkie szyby w piecach, po swojemu wyniosła na deszcz łopatę do chleba. Podążając za mamą, weszłam do kuchni, gdzie zebrały się wystraszone dziewczyny służebne. Nagle usłyszeliśmy bębnienie do drzwi i wołanie. Do sieni chlusnęła woda, a w drzwiach ukazała się przemoczona Rachela wraz z całą wystraszoną dziewiątką dzieci. Spłakane stanęły pod ścianą, ociekając wodą, a ona położyła na podłodze otulonego w chustę małego Iciulajba i schyliwszy się matce do kolan, powiedziała drżącym głosem: „Niech nas tu przyjmie pani dziedziczka. Rachela tak boi te grzmoty. W budze mokro, dżeczy płakać i boić!”. Po czym pocałowała matkę w rękę. „Ależ oczywiście, nie ma o czym mówić!” – wykrzyknęła mama, polecając natychmiast przynieść derki i rozesłać przy ciepłym piecu. Sukienki i ubranka dziewczyny powiesiły na sznurze, nad gorącą jeszcze płytą kuchni, i wspólnie pookrywały dygoczące dzieci. Każde dostało po kubku mleka i chleb z masłem.

Pomimo że burza nie cichła, zrobiło się w kuchni jakoś jaśniej, weselej i przytulniej. Mały Iciulajb poszał pierś i spokojnie zasnął. Rachela wyżałała się do mamy, że jutro szabas, a ona nie wie, co pocnie, bo drzewo do palenia mokre, buda przewrócona na bok, pierzyny też mokre... tu rozplakała się. Mama, dobrego serca i czuła na łzy, kiedy tylko ustał deszcz, kazała nanieść słomy do pokoiku za kuchnią i tam przygotować legowisko sennym już dzieciom. Rachela z zapaloną latarnią, wraz z dziewczyną do pomocy, poszła do budy zabrać swoje garnki i prowiant, aby u nas ugotować potrawy na szabas. Nazajutrz mama mówiła, że zdobyła od Racheli przepis na karpia w galarecie – po żydowsku, i na „kugiel”, który okazał się naszym biszkoptem, ale wypieczony według receptury Racheli nigdy nie opadał.

Po burzy obydwójce Gwiazdowie mieli wiele pracy. Trzeba było znów ustawić budę, suszyć pierzyny i odzież, no i zbierać owoce, które grubą warstwą leżały pod drzewami.

Wicher zerwał na młynie dach, a z topoli bocianie gniazdo. „To zły znak!” – powiedziała kucharka. Ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Przywykliśmy do jej zabobonów. Mijały tygodnie. Zbliżały się żydowskie święta: Kuczki, Trąbki i Michałki. Poranne przymrozki warzyły już jesienne kwiaty, ptaki gromadnie ciągnęły na południe – znak, że trzeba opuszczać sad. Toteż Izaak spieszył się ze zrywaniem śliwek. Słońce jeszcze mocno grzało, przecież to „babie lato”.

W taki to właśnie ciepły dzień wybrała się Rachela do rzeczki prać kijanką brudną bieliznę. Niosła tobolek na plecach. Małego trzymała za rączkę, bo szli

drogą między stawami. Iciulajb co chwilę wysuwał rączkę z jej dłoni i zrywał ostatnie stokrotki. Gdy się oddalała, wołał: „Mame, mame!”. Zatrzymywała się wówczas i z uśmiechem mówiła: „Wu sy dues? Nu, kim, kim, Iciulajb!”. A on podbiegał parę kroczków i znów się schylał. Zeszła z górki i zniknęła za groblą. I wtedy stało się coś strasznego. Mały stracił równowagę na śliskim brzegu stawu i wpadł do wody. Nie słyszała krzyku, bo klęczała w dole nad rzeką, a może krzyknąć nie zdążył... Dopiero po chwili odgięła się i z niepokojem zawołała: „Iciulajb!!!”. Odpowiedzi nie było. Skoczyła na groblę i szukała go przerażonymi oczyma, jednak nie znalazła. Biegła dalej. Nagle dostrzegła na powierzchni wody pływające stokrotki. „O Jahwe!!!”. Leżał na dnie, tuż przy brzegu, z rozrzuconymi rączkami, w ciepłej, przesłonecznionej wodzie – jej najmilszy. Lepiej ci, słodki Iciulajb, żeś tak usnął na dnie, a nenufary oplotły ci małe nóżki, żeś jak listek z rodzinnego drzewa opadł na wodę. Bo w przyszłości miały nastać dni grozy dla całej twojej rodziny.

## Stara kucharka

W pokoiku za kuchnią mieszkała Katarzyna, kucharka. Dobra to była kobiecina, ale już staruszka. Służyła jeszcze u państwa Linowskich. Kiedy rodzice sprowadzili się do Boczkowic i należało już odejść, zaczęła mamę całować po rękach i prosić, czy nie mogłaby tu jeszcze pracować i zostać aż do śmierci. Dzieci ma niedobre i nie chce iść na pewną biedę.

Zgodziła się mama, nie miała zresztą nikogo jeszcze na jej miejsce. I tak oto, słabo już widząca, przygarbiona, w przydeptanych pantoflach, człapała po kuchni, zaglądała pod pokrywy olbrzymich garów i kierowała młodą dziewczyną, pomocnicą. Na wprost kuchni w podwórzu stał budynek, gdzie się mieściła druga, tak zwana stara kuchnia. W sieni była wędzarnia, a w następnej izbie o belkowanym suficie i bielonych ścianach stał na środku olbrzymich rozmiarów piec kuchenny o sześciu fajerkach. Na ostatnich, od ściany, parowały się świńskie ziemniaki, obok był wmurowany kocioł na wodę, gdzie gotowano bieliznę, i drugi, do gotowania szynki, parowania kielbas i kiszek. Na dwóch pierwszych fajerkach Katarzyna gotowała jedzenie dla czeladzi. Do płyty kuchennej przylegał piec chlebowy z szybrami, w którym wypiekano chleby: razowe, pytlowe i wszelkiego rodzaju białe pieczywa i ciasta. W kącie przeciwnym stały żarna. Przez niskie drzwiczki wchodziło się do pokoiku, gdzie sypiała na drewnianym barłogu dziewczyna do świń.

Wchodziłyśmy nieraz na to posłanie, dziwiąc się, bo było bardzo twarde. W kącie leżały pokrzywy, czekały na pocięcie kosą, którą poruszało koło z rączką. Przed kosą była umocowana długa, drewniana lada, pod nią zieleniła się kupka świętego chwastu, wydzielającego specyficzną woń. Nieraz, kiedy zwabiona zapachem gotujących się potraw wpadłam do kuchni, podchodziła do mnie Katarzyna i mówiła proszącym głosem: „Panienczko, z łaski swojej, a z prośby mojej, proszę przynieść z inspektowego parę piórek koperku do młodych ziemniaczków”. Przynosiłam chętnie, bo ją bardzo lubiłam. Czasem, kiedy już sprzątnięto ze stołu i dziewczyny pomyły talerze, a Katarzyna szła odpocząć do swojego pokoiku przy kuchni, pukałyśmy cichutko z prośbą, aby nas wpuściła, słowami skierowanymi do dziurki od klucza: „Moja złocista kucharcu, moja kochana, tylko zobaczmy Świętą Teresę i zaraz sobie pójdziemy!”. Lubiała nas, więc otwierała. Podziwiałymy wtedy wielkie łóżko zasłane kilimkiem z górą wysokich poduch aż pod sufit. Na samym czubku leżał malusieńki jasieczek cały rozszyty walansjenkami, dar pani Linowskiej. Miała w wielkiej obserwacji tę bogatą poduszczkę i nie pozwoliła nam jej dotykać. A kiedy pytałyśmy, jak się sypia na takiej stercie poduszek, pewnie trzeba siedzieć, odpowiadała, że na noc kładzie je po prostu na kutrze, a zostawia najmniejszą, starą. Tamte, brzuchate, to jeszcze pochodzą z jej wiana.



Otwierała nie raz zielony kufer na kółkach i pokazywała z dumą całe biczce koralu prawdziwych, okrągłych i podłużnych, i gałązki „sieczi”. A były to najcieńsze pędy koralu ciętego tak, że wyglądały jak rozczapierzone gałązki nadziane na nitkę. Przymierzała na naszą prośbę welniaki kolorowe, sute, ujęte w szerokie pasy, zapinane z tyłu na zmyślne klamry. Były bluzki obcisłe, dopasowane, z bufiastymi rękawami, falbaniaste w pasie, uszyte z szafirowego aksamitu lub buraczkowego. I te cieniutkie, lniane, z burzącymi się przy szyi krochmalonymi krezami, całe w haftach, które tak mozolnie wykonała, będąc jeszcze dziewczyną.

Raz na tydzień wietrzyła te „ubiory”, jak je nazywała, aby się nie zleżały, bo przecież miała dwie córki, które po jej śmierci wszystko dostaną. Nie wiedziała biedna, że te ubiory będą kością niezgody w rodzinie. W kącie kufra poskładane były chustki kwieciste, różami obwiedzione dookoła, z frędzlą sutą po bokach. Żółte, zielone, cieniutkie – woalowe. Były i nakrochmalone czepce, jakie nosiły mężatki, i pęki wstążek jeszcze panięskich, a na samym dnie, w pudełeczku, wśród kilku rubli w złocie, dwie obrączki z tombaku, jako że była wdową „po dwóch chłopach”, jak mawiała. Gdy przeglądała te skarby i pamiątki, same łzy snuły się spod zaczerwienionych powiek, spalonych przez żar ognia kuchennego, płonącego dla wielu pokoleń tych rodzin, u których wiernie służyła.

W głowach łóżka, na ścianie, wisiał obraz Świętej Teresy od Dzieciątka Jezus, który tak chętnie oglądałyśmy. Fosforyzował w ciemności i tak nas zauroczył, że na naszą prośbę musiała chociaż na chwilę zamykać okiennice, żeby było ciemno. Wtedy z zapartym tchem wpatrywałyśmy się w twarz świętej. Lśniły jej oczy, twarz, nimb nad głową, lśnił krzyż i róże, które trzymała w rękach. Później Katarzyna opowiadała dzieje jej pracowitego żywota, a my byłyśmy wtedy bardzo, bardzo grzeczne. Wychodząc na palcach, zamykałyśmy cichutko drzwi.

Pamiętam jeszcze opowiadanie o Katarzynie, które krążyło w naszej rodzinie. Słyszała nie raz z ust mojego ojca, że barometr idzie na pogodę, dlatego dzisiaj trzeba będzie łąkę kosić. Innym razem wpadał ojciec do czeladnej i krzyczał: „Dąbrowski, szykować wozy, jedziemy po zboże, trzeba się uwijać, bo barometr spadł rano”. Katarzyna skojarzyła tę nieznaną nazwę z barankiem („barunek”). Podeszła kiedyś pod okno ojca i zaglądała przez szybę, czy nie zobaczy tego baranka – ale go nie było. Pomyślała więc, że może spadł, jak mówił nieraz dziadec, i zaczęła szukać go w trawie. Zobaczył ojciec, otworzył okno i pyta: „A czego tam Katarzyna upatruje?”. „Ano, z przeproszeniem pana dziedzica, szukam barunka, bo podobno panu spadł, a ja ciekawam go zobaczyć”. Roześmiał się ojciec i kazał jej przyjść do siebie, do pokoju. Nie mogła się nadziwić, że to nie baran, ale jakiś taki zegar, na którym się ona w żaden sposób „nie wyznaje”. Rozeszło się to szybko wśród nas, a że dzieciom wiele nie trzeba, śmiałyśmy się do rozpuku.

Dwa razy w tygodniu piekła Katarzyna pieczywo, a więc dla czeladzi bochny razowego chleba, kilka bochenków pytlowego na stół dla państwa, jakieś bułeczki, rogaliki i obowiązkowo biszkopt, który wybornie smakował z zimnym mlekiem. Pamiętam również wspaniały kompot, podawany prosto z piwnicy pod koniec smakowitego obiadu. Był wychłodzony, pachnący malinami i agrestem. Pływały w nim nieraz olbrzymie renklody, żółte albo czerwone. Podczas gotowania wrzucała Katarzyna dla zapachu laskę cynamonu i parę goździków. Albo te półmiski kurcząt pieczonych, salaterki mizerii i młodych ziemniaków z koperkiem. Podczas upałów bywał chłodnik z botwinki z pysznym mięsem lub zsiadłe mleko z piwnicy, które można było nożem kroić, tak było sztywne.

Dzieci przy posiłkach siedziały zwykle na tak zwanym „szarym końcu” stołu. Tam nam było najlepiej, bo można się było nawet pośmiać. Kiedyś podano na deser kompot ze śliwek. Ja, chcąc kuzynkowi posłać pestkę, wzięłam ją w dwa palce i tak niefortunnie nacisnęłam, że ta przekłeta przeleciała parabolą nad stołem i zadzwoniła o talerz stryja. Nic nie powiedział, tylko spod nawisłych brwi przyjrzał mi się surowo. Wolałabym zapaść się wtedy pod ziemię. Ale dzieci szybko zapominają o swych skądinąd niewinnych wykroczeniach. Myślę, że i dorośli również. Grunt, że lato, że wesoło, że apetyt!

Tego właśnie apetytu dodawała nam, dzieciom, kuracja letnia księdza Kneippa, do jakiej wdrożone byliśmy przez naszą babcię Urszulę. Biegłyśmy więc z Aniusią co rano na rosę prosto z łóżek, jeszcze w nocnych koszulach. Aby skrócić sobie drogę, wyłaziłyśmy przez okno na daszek od piwnicy i po drzwiach skakały na trawę. Rosa rano była zimna. Nieraz aż nogi marzły. Po pięciu minutach spaceru tą samą drogą wracałyśmy do łóżek, obmywszy tylko nogi z piachu. Rozgrzewka nie trwała więcej niż kilka minut, bo wnet trzeba było ubierać się na śniadanie.

Tam w stołowym czekała na nas zalewajka przynoszona na naszą prośbę z czeladniej kuchni, podprawiona łyżką gęstej śmietany i okraszona chrupiącymi skwarkami. Potem była kawa, czasem miękkie jajka lub plaster soczystej szynki, w końcu jakieś ciasto. Jeśli chodzi o zalewajkę, to ta potrawa pyszna i zdrowa przetrwała w naszych domach cztery pokolenia. Każdy ją je z apetytem, choć to już może nie to samo, co się jadło w dzieciństwie.

Opowiem teraz o piwnicy. Zawsze nas kusiła swoim chłodnym i ciemnym wnętrzem. Po zejściu z kilku stopni ukazywały się oczom nieoswojonym z ciemnością olbrzymie brzuchate beki z kapustą kiszoną. Pod ścianą stały rzędem antalki z kiszonymi ogórkami, przykryte liśćmi wiśniowymi dla twardości. Za nimi jakieś paki i skrzynie. Na kupach stosi kalarepy, rzodkwi czarnej i rzepy zachęcały do chrupania. Pod sufitem, na drążkach, wisiała do góry korzeniem brukselka i kapusta włoska. Drzwi na przeciwległej ścianie od wejścia, grube i ciężkie, były zawsze zamknięte na olbrzymią kłódkę. Ciekawe, zaglądałyśmy nieraz przez

szparki, co też dzieje się za nimi, ale jakoś nic nie było widać. Pytałyśmy nieraz dziewcząt, które nabierały kapustę z beczek do olbrzymich garów, co też tam jest za drzwiami. Ale one pytały z kolei niezmiennie, czy znamy bajkę o trzynastym pokoju, do którego nie wolno było wchodzić. Tym bardziej nas to intrygowało. Dopiero kiedy byłam większa i mama po ciemnych schodkach sprowadziła mnie do piwnicy przyległej obok, zobaczyłam, co znajdowało się za tą ścianą z desek i za tymi grubymi drzwiami. Naprawdę było co oglądać.

Na półkach pod ścianami leżały poukładane jabłka i gruszki, każde ogonkiem do góry, a w opałkach, zerwane przed mrozem węgierki. Mama mówiła, że najpiękniejsze poszły do kamiennego garnka i są zakopane w piwnicy w piachu. Dopiero na Boże Narodzenie były wyjmowane i piętrzyły się w szklanych kloszach, śliwki jak z drzewa zdjęte, jeszcze z kolorkiem, a niektóre nawet z listkami. Na innej wąskiej półce stały słoiki z konfiturami i galaretką, butelki z sokami. Na zimnej podłodze szare siwaki z mlekiem (garnki wypalane z siwej gliny), z których wielką ochłłą zbierała mama śmietanę do drewnianej maślnicy. I tu, w chłodzie, na schodkach siadała dziewczyna i robiła masło, a było pyszne, pachnące, z lezką wody.

Lubiłam również chodzić z mamą do spiżarni na wprost kuchni. Były takie olbrzymie dwa klucze, jeden właśnie od spiżarni, a drugi od piwnicy, złączone grubym sznurkiem, wytłuszczonym od kiełbas i wędzonek. Nieraz pozostawione przez nieuwagę, były obiektem zainteresowań kotów, które najczęściej zjadały ten przetłuszczony sznur. Ale wracam do spiżarni. Otóż rano, po śniadaniu, zabierała mama dziewczynę i kucharkę z miskami i koszem po prowiant, który był potrzebny na obiad dla państwa i dla czeladzi. Do kosza szły bochny chleba, do misek zaś mięso, groch lub kasza, mąka na kluski, jaja, grzyby, cebula czy suszone owoce. W głębi spiżarni, wzdłuż ściany, stała wysoka skrzynia ze spadzistym wiekiem i wieloma przegrodami na różne mąki, ospę, kasze. Były też żółciutkie jagły, które nabierałam dla kurcząt w fartuszek. Na kołkach wisiały plecione wianki czosnku, cebuli i grzybów, lniane wory suszonych owoców na zimowe garusy i kompoty. W kamieniakach ubite mocno masło majowe, szykowane na zimę, lnianymi ściereczkami poprzykrywane i posypane solą. Gary smażonych borówek stały rzędem jako pyszny dodatek do mięs. Inne znów – z powidłami śliwkowymi. Na półce bochny chlebow poukładane piętrowo, bułki, chałki i biszkopty. W wysokich, plecionych z wikliny do tego celu koszach o dwóch otwieranych dnach – jaja kurze, kacze, gęsie i indycze. Jeśli w ciągu zimy chciało się napocząć taki kosz, to go się odwracało do góry dnem, aby te świeże jajka poszły na spód, a brało się te starsze. Na drążku wisiały szynki wędzone, boczki, balerony, kiełbasy i wędzona słonina, pyszna, różowa w środku. W wysokiej fasce były zapeklowane kawały mięsa do szybkiego zużycia.

W pewien piątek rano, kiedy dziewczyna zabrała do starej kuchni woreczek

z mąką na chleb i drugi na bułki, Katarzyna poszła za nią i już tam została, zajęta rozczyinaniem ciasta i paleniem w chlebowym piecu. Dziewczyna miała wrócić za pół godziny, aby wygarnąć węgle z pieca i nacią z ziemniaków wymieść popiół do czysta. Zajęła się jednak gotowaniem. Kiedy wyszła po wodę potrzebną do obiadu, zaczęła przeraźliwie krzyczeć: „Jezuuu! Pali się!”. Wszyscy wyskoczyli, kto żyw, a tu ogień widać już przez szyby w kuchni i dym bucha drzwiami. Rzucili się parobcy do zbiornika, czerpiąc wiadrami wodę, ale co to znaczyła ta znikoma ilość. Jeden z chłopaków wskoczył do koryta z wodą, zanurzył się i taki mokry wpadł do zadymionej sieni. Po chwili wyniósł Katarzynę nieprzytomną. Jeszcze się na niej tliła suknia. Mówił, że leżała pod samym piecem, a obok stłuczona naftowa lampka, która prawdopodobnie spowodowała pożar. Mama wiedziała, że Katarzyna miewała jakieś omdlenia, zawroty głowy. Widocznie to ją spotkało, kiedy zaglądała do pieca, trzymając lampkę. Nie odratowano już naszej biednej Katarzyny. Po godzinie z miasteczka przyjechał doktor, zbadał i stwierdził zgon. Wszyscy bardzo przeżyliśmy jej odejście, a pożar, nam – dzieciom, śnił się po nocach. Często budziłam się zrana potem, z krzykiem, patrząc w okno. Oprócz kuchni i wędzarni spal iły się przyległe kurniki, pokój dziewczyny do swni i osobne pomieszczenie, gdzie na podłodze były poustawiane skrzynki dla kur niosek i opałki z siedzącymi na jajach kwokami.

Ojciec dał znać córkom Katarzyny i synowi, który przyjechał z żoną. W obecności mego ojca mieli się podzielić tym, co zebrała ich matka przez całe pracowite życie. Ale w chłopskiej rodzinie nie ma zgody, kiedy chodzi o podział. Jedna z kobiet otworzyła ziel oną skrzynię z przyodziewkiem, bielizną i koralami. Druga rzuciła się na kolorowe wełniaki, wtedy ta pierwsza zamknęła nagle wieko i usiadła na nim, przyciskając tamtej rękę. Obydwie podniosły niesamowity wrzask, darły się za włosy. Córka Katarzyny walczyła tylko lewą ręką, bo prawa była nadal przyciśnięta. Dopiero przyszedł stryj i jako sędzia sprawę zakończył, mówiąc, że nic im nie da wziąć, jeżeli się będą biły, a wszystko przeznaczy dla biednych. To pomogło na tyle, że już bez krzyków ubrały zmarłą, włożyły do trumny i umieściły na wozie, a obok ten nieszczęsny zielony kufer. Do tej pory wspominam z żalem starą Katarzynę, dobrego człowieka, który całe swoje życie poświęcił służbie dla obcych.

## Stryj Stanisław Stępkowski – sędzia

W 1913 roku przyszedł list jakiś dziwny, oblepiony wieloma znaczkami, adresowany do mojego ojca. Okazało się, że pisał jego stryj Stanisław z Kazania, z Rosji. Przeczytał ojciec na głos, że w carskiej Rosji zanosi się na rewolucję, że stryj chciałby wracać do kraju, bo tu się robi gorąco. Od chwili skończenia w Petersburgu prawa jest sędzią pokoju w kazańskiej guberni, ma żonę i syna, który już aplikuje. Ma majątek i wieś o nazwie Jadryń. Prosi więc Wacława – mojego ojca – czy nie znalazłby jakiegoś folwarku dla niego. Ma pieniądze i chętnie coś kupi. Przyjechałby z nim również brat żony, inżynier Sławiński, z synem Jurkiem. Prosi tylko o szybką odpowiedź.

Rodzice zastanawiali się długo, radzili się babki Urszuli, wreszcie ojciec postanowił rozejrzeć się, popytać sąsiadów, może któryś z nich wie o jakimś majątku na sprzedaż. W tym czasie – wiedząc, że list prędko nie dojdzie – odpisał, że owszem, niech się zbierają do drogi, zamieszkają na razie u nas, bo dwór ma dwanaście pokoi, a potem zobaczymy.

I rzeczywiście. Zakopał stryj Stanisław nocą w parku w Jadryniu zastawy stołowe, srebra, precjoza, kosztowniejsze drobiazgi, i towarowym pociągiem wyruszył z rodziną do kraju. Długa, uciążliwa była ta podróż i, zdaje się, że był to ostatni moment do ucieczki. Przyjechali w pięcioro już na początku czternastego roku, zdrożeni, zniszczeni i chorzy. Zwłaszcza pan Stefan Sławiński, starszy człowiek. Położył się i nie wstał więcej, bo do zaziębienia dołączył się połowiczny paraliż. Lekarz nie rokował nadziei. Organizm był wyczerpany i choremu było wszystko jedno. Już nie chciał żyć. Po pewnym okresie nastąpiła jednak poprawa. Tata zakupił w Kielcach wózek inwalidzki i siedzącego pana Stefana przywozili do stołowego na posiłki.

Żona stryja Stanisława, Katarzyna Sławińska, była Rosjanką, córką gubernatora z Kazania. Pamiętam, jak ciotka Katarzyna pytała brata przy śniadaniu piskliwym głosem, stojąc przy stoliku z samowarem: „Kawy czy herbaty?”. Odpowiadał krótko: „Kawy”. A ciotka na to: „Wraz będzie” – z akcentem rosyjskim. I tak zaczęło się życie pod wspólnym dachem.

Ojciec starał się usilnie o kupno jakiegoś majątku, ale nie trafiało się nic pomyślnego. Nikt nie chciał pozbywać się ziemi, czas był niepewny. Stryj tak jednak potrafił ojca usposobić, że ten, ulegając naciskowi, zgodził się przyjąć równowartość Boczkowic. A tu w parę lat później nastąpił krach, dewaluacja i wymiana rubla. Pieniądze, które stryj zapłacił za majątek, straciły znacznie na wartości i ojciec znalazł się w kłopotach<sup>2</sup>. Stryj bowiem, będąc prawowitym właścicielem majątku, rozgościł się na dobre; doglądał pola, stajni, porobił nawet jakieś inwestycje, poczuł się w pełni gospodarzem. A że miał donośny głos – słysząc go było po całych dniach, jak huczał na dziedzińcu, wydając dyspozycje.

W dodatku odezwał się w nim cały prawnik – sędzia. Zaczął więc procesy z gospodarzami i okolicznymi chłopami, którzy najczęściej wypasali dworską koniczynę czy też łąkę albo rąbali w lesie drzewa. W tym czasie wyroki zapadały szybko, a karzące grzywny były wysokie. Chłopi wpadli w panikę, bali się go jak ognia.

Pewnego razu w nocy, gdy za ogrodem psy ujadły, a stróża w pobliżu nie było widać, wyszedł stryj Stanisław z dębową laską nad stawy. Nagle z dala, na grobli, zobaczył poruszające się światelko. Domyślił się, że to chłopci odławiają narybek karpia. Kazał psom iść przy nodze i powoli posuwał się groblą w stronę latarni. Będąc bliżej, usłyszał plusk wody i zobaczył poruszające się dwa ludzkie cienie. Poszczuł wtedy psami, a sam krzepko ująwszy laskę, doskoczył do jednego ze złodziei i jął go łościć, aż ten jęcząc, zwałił się z nóg. Drugi uderzył psa i zdołał uciec.

Przy świetle latarni poznał stryj tego, co leżał. Był to bogaty gospodarz z sąsiednich Rogienic, właściciel stawu. Chciał pewnie dworską drobnicą zarybić swój staw. Stryj, ochłonawszy, kazał chłopu wstać i zabierając ze sobą sak na ryby jako *corpus delicti*, iść do dworu. Ten, jęcząc, pokazywał na nogę. „Czyżbym mu ją przetrącił kijem?” – myślał stryj. Wreszcie zdecydował inaczej: „Ja pójdę po parobków, a wy tu czekajcie”. Kiedy wrócił, chłopca oczywiście nie było. Nie głupi czekać, zabrał również ze sobą sak z rybami. Na sprawie wypierał się bezczelnie, mówiąc, że to nie był on, że się dziedzicowi coś „przywidziało”. Jednak sędzia na prośbę stryja kazał mu zdjąć koszulę. Posiniaczone plecy wskazywały na świeże uderzenia, poznaczone razami i nabiegłe krwią. Wtedy zrezygnowany chłop wyznał, że ten, co uciekł, to był stróż ze dworu, dlatego psy go nie goniły. Sprawa przesądzona, duża kara za kradzież. Jednak pobity chłop zemścił się, bo po upływie jakiegoś czasu i tak którejs nocy wyłowił narybek. Zresztą podobne kradzieże zdarzały się często i należałoby nie spać w nocy, aby upilnować złodzieja.

Kiedy indziej zauważył stryj Stanisław, że ile razy poszedł do ogrodu inspektowego, aby pozbierać spod drzew jabłka, niewiele ich leżało. Pomyślał, że go pewnie ktoś uprzedza. Zaczaił się więc do dnia i zobaczył koło dziury w płocie jakąś postać. Nie spieszył się jednak, tylko czekał przy parkanie w malinach. Po jakimś czasie rozpoznał. Była to stara Mikuszewska. Kiedy zaczęła się przeciskać przez dziurę do ogrodu – jednym skokiem był przy niej. Poszła w ruch leszczynowa różga, a że baba była obładowana owocem, nie mogła szybko przeleźć. Oberwała więc niezłe. Kiedy dopadły ją psy, puściła z rąk fartuch i krzycząc wniebogłosy i wzywając zmiłowania boskiego – jakoś przez dziurę się przecisnęła.

Zaraz z rana przyszedł do dworu Mikuszewski i patrząc spode łba, powiedział stryjowi, że podaje go do sądu. „A o jakiej to sprawie mówicie?” – zapytał go stryj. „A to, że matka leży zbita, kiecki ma potargane przez psa i nogę

pogryzioną. Lekarz zrobi obdukcję”. „Nic nie wiem – powiedział najspokojniej stryj. – Spałem dziś doskonale, a że sami robicie dziury w płocie, nic dziwnego, że się to psom nie podoba”. Na tym zakończył się ten niemiły incydent, ale stryj i tak często wstawał w nocy pilnować, bo oprócz owoców miał trzydzieści sztuk uli, a w każdym z nich po cztery roje. Nic więc dziwnego, że się bał kradzieży.

Do śniadania i podwieczorku na stole stał zawsze miód odwirowany lub w plastrach. Jadło się go często z surowymi ogórkami w ten sposób, że drażyło się w ogórku otwór i wyjadało łyżeczką miąższ wraz z miodem. Bardzo to smakowało. Ojciec nazywał pustą ogórkową skorupkę ostrakonem.

A w pokoju u stryja Stanisława, wzdłuż ścian, stały kosze z gąsiorami młodego, pulsującego jeszcze wina. Pamiętam, że kiedy się tam weszło, czuło się od progu słodko-kwaśny ferment. W wielkich drewnianych kadziach stały rozmiażdżone owoce agrestu, porzeczek, moszcz jabłeczny, który zalany wodą z cukrem naciągał owocem. Później płyn ten – zlewany do szklanych gąsiorów, sycony miodem i drożdżami winnymi – fermentował przez wiele dni. Po fermentacji nalewano młode wino do butelek, korkowano i zalewano lakiem. Cała operacja kończyła się w piwnicy, gdzie poukładane na półkach butelki leżakowały, przekręcane co jakiś czas. Do każdego obiadu przynosił stryj butelkę, odkorkowywał, rozlewał do kieliszków i podawał nazwę. Robił też pitne miody, które nam, dzieciom, najbardziej smakowały, ale dostawałyśmy tylko po małym kieliszeczku – na smak – jak mówił.

Pewnego razu Anusia włożyła do kieliszka słomkę i kiedy stryj nalewał, ciągnęła przez nią miód tak szybko, że kieliszek wciąż był nienapełniony. Udający zdziwienie stryj spojrział pod światło na butelkę. Była pusta, za to oczy Anusi płonęły.

W pokoju u stryja wisiały na ścianach uprząże końskie, których nigdy nie pozwolił zostawić w wozowni. Na stojakach porozwieszane były siodła i czapraki. Po prostu dziwak. Sam jeździł na koniu doskonale, czy to w pole, czy do miasta odległego o 10 kilometrów, a już na pewno co niedzielę do kościoła na sumę. Tam miał kolatorską ławkę, a że przywoził ze sobą mszał – modlił się po łacinie razem z księdzem proboszczem. Trzeba było widzieć dzieci, które zamiast stać twarzą do ołtarza – wpatrzony były w stryja z trwogą, kiedy głośno bił się w piersi, mówiąc: *mea maxima culpa*. Po mszy szedł na śniadanie do proboszcza, który przy powitaniu obejmował go kordialnie i całowali się dawnym zwyczajem – w ramiona.

Jesienią zaś, po zbiorach i młócce, zajeżdżał przed dwór wymoszczony słomą wasążek. Ksiądz gramolił się z niego, narzekając na drogi, i prowadzony przez stryja do dworu sapał, bo był zażywny, a w dodatku astmatyk. Zastawiano więc stół, znalazło się stare wino i dobre zakąski. Kiedy tak pojadł i popił – błogosławił dom, kropiąc solennie kropidłem, i zapraszał do siebie na kawę ze

śmietanką i bułeczki. W wasagu leżał już przygotowany korczyk pszenicy, połącz wędzonki lub szynka.



## Święta

Najbardziej uroczyste były dla nas święta Bożego Narodzenia i Wielkanocne. Na te ostatnie czekali wszyscy z utęsknieniem, bo to czas wiosenny i koniec z postem. W umajonym pokoju stał stół na dwadzieścia cztery osoby nakryty białym obrusem, przystrojonym girlandami widłaka. Na nim wszelkiego rodzaju mięsiwo łącznie z szynką „w papilotach” (ze strzyżonej kolorowej bibuły z borowiną i widłakiem) i pieczonym prosięciem, które trzymało w pyszczku jajo kraszone. Pęta kielbas na półmiskach przeplatane kiszkaami otaczały pękaty salceson. Baby podolskie z szafranem wyglądały jak w czapach ze śniegu pod spływającym lukrem. Dalej miodowniki, strucle makowe i mazurki. A były najprzeróżniejsze. Z daleka już pachniał różany mazurek, inny obok, żółty, z masą pomarańczową, dalej kolorowy – cygański, czarny – makowy, który wyglądał jak jeź, z powbijanymi na sztorc białymi migdałami. Był również i marcepanowy, i olbrzymi jak przetak sernik wiedeński. Posypyany rodzynkami i skórka pomarańczową stał na poczesnym miejscu. I wszystko ozdobione „Allelujami” z kolorowego lukru. Nikt nie piekł takich wspaniałości jak moja mama. A keksy na opłatku, a nugaty. Trudny wybór, zwłaszcza że po sutym święconym już nie dało się nic jeść.

W sobotę, po mszy, przyjeżdżał grubiutki proboszcz, toczył się jak kulka i święcił uroczyście te wszystkie dary Boże. Później zasiadaliśmy do stołu, gdzie ksiądz również „kropił”, ale ciężkim winem. Biesiadników było wielu. Z Warszawy na święta zjeżdżała rodzina zapraszana przez ojca, rozmaite ciotki, wujowie, kuzynki i pełno drobiazgu. Dzieci te siedziały z nami przy niziutkim stole, na którym poustawiane były identyczne potrawy i ciasta, tyle że w małych foremkach pieczone. Stały nawet maciupęńkie buteleczki z winem, a zamiast dużej szynki – maleńka, z udka indyczego, ubrana w papiloty – jak duża. Tak to kochana nasza mama dekorowała stół dla maluchów, aby nie były pokrzywdzone. Najpyszniejszy był barszcz wielkanocny, żurek niezabielony, pełen woni wędzonki, kielbas, sosów spod mięs dokładanych na kolor. Do takiego talerza barszczu wkrawało się różne mięsiwa: cielęcinę pieczoną, schab, szynkę, kielbasę i jaja, a na dodatek łyżkę chrzanu, który nadawał całości smak. Dzieci tak lubiły świeżo utarty chrzan, że robiły nawet zakłady, kto połknie łyżkę takiego piekła i nie zapłacze. Najczęściej udawało się to Aniusi. Młodszy odpadali z gry.

Dostawcą do kuchni był jak zwykle nasz ogrodnik Wawrzyniec. Jak już mówiłam, miał ośmioro dzieci i żonę, która zawsze nosiła olbrzymi brzuch. Okazało się w końcu, że to była woda, a nie ciąża. Biedna kobieta po dwóch latach choroby zmarła. Najstarsza dziewczyna opiekowała się rodzeństwem. U nas doiła swoją krowę, która stała razem z dworskimi. A tak o nią dbała i czyściła, że aż lśniła jej sierść. Zawsze za drabiną była koniczyna, oczywiście dworska, w żłobie

posiekane buraki pastewne z ospą, a tyle dawała krowa mleka, co dwie dworskie. Nieraz obserwowałyśmy z mamą, jak dzieci Wawrzyńca wracały gęsiego z pola, niosąc dla krowy chwast. Najstarsza szła z zajdami zieleniny na plecach, a pod spodem były ziemniaki ukopane na dworskim. Potem już podług wzrostu: młodsze dziecko trzymało za nać kilka buraków i tak każde, wedle sił, ile mogły unieść. Najmłodszy chłopaczek, na pałkowatych nóżkach i w przykrótkiej koszulinie, niósł na wielkim brzuszku tylko jednego buraka. Mama nic nie mówiła, widząc, że dzieci są bez matki, ale kiedy stryj przekonał się, że i ziarno ginie, zapowiedział ogrodnikowi, że go wyrzuci, jak jeszcze raz odkryje kradzież.

Cudownym świętem rodzinnym i serdecznym jest Wigilia i Boże Narodzenie. Pamiętam, jak ojciec sam idzie do lasu z saneczkami i przywozi najpiękniejszą choinkę, jaką w życiu widziałam (choć miałam równie śliczną już w dorosłym życiu, kiedy mój narzeczony, leśnik, postawił przede mną smukłe i wysokie drzewko).

Wigilię zaczyna się śpiewanym polonezem *Bóg się rodzi*, a my parami idziemy do stołowego, gdzie składamy sobie życzenia i łamiemy się opłatkiem.

Na wilię najczęściej jest zupa rybna z łazankami lub do wyboru barszcz czerwony z kulebiakiem z ryby. Później szczupak po żydowsku, karp królewski smażony, pierogi z kapustą z grzybami, łamańce z makiem i kutia popijana kompotem z suszu. Do bożonarodzeniowego karpia ojciec kazał stawiać dwie świece – po obydwu stronach talerza, aby widzieć ości. Mimo tych zabiegów nie było przypadku, aby się nie zakrztusił. Stosy pierników, mikołajów lukrowanych i innych figlasów posypanych kolorowym maczkiem, orzechy i jabłka w koszach i - uwaga! – śliwki węgierki jeszcze z listkami, które, jak już mówiłam, mama przemyślnie kazała zakopać w piwnicy. Smakują jak dopiero zerwane. Tak oto wyglądały te wyczekiwane przez nas najpiękniejsze ze świąt, rodzinne, kolędowe.

## Ciotka Stasia i jej córka Nunia

Przypominam sobie lato, wakacje, kiedy mama zaprosiła do Boczkwic swoją siostrę, Stanisławę Braun z Łodzi, z najmłodszą córką Janiną, nazywaną Nunią, która właśnie ukończyła seminarium nauczycielskie.

Ciotka, wysoka, ładnie zbudowana, ale, niestety, kulawa. Jak już wspominałam wcześniej, jadąc do ślubu, wypadła z bryczki i złamała nogę.

Nunia miała piękne błękitne oczy i dwa grube warkocze. Była nieśmiała i taka bardzo dobra, cicha.

Nieraz wieczorami siadaliśmy wszyscy pod lipą i w świetle lampy, które padało z okien, śpiewaliśmy na głos, to znaczy dorośli, a my, dzieci, wtórując tylko, uczyliśmy się od nich pieśni patriotycznych, najprzeróżniejszych dumek rosyjskich, cygańskich i tych ludowych rozmarynów.

Ciotka Stasia, pewnie po babce śpiewaczce, miała piękny, silny głos i tu rej wiodła, zaczynając każdą następną melodię. Stryjowi wpadła w oko, choć miała już pod pięćdziesiątkę. Nikt tak nie śpiewał i nie śmiał się jak ona. Chętnie z nią rozmawiał o książkach, których pewnie nikt tyle nie czytał – zwłaszcza romansów. Stryj śmiał się, dolewał wina i coś tam do ucha szeptał, co wywoływało u niej kaskady śmiechu. Nunią zaś zajął się wuj Staś, syn stryja, też Stanisław, i jak on sędzia. Spacerowali razem alejkami, stronili od dzieci i zaszywali się w krzaki śnieguliczek, gdzie w gąszczu stała ławeczka. Tak przypadł Nuni do gustu, że w niedługim czasie mówili sobie po imieniu. Ona mówiła Staś, on na nią Bunia, skrót od buziuni. Wszystkim było wiadomo, że się mają ku sobie. Młodzi rychło się pobrali i zamieszkali we Włoszczowie, gdzie wuj pracował w sądzie.

## Dalsze wspomnienia o stryju Stanisławie seniorze

Jakoś pod koniec jesieni zaczęła się choroba ciotki Katarzyny, żony stryja. Musiała bardzo cierpieć. Często słychać było jej piskliwy głos, kiedy nawoływała Antoškę. Antoška była najsilniejszą kobietą spośród służby i tylko ona mogła dźwignąć chorą i prześcielić jej łóżko. Choroba robiła postępy, ratunku nie było i ciotka odeszła w zimie na schnięcie mlecza pacierzowego.

Za to stryj nigdy nie chorował. Często podczas popołudniowej drzemki leżał na łóżku w ubraniu, nie zdejmując kaloszy, tłumacząc, że gdy się źle poczuje, zaraz wyjdzie na dwór i wszystko mu przejdzie. Kiedy któryś z sąsiadów prznosił się na tamten świat, mówił do mojego ojca: „Widzi Waclaw, Siemieński młodszy ode mnie, a ponieśli go na górkę. A ja zdrow jak ryba”. I bił się wtedy w piersi, aż dudniło. Zdawałoby się, że sól jest szkodliwa dla zdrowia, a u niego przed talerzem stała olbrzymia solniczka, w której zanurzał każdy kęs do ust niesiony. I żył ponad dziewięćdziesiąt lat.

Babcia Urszula nie lubiła go. Mówiła na niego „stary kutwa” i „złośliwiec”. Żałował nafty do lamp, sam ją wydzielał, i to niechętnie. Prawda, że o wszystko było trudno.

Kiedys babcia pilnowała mleka, żeby nie wykipiało, a on przechodząc, zdmuchnął lampę i zostawił ją w ciemności. Powiedziała mu wtedy rozżalona parę gorzkich słów. Żałował również szkiełek do lamp, i kiedy miał kilka nadtłuczonych, układał z nich, jak mawiał „fidybus”, sklejał go papierem i szedł bardzo ostrożnie, niosąc tę piramidę. W końcu wszystko się waliło, a on kłął. „Dobrze ci, stary dziadu” – mówiła wtedy po cichutku, zła na niego, babcia Urszula. Ale czasem, kiedy miał humor, prowadził nas do pianina, kazał grać Aniusi, siadał przy kominku i śpiewał. A zaczynał zawsze od ulubionej piosenki: „Gołąbeczek siwy, a gołąbka biała, kochałbym cię, dziewczę, żebyś buzi dała”. Czasem mama zagrała mazura, szykowały się pary i - jak kto umiał – sunął po pokoju, a stryj w pierwszą parę, z galanterią, hucznie i z przytupywaniem, rej wodził. Jedną rękę miał założoną na plecach, czasem nią wasa muskał. Uczył nas też ukłonu, który nazywał się rewerans. Każda z pań będąca na carskim dworze musiała go umieć, bo kiedy podczas balu wchodził na salę car, wszystkie damy schylały się w takim ukłonie. Opowiadał o pięknie iluminowanych salach balowych, o mundurach oficerskich, o wielkiej gali i wystawnych przyjęciach. Bywał i on na takich rautach, bo ciotkę Katarzynę, jako córkę gubernatora, zapraszano z mężem.

Kiedy byłam mała, nie rozumiałam, dlaczego stryj po studiach w Petersburgu nie wracał do kraju. Dopiero później dowiedziałam się, że studenci obcej narodowości nie mogli po ukończeniu studiów opuszczać Rosji do czasu, aż spłacili dług za pobieraną naukę. Opowiadał o ciężkich mroźnych zimach,

o rozstawnych koniach, które wozily go na sprawy sądowe całymi wiorstami, przez pustkowia pokryte – jak okiem sięgnąć – lśniącym śniegiem. Zasy były tak wysokie, że droga, którą jechał, równała się z dachami domów wiejskich. Miało się wrażenie, jakby konie ciągnęły sanki wśród dymiących kominów, same białe, oszronione, jak z bajki. Mówiliśmy wtedy, że bardzo by nam się podobała taka podróż.

Syn stryja, Stanisław, który kończył prawo również w Petersburgu i pracował aż do wyjazdu jako aplikant, po przyjeździe do Polski został sędzią pokoju we Włoszczowie. Później pracował w kryminalistyce. Lubił nas, dzieci, straszyć. Opowiadał nieraz podczas wieczornych spacerów o tym, jak brał udział w obdukcji i że mu aż po łokciach krew kapiała. A tak się przy tym krzywił niemiłosiernie, że skóra na nas cierpła. Albo też o pewnym szlachcicu, który przed zaśnięciem słyszał, jak czyjś głos zza grobu wołał: „Panie Pogorzelski, pan śpisz, a ja gorę!”. To „gorę” miało aż cztery „o” i niosło się echem po parku. Drżałam i tylko patrzyłam na ciemne krzaki i na okna oświetlone – jakże jeszcze dalekie. Pomimo tych straszków, kochaliśmy go ogromnie. Kiedy nadchodził wieczór i przewidywaliśmy jego rychły powrót z sądu z Włoszczowy – wychodziliśmy gromadą w aleję naprzeciwko. Wuj Stanisław miał dwie córki: Hanię i Jasię. Kiedy zmarła ciotka Katarzyna – sprowadził się z rodziną do Boczkowic. Często przywoził nam słodczyce, z których najbardziej smakowały słomki, kwaskowe, długie cukiereczki z dziurkami, przez które można było dmuchać. Kiedyś wyjął z teczki torbę owiazaną sznurkiem i, huśtając nią na małym palcu, podał Aniusi. Myśląc, że to coś lekkiego, wzięła pakunek też na mały palec, a tu bęc! Pękła torba i bilon potoczył się po podłodze. „No, zbierajcie, dzieci, to dla was nagroda za te złowione żaby, które w stawie ikrę wyjadały”.

Kiedyś na wiosnę była rójka chrabąszczy. Wuj powiedział: „Kto sprytny, niech wchodzi na czereśnie i trzęsie, bo nie doczekacie się w lecie owoców, chrabąszcze zjedzą i liście, i kwiat. A reszta niech rozkłada płachty pod drzewem i zbierać to wszystko do wiader, nie bać się, one się nie ruszają, bo w dzień śpią. Pełne wiadra nosić przed kuchnię, już tam będą wiedzieli, co z nimi zrobić. Płacę od wiadra pięć złotych”. Przecież to olbrzymia suma! Dzieciom aż oczy zabłyły. Kto żyw pędził do inspektowego ogrodu, gdzie drzewa czereśniowe stały wprost oblepione chrabąszczami. Połów się udał, zebraliśmy pełne osiem wiader. Jak dowiedzieliśmy się potem, chrabąszcze były zaparzane wrzątkiem i dawane kaczkom, które się wprost zabijały o ten przysmak. Zarobek był pierwszorzędny, a zakup – dobra wędka.

## Rozstanie z Boczkowicami

Wiosna 1920 roku. Niestety, nadeszła chwila przełomowa. Decyzja powzięta. Ponieważ ojciec innego majątku nie nabył, a pieniądze za Boczkowice szybko się rozchodziły, postanowił z majątku wyjechać. Stryj niby go nie puszczał, ale pewnie rad był sam osiąść na gospodarstwie, zwłaszcza że od ojca wiele się już nauczył. Żegnajcie więc czasy najszcześniejszego dzieciństwa. Stryj obiecał przyjmować nas, dzieci, na każde wakacje. Może czuł się w pewnym stopniu winny?

Łzy popłynęły z oczu, kiedy odjeżdżając, patrzyliśmy ostatni raz na ten gwarny i tak bliski nam dom, na lipy już pozieleniałe, na stawy błyszczące w wiosennym słońcu, na drogi, dróżki i ścieżki.

I oto nastał nowy okres w życiu całej rodziny, zamieszkaliśmy we Włoszczowie, miasteczku oddalonym od Boczkowic o dziesięć kilometrów. Trudno było o wyszukanie odpowiedniego mieszkania; najpierw był to dom Dunajewskiego, później pani Bilskiej, wreszcie znalazł ojciec mieszkanie trzypokojowe, ale olbrzymie, z przedpokojem, kuchnią i obszerną piwnicą – u kowala Wyrwała.

Boczkowice po latach stryj Stanisław zapisał swoim wnuczkom, Hani i Jasi, które po pewnym czasie pozbyły się majątku i wyjechały<sup>3</sup>.

## Kowal Wyrwał

Mały, krępy, zawsze umorusany sadzami. Prócz czterdziestomorgowego gospodarstwa posiadał jeszcze kuźnię, z której miał niezły profit. A był kowalem znanym na okolicę. Nikt tak dobrze nie okuł wozu, nie zrobił lepszych piast do kół, które podobno, żeby wóz klekotał przy jeździe tak, jak się należy, musiały być wyjątkowo precyzyjnie osadzone. W dni jarmarczne, czyli w poniedziałki i piątki, pusty plac przed jego domem zapełniał się furmankami, końmi do kucia, bo umiał to również robić dobrze, sprawnie i szybko. Miechem ruszał syn Władek. Kiedy oni wypoczywali, kiedy spali – nie wiem, bo i ten szmat pola był do obrobienia. Prawda, że miel i kosiarkę do zboża i kopaczkę do ziemniaków, a w przybudówce stała młocarnia. W oborze sześć dojnych krów, bo sąsiedzi chętnie kupowali mleko. Prócz tego były cielęta, świny, a w stajni para wypasionych koni. Nieraz nam żal było czarnego kowala, kiedy wracał z pola po robocie i spał na siedzeniu wozu, a konie same wjeżdżały w podwórko. Kiedy on wracał z pola, my szliśmy do szkoły. Nie lubiliśmy go natomiast za to, że kiedy Janka, jego córka, rówieśnica Aniusi, chciała nas zabrać do sadu, nie pozwalał i krzyczał: „Nie chodzić mi do sadu, angryst dojrzywa!”. My i tak byśmy go nie jadły. Miałyśmy przez cały okrągły rok pomarańcze, ale ogród nas kusił z innych względów. Był olbrzymi, cienisty, wychodził na dwie ulice, pełen drzew, ptaków i woni. Właśnie wtedy kwitły fiołki, a ten strzeżony agrest był maleńki i naprawdę nie nadawał się do jedzenia. Jan – ka, nauczona od dawna przez ojca, aby nic nikomu nie dawać, stanęła kiedyś jesienią przed nami z pełnym fartuchem śliwek ze swego ogrodu. Jadła i ostentacyjnie pluła pestkami. A nas tak ręka świerzbiła, żeby jej przyłożyć. Pobieśliśmy do mieszkania i żeby zamanifestować naszą niezależność, plułyśmy pestkami z wielkich, słodkich jak miód renklod.

Matka Janki, odkąd pamiętam, była zawsze chora. Nie widziałam jej nigdy na podwórzu, wiecznie leżała. Kowal pewnie ją kochał po swojemu, bo moja mama, która nieraz nosiła jej pomarańcze, opowiadała, że odzywał się do niej z szacunkiem i łagodnie. „Ty sobie, Mania, leż, jo ci krowy wydoje, jo ci chlib upiekę, jo ci klusków nagniete”. I rzeczywiście robił to, ale jak te kluski wyglądały – nie wiadomo, bo ręce miał zawsze czarne od sadzy. W sierpniu tylko na okres żniwny wynajmował do pomocy dziewczkę, bo ich dzieci, Janka i Władek, mieli zaledwie po kilkanaście lat.

Do Mani wzywano nieraz księdza z Panem Bogiem, ale dobrze odżywiona kowalowa jakoś nie miała zamiaru rozstawać się z tym światem. Pewnego razu, kiedy kowal był bardzo zmęczony, rzekł do niej podniesionym głosem: „Mania, abo w te, abo we wte, jo ta dłuży nie strzymom!”. Mania płakała, tłumaczyła, jakoś doszło do zgody, ale nadal leżała. Wtedy wziął do pomocy dziewczkę już na długo, która pomagała mu we wszystkim.

Kiedyś grałyśmy w piłkę na podwórzu i ta, jakimś trafem, uderzyła w ramę jego okna. Wskoczył z kuźni z łomem, a my w nogi. Strach dodawał nam skrzydeł. Wbiegłyśmy na uliczkę prowadzącą na pocztę i tam, na wprost okien pani Świącickiej, schowałyśmy się za pnie drzew. Postał, sklął na czym świat stoi, i poszedł. Widząc przez okno, co się dzieje, pani Świącicka zabrała nas zaryczane do siebie i zaprowadziła do ojca, opowiadając, jak to było. Tata natychmiast wpadł do kowala, nawymyślał mu, laską natrzęsł, a ten na to: „Przecież mogły mi szybę wybić!”. I tak wieczne zatargi obrzydzały nam życie w tym domu.



## Sąsiedzi

## Doktor Makowski – weterynarz

W domu kowala Wyrwała mieszkał z nami przez ścianę pan Rajmund Makowski, który bez przerwy palił fajkę. Pan Rajmund był potężnym mężczyzną, mocno już wyłysiałym, lat około czterdziestu pięciu. Miał bardzo piękną żonę, razem z nimi mieszkała jej siostra Nela. Co poniedziałek i piątek przed jego sienią była masa koni, krów, psów do leczenia. Pan Rajmund trzymał w domu wilczycę Ledę, którą przyuczał i tresował, co nam się bardzo podobało.

Pewnego razu, podczas imienin Neli, późno wieczorem, kiedy w salonie było gwaro i ciemno od dymu, wyszedł z suką przed dom i przysiadł na schodach, żeby oćmić fajkę. Pies w pewnym momencie gdzieś przepadł, fajka zgasła, próżno czekał, wreszcie podniósł się ciężko i zaczął wołać: „Nela, Nela, do nogi!”. Gwizdał zawzięcie parę razy. Z sieni, w białej sukni, wybiegła solenizantka – piękna Nela – i pocałowała go, pytając: „Co chcesz, kochanie, ode mnie?”. Wtedy dopiero zrozumiał swoją pomyłkę i już nie czekał na psa, tylko objąwszy ją, wrócił do salonu. Zajście to słyszała służąca, bo wieczór był ciepły i okna pootwierane. Pani rejentowa, która o wszystkich ploteczkach zawsze wiedziała (zresztą była wtedy zaproszona), opowiadała jeszcze, że pito szampana z pantofelka Neli, a sama Nela odtańczyła na stole szaloną sarabandę i byłaby niechybnie z niego spadła, gdyby nie silne ramię Rajmunda. Nie wiadomo, co się tam działo po wyjściu gości, były jakieś spazmy, trzaskanie drzwiami, a na drugi dzień pan Makowski odwiózł motocyklem Nelę na dworzec.

## Rejent Maurycy Czekański

Mieszkał od wielu lat w domu Żyda Liebermana. Lieberman przerobił kamienicę, dostosował ją do gustu rejenta i wyprowadził się, zostawiając sobie tylko sklep na rogu domu. Pokoje były teraz obszerne, widne, a najpiękniejszy z nich – to salon z kominkiem, zasłany dywanami. Na ścianach portrety przodków w złoconych ramach, a na wprost okien olbrzymi portret żony rejenta, przedstawiający młodziutką jeszcze wtedy Marylę – hrabiankę Karską.

Teraz była to pani około czterdziestki, bezdzietna, nieco już otyła, choć jeszcze wielkiej urody. Chętnie popisywała się grą na olbrzymim, rozklekotanym fortepianie. Lubiała nas obydwie, zapraszała, ale i nieraz nieźle dopiekła, choć może nie zdawała sobie z tego sprawy. Miała w kościele swoje miejsce w stallach, z nazwiskiem na mosiężnej tabliczce. Siedziała obok mamy i innych pań. Niby to modliła się na różańcu, ale jej oczy błędziły po kościele, wszystko i wszystkich widziała.

Wychodząc kiedyś po mszy, jeszcze w drzwiach, zawołała głośno ze śmiechem do naszej mamy: „Anusia dzisiaj jest całkiem zielona! Czegoś ty, moje dziecko, taka zielona? No a Manusia, jak szczur z mąki, blada. Dziecko, czegoś ty taka blada?”. Czerwieniłyśmy się z Anusią ze wstydu, bo wiele osób to słyszało, i czułyśmy się jak na cenzurowanym. Ale ona już zawsze taka była głośna. Usprawiedliwiałam ją, bo miała dla biednych wielkie serce.

Rejent nigdy nie wchodził z żoną do kościoła, klękał na zewnątrz, w kącie między dwiema ścianami. Rozpościerał tam gazety i - czy zima, czy lato – klęczał zawsze w tym samym miejscu oparty na główce laski, a podnosił się dopiero po nabożeństwie. Już tam chłopaki czekali na te kolorowe pisma, o które często dochodziło do szarpaniny.

Rejentowie prowadzili dom otwarty, wiecznie goście, ciągle przyjazdy i wyjazdy rodziny. Służby było troje: kucharka Marianna, jej mąż – szofer rejenta, i pokojówka. Marianna nie tylko umiała wspaniale gotować, ale wypiekała różne ciasta, robiła przet wory na zimę, w ogóle była niezastąpiona.

Pani rejentowa rano, po kąpieli, siadała przed lustrem w peniuarze i wtedy to Marianna dokazywała cudów z jej nieco przerzedzoną koafiurą. Szły w ruch rurki grzane nad lampką spirytusową, słoiki z kosmetykami, różne liliowe mleczka i olejki różane. Twarz po tych zabiegach wydawała się znacznie odmłodzona. A teraz plecy, ręce i boki masowała Marianna specjalnym wałkiem owiniętym w gumę, o powierzchni pełnej miękkich szpiców, wypustek i guziczków. Przyrząd ten nazywał się punktroller. Rejentowa wychodziła spod jej ręki odświeżona i - już pewna siebie – gromkim głosem wydawała dyspozycje co do obiadu.

Często z mężem wyjeżdżali do Kielc, do cukierni Smolińskiego na ciastka, które rejent wprost pożerał, a nieraz bywali w pierwszorzędnej restauracji na

obiedzie. Tam, kiedy spotkali znajomych, nie było już miary w picciu. Zdenerwowana rejentowa mitygowała męża lub symulowała ból głowy, byleby tylko jechać do domu. Nie zwracał na nią uwagi, zamawiał najdroższe trunki, szastał się, stawiał, a orkiestrze kazał grać to, co lubił, i rzucał pieniędzmi. Dla fantazji zapalał cygaro banknotem stułotowym, co budziło ogólną dezaprobatę.

Kiedy Anusia po gimnazjum i Szkole Muzycznej u profesora Wawrzynowicza dostała się do pracy u rejenta, została rejestratorką. Praca polegała na wciąganiu weksli do wielkiego repertorium i prolongacie. Pisała również pod dyktando rejenta akta, które sporządzał przy różnych sprzedażach i darowiznach. Tu już nie wolno było robić błędów.

W biurze pracowało trzech panów: dependent – pan Zychowicz, kasjer – Olak, i goniec. Była również pani Aniela Maliszewska, panna z niezmiernie pałkowatymi nogami i z wielkim tupetem. Dzień zaczynał się szykowaniem akt, rejestrów, ostrzeniem kopiowych ołówków. Kiedy wchodził rejent, szła najpierw laska o srebrnej gałce, potem brzusek wydatny, wreszcie rejent z bokobrodami, zawsze sztywny, bardzo srogi i w kapeluszu. Na rękach nosił białe glansowane rękawiczki, w nich naciskał klamkę, a potem z trzaskiem otwierał drzwi, pomagając sobie kopnięciem pantofla okrytego getrami. Wszyscy wtedy wstawali, mówili chórem: „Dzień dobry, panie rejencie”, i czekali, aż ten przejdzie do swojego gabinetu. Za nim wpadała panna Aniela cała w ukłonach, zdejmowała z niego sakpalto i wieszła troskliwie na ramiączku w szafie, odbierała białe jedwabny szalik, rękawiczki wrzucone do kapelusza, no i laskę. Tę stawiała w kącie, by miał ją pod ręką. Kiedy wracała, mówiła zawsze, że tak pięknie od niego pachniało, aż chciało jej się zemdleć, i przewracała wtedy oczyma.

Kiedy rejent dyktował akt notarialny, a byli przy tym chłopci lub Żydzi – wywijał laską lub uderzał nią o stół z taką siłą, że aż prostował zgarbionego w ukłonie Żyda lub chłopca, który wtedy wybałuszał oczy i tylko patrzył na drzwi. A było z tymi chłopcami uciechy co niemiara. Bo to niejedyn z nich nie znał daty urodzenia i pytał nieraz żony: „Matka, a w kiedy to było?”. „A co?” – ona na to. „A to, żem się urodził”. Baba patrzyła długo w podłogę, przestępowała z nogi na nogę i mówiła: „Bogać ta. Nie pamiętam, no, mówiłeś jakoś, że jak na japońskim wojnę szły i na zwiesne się miało”. Rejent uśmiechał się pod nosem, pisał, jak chciał, bo i skąd tu brać dokument, kiedy go nie było. Najczęściej chodziło o akt darowizny, z obowiązkiem spłaty dla pozostałego rodzeństwa. Wtedy, nie mogąc dojść do porozumienia nawet o miedzę, strony zaczynały się swarzyć, baby nieraz brały się za łby, ale niech tylko poszła w ruch laska – zgoda była natychmiastowa. Anusia tak się nauczyła szybko pisać odręcznie, że sam rejent się dziwił, błędów nigdy nie było. On, chodząc po gabinecie, dłoń prawą zakładał pod marynarkę na piersiach, laską sobie dyrygował, i trzeba było nadażyć pisać, kiedy tak mówił bez przerwy. A i owo pisanie było niewygodne, bo repertorium to olbrzymia księga,

o wymiarach mniej więcej metr na siedemdziesiąt centymetrów po rozłożeniu, tak że przy pisaniu pierwszych linijek u góry trzeba było stać.

Najbardziej śmieszyło podpisywanie ukończonego aktu. Zainteresowane strony najczęściej nie umiały się podpisać. Wysyłał więc rejent gońca do trzech obywateli, mieszkających w pobliżu. A cała ceremonia wyglądała w ten sposób. Jeden z tych trzech świadków podchodził i podając chłopu pióro, mówił do niego: „Trzymajcie za pióro”. Za moment wyjmował mu je z ręki i sam podpisywał jego nazwiskiem. Wtedy rejent pytał: „Świadkowie, jesteście?”. „Jesteśwa, proszę pana rejenta” – odzywali się zgodnie dwaj pozostali. I akt zostawał podpisany przez wszystkich zainteresowanych, rejent bowiem żadnych krzyżyków nie uznawał.

Wracając do panny Anieli – usługiwała rejentowi we wszystkim. Biegała czerwona, przejęta, nawet wynosiła z gabinetu soplwaczkę. Kiedyś wpadła do pokoju osa i brzęczała na oknie. Stanął wtedy rejent w drzwiach i zawołał: „Aniela, osa!”. Zerwała się nieprzytomna, wbiegła do gabinetu, tam zbudowała piramidę z taboretów i wspięła się na wyjątkowo wysoki parapet. Rejent czekał na środku, na rozstawionych nogach, z założonymi po napoleońsku rękami, i zaśmiewał się, kiedy spod przykrótkiej spódniczki wyglądały przydługie majtki. Skonfundowana złapała nieszczęsną osę w pudełeczko od zapalek i czerwona wybiegła z gabinetu.

Kiedy Aniela wyszła za mąż i zwolniła się z biura – miejsce jej zajęła Aniusia, ale już bez obowiązku łapania os i wiecznego nadszkakiwania.

## Sklep kolonialny mojego ojca

Ponieważ ze sprzedaży Boczkowic zostało nieco złotych monet (imperiałów), założył ojciec sklep kolonialny w rynku, w lokalu wydzierżawionym od Żyda Motyla Kaczki. Był to dom piętrowy, gdzie całą górę zajmował właściciel, na dole zaś były dwa lokale, jeden ojca z witryną, drugi obok drogisty, pana Bitofta.

Był to jedyny pośród żydowskich polski sklep w miasteczku. Dobrze zaopatrzone dosłownie we wszystko, czego klient potrzebował. Z początku Żydzi nie byli zadowoleni z takiego konkurenta. Obniżając ceny swoich towarów, próbowali go zniszczyć. Z czasem, widząc, że sobie nieźle radzi, ma konto w banku i złoto, nabrali do niego szacunku.

Ojciec otworzył w swoim sklepie konto dla dworów, wydawał towar na kredyt, który był spłacany raz w miesiącu. Zdarzali się jednak i tacy, którzy nie pokazali się już więcej.

W podwórzu był skład zamykany na żelazne drzwi. Stały w nim kufy z naftą, skrzynie z szarym mydłem, baryłki z oliwą, olej i towot do maszyn, beczki z solą warzonką i z szarą, którą kupowali najczęściej wieśniacy, oraz zielone bryły soli dla krów i owiec, tak zwane lizawki. Pod ścianą był długi niski kufer z prochem, skrzynie z gwoździami, woreczki ze śrutem, różnego kalibru gilzy w pudełkach, kapiszony, na ścianie wisiały rożki na proch (wykonane z krowich rogów ujętych z obu stron metalem, ze specjalnym dozownikiem prochu), skórzane pojemniki na śrut również z dozownikiem, pasy, ładownice, torby myśliwskie.

Druga strona składu zajęta była drobnymi narzędziami rolniczymi. W pakamerze, która przylegała do sklepu, na szerokich półkach pod ścianami stały skrzynki z tytoniem, poustawiane w skrzyniach wina, wódki, likiery. Na środku pod oknem paka z trzema przegrodami: na cukier kryształ, na puder i kostkowy. W drugiej piętrzyły się głowy cukru. Obok stał pień i tasak do ich rąbania. Wiele skrzyń z oryginalną herbatą Szumilina, z kawą brazylijską, przeróżnymi bakaliami sprowadzanymi ze Wschodu, z czekoladami i ciastami. Półki w sklepie zapakowane były wódkami, winem, likierami Baczewskiego, nie brakło również rumu i araku. Były wina francuskie, hiszpańskie xerez, ciężkie malagi, węgierskie wytrawne, bordeaux, bourbon, burgund, Lacrima Christi dla amatorów.

Na wprost drzwi wejściowych gabloty z najprzeróżniejszymi żółtymi serami, obok z suchymi kiełbasami, surowymi szynkami wędzonymi z Baranowicz lub Żywca oraz oryginalne salami z osła. Niżej – bryły solonego masła z Ukrainy, a z Węgier baryłki ostrej bryndzy.

Pamiętam nawet ten okres, kiedy jeszcze krążyły oddziały Madziarów i przyszło ich kilku do sklepu. Zaczęli szukać i wybierać, co by im smakować mogło, aż odkryli beczułkę starej bryndzy do wyrzucenia, w której już się robaki

ruszały. Zadowoleni poprosili o drewnianą pałkę i nią stłukli i przerobili cały ser na masę. Po uregulowaniu należności jeden z nich wziął beczkę pod pachę i roześmiani wyszli ze sklepu. Nie mogli się nadziwić – i ojciec, i subiekci, że coś takiego nadawało się do jedzenia.

## Podróże po towar

Wiem, że ojciec miał wielkie trudności w prowadzeniu sklepu. Zjadały go olbrzymie podatki, żydowska konkurencja nie dała żyć. Ileż to razy okradli go złodzieje, wybijając dziurę w pakamerze i zabierając wiele drogiego towaru na setki i tysiące złotych. Panował wtedy w domu smutek, ale my z Aniusią prędko o tym zapominałyśmy.

Ponieważ do stacji było pięć kilometrów, nie wszystkie towary mogła fabryka wysłać koleją. Ojciec trzymał parę koni, parobka i wóz z olbrzymią plandeką od deszczu. Razem z chłopakiem przemierzali nieraz całe kilometry, bez względu na pogodę, do odległych fabryk po różne zakupy, co zabierało dwa do trzech dni jakże męczącej jazdy. Trzeba wziąć pod uwagę, że to były czasy, kiedy jeszcze nie budowano szos i wszystkie drogi nazywały się po prostu polskie – błotniste i pełne wybojów.

Pewnego razu przejeżdżali koło przydrożnej karczmy – bo takie jeszcze istniały. Zatrzymali się, by napić i nakarmić konie. Ojciec wszedł do zajazdu, coś tam przegryzł, napił się herbaty, a wychodząc, zabrał kromkę chleba z kielbasą dla parobka. Konie już napojone chrupały ze skrzynki owies, a chłopak stał przy studni z jakąś dziewczyną. O czymś tam rozmawiali, ona się śmiała i zaglądała mu w oczy, na co on kręcił przecząco głową i pokazywał na konie. Kiedy ojciec, siadając na wóz, zawołał go, rozmowa się urwała. Ruszyli z miejsca, lecz nie ujechali daleko. Chłopak zwałił się do tyłu prosto ojcu na kolana. Był bardzo blady i miał zamknięte oczy. Krzyknął ojciec na przechodzącego człowieka: „Gdzie tu doktor?!”. Ten tylko się uśmiechnął, machnął ręką i powiedział, pokazując na karczmę: „Tu jest znachorka, ona poradzi”. I sam wsadziwszy głowę do sieni, krzyknął na kogoś. Po chwili wyszła przed próg baba. Miała głowę owiazaną aż po oczy jakąś brudną szmatą, szpetna nad wyraz, po prostu wiedźma. Podeszła wolno do wozu. Szeroki uśmiech ukazał szczyrby w żółtych zębach. W oczach miała jakąś przebiegłość. „Panoczku – powiedziała – on zaraz wstanie, tylko tu na dłoń połóż mi pan pieniądz w złocie. Chłopak urodny, udał się dziewczynie, a kiedy jej odmówił – zwyczajnie zauroczyła go. Ot, płocha”. Nie było innego wyjścia. Ojciec dał babie żądany pieniądz. Wtedy ta zadarła brzeg spódnicy, otarła nią bladą twarz chłopaka i splunawszy trzy razy na boki – coś zamamrotała. Po chwili furman zamrugał powiekami i z pytaniem: „Co to, co to?” – usiadł i zgarnął lejce. Ojciec, nie bardzo też przytomny z wrażenia, przeżegnał się szeroko i krzyknął: „No, w konie!”. Pomknęli cwałem, nie oglądając się więcej za siebie.

Jeszcze o jednej podróży opowiadał ojciec, kiedy to w zajeździe dali mu na obiad smażone młode kurczęta. Coś mu się nie wydawały podobne do kurcząt. Mięso miały ciemne, ale były kruche i aromatyczne, a w smaku doskonałe. Myślał wtedy: „kwiczoły, nie kwiczoły”. Zapłacił i już miał wstawać od stołu, kiedy



pochylony w ukłonie karczmarz zapytał: „Jak szanownemu panu smakowały młode wronięta?”. Ojcu na razie wszystko podeszło do gardła, ale kiedy pomyślał, że tak smacznego pieczystego nie jadł nigdy w życiu – roześmiał się tylko i spytał: „Ale czemu one tak ładnie pachną jałowcem?” Karczmarz odparł: „A to moja natarła ich jałowcem, żeby zabić zapach wiatru, bo te ptaszki wiatrem cuchną”. Już nigdy więcej nie zdarzyło się ojcu jadać wroniąt, ale tę ucztę długo wspominał z humorem.

## Ajent z fabryki Szumilina

Pan Józef Popielicki, obywatel Wołomina, zamożny, mieszkający w pięknej willi z żoną i dwoma synami, był agentem firmy chińskiej Szumilina, zajmującej się wysyłką do Polski wybornej herbaty poszukiwanej przez handlowców. Pan Józef rozwoził ją w wielkich skrzyniach na zamówienie do sklepów w całym kraju.

Co dzień rano sprzed willi w Wołominie stary szofer odwoził chłopaków – jak ich nazywał ojciec – do gimnazjum i po południu z powrotem przywoził. Przystojni chłopcy, dobrze wychowani, widzieli w swoim ojcu nie karzącą rękę, nie wiecznie strofującego cerbera, ale przyjaciela, do którego zwracali się ze wszystkimi swoimi kłopotami i traktowali jak starszego kolegę, mówiąc po imieniu – po prostu Józik.

Do znajomości rodziny Popielickich z naszą doszło w Warszawie, dokąd mój ojciec często wyjeżdżał, zamawiając towar. Tam też obaj panowie nawiązali kontakty handlowe. Od tej pory z pierwszej ręki miał ojciec dowożoną herbatę Szumilina, która była aromatyczna, smaczna i przez klientów ceniona. Pamiętam puszkę blaszaną po herbacie, gdzie na wieczku był przystojny i żółciutki Chińczyk z warkoczem, w czapeczce i z długimi zwisającymi wąsami. Trzymał w obu palcach identyczne pudełeczko, na którym znów był: Chińczyk z warkoczem w czapeczce i z długimi... Bawiło nas to.

Ile razy pan Popielicki przyjeżdżał z towarem, nie omieszkał odwiedzić mojej mamy. Biorąc kochaną Walę w ramiona, nazywał ją swoją kumą, bo oto nieoczekiwanie został ojcem maleńkiej córeczki i zapraszał Walę na chrzestną matkę. Światowy ten bywalec, wielki facecjonista i kpiarz, bardzo był przez nas lubiany, zwłaszcza że nigdy nie zjawiał się bez małych upominków. Często ściskając nas serdecznie, mówił: „Liczę na was, dziewczyny, ja mam dwóch synów i was dwie”.

Kiedyś przyjechał do nas w sobotę razem z synami, poprosił o nocleg, mówiąc, że ma wolną niedzielę i co byśmy powiedzieli na wspólną wycieczkę do Boczkowic, które znał z opowiadania. Oczywiście obie z Aniusią rzuciłyśmy mu się na szyję, piszcząc z radości. Chłopcy byli poważni i jacyś nierozeznani, z rezerwą do wszystkiego.

Z samego rana załadowaliśmy się do samochodu, wioząc słodycze ze sklepu, mama coś tam upiekła słodkiego, żeby nie jechać z pustymi rękami, a pan Józef tylko mrugał na tatę porozumiewawczo. Pewnie i on partycypował w tych upominkach, ale pary nie puścił.

Trzeba by było jechać z nami w samochodzie i obserwować tego osobliwego człowieka, który przystawał przy jakiejś babie czy dziewczce idącej, aby wychyliwszy się z okna, prawić jej pochlebstwa czy żartować do śmiechu. „Skądżeście to, matko?”. „Az Woli Wiśniowej. Idę do siostry do Konieczna. Jutro

na odwieczerz tędy wracam”. „No, patrzcie, jak się to dobrze składa, wziąłbym was do Konieczna, ale widzicie, ilu tu mam pasażerów.

Jutro, jak będziecie wracać wieczorkiem, stańcie tu pod krzyżem, podwoję was do Wiśniowej Woli”. „O mój panoczku, jeszcze nigdy takim czymś nie jechała, nie wezwyczajunom”. „Zobaczycie, matko, jak się dobrze jedzie. To nie to, co koniem jechać i pod ogon mu patrzeć. Bywajcie do jutra!”.

Ruszył z miejsca, trąbiąc przeraźliwie, aż się baba o krzaki w rowie oparła. Ale oto wjeżdżamy do Konieczna – ulica przez wieś wyłożona balikami, jeszcze za Austriaków, trzęsie, jakby jechał po tarze do prania. (Do dziś jest w Koniecznie miejscami ta sama droga).

Podskakujemy niemiłosiernie, a on, otworzywszy boczne okienko, drze się na całe gardło: „Zośka, Maryśka, Antośka, Hanka! Będziemy tańcować do białego ranka!”. Taki to już niespokojny duch w nim siedział. A po chwili znowu na inną melodię: „Oj, nie chodź kole woza, oj, nie trzymaj się osi, oj, nie daj chłopcu gęby, oj, choć cię bardzo prosi”... i na końcu pohukiwanie.

Dziewczyny wybiegają na drogę roześmiane i ciekawe, myśląc, że to jakieś wesele wali. A to my jedziemy wolniutko, podskakując na balikach, a ten wrzeszczy, jakby go obdzierali ze skóry. Dobrze, że kościół już blisko, więc okienko przymknął.

Za pół godziny zajeżdżamy z fantazją przed dwór. Psy nas opadają, piszcząc, a ja – klęcząc, zajęta witaniem psów – nie widzę nawet, że moja Halma, ta piękna matka rodu, zostaje kopnięta przez któregoś z Popielickich, bo się opędał, chroniąc szare pumpy, w które dzisiaj się wystroił. Dowiedziałam się o tym od Aniusi, kiedy kładłyśmy się spać, i przyrzekłam sobie przy pacierzu nie wychodzić za mąż za żadnego z nich, a miałam wtedy piętnaście lat.

Po powitaniu i przedstawieniu gości mama wyjęła upominki i wręczyła je Nuni, a przez ten czas pan Józef coś tam pomajstrował przy bagażniku i wyjął trzy paczki. Dwie wręczył Nuni, a jedną ciężką stryjowi. Po rozpakowaniu okazało się, że Nunia dostała ozdobny dwukilogramowy kuferek z herbatą Szumilina i imbryk do parzenia z sześcioma filiżaneczkami z cieniutkiej chińskiej porcelany. Nie wiem, czy kupiony, czy też dostał go od firmy, w każdym razie dar był bogaty i potrzebny w każdym domu. Stryj zaś otrzymał maszynę do wyciskania moszczu z owoców z prasą i cedzarką, z czego niesamowicie był rad, bo do tej pory dziewczyny musiały wyciskać sok drewnianą ręczną prasą. Wycalował ofiarodawcę w oba policzki, nie wiedział, gdzie go posadzić, zachęcając do jedzenia i picia. Nawet przyniósł z loszku stare wino, bo to, które podawał zwykle rodzinie do obiadu, to był młody cienkusz, czyli „niedogon z fuzlem”. Mówił, że starego wina ma niewiele, bo trzyma na wesele wnuczek, Hani i Jasi, dwóch córek Nuni, jego synowej.

Stryj powiedział, że jedzie do kościoła, więc nas pan Józef podwiózł do

Konieczna. Po ewangelii wysadził się stary Popielicki i rzucił na tacę banknot stużłotowy. Proboszcz czekał, aż sobie odbierze resztę, bo niektórzy tak robią, ale on właśnie wtedy bił się w piersi, patrząc w ołtarz z miną niewiniątka, więc ksiądz tylko mu się długo przyjrzał zza oku larów, które zwykł nosić na czubku potężnego nosa. Pytał potem ojca, któż to taki hojny zjechał do Boczkowic. Chłopcy nie pojechali z nami, a po powrocie z kościoła zastaliśmy ich w bibliotece, czytających i jakichś smętnych. „Nudzi nam się” – powiedział starszy do ojca. „Zaraz was tu rozbawię – rzekł. – Pan sędzia ma flower na ptaki, to sobie postrzelamy”. I my poszliśmy z nimi. I tak patrząc z boku na tych dwóch chłopców, pomyślałyśmy sobie, czego im jeszcze potrzeba, kiedy mają wieś, słońce i swobodę. Ale oni szli jak na ścieżce, w marszu i z jednej nogi, nie patrząc na boki. „Bawcie się sami” – mówimy, i pobiegliśmy nad dziki staw po nenufary na bukiet. Potem do lasu na jagody, jeżyny. Wróciłyśmy zarumienione z naręczami kwiatów. Popieliccy wrócili osowiali – tak jak byli wyszli. Tylko pan Józef ustrzelił kurkę wodną, ale właściwie sam nie wiedział, co to za ptak. Według nas była to niestety czajka, którą z żalem musiałyśmy zakopać pod drzewem, bo niejadalna.

Jeszcze zaproponował nam biegi, kto pierwszy od podjazdu przebiegnie naokoło gazonu i wróci na to samo miejsce. Chłopcy zrezygnowali w połowie drogi, bo chyba nie nadążali za nami, tak że w końcu jeden powiedział, że ta zabawa jest niepoważna, a drugi usiadł na trawie, udając, że wykręcił nogę. My pędziłyśmy z panem Józefem, któremu tylko fruwała rozpięta marynarka, do ostatka, podziwiając jego wytrwałość. O, z takim to dopiero byłaby zabawa, ale ci dwaj to się całkiem odrodzili od ojca.

Przy kolacji jedli, nie jedli, już się dopominali o wcześniejszy wyjazd, ale on powiedział twardo: „Jedziemy o ósmej i kwita!”. I rzeczywiście, słońce wisiało nad zachodem, złocąc się w pięciu stawach, kiedy żegnani serdecznie całowaliśmy wszystkich, dziękując za przyjęcie. Zwłaszcza roześmiany pan Józef, obejmowany kordialnie przez stryja, całował go jak „z dubeltówki”, obiecując coś tam mu przywieźć przy okazji. A te dwie mumie nawet się nie uśmiechnęły, idąc za ojcem do samochodu marszowym krokiem, w tych swoich głupich pumpach, które wyglądały jak spod igły, z zaprasowanymi równo kantami, jakby wsi nie widziały z jej wszystkimi urokami i zabawami.

Rozgadane i zadowolone nie spostrzegłyśmy w porę stojącej za Koniecznym pod krzyżem kobiety. „Proszę pana – wołam – chyba to ta sama, co miała na nas czekać”. „Masz, babo, placek” – mówi pan Józef, bo o niej całkiem zapomniał. Ale stanął. Władowała się ze swoimi wełniakami woniejącymi nawozem i ciężko siadła, poprawiając oburącz chustkę, która jej całkiem na oczy spadła. Kiedy ruszyliśmy, zagadała: „Jo to jezdem Pierzchnica, ale poniektóre, co pamientajom, to mnie wołajom Łopatka, bom niechcący mojego pirsego łopatkom zdzielila i pomar se chudzina. Została mi Mania i Jania. Alem jeich brać się do wsi nie

odważyła, bo na ty drodze grasuje zbój, co się Łusc nazywo. Ludzi okrado, nawet korole kobitom zdzira z syi, a już z jarmarku jadącym to i piniądze odbira. Nijakiego sposobu na niego ni ma. Lotego piknie dzinkuje panockowi za podwode i już tu zeńde”.

Słyszałam o tym Łuszczu, był taki. Kiedyś napadł na furmankę jadącą z miasta i pobił do nieprzytomności chłopą. Złapała go w końcu zaczajona w rowie policja, a po sprawie został powieszony. Pamiętam to miejsce, te trzy stare sosny, które nad wysoką jak kurhan mogiłą rosna, gdzie ponoć, jak ludzie mówią, „same powieszone leżą”. Ale to stare dzieje.

Przed samą Włoszczową widzimy mizerną szkapinę, człapiącą pod górkę, i to po nieprawidłowej stronie.

Pan Józef nacisnął klakson i trzyma, bo baba siedząca w półkoszkach jakby ogłuchła. „Śpi czy co, u licha!” – mówi pan Józef i dusi bez przerwy sygnał. Wreszcie usłyszała. Zatrzymała chabetę, zawiązała przy kłonicy lejce, zląła powoli po dyszlu i coś tam dłubie koło końskiego łba. „Poczekamy, czort wie, co ona wymyśli”. Czekamy niezdecydowani, a ona najspokojniej, stojąc przodem do nas i do konia, zarzuca mu spódnicę na łeb i czeka, aż przejeździemy. „Ale widok, niech to grom spali” – woła pan Józef i nagle jak nie krzyknie! „Dzieci na podłogę, kryć się!”. Wykonałyśmy rozkaz, chociaż chłopaki siedzą, gapiąc się – nareszcie rozbawieni.

Pytałyśmy w domu mamę, dlaczego mieliśmy się kryć i co się stało? Odpowiedziała, patrząc na ojca: „Bo to, widzicie, ona chciała zakryć koniowi oczy, żeby się nie przestraszył samochodu, ale podniosła za wiele spódnic naraz”. Zrozumiałyśmy.

Pan Józef Popielicki jeszcze przez wiele lat dostarczał ojcu herbatę Szumilina, na czym i ja skorzystałam, skrzynki bowiem były wybite cynfolią grubą i lśniącą, którą zwijałam w twarde kule i przy okazji woziłam do Częstochowy, do gimnazjum. Tam ksiądz prefekt Tomaszewski zbierał właśnie dary „dla Murzynków”. Był to staniol, sznurki i zużyte korki, które to odpady przerabiane w fabrykach szły znów na rynek. Ze sprzedaży tych półproduktów zebrane pieniądze szły na Misję w Afryce.

Po latach kontakty z panem Popielickim i jego rodziną zerwały się.

## Ojciec i jego subiekci

W Wielkim Tygodniu wszyscy subiekci szli do spowiedzi, na końcu ojciec. A miał szczególny kult do Matki Boskiej Włoszczowskiej. Swego czasu, na balkonie wieży kościelnej – gdzie była zawieszona miniatura Jej obrazu – kazał zamontować lampę elektryczną (która do dzisiaj świeci). Łożył przez całe życie datki na potrzeby kościoła. Kościół ten służył od dawna z cudownego obrazu Matki Boskiej, który obwieszony wielką ilością wot, jest zawsze na noc zasłaniany jak obraz jasnogórski.

Główne wejście zamykane jest potężnymi drzwiami, które wyciągnięto z bagien na Podzamczu wiele lat temu. Do tej pory istnieją te trzęsawiska, na ich środku od niepamiętnych czasów stoi na usypanej górze figura świętego Floriana. Drzwi, o których mówię, olbrzymie i ciężkie, nie wiadomo czemu i komu służyły.

W okresie Wielkiego Tygodnia wieczorami zostawał ojciec z subiektami dłużej w pakamerze, gdzie szykowano prezenty świąteczne dla dzieci z całego miasta. Kto przyszedł w Wielki Czwartek, ten dostawał torebkę słodczy i owoców. A były tam cukierki, batoniki czekoladowe, orzechy, pomarańcza czy mandarynka, chleb świętojański i figi. Niewiele to wprawdzie, ale były dzieci biedne, które tego na oczy nie widziały.

Od rana więc czekało bractwo przed zamkniętym sklepem w kolejce. Kiedy chłopcy otworzyli drzwi, pilnowali, aby był porządek i każdy w kolejności wchodził, umyty dzisiaj przez matkę, świątecznie ubrany i pouczony, że jak dostanie paczkę, ma podziękować i życzyć panu wesołych świąt. Drugi subiekt stał przy ojcu i z wielkiego kosza podawał mu paczuszki, które ojciec wręczał. Przy drzwiach do sieni stał trzeci i pilnował, czy ktoś dwa razy nie podszedł. Wtedy takiemu cwaniakowi zabierał słodczyce i za ucho, na oczach wszystkich, wyprowadzał za drzwi. Inni śmiali się z niego i pokazywali później palcami.

Taki to był mój kochany ojciec, który tych maluczkich nie opuszczał, gładził po główkach i dawał to, na co go było stać, by tej biedocie sprawić nieco radości.

Kiedy kolejny subiekt wychodził ze sklepu do spowiedzi, wołał go ojciec do siebie i podstawivszy mu rękę pod nos, mówił: „Przepraszam za to, coś niepoczciwie zjadł ze słodczy bez mojego pozwolenia, a przyznaj się księdzu na spowiedzi, może ci kanonik z litości wybaczy, boś młody i głupi”. Dobry był z niego pan i niejednemu zastępował ojca, a i przez palce patrzył na małe wykroczenia. Wiadomo, słodczyce to łakoma i kusząca rzecz. Zawsze pod koniec tygodnia, kiedy na niedzielę chłopcy szli do domów, dawał paczkę każdemu i mówił: „To dla matki. Powiedz jej, że z ciebie rad. A idź tam jutro na mszę do kościoła”.

Jedyną dziewczyną w sklepie była Bronia Strzelecka, która po kryjomu ocet piła, żeby nie mieć rumieńców. Rozchorowała się poważnie i przyznała wreszcie, że ma boleści. Mama wysłała ją do doktora Talikowskiego, którego dobrze знаła.

Kuracja była długa, skończyło się na szpitalu. Po wyleczeniu do pracy już nie wróciła.

## Drogeria magistra Bitofta i apteka Michasia

Magister Bitoft był człowiekiem jeszcze młodym. Tryskający humorem opowiadał dowcipy ze swadą, tak pasujące do jego zawsze uśmiechniętej twarzy. Śmiał się do łez, krzyczał, bił się po udach i trzął jak w paroksyzmie. Chwalił się, że ma nieprzeciętną siłę i kiedyś na dowód tego chwycił ojca pod boki i podniósł do góry. A przecież ojciec, nie ułomek, ważył wtedy około 80 kilogramów. Innego znów dnia przyszedł do ojca nieco podchmielony, żeby pochwalić się nowo nabytym browniingiem. „Mówię radcy, jak cacko strzela! Chce radca zobaczyć?”. Ojciec odpycha jego rękę, bo ten celuje mu prosto w brzuch, i woła: „Na miłość Boską, zostawcież, magister, tę zabawę, bo będzie nieszczęście!”. Przyjrzał się ojcu i odsunął od niego z wielkim spokojem, celując w olbrzymi balon ze spirytusem. „Sąsiedzie! Dajcie wy spokój – woła ojciec – tylko strata będzie!”. A on na to: „Coś, radca, z konia spadł, przecież nie nabity!”. „No to celuj pan do tego pustego” – mówi ojciec. „Dobrze, wszystko mi jedno”. Jak nie huknęło, tylko szkło się posypało... Ojciec przysiadł z wrażenia, subiekci się zbiegli, a magister wytrzeźwiał natychmiast i, przepraszając ojca, blady, pocałował go w rękę. Odprowadził go ojciec na piętro do mieszkania i polecił żonie położyć go natychmiast, aby się przespał.

Bitoft był porywczy, o czym świadczy następujący incydent. Moszek Kaczka przywoził dla Bitoftów z zagranicy potrzebne sprawunki. Kiedyś była afera na całą Włoszczowę!

Otóż pani Bitoft zapadła na śpiączkę i pomimo różnych zabiegów lekarskich spała przez dwa tygodnie. Pewnego dnia wstała całkiem przytomna, jakby po dobrze przespanej nocy. Pan Bitoft narobił szumu. Skąd, jaka przyczyna tej choroby?! Okazało się, że Moszek Kaczka przywiózł zamówione futro z tygrysa i ono spowodowało tę chorobę. Dziewczyna służąca u Bitoftów była bardzo do pani przywiązana. Dowiedziawszy się, w czym leży przyczyna „choroby”, rozwścieczona zwinęła futro i wrzuciła je do płonącego chlebowego pieca. Kiedy pan Bitoft usłyszał o tym, mało myśląc, złapał dziewczynę za kark i otworzywszy drzwi, zrzucił ją ze schodów. Ta spadając, zahaczyła kokiem o balustradę i po prostu oskalpowała się. Taką, zlaną krwią, zastali ludzie na podeście. Zrobił się zaraz harmider i płacz. Zbiegł wreszcie ze schodów sam Bitoft i złapał się za serce. Dziewczynę zabrała konna karetka. Leżała długo: była oszpecona na całe życie. Zawsze już nosiła na głowie chusteczkę. Od Bitofta zażądała odszkodowania. Spokorniał pan magister i już nigdy nie unosił się gniewem wobec służby.

W pakamerze u Bitofta był chłopak do pomocy, pigularz. Tłukł w moździerz różne proszki, mełł coś w młynku i smarował bandażę maścią karbolową, dobrą na rany dla ludzi i zwierząt. Zaprzyjaźnił się z subiektami ze sklepu ojca. W wolnej chwili gawędzili ze sobą w wielkiej sieni. Ale niech tylko



usłyszeli Bitofta, rozlatywali się jak stado wróbli. Kiedyś przysłano pigularza do mojego ojca po cukier puder, sól warzoną i sodę oczyszczoną. Ojciec pyta, do czego to im potrzebne? A chłopak na to: „Pan magister robi z tego proszki „kogutki” od bólu głowy, tylko jeszcze dodaje kofeinę”.

Uśmieł się ojciec i opowiedział o tym z kolei swojemu siostrzeńcowi, Michałowi Wierusz-Kowalskiemu, który we Włoszczowie prowadził aptekę i także wyrabiał „kogutki”. U Bitofta składniki były najprostsze i przez to najtańsze, ale czy odnosiły zamierzony skutek? Chyba że wiara uzdrawia. Była tam też dla kobiet wiejskich maść „serdeczno-maciczna” i „ocet siedmiu złodziei”. Drogeria Bitofta zaspokajała potrzeby przeważnie ludzi wiejskich.

A Michaś Kowalski, tak go u nas nazywaliśmy, młody farmaceuta, wesóły człowiek, lubił po pracy mieć zabawę. Więc kiedy tylko zamknął budę, hulaj dusza! Randki, spacer, potem preferans do późna w nocy u kolegów lub w pakamerze za apteką, gdzie w obłokach cygarowego dymu można było w dodatku wypić „naparsteczek”, bo spirytus pod ręką, a i sok malinowy również. Chętny do psot, lubił się przekomarzać. Przychodzi Żyd z receptą dla swojej żony i po odebraniu leku pyta: „Panie pryncypał, jak ona, niby moja żona, ma to wąższcz?”. A on na to: „Trzy razy dziennie po cztery razy”. Żyd kłania się nisko, dziękuje, wreszcie wychodzi. A oni obserwują go przez okno wystawowe i łamią się ze śmiechu. Wraca wreszcie i od progu przeprosza, drapiąc się po brodzie i mówiąc, że całkiem zapomniał, a żona taka przecież chora. Michał tym razem udawał zniecierpliwienie i krzyczał: „Mówiłem, trzy razy dziennie po cztery razy!”. Żyd z powątpiewaniem potrząsał głową i wychodził już na dobre. Śmiali się podobno do łez, a ja, mała dziewczynka, dziwiłam się bardzo, że wcale nie mieli wyrzutów sumienia.

## Włoszczowscy Żydzi

Motyl Kaczka, właściciel kamienicy, zachodził często do sklepu ojca i wybierał należność za czynsz towarem. Zamawiał świeżą salami, czekał na szynkę z Baranowicz, kawior amurski czy astrachański i ser szwajcarski lub litewski. Pomarańcze brał skrzynkami, jak również prasowane kandyzowane owoce: figi i daktyle, i ogromną ilość czekolad. To mu trzeba oddać, że pomimo dobrobytu nigdy nie zapominał o biednych współbraciach Żydach. Przewodniczył w kahale, gminie żydowskiej, przez co miał możliwość udzielania pomocy tym najbiedniejszym i chorym. Płacił za ich pobyt w sanatoriach i szpitalach. W mieście założył cheder, szkołę wyznaniową dla chłopców, gdzie pod okiem nauczycieli poznawali Talmud i język hebrajski. Prócz tego uczyli się śpiewów religijnych.

Żydzi nazywali Kaczkę ojcem miasta. Przy chederze była przybudówka, gdzie jedyny wyznaczony Żyd w mieście zarzynał drób według rytuału. Drób przynosiły Żydówki. Raz w tygodniu Żyd ten zabijał również cielęta, z których tylko przodek był koszerne, dozwolony do spożycia, pośladek zaś był „trefny” i tę część cielaka Żyd sprzedawał gojom, czyli Polakom. Co było ciekawe – gęś czy kurę zarzynał jednym pociągnięciem noża. Jeśli nie zabił, sztukę za bezcen sprzedawano ubogim katolikom, którzy tylko na to czekali. To samo było, jeśli w gardle kury został kłosek lub słomka, taka kura też się nie nadawała do spożycia. Podobnie było z jajkiem. Jeśli był w nim czerwony załazek – Żydzi już takiego nie jedli. Wszelkie mięsiwo, nasolone do pieczenia, musiało leżeć przez całą noc na pochylonej brytfannie z dziobkiem, którym spływała wszystka krew.

Żydówki nie gotowały w sobotę, bo był szabas – święto. Przygotowywały więc pokarm w piątek. Wkładały go do pieca chlebowego i zalepiały drzwiczki gliną lub chlebem. Otwierały je w dzień szabasu. Przygotowany pokarm był gorący.

Obowiązkowo była ryba, najczęściej przygotowana żydowskim sposobem, na słodko, z rodzynkami i w galarecie. Biedni zadowalali się śledziem z cebulą. Musiała być koniecznie podana do kolacji wódka, pejsachówka na spirytusie, a na deser biszkopt jajeczny. Zdarzało się, że niejednego biedaka nie było stać na wódkę, wtedy szedł do bogatszego i mówił: „Słuchaj, nie będę dziś miał pejsachówki”, a tamten bez słowa dawał buteleczkę, mówiąc: „Jak będziesz miał, to mi oddasz”. Najczęściej długu nie oddawano, nikt nie miał o to pretensji.

Pośrodku miasta znajdowała się synagoga, czyli bóżnica. W ciągu całego tygodnia mieli wstęp tutaj tylko mężczyźni, w soboty zaś szły i Żydówki w swoich pięknych atłasowych czy aksamitnych czarnych sukniach. Na głowach i plecach duże koronkowe szale dopełniały całości. Stare Żydówki miały głowy ogolone i nosiły peruki z plecionką z przodu, imitującą kok nad czołem. W piątek była

obowiązkowa mykwa, łaźnia rytualna, gdzie się kąpały same kobiety.

Kiedyś poszłam do bóżnicy z innymi takimi smarkulami jak ja. Widziałam wnętrze. Na środku wielki „tron-ołtarz”, nad którym były umieszczone dwie tablice z dziesięciorgiem przykazań, wiele żyrandoli i świeczników. Naokoło krużganek dla chóru. Przy wejściu myjnia do mycia rąk, z której zużyta woda wypływała na zewnątrz bóżnicy. Wypędzono nas wtedy.

Miasto miało swojego rabina. Był tylko jeden na wiele kahałów i ten, od czasu do czasu, przyjeżdżał z Radoszyc do Włoszczowy. Był bardzo przystojny, z długą brodą i pejsami. Chodził w brązowym aksamitnym płaszczu, przepasany sznurem, i w wysokim kapeluszu tegoż koloru, a w zimie w futrzanej czapie i futrze. Wyglądał groźnie, gdy tak patrzył na nas czarnymi jak smoła oczyma. Bałyśmy się go. Rabin to Żyd mędrzec, cudotwórca, który udzielał porad wyznawcom Jahwe, prawy i sprawiedliwy. Po nabożeństwach udawał się nad staw w otoczeniu orszaku złożonego z takich samych brodatych Izraelitów. Na wodzie ustawiony był drewniany domek, do którego schodził po schodach i tam się kąpał, oczywiście, kiedy było ciepło. Po nim wchodzili po kolei inni i kąpali się w tej świętej wodzie, co również należało do rytuału.

W środku rynku Włoszczowy był sklep Żyda Fiszofa. Rodzina Fiszofów należała do bardzo szlachetnych i dobrych ludzi. Stary był kaleką. W pogodne dni siedział przed sklepem w wygodnym karle, coś czytał, modlił się. Syn jego, Chaim, młody, emancypowany, miał około dwudziestu pięciu lat, był przystojny i elegancko ubrany. Zajmował w synagodze stanowisko kantora. Ileż to razy, będąc u nich w sklepie, słyszałam, jak w mieszkaniu śpiewał – uczył się. Ach, cóż to był za głos. Silny, czysty i pełen aksamitnych tonów! Melodie były tak żałosne i łzawe, że aż za serce chwytało. Miał dwie siostry: dorosła, nauczycielka w polskiej szkole, do której również i Żydówki chodziły, nosiła imię Estera. Była poważna i bardzo ładna. Młodsza, Sulamitka, również śliczna, o błękitnych oczach i złotych kręconych włoskach. Matka ich, zacna kobieta, cicha, o pogodnej twarzy, była wiecznie zmarznięta, aż sina. Dłonie trzymała zawsze w rękawach grubego swetra, bo drzwi od sklepu były wiecznie otwarte. Lubiła, kiedy przychodziłyśmy z mamą do sklepu po pończochy, nici, tasiemki i różne drobiazgi. Na Boże Narodzenie dostałam od niej całą zastawę porcelanową ze złoceniami, dla lalek, na dużej, również porcelanowej tacy. Maciupęńkie filiżaneczki, talerzyki, dzbanuszki i czajniczek. Byłam z tego prezentu bardzo zadowolona, bawiłam się później z koleżankami w przyjęcia. Innym razem ofiarowała mi kuchenkę z garnuszkami i maleńkim mosiężnym moździerzem. Tłukłam w nim na lalkowe przyjęcia laskowe orzechy obrane z łupinki, rozkruszone posypywałam cukrem. To była pycha!

## Pachciarz we dworze Niemojewskich na Podzamczu

Moszek Kaczka był ojcem Motyla, w którego kamienicy mieliśmy sklep. Funkcja pachciarza była bardzo trudna, wymagała bowiem ślepego posłuszeństwa, wykonywania najrozmaitszych posług, zaopatrywania dworskiej kuchni i nie tylko. Moszek jeździł również za granicę, ale już na własną rękę. Przywoził same specjały: bakalie, owoce, również materiały, damskie drobiazgi, nawet futra. Jeździł więc do Wiednia po suknie balowe, z wypisanymi w notesie detalami, wymiarami i starał się bardzo, aby wszystkim dogodzić.

Z Moskwy szły buciki safianowe, buty dla pana do polowania, futrzane narzutki i etole, no i bakalie wschodnie niesłychanie smaczne, nie mówiąc o kuchennych przyprawach i korzeniach: imbirze, badianie do ciast, laskach cynamonowych i waniliowych. W olbrzymich pudłach tureckie rachatłukum (dosłownie ukojenie gardła, bo była to słodkokwaśna masa owocowa z orzechami i migdałami). Chleb świętojański (były to długie strąki brązowe, podsuszone, przesłodkie. Gryzło się taki susz jak figi, ale gdzie mu tam do prawdziwego chleba!), kasztany jadalne, migdały, olbrzymie rodzynki korynckie i złote – sułtańskie.

Moszek wszędzie miał swoich agentów Żydów, którzy prowadzili handel nawet z Indiami. Sprowadzał całe bel e atlas u, kaszmiru z wełny kóz kaszmirskich i sprzedawał po dworach, robiąc na tym kokosy.

Raz w miesiącu zamykano Kaczkę w skarbcu Niemojewskich. Było to pomieszczenie w piwnicach dworu, o żelaznych drzwiach, bez okien, zamykane na sztaby. Dworscy ludzie dostarczali mu tam jedzenie i świece. Siedział dotąd, aż zrobił remanent – zsumował przychód i rozchód. A obroty były duże, majątek miał bowiem pięć tysięcy mórg, z czego większą część zajmowały lasy, wyrąbywane bezlitośnie przez kupców żydowskich, z którymi dziedzic prowadził handel. Po obliczeniu przez Moszka rachunków wszystko zgadzało się co do kopiejki i pan był rad, bo nie potrzebował sam się trudzić, a Żyd tak liczył, że i on coś na tym skorzystał.

Dziedzic Niemojewski prowadził wystawne życie, spraszał gości, urządzał przyjęcia, polował w asyście birbantów i utracjuszy. Pozwalał sobie na żarciki nie licujące z jego wysoką pozycją społeczną. Otóż, kiedy miało odbyć się polowanie – zabierał specjalnie ze sobą Moszka, żeby wobec gości zadrwić z niego i dać obecnym powód do dobrej zabawy. Po polowaniu i biesiadzie obficie zakrapianej kazał Żydowi wchodzić na drzewo. Kiedy ten z trudem się gramolił i już był w połowie, dziedzic ustawiał się z flintą i celując w Żyda, mówił: „Jak do Moszka strzelę, to niech Moszek natychmiast spada na ziemię”. Strzelał oczywiście niżej, a wtedy Żyd walił się z drzewa, naprawdę wystraszony, łamiąc po drodze gałęzie. Panowie zaśmiewali się z pierwszorzędnego żartu, klepali leżącego jeszcze na

ziemi i płacili mu złotem.

Moszek, chociaż w poniewierce i wystawiany na kpiny, bogacił się szybko, służąc przy dworze. Toteż w pobliskiej Włoszczowie, mieścinie na wskroś żydowskiej, postawił młyn parowy, z którego płynęły wielkie dochody.

## Edukacja Maniusi. Spotkanie z Marszałkiem

Prawdziwe dziecięce lata Maniusi minęły, trzeba było iść do szkoły. Miałam wtedy sześć lat i zdałam „egzamin” do pierwszej klasy szkoły powszechnej. Polegał on na tym, że trzeba było narysować na tablicy linijkę odręcznie. Narysowałam równiutko i mówię: „Ja i domek umiem narysować”. „A to dobrze, spróbuj, zobaczę” – mówi pani Ziuta i daje mi kolorowe kredy. Trwało to chwilę. Skończyłam. „No, piękny domek ci wyszedł!” – mówi pani, a było co oglądać. Miał bowiem dwa okienka z firankami i doniczkami czerwonych kwiatów, drzwi z olbrzymią klamką, a z komina szedł w niebieściutkie niebo równy dymek. Wszystko otoczone płotkiem, za nim owocowe drzewa z czerwonymi jabłuszkami. Zostałam pochwalona i tym sposobem znalazłam się w szkole. Tymczasem w kraju wiele się zmieniło. Kiedy w 1919 roku generał Haller zebrał wojska polskie rozproszone po całej Europie, powstała stutysięczna armia, która pod jego dowództwem wkroczyła do Polski. Piłsudski czynny, w ciągłym ruchu, przemierzał kraj wszerz i wzdłuż.

Kiedyś, a było to latem 1922 roku, miał przejeżdżać przez Włoszczowę. Zorganizowano więc przyjęcie na miarę możliwości małego miasteczka. Była orkiestra straży ogniowej, dzieci szkolne, harcerze, tłum ciekawskich i wielbiciel Marszałka. Żar dosłownie lał się z nieba.

Kapelmistrz w odpiętym i przekrzywionym na bakier hełmie ocierał pot z czoła i pokazywał na podniesiony semafor zapowiadający rychły przyjazd pociągu z Gościem. Kapelmistrz dyszał z powodu olbrzymiego brzucha, „w cywilu” bowiem był właścicielem restauracji III kategorii. Prezentował się groteskowo w przyciasnym mundurze i białych nicianych rękawiczkach na rozczapierzonych palcach. Ustawiał, przestawiał i kierował tłumem. Bardzo zdenerwowany pokrzykiwał dyszkantem. Kiedy pociąg wolniutko wjechał na peron – wskoczył na podstawioną beczkę i znów rozczapierzył serdelkowate palce. Ażeby przekrzyczeć wiwatujący, oszalały tłum, zapiszczał z wysiłku: „Publika cfanąć się, orgiezdra naprzód!” – i wykonał odpowiednie ruchy rękami.

Tłum w wielkim podnieceniu zakołysał się i pojedyncze osoby pobiegły „na wyprzódki” w stronę wagonu, który zatrzymał się na wprost nas. W drzwiach ukazał się sam Komendant. Na dany znak orkiestra huknęła: *Legiony to...* Szybko rozwinięto czerwony dywan aż do stopni wagonu i za moment już kroczył po nim uśmiechnięty i pewnie nieco ogłuszony wiwatowaniem i fałszywym rykiem wielkich mosiężnych trąb. I oto stanął przed nami nasz ukochany Marszałek.

Wtedy wypchnięto z szeregu małą Maniusię Stępkowską. Ubrana w czerwony płaszczyk i także filcowy kapelusik z białym pomponem dygnęła, trzymając oburącz ogromny bukiet biało-czerwonych róż. Powiedziała jakiś wierszyk, czego nikt prócz niego nie słyszał. I za moment znalazła się wysoko

ponad głowami – podniesiona do góry. Uśmiechnął się i pocałował w oba policzki, drapiąc sumiastymi wąsami. Wiwatowano, krzyczano, przemawiano, a ja się w końcu rozplakałam, jak to ja.

Marszałek wsiadł na powrót do wagonu i odjechał. Rozgorączkowanie opadło. W pamięci małej dziewczynki została na zawsze dobra jego twarz, siwe oczy przysłonięte krzaczastymi brwiami, orli nos i sumiaste wąsy. Kiedy byłam starsza, rysowałam nieraz na jakąś akademię jego profil, a tak był udany, że znajomi z podziwem patrzyli na mnie.

## Szkoła podstawowa

Jak sięgnę pamięcią, nie było w miasteczku żadnego gmachu, gdzie mogłaby pomieścić się szkoła powszechna – tak dawniej mówiono na dzisiejszą podstawową. A przecież było to spore miasto i dzieci przybywało. Można było to zauważyć w Boże Ciało, kiedy postrojone mieszczki prowadziły do kościoła swoje wyfiokowane pociechy z koszyczkami kwiatów, uwieszonymi na szyi. Staraniem gminy na urządzenie klas wynajmowane były pomieszczenia w mieszkaniach zamożniejszych obywateli.

Mnie do szkoły odprowadzała służąca. Pamiętam – pierwsza klasa była u Skopińskich na ulicy Kurzelowskiej, druga u Plebanka gdzieś w bocznej uliczce, następne klasy u pani Bilskiej, u Orlikowskich, Dunajewskich i kto by jeszcze zliczył te pokoiki duszne, gdzie nieraz siedziało po trzydzieścioro dzieci.

Zimą marzliśmy niesłychanie. Dzieci siedziały owinięte w szale, chustki i w czapkach na głowach. Piece kaflowe nie dawały dosyć ciepła. Z braku szatni, w cieplejsze dni na bocznym stole leżały stosy okryć najprzeróżniejszych, począwszy od zapasek, po brudne kubraki i kapoty.

Pani Józefa Pakleza, ucząca mnie w pierwszej klasie, wieszała moją szubę na jakimś gwoździu, ale kiedy trzeba się było ubierać po lekcji, ani rusz nie mogliśmy ze służącą znaleźć ciepłych botków, które zakładało się na buciki. To chłopaki tak psocili, że nieraz wisiały one albo na tablicy, albo były porzucone przed sienią. Każdy chciał spróbować, jak się to w takich chodzi. Albo kalosze. To był atrybut mody nieznanym w tym miasteczku „zabitym deskami”.

Mama, zdenerwowana takim stanem rzeczy, odebrała mnie ze szkoły i odtąd pani Józefa przychodziła na lekcje do nas do domu. Tęskniłam jednak za dziećmi i tym chętniej bawiłam się z Jurkiem Olszewskim, wychowankiem rejenta Czekańskiego. Dopiero kiedy stanęła dwupiętrowa szkoła w środku miasta, posyłano mnie do niej, ale to już były klasy: piąta, szósta i siódma. Uczyła mnie tu panna Grębska z Krakowa. Nigdy nie wyszła za mąż, choć pewnie bardzo tego chciała. Była przecież zadbana i naprawdę ładna. W naszej szkole puszyła się urodą i strojem. Ojciec jej był w miasteczku poborcą podatkowym, dlatego znał się z moim ojcem.

Panna Grębska miała śliczny głos. Uczyła nas śpiewu. Prócz tego prowadziła inne zajęcia lekcyjne. Słyszac jej piękny śpiew w kościele, tata postanowił zaprosić ją do nas na podwieczorek. Zawiązała się bliższa znajomość. Podczas podwieczorków zawsze nastawialiśmy patefon. Były u nas trzy duże pudła z płytami. Łatwo się tłukły, więc trzeba było bardzo uważać, aby nie napytać sobie biedy, bo tata wtedy wychodził z siebie. Kiedy potłukła się płyta, długo klęczał, składając ją na podłogę, i przemawiał zbolalym głosem do pani Korolewicz-Waydowej, bo to była płyta nagrana przez nią. Żal nam go było. Nie



znaliśmy jeszcze takiego uczucia do ukochanej melodii. Całowałyśmy ojca, klęcząc obok i beczaliśmy obydwie nad wielką stratą.

Na płytach były znane arie operowe, które ojciec umiał na pamięć. Często świstał sobie cichutko przy goleniu.

Gdy w czasie studiów mieszkał przez parę lat u stryja Stefana Stępkowskiego w Warszawie, był stałym bywalcem na premierach. Nic więc dziwnego, że później, będąc w Warszawie, kupował znane i coraz to nowe płyty. Dbał o nie bardzo. Nie było wtedy igieł do patefonu, tylko końcówka z diamentem włożonym do membrany, którą nastawiało się od środka płyty (nie tak jak teraz od zewnątrz).

No i zdomowiła się u nas panna Grębska aż do przesytu. Tak że wreszcie mama miała jej dość, nie mówiąc o nas. Zawsze wyperfumowana, szastała różem ponad miarę. Lubiła dobrze zjeść i nie uznawała liczenia się z czasem. Nieraz wychodziła od nas późno w nocy. Jak z tym skończyć – medytowaliśmy wszyscy. Przecież jej ojciec był „piłą” w Izbie Skarbowej, której ze względu na sklep nie można się było narazić.

Aż tu pewnego razu nasz mądry ojciec wpadł na iście genialny pomysł. Po prostu nakręcił sprężynę w patefonie aż do oporu, jeszcze raz zakręcił silnie, aż pękła. Panna Grębska dostała spazmów. Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy wreszcie sobie poszła. Nie było dnia, żeby nie spytała mnie w szkole, czy już sprężyna naprawiona. Ale ja musiałam powtarzać, że tu nikt nie podejmuje się zreperować, trzeba jechać do Warszawy. I tak się to wlokło aż do końca roku szkolnego, kiedy to pana Grębskiego przenieśli z Włoszczowy, a wraz z nim jego dwie panie – żonę i umuzykalnioną córkę. Kamień spadł nam wszystkim z serca.

## Imieniny kierownika szkoły

Na różne szkolne uroczystości uczyliśmy się wierszy z małej, zniszczonej książeczki, która kursowała latami po szkole, chyba od początku jej istnienia. Wiersze były bez polotu, pisane chyba przez jakiegoś domorosłego poetę, pełne błędów i „częstochowskich” rymów. Wyraźnie nam się nie podobały. Pod koniec roku szkolnego przed imieninami kierownika wzięłam się na sposób. W Boczkowicach przebywał na wakacjach kuzyn, Stanisław Braun, który w wolnych chwilach parał się również poezją. Zapukałam do jego serca i uprosiłam, żeby nam taki wiersz sprokurował. I udało się. „Życzę ci, drogi panie, w dniu twego imienia – wszystkiego, co na świecie dobre, piękne, jasne. A więc radości życia, która opromieni twe serce – chociaż inne radości przygasną. Życzę ci powodzenia, szacunku u ludzi i wiele serc oddanych w każdej życia porze. I niech ci dopomoże w twym codziennym trudzie i w każdym poczynaniu – Bóg, co wszystko może”.

Był więc wiersz! Mądry, z sercem i z Bogiem – takiego nam było trzeba. Miałam mówić ja, zresztą nauczyłam się go tego samego dnia, tak mi się podobał.

Brak nam było tylko świerkowych gałązek do udekorowania sali. Wybrałyśmy się więc w czwórkę, wszystkie takie smarkate jak ja, „na Belinę”, do lasu oddalonego od centrum Włoszczowy o jakieś 4-5 kilometrów.

Zostawiłyśmy książki pod opieką syna woźnego Jasa, który łąził za mną, bo mu się podobałam, i kiedyś nawet przyniósł mi bukiet czerwonych róż. Później okazało się, że to były róże z naszego ogrodu. Chłopiec ten miał podwójne szczęki – tak u góry, jak i na dole. Nie mógł podobno ugryźć kromki chleba, tylko ją rwał palcami na kawałki i wrzucał do ust. Strasznie to wyglądało, kiedy na pauzie stawał przede mną i szczerzył w uśmiechu te cztery szczęki, mówiąc coś, czego zrozumieć nie byłam w stanie. Mówili ludzie, że to „strzyga”, ale co to za stwór, nie wiedziałam długo.

Szło się nam różnie, cały czas szosą, chociaż upał doskwierał niemiłosierny, a na niebie ni chmurki. Zawsze byłam wrażliwa na dalekie spacer, bolała mnie później głowa i dochodziło aż do torsji. A tu żar lał się z góry, goła głowa i granatowy mundurek z czarnym alpakowym fartuszkiem.

Na Belinie był las sosnowy, dużo jałowca i ani śladu świerka. „Wiecie co, idziemy na stację kolejową, trzeba nam skrócić w prawo, dojdziemy za godzinę, może tam będzie świerczyna” – mówi koleżanka. Każda z nas była głodna, nogi zaczęły boleć i ta duchota nie do wytrzymania, ale cóż, idziemy dalej. Jedna z koleżanek miała zegarek – wskazywał godzinę piątą. Pomyślałam o mamie i babci Urszuli, o schowanym do ciepłego piecyka obiedzie, który tam na mnie czeka, i zrobiło mi się słabo z głodu. Stacji nie widać, pociągów nie słyhać, ogarnęła nas czarna rozpacz. Ale przecież z lasu wyjść trzeba. Po godzinnej

wędrowce, daleko, daleko, odezwał się gwizd lokomotywy i głuchy stukot pociągu. Nabraliśmy otuchy, nogi same niosły.

W tym momencie jednak usłyszałyśmy dalekie grzmoty i serca nam zadrzały, a tu las się nie kończy. Nagle chmury przysłoniły słońce, poszarzało i ruszył się wiatr. Modlimy się, aby tylko do stacji. Cóż, kiedy nie da rady, bo już padają pierwsze krople i wiatr się wzmacnia. Wreszcie jakoś las się przerzedził i ukazało się pole ziemniaczane. Nad nami zawisła ciężka, czarna chmura. Błyskawice oślepiają, przewalają się grzmoty. Wiedziona instynktem, a może nauczona w Boczkowicach, aby nie chronić się nigdy pod drzewa, mówię: „Kładziemy się w ziemniakach, tu będzie najbezpieczniej” – zresztą, nie było mowy o jakiegokolwiek ucieczce ani schronieniu. Czeluście niebieskie rozwarły się i lunął wprost potok, a za chwilę grad wielkości wiśni. Leżałyśmy na brzuchach, nieprzytomne ze strachu, bite po głowach kulkami lodu, woda wypełniła bruzdy ziemniaczane. Może dla mnie było to zbawienne, bo bolała mnie silnie głowa, tak że ten lodowy okład według metody księdza Kneippa pewnie mi pomógł.

Przewalały się jeszcze nad nami pioruny i zdawało się nam, jakby chmura znów wracała. Zrobiło się ciemno, wiatr trochę ustał i deszcz zaczął padać równo. Podniosłyśmy się z tej kąpieli, ale jak wyglądałyśmy, trudno opowiedzieć. Teraz tylko kierujemy się „na głos” manewrującego pociągu. Wreszcie dowlokłyśmy się wyczerpane, niejedna popłakiwała, bo zrobiło się zimno, sukienki poprzyklepane do ciała, w pantoflach błoto.

Przed budynkiem stacyjnym zobaczył nas jakiś stary dozorca i spytał, co tu robimy. Opowiadałyśmy wszystkie naraz, przyjrzał nam się i kazał usiąść w poczekalni. Przyszedł dyżurny ruchu i tylko pokiwał nad nami głową. „Macie szczęście – powiedział – że jeszcze ostatni pociąg z Częstochowy przyjedzie, będą po pasażerów dorożki, to się zabierzecie”. Nie chcę opisywać szczegółów, reakcji rodziców ani kąpieli i tego błędnego leżenia w czystej pościeli, wśród łez szczęścia.

Na drugi dzień oczywiście nie poszłam do szkoły, bo rozchorowałam się na hiszpankę, chorobę bardzo niebezpieczną, z temperaturą. Powinnam dostać „na pokładankę”, należało mi się.

Dobry pan Ziemiński, felczer, którego córka Marysia też z nami była, przyszedł na prośbę mamy, postawił bańki, dał miksturę i kazał leżeć z tydzień co najmniej. Świadectwo do piątej klasy przyniósł mi razem z tornistrem czteroszczęki Broniek Jas. Pchał się do pokoju w odwiedzinach, ale mama dała mu jakieś złotówki, coś słodkiego i popchnęła z lekka w stronę wyjścia.

Tak więc nie zadeklamowałam imieninowego wiersza. Za to Anusia pod koniec lipca nauczyła się innego, który powiedziała podczas uroczystości z okazji imienin Prezydenta Ignacego Mościckiego.

Hymn o Panu Prezydencie

Nie w purpurze ani w złocie, ale w szarej, skromnej szacie

równy jesteś naszym dawnym  
sławnym królom w majestacie.

Z woli naszej rządysz nami, przyrzekamy Ci więc święcie – wierną służbę  
dla Ojczyzny, miły Panie Prezydencie.

Jakie proste były te życzenia i obietnice – a przecież tak wiele mówiące.

## Bal

Pewnego dnia przyszła mama ze spaceru jakaś poruszona, szukała czegoś w szafach, wyciągała suknie, kapelusze. Ojciec przysiadł na zarzuconej strojami kanapie i pyta: „Czego ty szukasz, Waluniu, czy ci coś zginęło?”. Mama podeszła do niego zdesperowana i mówi: „Widzisz, nie wiem, jak ci o tym powiedzieć, ale ma być bal na sylwestra, a ja nie mam nic nowego. Szukałam, ale to wszystko stare, niemodne, a tak bym chciała pokazać się z tobą i dobrze wyglądać”. „Nie martw się, rybeńko – rzekł ojciec, przyciągając ją do siebie. – Znajdziemy na to radę. Słyszałem, że akurat Kaczka jedzie do Wiednia. Kupimy coś ładnego i będziesz ubrana jak żadna kobieta na balu, mój ty aniele”. Mama szczęśliwa zarzuciła mu ręce na szyję i tak siedząc mu na kolanach, zaczęła na palcach wyliczać te nagłe potrzeby i przeróżne dodatki konieczne do stroju. Kaczka dostał zamówienie i wyjechał.

Widziałyśmy obydwie z Aniusią, że mama jest niespokojna i jakaś wyczekująca.

Za dwa tygodnie wraca Żyd i przynosi do domu dwa duże pudła z wiedeńskiej firmy, a jedno okrągłe. Była akurat kolacja, ale nikt jej nie tknął. Wszyscy otoczyliśmy mamę, która nie pozwoliła nam niczego dotknąć i sama, drżącą ręką, rozsypywała sznurki. Boże, czego tam nie było! Na wierzchu pięknie ułożona suknia taftowa koloru starego złota z dużym kołnierzem z gipiury w kolorze kości słoniowej. Na niej długie do łokcia rękawiczki w takimże kolorze, ażurowe pończoszki i złoto-brązowe pantofelki. W drugim pudle suta jedwabna halka do pasa i gorset na fiszbinach, a w okrągłym pudle kapelusz panama z pękiem laków (sztucznych kwiatów brązowo-złotych) i wachlarz. Kiedy na prośbę taty ubrała się w te cudenka, wzbudziła w nas zachwyt i podziw, tak była elegancka, zgrabna i prawie obca. Z wypiekami na twarzy dziękowała ojcu, a ten, siedząc w fotelu, patrzył na nią z radością i dumą, mówiąc: „A co, Waluniu, postarałem się, co?” – i znów przyciągnął ją do siebie. Kochał ją bardzo przez całe życie i podobała mu się jak żadna inna.

Do zapowiedzianego balu zostało zaledwie kilka dni, a że był składkowy, trzeba było pomyśleć o pieczeniu ciast i zakąskach. Do tego wszystkiego został zrobiony wspaniały bigos i powędrował w dniu sylwestrowym w wielkim kotle wraz z półmiskami, kloszami ciast i zakąsek na zaplecze sali balowej. Rodzice wyszli z domu o dziewiątej wieczorem, a kiedy wrócili – nie wiem, bośmy spały.

Na drugi dzień, kiedy się tylko mama obudziła, obskoczyłyśmy ją obie, dopraszając się, żeby nam opowiedziała, jak się bawiła. Śmiała się i chyba była bardzo zadowolona, a tata mówił: „Wasza mama była najpiękniejsza i ślicznie tańczyła”. Opowiadaniom i pytaniom nie było końca. Pokazała nam wachlarz, na którym, wedle dawnego zwyczaju, zapisywali się panowie jak w karnecie na

kolejne tańce. Pewien młody zakochany człowiek napisał tak: „Rad bym Wałę pojąć, rad bym z całej duszy”. Na to mama odpisała obok: „Rada by dusza do rajy...”. W taki to sposób młodzi porozumiewali się dawniej. Na balu był również pan Zdziennicki, potentat ziemski, który też admirował mamę. Czasem przychodził na preferansa, ale niewiele uwagi zwracał na karty, tylko był wpatrzony w mamę i zawsze wychodził przegrany.

Rozśmieszyło nas opowiadanie mamy o pewnej nauczycielce, leciwej damie i niebywale roztrzepanej. Otóż owa od roku wdówka durzyła się w naczelniku poczty i chciała się koniecznie wydać za niego za męża. Przystojny ten mężczyzna i dużo młodszy od niej opędzał się jak od uprzykrzonej muchy, cóż, kiedy zapraszała, gościła, a że był kawalerem i smakoszem, chętnie przyjmował zaproszenia. Przez żołądek do serca – jak dawniej mawiano.

Podczas tego sylwestra jeszcze całkiem haczyka nie połknął, ale molestowany przez panią Halinę, poszedł z nią na bal. Jednak pewien incydent odstręczył go na długo od uwodzicielki.

Pani Halina była maleńka, po prostu filigranowa, ale niebrzydka. Na balu rada była tańczyć tylko z ukochanym, ale podczas zmiany tancerzy ktoś niefortunnie nadepnął na ogon jej sukni. Pani Halina krzyknęła i padła do tyłu. Suknia robiona na łapu-capu, podpięta tylko fastrygą, a gdzieś tam nawet szpilkami, została oderwana od stanika, a że jedwabna, zsunęła się miękko do stóp. Ale mało tego. Nieszczęsna kobieta padając na posadzkę, uderza o nią głową i w tym momencie – rzecz straszna – sztuczna szczęka wypada jej z ust. Cóż za upokorzenie na całej linii! Ci, co byli bliżej, długo opowiadali o tym wydarzeniu, dorzucając, co kto tylko chciał, dość że suchej nitki nie zostawiono na kobiecie.

Długo biedna przeżywała ten wypadek, nie pokazywała się ludziom na oczy – chora i zszokowana. Aż zlitował się naczelnik i poszedł ją pocieszać. Doszło widocznie do porozumienia, zapomnienia, i w niedługim czasie usłyszeliśmy o mającym się odbyć ślubie.

## Boże Ciało w Gruszczyńce

Z panem Olgierdem Zamayskim, herbu Kierdey, i jego żoną Heleną rodzice moi żyli w wielkiej przyjaźni. Majątek Gruszczyńca był położony koło wsi i stacji Żelisławice, leżącej na trasie Częstochowa-Kielce. Dobra, orna ziemia pierwszej klasy dawała obfite plony pszenicy, buraków cukrowych i wszelkich warzyw.

Bardzo lubimy jeździć z Anusią do państwa Zamayskich, widzę, że i tata cieszy się na myśl o jutrzejszym wyjeździe.

Już od rana poszła w ruch binda z fiksatuarem na wąsy, kąpanie. Że to już ciepło, przegląda tata tabaczkowy tużurek wraz z piękną kamizelką w migdałowym kolorze ze złotą starą dewizką i zegarkiem w bocznej kieszonce. Każę służącej odświeżyć i odprasować spodnie. Po myciu wkłada bielutką nansukową koszulę, do której spinką przyłącza z tyłu wysoki, sztywny kołnierzyk, który nazywał: „Vatermörder” – ojcobójca, przez dziurki zaś z przodu przeciąga łańcuszek złoty zakończony gwiazdkami z granatów. W mankiety wkłada także spinki od garnituru. Zawsze lubiłam się przyglądać tym wyjątkowo trudnym czynnościom. Teraz spodnie z zaprasowanymi kantami, wiązanie szerokiego krawata pod kolor i przebijanie go igłą z podkówką również z granatów. Wreszcie idzie tużurek, w którym mu tak do twarzy, i na koniec migdałowa wypustka do butonierki. Teraz dopiero zdejmuję bindę, polem jeden rzut oka w odpowiednio nastawione trzy lustra toalety. Widocznie jest zadowolony, bo muska wąsy i coś tam pogwizduje. Jeszcze refresziser z dobrą francuską wodą i tak, cały wyświeżony i uśmiechnięty, idzie mój śliczny ojciec zaprezentować się żonie.

A ta, kochana, siedzi jeszcze w peniuarze przed lustrem i przypieka loczki rurkami, grzejącymi się nad maszynką spirytusową, potem smaruje twarz i ręce kremem „Hazelit” Spiessa, kładzie leciutki róż na policzki – i dziewczyna podaje suknię. Wnet ubrana staje przed lustrem, sprawdza, okręca się na wysokich korkach przy białych sznurowanych bucikach. Jeszcze lorgnon wkłada do bocznej kieszonki sukni i zawiesza je na szyi na długim łańcuszku. Na koniec sznur pereł i perfumy Coty’ego za uszy. Oczy jej błyszczą. Robi parę kroków przed ojcem i pyta: „No, jak myślisz, Wacku, dobrze wyglądam?”. Ojciec podbiega i całuje szczęśliwą w obie ręce, okręca ją dookoła i mówi: „Patrzcie, dzieci, to wasza najpiękniejsza matka. No, a teraz wy, moje panny, pokażcie mi się obie. O, warkocze proszę zapleść, jeszcze czas na fioki, loki, zresztą z warkoczami najbardziej was lubię, moje rybki”. Nie ma rady, zaplatamy włosy. Tulimy się do niego szczęśliwie, bo podróż przed nami, nowe wrażenia i dwa dni pod obcym dachem u ludzi, u których nam tak dobrze.

Ojciec patrzy na zegar, wkłada pudermantel, bo powozik już stoi pod oknem. Ostatnie dyspozycje mamy i jeszcze narzutka, a gdzie rękawiczki? Biegnie służąca z zapomnianą parasolką – bo może deszcz wypaść, jak to w Boże Ciało bywa.

Żegnamy się z babcią Urszulą, która całuje nas i robi krzyżyk na czołach. Żal jej nam, że tak zostaje sama na całe dwa dni, więc przytulamy się i całujemy jej ręce. Macha do nas ze schodów, życzy szczęśliwej podróży i trzymając swój wielki kokosowy różaniec, robi w powietrzu znak krzyża, a nam chce się płakać. Ale czy u dzieci żale długo trwają?

Wnet wjeżdżamy na Włoszczówkę. Stare lipy, pamiętające jeszcze Niemojewskich, prowadzą aleją aż do samego Podzamcza. Teraz zielenią się młodymi pędami i buchają w słońcu zapachem niewypowiedzianym. Za nimi następna aleja – kasztanowa. Listki na drzewach zakończone popielatym kutnerkiem, jeszcze w pełni nierozwinięte, wyglądają jak nieuczesane straszki. Wszystko dzisiaj nas cieszy. Wychylone i kręcące, rozglądamy się naokoło jak szczęśliwe, wypuszczone na swobodę ptaki.

Wjeżdżamy na pola. Jak okiem sięgnąć ozimina dworska. Wiatr przebiera w niej delikatnie i kołysząc falą, wydobywa w słońcu odcienie najprawdziwszego szmaragdu. W górze skowronek, stary nasz przyjaciel z Boczkowic, niknie nam w niebie. Tylko widoczny, maleńki punkcik zachłystuje się tym odwiecznym, cudownym śpiewem na chwałę Panu. Przepiórka gdzieś nawołuje, a wypłoszone stadko kuropatw – prawie spod końskich nóg drepcze i zapada w krzakach na miedzy. Chowajcie się, szare pacynki, bo pod niebem kołuje jastrząb! Niesiony ciepłym wiatrem, ledwie porusza skrzydłami. Oczy od patrzenia zachodzą łzami, a może nie od patrzenia? Maleńkie serce rozplywa się i drży jak zauroczone. Dlaczego mu smutno? Ono pewnie już takie jest i będzie.

Mijamy bosą kobietę z woreczkiem na plecach. Ojciec – jak to ojciec – dla ludzi życzliwy, mówi: „pochwalony”. „Na wieki” – odpowiada ona i chwytą się ręką za resor, bo konie wolno idą. „Co to, matko, niesiecie w tym worku?”. „A to, panie, trochę bobu. Powtykam między ziemniaki. Ziemia dobra, to i urosnie, a dzieci toto strasznie lubią”. „A dużo macie pola?” – bada ojciec. „Bieda ta, a krzynę, panie, pół staja. A dzieci nie moje, tylko siostrzane, co to łośkiego roku pomarła. Dobre dzieci, tylko małe, trza dobrze pilnować. Bliźnięta, idzie im na trzeci rok, a takie podobne jak dwie krople wody, że musowo jem tasiemki kolorowe na rączynach wiązać na rozpoznanie, któren Kuba, a któren Wojtuś. Teraz posadziłam na słońcu, na kozuchu, i Łata jeich pilnuje. O, tu już, panie, moje staje”. „No to, matko, zostańcie z Bogiem, a macie tu dla dzieci na cukierki i szczęść wam Boże w pracy”. „Bogu oddajem” – rzekła, pokłoniła się i weszła wolno między żyta. Taki to był mój ojciec, gwarzył z każdym, wypytywał się, pocieszał i grosza nigdy nie skąpił, zwłaszcza dzieciom.

Wjeżdżamy do wsi z klaskaniem kopyt końskich o kamienie. Momentalnie skądś opadają nas jak wróble umorusane bole dzieci. Wielzają się z tyłu, włożą na stopnie i wzniesają tumany kurzu. I znów ojciec, jak to ojciec, sięga do kieszeni, gdzie w przepastnych głębiach – cukierki. Wtyka w brudne, wyciągnięte ręce.



W miarę ubywania cukierków dzieci odpadają jak gruszki z drzewa. Za chwilę konie dostają po bacie i już wolni pędzimy, aż dudni, tylko nas psy gonią. Zaczyna się jakieś pole, niepole, pustkowie jałowe. Wszystko tu mdłe, porośnięte kępami janowca, niżej żółty rozchodnik na przemian z macierzanką. Ubogo, smutno. Konie wloką się pod górę, pospuszczały łby. Przez piasty kół przesypuje się szary piach.

„Patrzcie, dzieci – mówi ojciec – widzicie tam na górze ruiny klasztoru? Podczas pierwszej wojny światowej rozegrała się tu wielka bitwa. Nasi bronili się dzielnie, ale wyparci ze wsi przez dwakroć większe siły Moskali – tajnymi lochami, które ciągną się od dworu – dostali się do podziemi klasztornych. Tu już trwała zacięta walka. Moskałe łupili kościół, wymordowali broniących się braci, którzy nie mieli znikąd pomocy, i wśród dzikich wrzasków zrywali złote wota z ołtarza, wynosili kielichy, monstrancje. Kiedy nasi po wyjściu z podziemi włączyli się do walki, momentalnie zwycięstwo przechyliło się na ich stronę, Moskale bowiem nie spodziewali się z tej strony odsieczy Polaków. Najbardziej szalał dowódca moskiewski, wąsaty olbrzym, który miał na sumieniu rzeź braciszków. Teraz, w potyczce, nareszcie sam poległ od cięcia szabli. Jeden z braciszków, który w panice schronił się na wieży i w ten sposób uszedł z życiem, kiedy ustała strzelanina, a żołnierze zajęli się rannymi – zszedł z dzwonnicy i z wiatykiem wyszedł do rannych, rozdając komunię umierającym. Spod ściany usłyszał jęk. Leżał tam w kałuży krwi olbrzym, ów przywódca całego napadu. Ominął go zakonnik i nie dał mu hostii, śpiesząc z nią do swoich. Stąd legenda, że zawsze o północy wychodzi z ruin pokutujący braciszek, obchodzi z kielichem dziedziniec kościelny i z powrotem wchodzi do ruin klasztoru”.

No, wielkie to na nas zrobiło wrażenie, przytulone do mamy drżałyśmy wewnątrz i z lękiem spoglądałyśmy na wysoki fronton starego klasztoru.

A oto zakręt i jak na dłoni otoczony parkanem ogród, brama i biały dwór wśród woni akacjowego kwiatu i silnego zapachu lewkonii. Całe rabaty były nimi wysadzone, wszystkie w pełni rozkwitu, barwne, odbijały jas krawo od czarnoziemu świeżo podl anego. Jeszcze kilkanaście metrów kołowania po żwirowym zajeździe i stajemy przed gankiem.

Już tam czekają państwo, otoczeni psami. W naszą stronę biegną dzieci – szesnastoletnia Jadwiga, Wišką zwana, rówieśnica Aniusi, i Zbyszko – ośmioletni Zbilut, pupilek całej rodziny. Dzieci wyjątkowej urody – wielkopańskie dzieci. I pani starsza (tak do niej zwraca się służba), siwa, pełna powagi, ubrana w czerń matrona, okryta kaszmirowym szalem – wzbudza szacunek.

Po serdecznym powitaniu rozbieramy się w wielkim holu, myjemy w łazience, bośmy bardzo zakurzeni, i - proszeni do jadalni – zasiadamy do suto zastawionego śniadania, bo to już dziesiąta godzina. Buzie nam się nie zamykają, gadamy, śmiejemy się z byle czego i zjadamy niezliczone ilości chrupiących bułeczek z masłem jak migdał, z wędliną, serami, gomułkami i twarogiem,

w którym czerwieni się rzodkiewka, zieleni szczypior, koper i mięta, a wszystko suto posypane siekanym jajem. No, płakać i jeść – takie wszystko pyszne! Ale to nie koniec, bo wjeżdża zimne mięsiwo, dziczyzna, którą tak uwielbiam. Pocięty comber zajęczy, gęsto naszpikowany świeżą słoninką, ćwiartki kuropatw, zręcznie ułożone w piramidkę, ciemne plastry sarniny, a do tego borówki z cukrówkami. No, koniec – myślimy. Ale gdzie tam! Słodocze wypiekane przez panią, biszkopty, miodowniki, keksy i babeczki wiedeńskie. Mądra pani starsza mówi: „Dzieci, pobiegajcie sobie po ogrodzie, wróćcie, to chętnie zjecie coś słodkiego”. Nie trzeba dwa razy mówić. Jak stado wróbli wybiegamy przez ganek, wnet otoczeni psami oglądamy park, sad, kosztujemy ledwo zapłonionych czereśni. Wiśka z Aniusią wzięły się wpół i coś tam szepcą sobie na ucho i zaśmiewają się. Mnie namawia Zbilut nad stawy. Pędzę więc za nim, a mam w pamięci tamte, nasze. No, trochę zawodu; tu nieczyszczone, częściowo zarośnięte i nieregularne kształtem, za to pełno trzciny i tataraków. „Chcesz, to ci wyrwę tatarak, on tak ładnie pachnie” – mówi Zbilut. „Ty mi nie zaimponujesz tatarakiem, bo i u nas był, a czy jadłeś duszę?”. „Czyją duszę?” – pyta Zbilut. „No, tatarakową – mówię. – Tylko wyrwij cały, to ci dam ją do zjedzenia, nie będzie cię nigdy brzuch bolał”. Zdjął buciki, wszedł do wody przy brzegu i wyrwał kępkę. Zaraz też usiedliśmy i wyjęłam „duszę”, a właściwie serce, bo to jest najmniejszy listek ze środka, taki jeszcze żółciutki. Zjedliśmy go ze smakiem. „Chodź, teraz ci pokażę jedwabniki, które mama hoduje”. Zaprowadził mnie do bokówki, gdzie w nasłonecznionym pokoju, na szerokich półkach wzdłuż ścian leżały kokony jedwabników i larwy objadające liście na ściętych specjalnie dla nich gałązkach morwy. Brzydzą się robactwem i nie pachniało tu ładnie, więc wynieśliśmy się szybko, ale przyznam, że pierwszy raz widziałam hodowlę jedwabników.

Obok jakiegoś wzgórze darnią porośnięte, w nim drzwi, więc pytam, co tam jest. On popatrzył na mnie i ścisząc głos, powiedział: „To lochy, którymi można przejść do ruin. Byłem tam, ale jutro się wybieram jeszcze raz”. Ciepło mi się zrobiło na samą myśl, że mam tam wejść. Ale on powiedział, że poprowadzi nas parobek i zabieramy obydwie nasze dziewczyny – Wiśkę i Aniusię. „No, zgoda? Nie ma się czego bać, tam nic nie ma”. Poprawił mi się humor i nawet w ciągu dnia o tym zapomniałam. Ale już przy obiedzie lęk powrócił. Rozglądając się po jadalni, stwierdziłam, że ma kształt ośmioboku i cztery okna sięgające od podłogi do sufitu. Więc spytałam Wisę, dlaczego taki dziwny pokój? „Bo widzisz, tu w tym dworze podczas wojny był szpital, a w jadalni kaplica. Patrz, zamiast drzwi prowadzących na ganek stał ołtarz, a w tych długich oknach były piękne kolorowe witraże, a tu, gdzie stół – wrzasnął Zbilut – stały rzędem trumny z zabitymi żołnierzami”. Kiedy to powiedział, pilnie patrzył mi w oczy, jakie na mnie robi wrażenie. No, zrobiło, bo cały obiad podszedł pod gardło. Smarkacz – myślę sobie. Nie będę okazywać lęku, bo potem weźmie mnie na język, niech się przed czasem nie cieszy...

Spokojnie skończyłam deser, ale byłam jak ścierpnięta. Źle jednak mieć wyobraźnię.

Po południu zajechały przed ganek wozy, załadowane świerkami i rusztowaniem, a kilku mężczyzn zabrało się wnet do budowania ołtarza na jutrzejsze Boże Ciało. Stukały młotki, dziedzic gromkim głosem wydawał dyspozycje. Pani kierowała służbą znoszącą dywany, obrazy, bieliznę stołową na przykrycie mensy, stary kościelny zaś przyciągnął na wózku kilkanaście drewnianych lichtarzy i wielkie woskowe świece ułożone w skrzynce. Miał tu być, jak co roku, ostatni z czterech ołtarzy. Po uroczystości zwykle wielce zmęczony proboszcz był podejmowany przez dziedziców tak podobno serdecznie, że nieraz nad ranem dopiero odjeżdżał do domu.

I my włączyliśmy się chętnie do dekorowania ścian tatarakiem, który powiązany w wielkie snopy leżał przy schodach. Fornalskie dzieci dostarczały akacjowych gałęzi, żółtych irysów wodnych i świerczyny. Sprytny mały chłopak wchodził po wysokiej drabinie i wtykał te wonne cuda między gonty dachu, tak że cały front dworu wyglądał jak wielka pachnąca świątynia. Kiedy pod wieczór przed dworem wysypano jeszcze ścieżki żółtym piachem, pani Zamayska porozdawała nam koszycki i zabrała nas do ogrodu, pokazując, z których przekwitłych róż można zrywać płatki do posypywania podczas procesji. Kiedy koszycki były czubate, dała nam inne i wysłała w pola. Tam znów zrywałyśmy same główki chabrów, kąkoli, maków, wyczki i dzikich rumianków. To dla dzieci wiejskich, które sypały przed księdzem podczas procesji.

Siedząc przy kolacji, byłyśmy już tak znużone, że nic nam nie smakowało prócz przewybornej zimnej maślanki z razowym chlebem. Spałyśmy jak zabite. Dopiero dziedzic, widząc, że cicho w naszych pokojach – a tu już siódma – kazał uderzyć w dzwon folwarczny. Pozrywałyśmy się z łóżek i z radością myślałyśmy się w wielkiej miednicy z zimną wodą, szczebiocząc, strojąc się i ciesząc na wspaniałe święta.

Śniadanie, pośpiech, szukanie parasolek i wreszcie wyjazd do kościoła. Sygnaturka nawołuje z daleka. Ten dzień Bożego Ciała przyszedł dziwnie duszny i cichy. Słońce już od rana prażyło niemiłosiernie i widziałam, jak z belek dworu ściekała roztopiona żywica.

Za naszą bryczką tuman kurzu przesłaniał cały sznur wozów, bryk i tłum pieszych, zdążających do kościoła. Kobiety w kolorowych chustkach i wełniakach. Białe ubrane dziewczęta z rozpuszczonymi włosami trzymają w rękach koszycki pełne kwiatów i podskakują, płacząc się w długich sukienkach. Poboczem drogi idzie nieraz dziad proszalny o kulach lub ślepiec – macając drogę kijem. Gwar, śmiechy i wielka radość na ten dzień towarzyszą wszystkim. Zaraz po sygnaturce wyszedł ksiądz z sumą i zagrały organy. Usiedliśmy w stallach państwa Zamayskich.

Nie umiem się jakoś modlić. Patrzę na obrazy, feretrony jaskrawe, patrzę na witraże w oknach i w drżące płomienie świec, wdychając cudowną woń dymów kadzidlanych. Msza odbywa się, ale obok mnie.

Po kazaniu uderzyły wszystkie dzwony, buchnął śpiew z setek gardzieli i wszyscy tłumnie skierowali się do głównych drzwi. Najpierw wychodziły pochylone chorągwie, a potem – niesione przez tych z bractwa – świece płonące, dalej dziewczyny z umajonymi feretronami, same w bieli i wiankach na głowach. Wreszcie rozwinął się czerwony baldachim nad proboszczem niosącym monstrancję. Obaj bracia, panowie Zamayscy, jeden z Gruszczyna, drugi ze Skąpego, ubrani na czarno i w białych rękawiczkach – trzymali go pod rękę. Proboszcz powolutku zstąpił po wysokich schodach i silnym głosem zaintonował: „U drzwi Twoich stoję, Panie...”. Naród podchwycił tę pieśń, orkiestra strażacka zawtórowała, i tak szli przez całą wieś pomału do wszystkich ołtarzy, przy których ksiądz śpiewał kolejne ewangelie. Po jakiejś godzinnej procesji, ledwie już dysząc ze spiekoty i kurzu, doszliśmy do dworu. Tu był ostatni ołtarz. Wszyscy przeszli między rzędami płonących świec i znaleźli się w uliczce wysypanej piachem, gdzie po obu jej stronach zieleniły się posadzone świerki – na przemian z brzoźkami.

Ołtarz był okazały, wyściełany dywanami, pośrodku wisiał duży obraz Chrystusa na tle doniczkowych kwiatów. Przy mense stał purpurą wybity fotel dla proboszcza kanonika, który zaraz na nim usiadł i czerwony jak burak ocierał kraciastą chustką spoconą twarz.

Uczyli się cisza. Ludzie pomęczeni szukali chłodu pod lipami, przysiadali na ustawionych ławach, inni, z garnuszkami, czerpali ze stojących beczek jakiś zimny napój. Reszta zaś porozkładała się na trawie w cieniu. Upał przytłaczał, nawet liść nie drgnął. Tylko dwa kanarki wiodły trele nad ołtarzem, gdzie pani starsza kazała w gąszczu umieścić ich klatki. Kiedy proboszcz doszedł do siebie i odśpiewał ostatnią ewangelię – obecni, którzy jeszcze mieli siłę – wrócili z młodym wikariuszem do kościoła dokończyć nabożeństwo. Znow ruszyła procesja z chorągwiami i śpiewającym tłumem. Stary proboszcz zaś, ujęty pod rękę przez panów Zamayskich, poszedł do dworu przebrać się i ochłodzić. Tam już panie czuwały nad służbą, która wносиła do jadalni wazy, półmiski wszelakiego mięsiwa, kompoty i całe góry truskawek i poziomek z bitą śmietaną, co nas, dzieci, całkiem rozbroiło.

Pozbyliśmy się zakurzonych sukien. Umyte w lodowatej wodzie odżyliśmy i zabrałyśmy się ochoczo do owoców. Ledwie przełknęłyśmy pierwsze łyżki, gdy naraz pociemniało, daleki grzmot zahuczał, a suchy palący wiatr wpadł do jadalni i przytrzasnął otwarte okna. Pani wybiegła od stołu, aby nakazać służbie spędzenie drobiu pod dach. Bydło z pastwisk uciekało, rycząc przeciągle, nawet psy chowały się do swoich bud. Słońce zatopiło się w złowieszczych rudych tumanach i wicher z siłą uderzył w ścianę.

Błyskawica szła za błyskawicą. Od huku piorunów dom drżał, ziemia drżała. W pokoju uczyniło się niebiesko od błyskawic. Dla mnie najlepszym schronieniem w takich momentach były objęcia mamy. Przesiedziałam więc całą burzę z zaciśniętymi oczami tak, jak to było dawniej w Boczkowicach. Na szczęście burza przeszła bokiem i wichura z wolna ustała, nie poczyniwszy specjalnie wielkich szkód. Za to po obiedzie lunął rześisty deszcz już bez grzmotów, powalił zboża, a ze wszystkich rowów i bruzd z szumem płynęła woda.

Uspokoilo się dopiero wieczorem i wtedy, po deszczu, wyszliśmy przed dom pooddychać świeżym powietrzem, podczas gdy dorośli usiedli do preferansa. Zdjęliśmy pantofle i zakasawszy sukienki nuż taplać w ciepłych kałużach i błocie, spuszczać rowkami wodę stojącą w klombach i budować zamki. Dopiero ciemności spędziły nas do sypialni. Dzień był pełen wrażeń.

Nazajutrz niespokojny Zbilut biegał do czeladnej dowiadywać się o chłopaka, który obiecał pójść z nami do lochów. Okazało się, że jest w polu i spuszcza wodę z buraków cukrowych, bo je całkiem zalało. Przyszedł jednak niedługo. Bardzo ładny, z czerwonymi ustami i garbatym nosem, pod którym wysypał mu się czarny wąsik. Nie dziwię się, że się Wisi spodobał. Mrugnął na nas konspiracyjnie i powiedział, że w mig będzie przy lochu, zabierze tylko klucze i łuczywo. Byłam cała rozdygotana, bo sobie wyobrażałam Bóg wie co. Zebraliśmy się wszyscy, cała nasza czwórka.

Po otwarciu drzwi buchnął na nas stęchły chłód i przyznam się, że wcale nie miałam ochoty tam wchodzić. Jędrrek zapalił łuczywo i wolno zeszliśmy w głąb. Na razie szliśmy po wodzie, to pozostałość po wczorajszej ulewie. Dalej nieco pod górę, było tylko ślisko. Trzymając świece, postępowaliśmy wąskim przejściem gęsiego. Miałam za sobą Zbiluta. Łuczywo Jędrka dymiło niemiłosiernie, rzucając z sykiem snopy iskier. Czasami woda polała się z góry na głowę, a my – trzymając się mokrej, oślizłej ściany – szliśmy dalej jacyś niepewni i w duchu zatrwożeni.

Nagle coś z piskiem spadło na nas z góry, obijając się o głowy i gasząc łuczywo. Ja również piszczałam uczepiona Aniusi, która spazmowała. Zbilut uśmiechał się szyderczo, widziałam jego twarz oświetloną jedyną świeczką, która nam została. „Stać! – krzyknął nagle Jędrrek – i nie drzyjta się, panienki, bo złe licho nie śpi. To tylko nietoperze. Dawno tu nikt nie wchodził, zbudziło je światło, to się i wystraszyły. Patrzcie, jak wiszą pod sufitem za nogi głową w dół, takie to ich spanie”. Zapalił spokojnie łuczywo i prowadził dalej. Zachodziłam w głowę, jakie to złe licho nie śpi i co może się jeszcze przydarzyć. Drżałam na całym ciele z wrażenia i z zimna. Bałam się naprawdę.

Po chwili Zbilut szepnął: „Jędrrek, to tu, zatrzymajmy się!”. Patrzymy, a na prawej ścianie, którą Jędrrek oświetlił, w równych odstępach, dwumetrowych może, ukazały się wryte krzyże. Serce mi waliło jak oszalałe i nie mogłam nogami ruszać. Krzyży było może piętnaście, może dwadzieścia. Nad ostatnim wryto

skrzyżowane dwa ludzkie piszczele, a w środku zawieszono wycięty z blachy krzyż Virtuti Militari. „Tu leżał ten, który ich prowadził do boju, dowódca polskiej piechoty, która broniła klasztoru. Ci, co zostali przy życiu, pochowali nieżyjących tutaj, żeby psy i ptaki nie rozwlokły ciał, a sami poszli dalej walczyć – tłumaczył Jędrrek. Za kilkadziesiąt lat polski ksiądz dowiedział się o tych grobach od ówczesnego dziedzica, kazał szczątki doczesne w trumny złożyć i pochować na pobliskim cmentarzu. Tu już nikt nie leży”. Wcale mnie te słowa nie pocieszyły. Idziemy dalej. Pod ścianami skaczą jakieś wielkie ropuchy, bo już wyjście blisko i loch się kończy. Orzeźwiający powiew wpływa przez otwór. Gasimy świece, bo już widzimy słońce, które świeci nam prosto pod nogi. Błogosławione słońce.

Wychodzę bez duszy, wprost chora po tym silnym wstrząsie, i kładę się na piaszczystej górze wśród żółtych kocanek. Pachną jak bulion. Tulę do nich mokrą twarz i chcę, by znów był normalny dzień, chcę słońca, zieleni i radości życia.

## Dożynki w Gruszczynie

Bywaliśmy u państwa Zamayskich również w czasie lata. Ogromnie cieszyłam się na wizytę, a to z dwóch powodów: po pierwsze, że od chwili wyjazdu z Boczkowic nie byłam nigdzie na dożynkach, a po drugie – miałam nową sukienkę i chciałam się w nią wystroić. Anusia drażniła się ze mną, że jej sukienka ładniejsza i że ona panna, a ja smarkuła i fąfel i tak mi tą nazwą dojadła, że – trzymając w ręce szczotkę do ubrania – nabiłam ją po policzkach, żeby była w cętki. W ogóle to kochałyśmy się zawsze, jedna drugą nieraz kryła przed rodzicami, ale w tym przypadku obraźliwa nazwa fąfel zalazła mi za skórę. I tak się stało, jak chciałam. Na policzkach były czerwone cętki, które jednak do niedzieli nieco zbladły.

Dzieci państwa Zamayskich prezentowały się w dożynkowym dniu wytwornie. Wisia miała na sobie różową suknię z tafty, która podkreślała czern jej włosów obciętych na pazia z grzywką nad czołem. Zbilut włożył brązowe aksamitne ubranko i szeroki koronkowy kołnierz. Tata mówił do niego wtedy: „mój kochany Sobieski”, z czego, widziałam, chłopak bardzo był rad. Natychmiast zdejmował ze ściany małą szabelkę, która wisiała obok prawdziwej, ojcowskiej, i fechtował się wobec wszystkich. Mali Zamayscy oczy mieli piwne, buzie opalone, smagle, a oboje podobni byli do matki, która pochodziła z Kresów.

Pan Olgierd pochodził z Wileńszczyzny, ze starej magnackiej rodziny, zasłużony w bojach – miał wiele odznaczeń. Obok dworu Gruszczyn był majątek o nazwie Skąpe, gdzie mieszkał jego brat Kiejstut (również bardzo przystojny) z żoną Rosjanką, zgrabną i fertyczną, ale bezdzietną. Młody Kozak, Zajcew, był u nich rządcą.

Zabrała go z Rosji, nauczyła polskiej mowy i zatrudniła przy dworze. Decydujący głos w sprawach majątkowych miała zawsze ona. Mówiono na nią „caryca Katarzyna”. Pan Kiejstut, inwalida wojenny, utykający na protezie, niewiele udzielał się w sprawach gospodarskich. Toteż majątek finansowo nie stał nadzwyczajnie. Zajcew sprzedawał Żydom las, czasem i zboże na pniu, w kasie były ciągle braki, a w domu niedostatek. Za to oboje z dziedziczką wyjeżdżali często do Warszawy jakoby w pilnych interesach, ale w gruncie rzeczy chodziło tu o rozrywkę i kupno nowych sukien, które pani tak uwielbiała, że często niezapłacone rachunki „goniły ich” aż do Skąpego.

Na ten uroczysty dzień, kiedy brat urządzał dożynki, zjechali do Gruszczyna oboje państwo wraz z nieodłącznym Zajcewem. Nie bez kozery piszę o tym, bo Kozak okazał się tu niezastąpiony.

Zajeżdżamy i my przed ganek. Wyszedł dziedzic, wybiegły dzieci i wprowadzili nas wśród śmiechu i rozmowy do wielkiej sieni, gdzie rozebraliśmy się z zakurzonych płaszczy. Pani poprosiła do małego saloniku na herbatę – i tak

upłynęło pół godziny na rozmowie.

Wybiegliśmy na dziedziniec, gdzie już szykował się korowód dożynkowy. Gwar i śmiechy onieśmiały mnie.

Na przedzie dziewczyny trzymały na drążkach olbrzymi wieniec z kłosów i kwiatów, przystrojony barwnymi wstęgami. Za nimi grupka dorodnych i barwnych jak kwiaty dziewczuch, w pasiastych wełniakach, otaczała stół, gdzie na płóciennym ręczniku leżał olbrzymi bochen chleba i sól. Dalej robotnice z powróżkami, naszykowanymi do wiązania nóg dziedzicowi i jego małżonce, aby się im wykupili. Wreszcie kapela w ludowych strojach ze skrzypcami, basami, guzikową harmonią i bębenkiem z brząkadełkami. Na końcu tłum pracowników, czeladzi, dzieci i przygodnych gapiów ze wsi.

Na dany przez kapelmistrza znak muzycy ucięli skoczną melodię, zapiszczały skrzypce i ruszył barwny korowód aż do schodów przed gankiem. Wyszli wszyscy ze dworu przyjrzeć się uroczystości. Państwo Zamayscy stanęli pośrodku ganku, obok dziedzic Kiejstut z żoną, mającą za plecami Zajcewa. Dalej pani starsza, czyli babcia, dzieci i goście. Na przygotowanym stole nakrytym lnianym obrusem położono wieniec, który prezentował się bardzo okazale. Muzyka przycichła, podeszły trzy dziewczyny z chlebem i solą. Dziedzic z żoną ucałowali olbrzymi bochen, odłamali po odrobinie i maczając w soli spożywali w ciszy. Był on bowiem pierwszym chlebem wypieczonym z tegorocznego żyta. Teraz podeszły następne dziewczęta, te z powróżkami, i związały nogi broniącemu się dziedzicowi i pani, śpiewając wesoło na znak, że trzeba się wykupić. Dał więc im pokazną sumę, to samo i dziedziczka.

A teraz zagrała muzyka znaną melodię i dziewczyny stanęły kołem, śpiewając w tempie oberka: „Otfirajta, otfirajta szeroko wrota, bo się już skuńczyła w polu robota. U nasego dziedzica psenica, psenica, a u pana ze Skumpego konkol i belica. A u nasy dziedzicki tłuściuchne jendycki, a u pani ze Skumpego jak chmielowe tycki”.

I tak snuły się długo te samorodne zwrotki, dowcipne, uszczypliwe lub schlebiające.

Kiedy dziedzic rozsuptał wreszcie okręcone na nogach powróżka, zwrócił się do wszystkich, podziękował za pracę całoroczną, za pięknie zebrane plony i zaprosił do środka.

Teraz muzyka zagrała godnie – chodzonego. W pierwszą parę szedł gospodarz z żoną, goście również połączyli się w pary i cały barwny korowód wtoczył się najpierw do obszernej sieni, a później do dużej sali opróżnionej z mebli.

Na ścianach wisiały gałęzie świerczyny i pachniały tataraki zatknięte za obrazy, a na środku w dwu rzędach ustawiono stoły nakryte białymi obrusami. Wzdłuż biegły ławy kilimami obite. Stoły suto zastawiono półmiskami



z wszelakiego rodzaju mięsiwem. Różowe plastry szynki, michy pełne dymiących i wonnych kielbas, kiszki przypiekane z cebulką, gotowana główizna z grochem i gol onki przyciągały oczy. Salaterki zimnej galarety i ciemne pasztety tłuszczem ociekające, a w koszach chleby, bułki i kołaczki. W czterech kątach pokoju stały na pniakach antałki z piwem, w skrzyniach butelki z różnymi wódkami, w przetakach jabłka i gruszki kolorowe.

Na poczesnym miejscu przy stole zasiadła dziedziczka z mężem, obok siwiutka babcia i dorodne dzieci, dalej rodzina, goście i już cały lud zebrany na dzisiejsze święto.

Podano najpierw wedle zwyczaju rosół z makaronem, a później jedli już kolejno, co tylko dusza zamarzyła, wznosząc głośne toasty na cześć dobrego dziedzica i jego żony. Muzyka rżnęła od ucha, aż dziewczyny przebierały nogami do tańca. Pod stołami gryzły się psy o niedojedzone gnaty.

Kiedy z głów nieźle dymilo, a żołądki nie mogły więcej pomieścić – orkiestra przeniosła się do okrągłej sali na tańce. Okrągłak, jak go nazywali, udekorowany kolorowymi wstęgami i lampionami, z oknami pootwieranymi na oścież, zachęcał do wesółych piasów. Już tam rej wodził Kozak z czupryną w nieładzie i rozdętymi chrapami. Ubrany w hajdawery, białą, wypuszczoną na wierzch koszulę, przepasaną kolorową krajką z haftem, i w czerwonych krótkich butach, porywał okrzykiem i zachęcał do galopady.

Łączyły się pary. Dziewczyny, chichocząc, podchodziły do parobków i kiedy huknął dziarski oberek – zawirowali na środku sali. Tancerzy przybywało, a już tych, co przyjrzeć się chcieli, napływało coraz więcej, podpierali ściany. Nieraz można było nieźle oberwać, gdy wirująca w szalonym pędzie para gruchnęła o ścianę. Kiedy muzyka na chwilę się urwała, wszyscy tańczący wychodzili do ogrodu dla ochłody, obejmując się wpół. Teraz popłynął walczyk *Nad pięknym modrym*

*Dunajem*. Już dziedzic na środku sali z żoną. Zachęceni panowie proszą panie do tańca. My, dzieci, wzięwszy się za ręce, kręcimy się w takt, jak kto umie.

Zabawa trwała do północy. Niektórzy znów szli do stołowego na przekąskę, a co starsi raczyli się gorzałką, płacząc sobie w objęciach i całując się nawzajem.

Po północy był popis wiejskich dzieci, które wystrojone po krakowsku, w takt melodii podskakiwały w krakowiaku. Występowały i stare gospodynie, piszcząc jakieś frywolne piosenki, lub stawał chłop przed orkiestrą i dając banknot „do basów”, zaczynał śpiewać jakąś rymowaną, dowcipną piosenkę.

Pomimo otwartych okien powietrze było duszne. Przepędził więc Kozak tańczących do ogrodu, żeby się trochę na sali odświeżyło. Zbliżał się kulminacyjny punkt zabawy – taniec Zajcewa z panią Zamayską ze Skąpego. Pod ścianami utworzyło się koło z widzów, a na środku sali stanęła para do kozaka. Ona w białej haftowanej bluzce z bufiastymi rękawami, wpuszczonej w czerwone spodni

nabijane błyszczącymi świeczkami. Do tego safianowe czerwone buciki. Stała. Ręce skrzyżowała na piersi i odchyliła się do tyłu. Zagrała orkiestra.

Trzeba było widzieć ten szalony taniec, kiedy ona, robiąc w miejscu „prysiudy” lub posuwając się po sali na ugiętych w kolanach nogach, otoczona była jego tańcem, wykonywanym w nieprawdopodobnie szybkim tempie. Kozak ręce skrzyżował na piersiach, głowę i oczy miał zwrócone w jej stronę. Wyglądało to tak, jakby nie pozwalał wyjść tancerce poza wyznaczony okrąg. Wprost hipnotyzował ją, obiegał naokoło, posługując się najprzeróżniejszym krokiem tanecznym. Później znalazł się przed nią i wtedy, już w prysiudach i zawrotnych skrętach, asystował pani, która wyrzucała szybko małe nóżki do przodu.

Nie mogliśmy się nadziwić, skąd tyle siły w tej filigranowej kobiecie, skąd tyle zadzierzystości, kiedy chwytając w powietrzu rzucony przez kogoś pejcz – cięła Kozaka po nogach, zmuszając do ciągłych salt w tył, w przód, i do najprzeróżniejszych wyczynów. Czerwony jak upiór i zziębły, gruchnął wreszcie przed swoją panią na kolana i z oczyma w nią wpatrzonymi, dyszał ciężko, pokazując w uśmiechu wilcze zęby. Modą dawnych chłopów obejmował jej nogi i całował po kolanach, wyrzucając z zaschniętej gardzieli jedno tylko słowo podziękowania i uwielbienia: „Spasiba”. Wtedy odezwały się oklaski i krzyki zachwyconych widzów. Pani poszła do siebie i nie pokazała się więcej.

W tym czasie zaproszono do stołu na gorący bigos, ciasta przeróżne i kompoty. Gościom podano herbatę lub kawę do tortu i likier.

Dniało, kiedy słaniając się na nogach, dowlekliśmy się do powozu. Furman też senny, bo po hucznej libacji, założył konie nie na swoje miejsca i nadeptywał nogami na lejce, płacząc je z uprzężą. Nareszcie pożegnani i obdarowani smakołykami – wyjechaliśmy, kiedy słońce miało już wschodzić. Piękny to był widok – na tle różowej jutrzeńki zarysowały się ruiny gruszczyńskiego klasztoru.

## Rodzina państwa Świącickich

Pan Feliks Świącicki był naczelnikiem poczty we Włoszczowie. Nieduży grubasek, wąsaty, z wesołymi oczkami na okrągłej twarzy, zakochany w swojej żonie, od lat był dla niej dobry i czuły. A wziął za żonę pannę Stanisławę Chodynicką z dobrego i zamożnego domu. Była to wysoka, przystojna brunetka, wielkiej pobożności – chodziła codziennie do kościoła bez względu na pogodę.

Nasi rodzice tak polubili towarzystwo państwa Świącickich, że nie było świąt czy też niedziel, abyśmy jak nie u nas, to w ich ogrodzie nie spotkali się wszyscy.

Pani Świącicka zapraszała również kanonika Błasika, włoszczowskiego proboszcza, który korzystał skwapliwie z zaprosin i nigdy przyjęcia nie opuścił. Lubił dobrze zjeść. Pamiętam, był kiedyś podany pstrąg z wody z masłem. Widzę jeszcze, jak kanonik polewa rybę łyżkami płynnego masła, tak że dosłownie pływała na talerzu. Podobno kiedy syty, dobrze po północy, wracał do domu, Kasia, gospodyni, miała już przygotowane ziemniaki ze skwarkami i faskę zsiadłego mleka. Zmieścić mógł wiele, nosił bowiem przed sobą niebywałych rozmiarów brzuch, chociaż kiedy był przed ołtarzem, przyklękał jak młodzik. A i chód miał lekki.

Pewnego razu, wracając z pola ze spaceru, spotkał się z moim ojcem tuż przy furtce naszego ogrodu. Przy nim dreptał piesek, maleńki pinczer Asik. Na zaproszenie ojca wymówił się, że zmęczony i chce iść do domu. Ale i tak przegadali z pół godziny, przestępując z nogi na nogę. Kiedy wreszcie przyszło do pożegnania, okazało się, że Asika nie ma. „Nie widział radca, gdzie ten kundel się zapodział?” – pyta ojca. A ojciec na to: „Owszem, siedzi przy stopach kanonika”. Oberwało się biednemu Asikowi gazetą, ale tu zawinił tylko olbrzymi brzuch, zza którego nic nie było widać.

Krażyły plotki, że na imieniny kanonikowi uszyły tercjarki okrągłą pierzynę, aby mógł się dobrze okryć, a od dziewcząt w bieli dostał haftowaną poduszkę. Tego już Kaśka zazdrośnica nie wytrzymała, uklękła i wyfroterowała nią podłogę.

Do nas przychodził kanonik proszony i nieproszony. Wchodził roześmiany i zacierając ręce, mówił: „Niech no tam radca wyciągnie jaki gąsiorek z piwniczki”. Znalazło się i stare wytrawne, i jakieś pieczone mięsiwo na zakąskę, a na deser – klosz pomarańczy jaffskich. Trzeba było widzieć, jak je obierał zręcznie tymi pulchnymi palcami. A tak jadł szybko, że przyglądałyśmy się z podziwem, bo do ust wrzucał obrane już dzwonka, szybko je żuł, a drugim kącikiem ust leciały na talerzyk pestki. Próbowaliśmy tak jeść z Aniusią, ale nam się nie udawało.

Nieraz bywało więcej osób, wtedy proszono mamę, aby coś zagrała, starsi goście siadali na kanapie, w fotelach, a młodzi kręcili się w walczyku. Jak zwykle

siadałam u jej nóg pod pianinem. Gdy zaczynałam chlipać przy jakiejś smętnej melodii, zaraz zmieniała nastrój inną muzyką. To samo było w kościele, kiedy słyszałam organy, nie obyło się bez płaczu.

Kiedy byłam jeszcze bardzo mała, a mama siadała do stolika na wista lub preferansa, układałam się na pustym obok krześle z głową na jej kolanach. Było mi wtedy bardzo dobrze. Długo migotały w sennych oczach mdłe płomienie świec, aż w końcu zasypiałam.

Na preferansa przychodziła pani Ziuta Majewska, siostra naczelnika Świącickiego, wdowa po majorze, osoba wielce dystygowana i dziwnie sztywna, z włosami obciętymi „na chłopaka”. Kiedy karta szła, wszystko było dobrze, ale kiedy przegrywała, natychmiast zrywała się od stolika, rzucała karty i wychodziła do drugiego pokoju, trzaskając drzwiami. Tam zaciągała się papierosem. Naczelnik wtedy przeproszał za nią i mówił: „Proste babskie fanaberie. Przepraszam panią dobrodziejkę – zwracał się do mamy. – Proszę się nie przejmować, wypali papierosa i wszystko jej przejdzie. Bo widzicie, państwo, ona pasjami lubi wygrywać”. I rzeczywiście, wracała pogodna i jakby nigdy nic rzucała pytanie: „Kto to ma rozdawać?” – i gra toczyła się dalej.

Pan Świącicki miał jeszcze brata Romana, emeryta, który był specjalistą w dziedzinie pomologii, czyli sadownictwa. Studia kończył w Wiedniu. Siedział „kątem” u brata, nie mając żadnych kłopotów, bo pani Świącicka lubiła go bardzo i dogadzała mu we wszystkim. Rubaszny i bezceremonialny śmiał się basem ze swoich dowcipów. Zawsze zadbany, nosił się elegancko. Dzentelmeński wobec dam stary kawaler. Od pewnego czasu był zaabsorbowany hodowlą pewnego gatunku trzmieli, podchodząc do tego zagadnienia naukowo. A mówiąc prawdę, nudził się w naszej miejscinie jak mops.

Któregoś dnia spodziewał się podebrać miód, który, jak mówił, miał być słodszy od ust Berenike i złocistszy od jantaru.

Byliśmy w ogrodzie i patrzyliśmy wszyscy na pana Romana, który w kapeluszu z gazą ochraniającą twarz dmuchał miechem na czerwone węgle przysypane wierzbowym próchnem. Na środku łączki pod jabłoniemi stał wyjątkowo mały ul, do którego zbliżał się ostrożnie w swojej siatce ochronnej i w rękawicach, bo twierdził, że trzmielie są wściekłe. Obserwowaliśmy z daleka, jak wyjmował małe ramki z miodem, a na ich miejsce wstawiał puste z węża. Podkurzał przy tym rozjuszony owady kołujące mu nad głową. Pracował szybko, sprawnie i ze spokojem. Musieliśmy skryć się za dom, bo trzmielie się rozszalały. Miały podobno matecznik w ziemi, ale ramki na miód pan Roman zawieszał w ulu – to był już jego pomysł.

Kiedy zza węgła domu obserwowaliśmy te poczynania, uśmialiśmy się z jego miny, gdy z taką powagą i dostojeństwem niósł te małe rameczki, jak ksiądz monstrancję. Potem nad półmiskiem wycinał plasterki ociekające miodem,

wreszcie zdjął kapelusz i z uśmiechem zapraszał do stołu. Pani przyniosła masło, razowy chleb i wszyscy pałaszowaliśmy go z przewybornym, pachnącym ziołami miodem – jedynym na świecie – jak mówił.

Ogród państwa Świąćickich był piękny. Dawał prawdziwy wypoczynek po lekcjach. Pamiętam te przesłonecznione alejki, w trawie, pod krzewami porzeczek, mnóstwo białych i liliowych fiołków (białych już nigdy później nie spotkałam, a były bardziej wonne od zwykłych). Na środku klomb kwietny pod olbrzymim orzechem włoskim. Dalej rabaty z konwaliami, które rwałam za pozwoleniem pani Świąćickiej dla babci na nalewkę świetną na serce. Przy parkanie od podwórka biegł rząd orzechów laskowych elemskich, obleganych w jesieni przez dzieci, bo orzechy były wyborne w smaku, lekko spłaszczone, o cienkiej łupinie, koloru mlecznej kawy. Nie były to krzaki czy kępy, ale po prostu drzewa! Nigdy tyle orzechów nie jadłam, co tam właśnie, a jeśli nas zapraszano – jak było nie pójść?!

Kiedyś, zachęcona, zabrałam ze sobą koleżankę. Bawiłyśmy się w ogród, na uklepanym piasku sadziłyśmy kwiaty, trawy i liście. Było gorąco, więc urwałyśmy sobie po jednym wielkim liściu, który nam służył za parasolkę. Robiąc miny, spacerowałyśmy po alejkach, naśladując wielkie damy. Do ogrodu weszła pani Świąćicka i, zobaczywszy nasze parasolki, powiedziała: „Dziewczynki, tych liści nie zrywajcie, bo to jest rabarbar, z którego łądyg robię doskonały kompot. Właśnie mam gotowy, to was poczęstuję”. A któż mógł wiedzieć, że te badyle się je? Nigdy jeszcze nie widziałam rabarbaru, było mi wstyd i rozbeczałam się. Pani Świąćicka przygarnęła mnie, otarła oczy i powiedziała: „Przecież nic się nie stało. Poznałyście jeszcze jedną nową roślinę, prawda?”. Kiwnęłyśmy głowami, zachłystując się podanym nam kompotem. Ale humor przepadł, poszłyśmy smutne do domu.

Lata mijały. Przyjaźń moich rodziców z państwem Świąćickimi umacniała się. Któregoś lata pani jednak zaczęła chorować, pojechała do Katowic, do takiego doktora, który zwalczał u pacjenta otyłość, i z gotowym preparatem wróciła do domu. Pierwsza dawka posłużyła znakomicie, zeszczuplała, lepiej się poczuła i była pełna nadziei. Po następnej porcji zaczęła momentalnie mizernieć i odczuwać jakieś bóle. Po badaniach okazało się, że ma nowotwór. Leżała bardzo długo, ginęła wprost w oczach. A i pan Roman, jej szwagier, długo nie pożył – poszedł za nią. Zjadł podobno tłustą rybę i popił zsiadłym mlekiem. Dostał skrętu kiszek i nie było ratunku. Domem zajęła się służąca, Julka, która pracowała jeszcze za życia pani.

Pan Świąćicki przeszedł na emeryturę. Tak sobie nieraz siedząc z moim ojcem, radził: „Może by tak jaki domek postawić, a może by i pan spróbował?” – mówił. Spotykali się jeszcze wiele razy, wreszcie uradzili, że każdy z nich kupi działkę i będą budować, ale z drzewa, bo taki dom najzdrowszy. Place zakupiono wkrótce, materiał pozwożono i wnet przystąpiono do budowy, w roku 1926 –

równocześnie. Naokoło budujących się domków posadzono drzewka owocowe w dobrych gatunkach i zaczęło się dogłądanie, chodzenie i obserwowanie postępujących robót. Bliższy ukończenia budowy był ojciec, bo kupił gotowy zrąb, coś tylko zmienił, coś tam dodał i na jesieni stanął dom, pięciopokojowy, z gankiem, kuchnią i spiżarnią. W podwórzu zaś wcześniej już wykopano studnię, wybudowano piwnicę i drwalnię.

Na wiosnę prześcigano się w sianiu warzyw, kwiatów, sadzeniu krzewów. My, rade, miałyśmy się już gdzie bawić. Zanim jednak wprowadziliśmy się do własnego domu, wiele się jeszcze wydarzyło.

## Wakacje w Boczkowicach

Umową zawartą między stryjem Stanisławem a naszym ojcem każde wakacje miałyśmy spędzać w Boczkowicach. Z jaką radością przebiegałyśmy znajome ścieżki, odwiedzałyśmy las, goniłyśmy się po groblach nad stawami, a wszystko miało smak swobody, niezależności i niezapomnianej naszej „ojcowizny”, jak się to dawniej mówiło na ziemię, gdzie się człowiek rodził. Szukałyśmy zmian, a te były widoczne nawet w pomnożonych stadach koni czy krów, w ilości nowo narodzonych kotów i psów.

Tego roku, kiedy Anusia miała jedenaście lat, a był to rok 1922, zastałyśmy w Boczkowicach Jurka Sławińskiego, bratanka ciotki Katarzyny. Jurek po prostu zgubił się w drodze podczas ucieczki z Rosji. Na szczęście miał przy sobie adres Boczkowic i szczęśliwie odnalazł rodzinę, wędrując piechotą przez dwa miesiące. Zbiedzony i głodny przywłókł się do majątku. Miał urodę typowego Rosjanina o grubych rysach, mięsistych wargach, o pięknych, niebieskich oczach. Liczył sobie już osiemnaście lat. Stryj z góry przeznaczył go do Szkoły Kadetów w Modlinie. Przygotowywał go więc do egzaminu, kładąc nacisk na język polski, zwłaszcza że Jurek słabo nim władał. Najwięcej braków miał z gramatyki. Stryj postanowił zabierać na lekcje również Anusię, która była dobrą uczennicą. Te godziny to była jedna wielka udręka i poniżenie biednego chłopaka.

Pamiętam odmianę czasowników – „ja mełłbym był” nie przechodziło chłopakowi przez gardło, a jeszcze gorzej było z „ja pełłbym był”, którego nie umiał utworzyć od słowa plewić. Jurek czerwieniał, krople potu spływały z czoła. Załamywał przemrożone sine dłonie i te wielkie niebieskie gały pływały wprost we łzach. „Widzisz, czubaryku, taka mała panienka i śpiewająco mi odmieniła, a ty co, stary koniu, płaczesz się, a w dodatku jeszcze się mazgaisz”. Brał go wtedy pod zbiornik z wodą i nad miednicą odkręcał kran. Pchał mu głowę pod zimny strumień i zmywał czuprynę. Anusia z oburzeniem patrzyła na te sceny i szczerze go żałowała, opowiadając nam o tym.

Właściwie to wszystkie dzieci lubiły tego mrukliwego chłopca, zagubionego w obcym dla niego kraju, gdzie nie odnalazł jeszcze swojego miejsca i osób, które by go kochały. Matka bowiem zginęła w rewolucji, a ojciec, pan Stefan – był chory. To jego spojrzenie „spode łba” nie wzbudzało w nas niechęci. Wręcz przeciwnie, uśmiechaliśmy się do niego, choć był zawsze ponury, stronił od ludzi i wyraźnie się nie narzucał. Kiedy obiad się kończył, zbierał z talerzy kości dla swoich ukochanych psów, wdzięczny za okazywaną mu przyjaźń. Stawał z talerzem resztek na ganku i wołał w stronę dziedzińca: „Fyły, Fyły (Filek), Rezedka, Damka, Reks, Muszka, Halma, Murzik”... i znów to samo od początku. One wiedziały, że za chwilę czeka je wielki spacer, że będą skoki przez rowy, że będzie wściekły bieg przez pola na przełaj. Tłoczyły się więc koło niego, gryząc się

nawzajem o kości. Kiedy kości były zjedzone, psy siadały na zadach i patrzyły mu w oczy, drżąc z niecierpliwości, pod skórą widać było napięte mięśnie. Kiedy krzyknął „hajda!” gromkim głosem i trzasnął z krótkiego bata, jakby się wściekł, rzucały się z jazgotem w gąszcz zieleni, przez ogród, na oślep, przez bezdroża, wyprężone jak struny. Po chwili zginęły nam z oczu. Patrzyliśmy za nimi zauraoczeni, aż ostatecznie głosy szczekania rozplynęły się w ciszy.

Prosta i dzika Jurkowa natura musiała się jakoś wyszumieć. Więc biegł razem ze zgrają przed siebie, gdzie oczy poniosą, na pół dnia. Wracał wieczorem przed kolacją, jakby weselszy i wypoczęty, po prostu inny. Psy z przekrwionymi ślepiami, unurzane po brzuchy w błocie i z wywieszonymi jęzorami – padały wprost na tarasie i zwilżając śliną gardziele, patrzyły na niego i znów czekały na przysmaki. Coś do nich mówił po swojemu, rozkładał ręce, dając im do zrozumienia, że jeszcze nic nie ma. Dysząc, zwlokły się do swoich bud, aby wysapać zmęczenie po tym forsownym biegu. „Prawdziwy stepowy chłopak, kozak” – mawiał wtedy stryj i jakieś ciepłe blaski ukazywały się w surowym zawsze obliczu.

Po roku morderczej pracy Jurek zdał do kadetów, opuścił – acz niechętnie – Boczkwice i zamieszkał w Modlinie. Czasem pisywał lakoniczne listy do ojca. Później skończył Wydział Weterynarii i był cały czas przy wojsku. Zawsze kochał zwierzęta, dlatego wybrał ten kierunek. Po latach dosłużył się rangi majora, pracując przy sztabie.



## Rodzina Pławińskich

Kiedy przyjechałyśmy do Boczkowic na wakacje, zastałyśmy tam państwa Pławińskich z Warszawy. Pan Michał podobno był dalekim krewnym ciotki Katarzyny. Jego żona Rena, światowa i wytworna dama, bardzo dystyngowana, była kapryśna i zawsze niezadowolona. Panna zaś, ich córka, zwana Naną, naśladowała we wszystkim matkę: w ruchach i w ubiorze. Bardzo ekscentryczna, chociaż nie na wiele się to zdało, bo była nieduża, przysadzista, miała tylko piękne blond włosy i duże niebieskie oczy. Pan Pławiński jeździł za granicę, handlował złotem, skupował monety, biżuterię i wyczekawszy na odpowiedni moment, sprzedawał z zyskiem. Życie prowadzili bogate, wykwintne, a że pan Michał miał zawsze wypchany portfel, wyjeżdżali często „do wód”, jak się to dawniej mówiło – do Meranu, Karlsbadu lub w zimie do Nicei. Żona przepuszczała mnóstwo pieniędzy przez piękne paluszki, kupując stroje i nie kontentując się byle czym. Chwaliła się nieraz, ile to przegrała w ruletkę, widocznie mogła sobie na taką przyjemność pozwolić.

Pan Michał wysoki, bardzo szczupły, w swoim tweedowym garniturze, zawsze pełen dobrych manier, nie zasługiwałby na naszą dezaprobatę – gdyby nie mocno wybałuszone rybie oczy i monokl, który mu co chwilę wypadał. Mówił dyszkantem, śliniąc się, i grasejował, łapiąc w locie ten nieszczęsny monokl.

Był zakochany w żonie i często jej śpiewał fałszywie: „Ilenka, moja sałenka, Michałek – jeszcze kawałek” i śmiał się serdecznie. Mawiał nieraz, że Irenka wybredna, nie zawsze godzi się na jego propozycje spędzenia wieczoru, więc on na to do niej: „Chcesz do teatru? Dobrze! Chcesz na dancing? Dobrze!”. Miała przepiękną etolę z popielic, która na wsi była bezużyteczna, ale ona lubiła się pochwalić strojami. W zasadzie nic cały dzień nie robiła. Toaleta, śniadanie, mały spacer pod parasolką, leżak z książką lub hamak. I znów obiad, książka i tak do wieczora. Nana, choć młoda, również była ociążała, leżała na słońcu, przekręcając się z boku na bok. Nie interesowała jej książka ani żadna robótka, nudziła się zapewne bardzo.

Pewnego razu, kiedy poszła do inspektowego na maliny, zobaczyła po drugiej stronie płotu młodego chłopaka leżącego na trawie. Pięknie opalony tors i umięśnione ramiona przykuły jej uwagę. Kiedy tak mu się przyglądała, zobaczył ją, wypluł trawkę, którą żuł z nudów, wstał, niezręcznie się uklonił i obiegił łakomymi oczyma jej kształty. Zaczerwienił się przy tym aż po płuwe włosy i dotąd za nią patrzył – aż odeszła. Nana wróciła zaraz do dworu i spytała Nunię, żonę wuja Stasia, co to za chłopiec mieszka za płotem. Dowiedziała się, że to syn Mikuszewskiego, bez pracy, taki złodziejaszek jak ojciec, ale teraz go powołali do wojska, to będzie przez jakiś czas spokój. „A co mnie obchodzi, że złodziejaszek – mówiła – kiedy mi się podoba?”. I zaczęła się zachwycać jego sylwetką

i opalenizną. „Uważaj, Nana, to uwodziciel, jego cała wieś zna, nie chodź tam więcej”. „A kiedy właśnie ja chcę się dowiedzieć, jak się czuje uwiedziona dziewczyna!”. Nie było rady na jej głupotę. Powtórzono tę rozmowę panu Michałowi, bo matka już wyjechała znudzona. Ojciec nakładł córce do głowy wiele przestroóg i rad, a sam na drugi dzień zabrał się również i wyjechał w interesach.

Nie było wieczoru, żeby się Nana z chłopakiem nie spotkała, dla wygody wyjmując z płotu sztachety. Idylla trwała przez całe wakacje, czego się wszyscy domyślali i patrzyli z oburzeniem.

Aż tu pewnego razu przychodzi do stryja parobek i mówi półgębkiem: „A to, panie dziedzicu, bróg się zawalił z sianem, musi być wiatery”. A stryj do niego: „Jak to, wiatru przecież nie było, noc była spokojna, a możeście wozem zahaczyli o słupek! Przyznaj się!”. Antośka, która sprzątała, wtrącała: „Za przeproszeniem pana dziedzica, panienka Nana była tam na brogu z tym najmłodszym od Mikuszewskiego. On ponoć leży, bo mu kulasa przytłukło, a ja znalazłam na podwórku pantofel panienki i mam go w kuchni”. „Co? Co też Antosia wygaduje, natychmiast niech przyniesie ten pantofel do mnie”. Antośka wybiegła i po chwili wróciła, niosąc małe, czarne czółenka. Wtedy stryj rzekł: „Nic żeście nie słyszeli i nie widzieli, ani mi słowa o tym, a tu ma na chustkę, niech sobie kupi”.

Kiedy tego dnia nakryto stół do obiadu, przyszedł stryj, postawił pantofelek przed talerzem Nany, usiadł na swoim miejscu i zajął się gazetą. Trzeba trafu, że ona pierwsza przyszła. Dopadła stołu, porwała pantofelek i schowała za siebie, potem zaczęła niby płakać i prosić, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Ale i tak Nunia była poinformowana sekretną pocztą. Wiadomo, kobiety nigdy nie utrzymują tajemnicy. Ale to nie koniec na tym.

Kiedyś przychodzi ta smarkula do Nuni i prosi o konie na stację, bo wyjeżdża. „Dlaczego? – pyta Nunia – przecież dopiero w październiku masz studia?”. „A bo widzi ciocia, jestem w ciąży i chcę wcześniej być w Warszawie”. „Bój się Boga, co matka na to powie, ja przecież za ciebie odpowiadam!”. A na to Nana: „Ach, co tam mama, to już nie pierwszy raz mi się zdarzyło”.

O tej historii dowiedziałam się wiele lat później – kiedy dorosłam. Nany od czasu tamtego wyjazdu z Boczkowic nikt tu więcej nie widział.

## Wiesław Drewnowski w Boczkowicach

Moja ciotka, Nela Drewnowska *de domo* Stępkowska, miała syna jedynaka – Wiesława, który na zaproszenie stryja Stanisława i jego synowej Nuni również przyjeżdżał do Boczkowic w czasie ferii wakacyjnych. Nieraz zjeżdżał z całą gromadą takich jak on „postrzeleńców”, młodzieńców pochodzących ze spokrewnionych rodzin: Myszczyńskich i Jeżmanowskich. Przywoził także dzieci słynnego chirurga warszawskiego z „Dzieciątka Jezus”, doktora Gustawa Chodakowskiego. Całe to bractwo, wielce rozkrzyczane, o wielkich apetytach, rozbiegało się zaraz po przyjeździe po całym parku. Szaleli nad stawami i rzeczką spragnieni swobody, łowiąc ryby, pływając.

Jak biedna Nunia potrafiła wykarmić tę czeredę, Bóg raczy wiedzieć. Szły na rzeź stada kurczaków i topniały kopy uskładanych jaj. Biło się wtedy świnie, cielaki, barany, ale to wszystko ginęło w przepaścistych żołądkach głodomorów. Dziewka tłukła codziennie w kierzance świeże masło, a kucharka co drugi dzień piekła wymyślne maślane bułki, słodkie nadziewane rogalce, biszkopty i jajeczne precele z makiem. Na posiłki dzwonił zawsze dzwon umieszczony na tak zwanym bulwarze (podeście) przy spichlerzu. Było go słychać i w lesie.

I ja z Aniusią spotykałam się z warszawiakami w porze największych upałów, w okresie jasnych nocy księżycowych, w parku pełnym dziwnych kłaskań ptasich. Obrazy te i odgłosy nie wpływały wcale kojąco na nerwy, wręcz przeciwnie. Sięgały do tajników serca i podniecały i tak już wybujałą wyobraźnię.

Przeżywaliśmy wszyscy strach podczas burzy z gradobiciem. One częs to nawiedzały ten park i dwór na wzgórzu. Najbardziej zawsze ucierpiały drzewa. Rozszczepiane przez pioruny padały w poprzek alei dwustuletnie lipy dziuplaste, waliły się w parku stare wiązy i tuje. Te, pomimo że żywotnikami zwane, kończyły wtedy swój żywot i chlastane wichurą kładły się bezwolnie na trawę – u odziomka skręcone.

Wszyscy po takiej nawałnicy mieli pełne ręce roboty, uprzątając szkody. Na ziemi nieraz leżały martwe ptaki, czekając na swój pochówek. Pod drzewem rażonym piorunem szukaliśmy zwykle krzemienia powstałego ze stopionego piasku pod wpływem wysokiej temperatury. Kamyk wyglądał jak stożek o podstawie koła. Przy krzesaniu pachniało ozonem i wydobywały się iskry, ale hubki nie udało nam się od niego nigdy zapalić. Po takiej burzy zbieraliśmy owoce, które pokotem zalegały stary sad, położony wzdłuż stawów. Kobiety kroili owoce i wsadzały do chlebowych pieców, przepalonych najpierw z lekka sosnowym płomieniem.

Wtedy dopiero zwróciłam uwagę na Wiesława, który zamiast pracować i zbierać z nami owoce do koszyków, nie spuszczał ze mnie oczu, chrupiąc co dorodniejsze jabłka. Peszyło mnie to jego gapienie się, więc odchodziłam pod inne

drzewa, aby być jak najdalej od natrętnych oczu, ale on przesiadał się i miał mnie znów w zasięgu wzroku.

Wieczorem poskarżyłam się Aniusi, lecz zaczęła się śmiać ze mnie, mówiąc, że powinnam być tylko zadowolona, jeśli mu się podobam. Zdarzało się, że siedzieliśmy nieraz w kilkoro, łowiąc ryby, a on tak zręcznie pozbywał się całego towarzystwa, że zostawaliśmy wreszcie sami. Nie patrzył wtedy na spławik, czy ryba bierze, czy nie bierze, tylko wlepiął te czarne gały we mnie, aż musiałam uciekać do dworu. Nie chciałam nic od niego, nie lubiłam go. Pewnie nie był mi przeznaczony. Miałam wtedy może szesnaście lat.

Za dwa dni Nunia jechała po sprawunki do Włoszczowy, wsiadłam więc do bryczki, wymyśliłam naprędce powód wyjazdu i więcej się w Boczkowicach nie pokazałam. Ale ta podstępna bestia znalazła sobie pretekst, żeby mnie spotykać.

Ponieważ w Boczkowicach lodownia była od dawna nieczynna, a młodzież domagała się lodów na wety, Wiesław przyjeżdżał do nas, do Włoszczowy, na czarnym rozhukanym ogierze, przywożąc w „maszynie” płynne lody. Wchodził do piwnicy, sypał do beczułki porąbany lód, sól i salmiak. Skąd brał ten ostatni składnik, nie wiem. Bardzo się chwalił, że jest dobry z chemii i ta właśnie mieszanina daje niską temperaturę, a lody w pojemniku prędko tężeją. Po półgodzinie wychodził ten dryblas z piwnicy i tu nie omieszkał wyróżnić się głową o wystający z futryny gwóźdź. A było tak za każdym razem. Krew płynąca po nosie, siniak na czole, który za dwa dni, znów uderzony, siniał na zielono.

Przyjeżdżał tak często z własnej i nieprzymuszonej woli. Bańkę z lodami miał przytroczoną do siodła, z podwórka wyjeżdżał galopem, aby mu się deser nie rozpuścił. Kobiety z Konieczna trzy razy w tygodniu spodziewały się go w samo południe, kiedy żar lał się wprost z nieba, a on pędził w szalonym galopie przez wieś, po hajdamacku, na wyciągniętym jak struna czarnym koniu pokrytym pianą. Z nozdrzy ogiera wydobywał się chrapliwy oddech, kiedy w rekordowym tempie dwudziestu minut przemierzał te 10 kilometrów.

Zawczasu były spędzane z drogi kury, gęsi, a dzieci miały zapowiedziane, żeby nie wychylać się zza płotu, „bo będzie jechał tyn ancychrys”. I tak usadowione po opłotkach kobiety wiejskie rajcowały, czekając na niego. Kiedy przelatywał jak zjawą z umazaną krwią twarzą i głęboką raną na czole, zegnały się krzyżem świętym i czekały, aż zniknął za zakrętem.

Trzeba trafu, że w pobliżu parafii kościelnej przechodzili wlasz nie dwaj gospodarze na Anioł Pański do kościoła. Był to Wincenty Kaczmarek i Michał Piątek – dwaj gospodarze przychodzący co niedzielę do dworu „na gazetę”. Poznali od razu czarnego ogiera, choć był niepodobny do tego lśniącego w stajni, okryty kurzem, sponiewierany i pożałowania godny. Pojechali do stryja, opowiadając mu, co widzieli. O, długo grzmiał na dziedzińcu głos zagniewanego sędziego. Wiesław na proponowanego mu do jazdy bułanka wzruszył tylko ramionami i zawrócił do

domu, a to dlatego, że koń ten był ciężki i powolny.

Naszła go teraz inna myśl. Obaj ze Zbyszkiem Myszczyńskim spali w pokoju przylegającym do głównej sieni, na wprost jadalni. Przywieźli ze sobą z Warszawy jakieś liche radyjko, a że wydawało im się za ciche, Wiesiek poradził, aby pod nogi angielskich metalowych łóżek, na których spali, podłożyć głębokie porcelanowe talerze dla lepszej akustyki. Całe dwa dni zabrało im podłączanie, wiązanie drucikami, robienie na dachu anteny i wreszcie osiem głębokich talerzy od serwisu z miśnieńskiej starej porcelany, napełnionych wodą, znalazło się pod nóżkami łóżek. Rzeczywiście głos w słuchawkach pogłębił się i był słyszalny nawet przez drzwi w sieni. Pewnego wieczora Nunia, przechodząc, usłyszała jakiś ruch w pokoju chłopców, wybuchy śmiechu i uderzenie czegoś miękkiego o ścianę. To zwaśnieni chłopcy, a może rozbawieni, stali na łóżkach w slipkach i w ferworze walki okładali się poduszkami. Dostrzegła te nieszczęsne miśnieńskie talerze, które z metką „Vieux Saxe”, czyli „Staroświecka Saska Porcelana”, pod ciężarem chłopaków potrzaskały na skorupki. Popatrzyła tylko zmęczonym wzrokiem na pokój i bez słowa wyszła, zamykając cicho drzwi za sobą. Były przeprosiny, obietnice, ale one nie zastąpiły tej wielkiej straty.

Po powrocie do Warszawy uparł się na widzenie ze mną. Namówił matkę i we wrześniu przyjechali do Częstochowy, gdzie chodziłam do gimnazjum „do sióstr”. Stanęli w hotelu, w Alejach Panny Marii, i ciotka Nela jeszcze tego samego rana przyszła do swojej stryjecznej siostry, a mojej ciotki Kazimiery Stępkowskiej, profesorki od przyrody. Uprosiła, aby nazajutrz po lekcjach mogła zabrać mnie na spacer po mieście oraz na nabożeństwo pod „Szczytem Jasnogórskim”. Ale skończyło się na wspólnym spacerze, na kawiarni, sklepach. Pod „Szczytem” została tylko ciotka, a my spacerowaliśmy po parku. Na drugi dzień wymówiłam się złym stanem zdrowia i obydwójce wreszcie odjechali.

Na wakacje obie siostry Stępkowskie – Nela i Janina – zaprosiły mnie do siebie, na ulicę Emilii Plater 5 w Warszawie. Wuj Drewnowski, mąż Neli, był asesorem w sądzie, gdzie po zdaniu aplikacji mógł sprawować urząd sędziego czy prokuratora. Przepięknie grał na skrzypcach – zresztą cały ród Drewnowskich był umuzykalniony. Pojechałam, bo, aż wstyd się przyznać, nie znałam jeszcze Warszawy. I tu, oprowadzana i wożona przez wuja czy ciotki, zwiedziłam ważniejsze obiekty stolicy, obejrzałam bogate sklepy i coś tam dla siebie zakupiłam. Bywałam wieczorami w Operze, czasem w Operetce, poznałam Łazienki, Ogród Botaniczny i jakże piękne wtedy Ogrody Jordanowskie. Byłam również na otwarciu Galerii Obrazów. Poznałam wtedy liczną rodzinę warszawską. Z Wiesławem byliśmy jednak zawsze na dystans, choć wiele miłych chwil mu zawdzięczałam, woził mnie bowiem wszędzie i był bardzo opiekuńczy.

Po tej wizycie nie widziałam go już nigdy. Znajomość zakończyła się po mojej myśli; Wiesław studiując prawo, poznał Węgierkę i z nią się ożenił. Nie

przeżywałam tego ani nie cierpiałam, bo nigdy nie było między nami głębszego uczucia.

## Wuj Staś umiera

Mąż Nuni, nasz wujek Staś, jeździł codziennie do Włoszczowy konno, do sądu. Męczyły go te kilometrowe podróże, zwłaszcza podczas szarugi jesiennej czy też w zimie. Poprosił więc moją mamę, czy nie mogłaby go stołować. Zgodziła się na to chętnie, dogadzała mu, bo go bardzo oboje z moim ojcem kochali. Do obiadu, kiedy przemarzł, wypijał kieliszek wiśniaku. Może podróże, a może to częste czuwanie nad stawami, bo w dalszym ciągu ktoś kradł ryby, doprowadziły do poważnego zaziębienia.

Ciągnęło się to całą jesień i zimę. Leczyć się nie chciał, ale kiedy miewał już stany podgorączkowe, został wysłany przez swego przyjaciela, doktora Talikowskiego, do Otwocka. Leżał tam może pół roku, a Nunia odwiedzała go dosyć często. Już wydawało się, że jest mu lepiej, nadzieja wstąpiła we wszystkich. Pewnego wiosennego dnia, po krwotoku, nagle zmarł. Nunia była zrozpaczona, bo naprawdę darzyła go wielkim uczuciem i przywiązaniem. Zostawiła dziewczynki pod naszą opieką i pojechała załatwić sprawy pogrzebowe. Sprowadziła ciało i pochowała obok grobu cioci Kasi i jej brata, pana Sławińskiego, na cmentarzu we wsi Konieczne, dokąd zawsze jeździli z Boczkowic do kościoła na nabożeństwo.

## Jurek Olszewski

Wychowywany bez rówieśników, wśród dorosłych, nie potrafił dorównać kolegom w grze w piłkę, w biegach, po prostu nie znał tych zabaw. Wyśmiewano go i odsuwano od gry. Zastawałam go nieraz, gdy siedział na ziemi skulony i rozmazywał brudnymi pięściami łzy płynące z tych niebieskich oczu. Brałam go wtedy do nas, myłam buzię i - zaczesawszy czuprynkę – sadzałam przy stole. Czułam się wtedy jakaś opiekuńcza wobec pokrzywdzonego. Rozkładałam blok i dzieląc kartę na kilka prostokątów, zaczynałam opowiadać bajkę i rysować ją jednocześnie. Były to śmieszne historyjki o małpie w kąpielu Fredry czy o psie zwaśnionym z kotem, między którymi później dochodzi do przyjaźni na śmierć i życie. Śmiał się wtedy serdecznie z mojego plecenia, śmiał się z naiwnych rysunekczków, ale oczy mu same płakały, chyba już z radości. Podsuwał swoje pomysły i coś tam dorysowywał od siebie.

Pani rejentowa – ciotka Jurka, przechodząc pod naszymi oknami i słysząc jego śmiech, zdziwiła się, że to Jureczek w takim humorze, chłopiec, który po całych dniach chodził smutny i milczący. Wzięła mamę na stronę i prosiła bardzo, czy mogłabym przychodzić do nich, bo jej się wprost w głowie nie mieści, że mam na niego tak zbawienny wpływ. A to nie ja, tylko bajki wymyślane na poczekaniu, jakieś wizje, nie wiadomo skąd wzięte, a wszystko zaprawione ciepłem i zakończone zawsze szczęśliwie.

Rejentowa tuliła malego Jurka, sama miała łzy w oczach, a mnie całowała, mówiąc: „Coś ty z nim zrobiła, dziewczyno!”. A ja byłam bardzo rada i mrugałam na niego porozumiewawczo. Czułam, że będę mogła odtąd bawić się z nim, chodzić do ich ogrodu i przyjmować go u nas. Miałam też obiecaną przez panią rejentową jazdę na Jurkowej dreźnie, czterokołowym wózekczku, którą uruchamiało się pionową deseczką – kierownicą, poruszaną w przód i w tył. To była wspaniała jazda i ćwiczenie na mięśnie rąk i pleców. A na włoszczowskich trotuarach, przy dobrej pracy rąk, osiągało się niebywałą szybkość, aż wiatr w uszach szumiał i warkocze fruwały. Po takiej eskapadzie dopytywaliśmy się wzajemnie: „Świszczało ci w uszach? Bo mnie tak”. Często zapraszano mnie na obiad, bo rzeczywiście, chłopak był nie ten sam. Oczy mu błyszczały i uśmiechał się do siebie.

Czytałam mu książki, bo potrafiłam to robić płynnie i ze zrozumieniem. Niekiedy grałam na starym fortepianie, a rejentowa chwaliła i gładziła mnie po głowie.

Najgorszą karą dla Jurka było jedzenie. Owszem, ogryzł tam jakąś kosteczkę, za to jarzyn nie ruszył, czekał tylko na kompot, a mógł wypić dużo.

Zdarzało się, że podczas zabawy dostawał w szklance kogel-mogel. To była prawdziwa kara, kiedy biedny chłopak musiał ciągnąć ten przesłodzony gąszcz



ubity na pianę. Wprost oczy mu z orbit wychodziły i napływały łzami.

Bywało, że idąc z rodzicami na spacer pod Czarnecką Górę, brałyśmy go z sobą, a wyhasawszy się, częstowałyśmy go kanapkami. Pałaszował z nami aż miło i jeszcze zaglądał do koszyka. Kiedy trzymając za rękę, odprowadzałam go do domu, państwo rejentowie, siedzący w fotelach, przyciągali go do siebie, przytulając i całując. Roześmiany chłopak mówił do nich: „Dobry dziś miałem dzień”. Nie potrzebowałam wtedy żadnych pochwał i podskakując, biegłam do domu. Jurek był młodszy ode mnie o dwa i pół roku, a ja po prostu czułam się jego opiekunką. Zresztą, opiekuńczość tkwi we mnie do tej pory.

Przyjaźń trwała parę lat, zanim wyjechałam do gimnazjum w Częstochowie. Jurek, pamiętam, ryczał cały dzień. Zamknął się w swoim pokoju, ale kiedy zapukałam, mówiąc, że chcę się pożegnać – otworzył i nieprzytomny z płaczu padł rejentowej w ramiona. Trzęsąc się jak w febrze, pytał w kółko: „Dlaczego tak musi być, ciociu, dlaczego?”. I ja płakałam razem z nim i przytulałam go jak siostra, pocieszając, że napiszę, jak tylko zajadę. Pisałam, owszem, ale już Jurka nie miałam na co dzień. Za dwa lata i on zdał w Warszawie do gimnazjum, później na studia. Po latach został ministrem handlu.

## Radio, kino, teatr we Włoszczowie

Miałam wtedy zaledwie osiem lat, kiedy rozniosła się wieść po mieście, że nazajutrz w Bibliotece Publicznej będzie można usłyszeć głos z radia, specjalnie przywiezionego z powiatu.

A trzeba wiedzieć, że to było pierwsze spotkanie z radiem w miasteczku.

Można sobie wyobrazić te tłumy zebrane przed budynkiem, nie mówiąc o wnętrzu, gdzie na pierwszym piętrze mieściły się wydzielone dwa pokoje przeznaczone na czytelnię i wypożyczalnię książek. Prowadziła ją panna Barańska, cicha i miła dziewczyna, przysłowiowy mól książkowy, która większą część życia spędzała tu właśnie, zaczytana, nieprzytomna i niewiele wiedząca, co się wokół niej dzieje. Jeśli idzie o wybór książek, to przeważała beletrystyka, wśród szpargałów o tytułach: *Tajemnica zamku nad Loarą, czyli kobieta sfinks* lub *Ofiara haszyszu, czyli harem szejka Abdullacha*, można było jednak wyłowić prawdziwe perły naszej literatury, jak *Szyfowe prace* czy *Emancypantki, Ludzie bezdomni*. Był Cyprian Kamil Norwid ze swoimi poezjami, Mickiewicz, *Pan Tadeusz* ilustrowany przez samego Andriollego, były wybrane dzieła Kraszewskiego, w chronologicznym porządku poukładane na półkach, *Trylogia, Krzyżacy*, były całe opasłe tomy czasopism „Bluszcz” i „Tęcza” tak pilnie czytanych, bo mówiących o typowo babskich sprawach. Był też ilustrowany „Kurier Warszawski” z 1900 roku, którego wszystkie zeszyty oprawiono w twarde okładki.

Najbardziej ciekawiły mnie ostatnie strony każdego zeszytu, ponieważ tam do dowcipnych tekstów rysował Kostrzewski. Można się było zaczytywać również nowelkami Prusa, tu szła w odcinkach powieść *Chłopi* Reymonta. Całość przeplatała poezja Konopnickiej, wiersze Wincentego Pola czy Gawalewicza i Deotymy Łuszczewskiej. Było również czytane chętnie przez dzieci „Moje piśmko”, a już prawdziwy rodzynek to Amicis i jego *Serce*. Wreszcie nasza Orzeszkowa i Rodziewiczówna. Nad jej powieściami dziewczęta dostawały zawrotów głowy, natomiast nad Mniszkówną wylewało się morze łez.

Ale dość wyliczanek, bo dzisiaj od rana walą do biblioteki tłumy.

Pod naporem zniecierpliwionych obywateli miasta trzeszczy niebezpiecznie drewniana poręcz schodów prowadzących na piętro. I oto wreszcie niemilknąca trąbka klaksonu na ulicy, znak, że przyjechał delegat z powiatu, wiozący tę czarodziejską skrzynkę – pierwsze radio. Przed budynkiem biblioteki zatrzymał się stary, cały rozdygotany samochód. Przednia część tego wehikułu była odkryta. Z wysokiego kozła schodził powoli w chwałę szofer, w skórzanym kombinezonie i takiejże czapce, w okularach samochodowych, podobny do Marsjanina z Kosmosu.

Zaczyna się celebracja. Szofer odbiera od panów siedzących z tyłu skrzynkę owiniętą w białe prześcieradło i cały ważny, na wyciągniętych do przodu rękach,

wnosi ten ciężar po schodach w asyście rozkrzyczanego tłumu, który wlewa się do wnętrza.

Ta rozgorączkowana czereda, pchana od tyłu przez wyrostków żadnych wrażeń i przez starozakonnych pejsatych Żydów, którzy węższą w tym jakiś niezły interes, wyłamuje poręcz na schodach i wali się zbitą masą na głowy innych. Tumult i krzyki, bo ktoś poszkodowany woła o pomoc. Wrzawa podnosi temperaturę i tak już rozgrzanej do czerwoności publiki. Dobrze, że choć chwiejącemu się szoferowi z tą cenną skrzynką idzie w sukurs jakiś rosły mężczyzna. Że nie ułomek, więc rozpychając łokciami opornych, toruje drogę do sali, która już z dala powiewa transparentami, czerwono-białymi bibułami.

Przywołana na tę uroczystość orkiestra straży pożarnej na dany znak dmuchnęła w olbrzymie trąby. Złany potem młodzian uderzył z wściekłą siłą w talerze tak mocno, że niektórzy z obecnych aż przysiedli, spodziewając się najgorszego. I oto punkt kulminacyjny. Na przygotowanej w sali trybunie obciążonej czerwoną płachtą został ustawiony aparat. Olbrzymie pudło ze srebrnymi lampami z przodu. Druty wyrzucone przez okno już podłącza strażak, który za pomocą przypiętych do butów włazów dostaje się na czubek słupa elektrycznego i coś tam majstruje. Wreszcie – o cudzie – w pudle na oczach wszystkich zapalają się lampki. Z głębi wydobywają się przeraźliwe piski, wycia, skrzypienie szkła po szkło, które z uwagą i przejęciem uspokaja dzielny nasz szofer, kręcąc pokrętłami. W końcu głos wygładza się, ktoś coś mówi, na razie niewyraźnie, później całkiem czysto i dźwięcznie. Prawi o buhaju zarodowym szwajcarskiej rasy w podgórskich stadach krów maści czerwonej. Znów gwizd przeraźliwy, zmitygowany dłonią szofera, i oto – wiadomości radiowe nadawane płynnie miłym, ciepłym głosem przez spikera, pana Bocheńskiego. Od tej pory ten sympatyczny pan, uwielbiany przez wszystkie kobiety z całego kraju, miał nam umilać i wypełniać uciekający czas.

Tego dnia, latem 1923 roku, nasycili się włoszczowianie wiadomościami i dobrą muzyką, która z mikrofonu stojącego w oknie biblioteki płynęła wąskimi uliczkami naszego zawsze sennego miasteczka aż do rynku, dając namiastkę wielkiego świata i tęsknotę za czymś nieznanym. A że stworzyły się możliwości nabycia tych aparatów Philipsa w Kielcach, wielu co zamożniejszych obywateli zaopatrzyło się rychło w nadajniki radiowe, ku uciechu własnej i sąsiadów.

Miasteczko jakby ocknęło się z letargu, zasilane wiadomościami ze świata, które niosły perspektywy całkiem innego istnienia i stwarzały wizje lepszych zarobków, ciekawszej pracy. Rozbudziły one wreszcie w młodzieży chęć do nauki i wydobywania się z marazmu, który od niepamiętnych czasów trzymał we władaniu Włoszczowę. Oddalona bowiem o całe kilometry od stacji – jak się dawniej mówiło na dworzec kolejowy – bez jakiegokolwiek przemysłu, nagle, dzięki prężnej inicjatywie starosty, zaczęła się rozwijać. Najpierw zbudowano jakąś

fabryczkę, dającą zatrudnienie robotnikom. Na drugi rok miasto szarpnęło się na olbrzymi gmach szkoły podstawowej i kilka bloków mieszkalnych. Dzięki pomysłowości krawca, o nazwisku Grabowski, powstało kino.

Grabowski, który przez dzień jest dyktatorem mody, szyje bowiem z uczniami w swojej pracowni męskie garnitury, płaszcze według żurnali warszawskich – wieczorem, przedzierzgnięty w wielkiego światowca, w czarnym tużurku, czuwa nad porządkiem w kinie, wita przybyłych co ważniejszych luminarzy miasta, dwoi się, troi, rozsadza, przesuwa i rządzi, by wreszcie zasiąść w dziupli i przez mały otwór w ścianie rzucić snop światła na ekran i przenieść spragnionych widzów w inny świat.

Bardzo chętnie przychodziliśmy z Anią na *Bajki z 1001 nocy*. Na ten film hurmem waliły dzieci włoszczowskie. Pamiętam, jak blada pani, jakby z mąki wyciągnięta, sprzedawała w kasie ostatnie bilety. Podczas seansu filmów jeszcze niemych grał na pianinie niezastąpiony Pszczoch, tyczkowaty mężczyzna w przykrótkim fraczku, „fortepianista”, jak go nazywał właściciel. Gdy się spóźniał, wszyscy musieli na niego czekać. Czarny, z bródką i spojrzeniem Mefistofelesa, odwijał z elegancją połę fraka i zasiadał przy zdezelowanym mocno instrumencie. Usadowiwszy się wreszcie, uderzał z góry w klawisze z wielkim hukiem. A że na sali było ciemno i nie widział klawiatury, to – jak mówił ojciec z czeska – „Gdzie popał, tam hrał”. Grał, że, Boże, zmiłuj się, fałszywie i nie wiadomo co, a walił po to tylko, aby było głośno. Tyle umiał i kiedy z rozwianą po mistrzowsku czupryną kończył, zaczynał to samo od początku.

To była istna kakofonia. Ale kiedy Ramon Navarro wskakiwał do rydwanu zaprzęzonego w białe rumaki i w tumanach kurzu triumfował nad rywalami – Pszczoch dostawał piany. Wstawał wtedy z taboretu i niczym czarne ptaszysko rzucał się z rozczapierzonymi palcami na niewinne klawisze, tłamsił je w porywie uniesienia, siekał, bił, przeplatając sunącymi w górę tonami, które ciągnął mocnym kciukiem od basów aż po wysoką górę i wprawiał słuchaczy w drzenie i w stan gorączki.

Brawom nie było końca, bo tłuszcza z parteru bawiła się wyśmienicie i filmem, i fałszywą muzyką, która stanowiła podniecie i pieprzyk wrażeń, doprowadzający wyobraźnię do zenitu. Myślę, że była to pierwsza faza późniejszej ery bigbeatu, która w swoim czasie porwała młodzież.

Po takim wieczorze, dwóch godzinach spędzonych w zaduchu i w okryciu, bo szatni przecież nie było, człowiek wychodził ogłuszony i otumaniony na cały tydzień, kiedy to znów, w niedzielę (bo wtedy tylko były projekcje filmów), mógł zasiąść w mocno wysłużonych fotelach i śmiać się, śmiać... do łez z Bima i Boma lub początkującego Chaplina.

Ale kiedy na mieście ukazały się afisze, że za tydzień ma zjechać Karol Namysłowski ze swoją kapelą – radości nie było końca.

My z Aniusią, obydwie już nieźle grające panny w wieku zaledwie dziesięciu i czternastu lat, nie mogłyśmy się doczekać tego występu, który miał się odbyć w szopie strażackiej. Owszem, obszerna, zbudowana z desek, nadawała się jednak tylko na letnie zabawy i potańcówki, choć miała dużą scenę z rozklekotanym fortepianem oraz kurtynę przedstawiającą malowidło *Pieśń wieczorna* Żmurki.

Tego dnia kasa była pełna, bilety wyprzedane co do jednego. Remiza nabita po brzegi, reszta widzów w otwartych, olbrzymich jak w stodole wrotach, gawieź na śniegu.

Tulimy się, bo zimno, ale co tam mróz. Oto dzwonek. Kurtyna idzie w górę i oczom naszym ukazuje się barwna grupa krakusów w białych kierezjach i czapkach z pawimi piórami. Stoją ze skrzypcami w rękach i kłaniają się nam, również ci stojący przy wielkich kontrabasach i wiolonczelach. Sam maestro, Karol Namysłowski, we fraku, także kłania się publiczności. Otrzymuje wielkie brawa. Po chwili odwraca się do kapeli, podnosi obie ręce i na gest batutą zaczyna płynąć ze sceny pierwsza z melodii *Kłósów polskich* – zbioru wojskowych i ludowych pieśni z tamtych lat. *Grzmią pod Stoczkiem armaty* – jakże dobrze nam, dzieciom, znane z naszego patefonu Pate-Rico.

Nie posiadam się z radości. Nucę cichutko *Tam na błoniu błyszczą kwiecie*, a po chwili, kiedy instrumenty hukną *Bartoszu, Bartoszu*, tłukę nogami w takt melodii o stojącą przede mną ławę, na której akurat siedzi nasz kanonik Błasik z rejentem Czekańskim i jego żoną. Kanonik odwraca się powoli, ale ja nic nie widzę, ja śpiewam, kopiąc końcami bucików pod jego siedzeniem. Anusia z kolei kopie mnie w kostkę, a tata mityguje wzrokiem. Na słowa: „Bóg pobłogosławi, Ojczyznę nam zbawi...” pokazuję palcem na księdza, który patrzy na mnie jak na wariatkę. Wreszcie *Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę* – i kto by tam wyliczył wszystkie utwory tej przepięknej wiązanki. Do tej pory pamiętam jeszcze ich kolejność. Śmieją się do nas krakowiacy, pióra chwieją się na czapkach, a my chłonimy pieśni miłe sercu. Szkoda, że szybko minęły dwie godziny i ani się spostrzegłam, kiedy trzeba już wyjść z tej zimnej remizy na jeszcze bardziej zimny wiatr.

Odkąd wybudowano salę widowiskową, odbywały się w niej zabawy, bale karnawałowe, różne spotkania i wiece. Coraz częściej przyjeżdżały z Kielc, Łodzi i Radomia amatorskie trupy teatralne, z *Panem Geldhabem* czy *Zemstą* Fredry. Pewnie, że koneser miałby wiele do zarzucenia tym rozpromienionym i z uśmiechem kłaniającym się adeptom sztuki, ale głodni jakichkolwiek widowisk – witaliśmy ich nad wyraz entuzjastycznie i z wdzięcznością, że w ogóle zahaczyli o tę „dziurę zabitą deskami”.

W późniejszych latach przyjeżdżał z bogatym repertuarem profesor Gruszczyński – niewidomy śpiewak z Kielc. Kiedyś znów skrzypek z Izraela,

wielki Jehudi Menuhin.

Na poważniejsze sztuki w trakcie naszych ferii jechało się do Kielc, na co ojciec nigdy nie żałował pieniędzy. Takie to były rozrywki artystyczne w tamtych czasach.

## Sierociniec we Włoszczowie

Za ogrodem kowala Wyrwała stał dom drewniany, ciemny, aż brązowy od starości. Narożny, zbudowany w kształcie trójkąta, wychodził na dwie ulice. Mieścił się tam sierociniec. Wszystkie panie z zamożniejszych domów miały za punkt honoru pomagać tym biednym dzieciom, czy to zdobywając dla nich odzież, bieliznę, czy też prowiant. Dzieci było trzydzieścioro, w różnym wieku. Ochroniarka, opiekunka, odpowiadała za całość. Były pomocnice, dwie nauczycielki, gruba kucharka z pomywaczkami, no i pyskata pracza. Ta, prócz kucharki, najbardziej była zapracowana. Każdy z mieszkańców, kto coś sobą reprezentował w tej małej społeczności włoszczowskiej, dorzucał swój grosz i czuł się odpowiedzialny za ład, czystość i - najważniejsze - sytość tych małych mieszkańców wielkiego drewniaka. A więc masarz podluzcał tam parę razy w tygodniu jakieś ochłapki - kostki do kotła na zupę, słoninę na okrasę lub tańszą wędlinę. Wszystko było przyjmowane z wdzięcznością, a dawca - Bogu polecany w modlitwach. Dzieci te, po bożemu wychowywane, prowadzone były przez swoją opiekunkę co niedzielę do kościoła. Stały grzecznie parami na środku nawy głównej, nadzwyczaj schludni chłopcy i dziewczynki widoczne z daleka w swoich czystych różowych sukienkach w paseczki i w białych fartuszkach. Niejedna matka nie utrzymywała w takiej czystości swojej pociechy. Buźki wymyte, różowe policzki aż błyszcząły, warkoczyki zaplecione, włosy bez insektów. O to dbał już pan Bitoft - drogista.

Dostarczał raz w tygodniu różne medykamenty, syropy, maści, proszki i pastylki do sierocej apteczki.

Wśród wychowanków były trzy starsze dziewczynki, które tam przez parę lat rosły pod czujną opieką pań, z rejentową na czele. Były w wieku czternastu i piętnastu lat, ale jakieś bardzo smutne i nad wiek poważne. Opiekowały się maluchami. Po prostu matkowały im. Najstarsza, Marysia, bardzo ładna, z czarnymi warkoczami, łagodziła dziecięce swary, była wśród nich autorytetem i zastępowała maluchom prawdziwą matkę, której żadne nie znało i nie pamiętało. Całowała, przytulała te płowowłose niebożęta, które lgnęły do niej, grzejąc się ciepłem dobrego serca i niewyczerpanej dobroci. Marysia, której nazwiska nikt nie znał, była po prostu filarem tej społeczności. Każdy liczył się z jej zdaniem i oceną, nad podziw trafną, a personel nazywał ją „małą mateczką”, zadowolony, że potrafiła wszystkich odciążyć w tej odpowiedzialnej pracy.

Tak się utarło, że dwa razy do roku urządzone były festyny, a dochód z nich szedł na sierociniec. Dzieci były wspólną troską tego małego miasteczka i nie wiem, czy gdzieś w Polsce działo się coś podobnego, gdzie byłaby taka jednomyślność i hojność mieszkańców. Na przykład gruby pan Grabowski oddawał swoją salę kinową na festyn, nie biorąc za to ni grosza. Ojciec nasz i pan

Kaczkowski, właściciel drugiego polskiego sklepu, zaopatrywali kuchnię w potrzebne wiktuały, kowal Wyrwał dawał z sadu odsyp owoców, gospodynie z ulicy Długiej i Włoszczówki dostarczały świeże mleko i przetwory z niego, inni dowozili wózkami ziemniaki i warzywa. Raz w miesiącu kahał żydowski dawał zezwolenie na korzystanie z mykwy, czyli łaźni, a fryzjer przychodził do ochronki strzyc chłopięce główki. Często dochód z balu szedł na rzecz ochronki, a panie prześcigały się w różnych datkach. Jednym słowem – sierociniec był oczkiem w głowie i poniekąd dumą wielu włoszczowskich obywateli.

Na wprost sierocińca, za zakrętem po przeciwnej stronie, stała chałupa czysto obielona, szczytem zwrócona do drogi. W tej właśnie ścianie znajdowały się drzwiczki na strych. Wchodziło się po przystawionej drabince. Bardzo często, niekiedy długo w noc, słyhać było trąbkę, na której grywał Plebanek, chłopak w wieku jakichś dwudziestu lat, wysoki, smukły, z blond czupryną. Należał do orkiestry strażackiej i ze strażakami jeździł również do pożaru. Może za mała byłam, żeby oceniać jego grę, ale wiem tylko, że mogłam jej słuchać godzinami.

Nieraz przed wieczorem, kiedy tylko usłyszałam trąbkę, biegłam z domu, aby popatrzeć, jak gra. Okazało się, że to nie była żadna trąbka z wentylami, ale zwykła sygnalówka. Gra się na niej własnym głosem, ale do tego trzeba mieć słuch absolutny. Plebanek siedział na sianie, dyndał spuszczone nogami i wybijał piętami tempo o ścianę, którą nieźle obtłukł. Gdy się ściemniało i biegłam przez ulicę do domu, widziałam często w oknach buzie dzieci z sierocińca. Zapewne i one lubiły jego granie.

Pamiętam, wracałam z „koncertu” Plebanka w któreś poniedziałkowe popołudnie. W miasteczku odbywał się tego dnia targ i często podchmieleni gospodarze pędzili do domów bez pamięci, zapóźnieni. Przechodziłam ulicą, gdy zza zakrętu wypadł biały koń, a właściciel, stojąc na furze, okładał go kijem od bata. Koń pędził galopem, a ja stałam przerażona na środku ulicy. Koń okazał się mądrzejszy od pijanego chłopca. Tuż przede mną stanął dęba. Jednak kiedy poderwał podkute przednie nogi, uderzył mnie silnie w usta, a opuszczając je poprawił z góry w głowę. Pijany chłop fiknął kozła i znalazł się pod kopytami rozszalałego teraz zwierzęcia. Koń skręcił w bok, ominął mnie, ale niestety kołami wozu przejechał leżącego pijanego gospodarza. Widziały tę scenę panie z okien sierocińca, widział Plebanek, który momentalnie zeskoczył ze strychu. Leżącą bez ruchu wziął mnie na ręce i zaniósł do naszego domu. Nie będę opisywała rozpaczyny mamy, bezskutecznego cucenia zemdlonej. Dokonał tego dopiero wezwany lekarz. Umył zakrwawioną i zapiaszczoną buzię, wyciął włosy na czubku głowy i zszyl skórę. „Nos w porządku – powiedział – jak również zęby. Skaleczenie podkową pod nosem zrośnie się samo, proszę tylko zmieniać kompresy. Jutro przyjdę”. Byłam tak zszokowana i obolała, że nic nie mogłam mówić. Dopiero na drugi dzień wyskoczyła gorączka, ból głowy i zębów. Buzia była spuchnięta, oczy chore,



zanieczyszczone piachem tak, że nie mogłam nawet ich otworzyć. Płukania, zakrapianie, kompresy, mozolne wlewanie płynów do ledwie uchylonych ust – i tak zaczął się szpital w domu. Leżałam długo, zanim doszłam do zdrowia.

Od tamtej pory bałam się chodzić do Plebanka, tylko słuchałam jego muzyki przez okno.

Któregoś wieczora, kiedy już mnie nie bolała głowa, a lampka przy Karmiącej mżyła i chwilami strzelała iskierką – odezwała się trąbka Plebanka. Najpierw marszem szły jakieś pieśni żołnierskie, miarowe, wybijając takt podkutymi butami, potem ułani i pęki białych róż mieszały się z rozmarynem i kaliną, co to korale z żalu zgubiła.

Leżałam, patrząc w górę, gdzie na suficie pełzały światełka w mroku, i słuchałam całym sercem, zapominając, gdzie jestem, bo przecież i ja szłam razem z wojskiem i śpiewałam cichutko. A kiedy popłynęła na zakończenie dziękczynna pieśń *Wszystkie nasze*, wydawało mi się, że te mosiężne tony płyną nad Czarnecką Górą, nad polami i sadem, i trafiają chyba wprost do nieba. Usnęłam. To była ostatnia pieśń wieczorna trębacza.

Pewnej nocy odezwał się sygnał, że się gdzieś pali. Mama zarzuciła płaszcz na nocną koszulę, ja też uprosiłam, że pójdę, bo byłam wystraszona krwawym światłem w całym mieszkaniu. Wybiegłyśmy razem, kierując się w stronę łuny, która wydawała się bliska. Przejechała obok nas z dzwonieniem straży ogniowej i skręciła koło sierocińca. „Dobry Boże – mówimy – aby tylko nie u dzieci”. Wychodzimy zza budynku, patrzymy, a to Plebanek się pali. Kłęby burego dymu wałę przez dach, pali się siano, wreszcie cały budynek staje w ogniu. Nadjechała konna karetka pogotowia, mama pyta: „Kto tu chory czy ranny?”. Stara Plebankowa zawodzi, ludzie przekrzykują wyjące psy, a mężczyźni z pogotowia wnoszą kogoś na noszach do karetki. Ludzie mówią: „To ten młody, co to grał na trąbce. Spał na sianie, pewnie ogień zaproszył, a uciekając, spadł ze strychu i pewnie się zabił, bo się nie rusza”. Karetka odjechała. Ogień powoli przygasa, a my, jak z pogrzebu, wracamy do domu. Na drugi dzień dowiadujemy się, że Plebanek złamał rękę i naruszył kręgosłup, upadając na beton. Wyleczył się w końcu, ale już nigdy więcej nie zagrał na trąbce, bo mu w szpitalu odcięto prawą dłoń z powodu silnego poparzenia, a potem zakażenia ręki. Mam do dziś w uszach jego smętne melodie i czyste mosiężne tony trąbki. Znalaziono później w zgliszczach powykręcaną od ognia i zmiażdżoną przez wałę się belki trąbkę. Płakał nad nią jak nad nieżyjącym już a bliskim mu człowiekiem.

## Zaproszenie do Boczkowic

Już zbliża się kwiecień, święta niedaleko. Stryj, który przyjechał do Banku Ziemiańskiego we Włoszczowie w swoich interesach, wpadł do nas i przy obiedzie zaprosił w imieniu Nuni i swoim na dwa dni do Boczkowic. „Konie będą po was wysłane w wigilię świąt na szóstą rano. Nunia prosi, żeby Walunia kupiła dwa tuziny szklanek i kieliszków”.

Był u nas wtedy wujek Franek Saramowicz, brat mamy, dowcipny, roześmiany, wiecznie śpiewający i grający na pianinie. Czy stryj go naprawdę polubił, czy też zrobił to grzecznościowo, nie wiem, ale i jego zaprosił również. Wypili kordialnie bruderszaft, nagadali sobie duserów co niemiara w tej wylewnej rozmowie, prowadzonej fortissimo, bo senior Stępkowski był nieco głuchy. Przed odjazdem wycalowali się z dubeltówki. Stryj w doskonałym humorze wyjechał. W dniu poprzedzającym święta wstaliśmy wcześniej, czując, że będzie wielka frajda. Równy z wybiciem zegara Anusia i ja, z przylepionymi nosami do szyby, krzyknęliśmy: „Mamo, tato, przyjechał Jurek, jedziemy!”. Ale Stanisław Jurek, Krakus z urodzenia, w swojej białej, kolorowo haftowanej kierezji, w czapeczce krakusce z pawim piórkiem – zlął wolno z kozła, rozkiełznał konie, postawił przed nimi owies w skrzynce i wysmarkał nos na ziemię. Wysiusiał się pod bryczkę i na koniec soczyście splunął.

Nie mogliśmy się doczekać, kiedy wreszcie przyjdzie do kuchni, ale jemu się nie spieszyło. Zdjął krakuskę, napluł w garść i przyczesywał czuprynę, wreszcie obciągnął kierezję i wolno wszedł na schody. Już w kuchni czekał na niego niecierpliwie ojciec z kanapkami i kieliszkiem. Szkoda, że mu dolewał, co się później okazało złym posunięciem. Rozgrzany, siedział rozwalony na zydlu i ani myślał jechać, tylko rezonował z ojcem. Wreszcie uczeplił się Andrzejowej – służącej, która akurat zagniała makaron. Stał nad nią i tak chuchał i szeptał jej do ucha, że się baba uchylała i ramionami wstrząsała, broniąc się od jego propozycji, aż musiała natrętowi sychnąć mąką w oczy. Dopiero wtedy się odsunął, coś mamrocząc i się otrzepując.

Tu będzie mała dygresja, ale konieczna. Andrzejowa, tak kazała na siebie mówić, służyła u nas czwarty rok, przyzwyczała się do nas, a my do niej. Była schludna, pracowita i uczciwa. Wdowa od paru lat, miała dorosłego już syna, który postanowił zostać księdzem. Już prawie kończył studia teologiczne, kiedy popadł w jakąś chorobę nerwową czy psychiczną, która przekreśliła całą karierę. Siedział na wsi, coś tam dłużał na kawałku ziemi, która po ojcu została, ale to nie dawało ani dochodu, ani zadowolenia. Zaczął pisać wiersze, i to była naprawdę dobra poezja. Redakcje przyjmowały wiersze do druku. Poznaliśmy go, bo przychodził do matki po pieniądze na marki pocztowe. Całował ją w rękę, nie chciał nic jeść, choć mama nasza proponowała przekąskę, i po kilku minutach wychodził. Był to

bardzo przystojny brunet (jak matka) i miał jej niebieskie oczy. Żal go nam było, ale jak tu pomóc? Talent również otrzymał po matce, która też układała wiersze. A że nie umiała pisać, my z Aniusią notowałyśmy to, co mówiła, aby utrwalić wiejskie rymy. Kiedyś, na ojca imieniny, nauczyła się wierszowanego powinszowania i zawołała nas, aby się tym pochwalić. A brzmiało to tak:

„Dzisiaj twoje imieniny, ni mom ci co dać, chciałabym ja same róże pod twe stopy słać. (Tu położyła przed nim na podłodze pęk czerwonych róż wyciętych na naszym klombie). Chciałabym ja więc dla ciebie złotą szczęścia nić, chciałabym ja twą pociechą, twą nadzieją być. Tego ci życzy wierna Andrzejowa”. Tu podjęła go pod nogi.

Ojciec podziękował, wyjął jakiś banknot, pocałował ją w głowę, nalał kielich wódki i poczęstował ciastem. Zamiast wychylić kieliszek – wylała go na głowę, pomasowała włosy i powiedziała: „Bóg zapłać. Niech mi ta włosy urosną, ja przeciek niepijąca”. A miała ten swój warkocz gruby jak ręka, czarny i ciężki, zwisający do pasa, kiedy z koka szpilki wyjęła. Przyglądałyśmy się nieraz wprost z zazdrością, myśląc o naszych włosach cieniutkich jak pajęczyna.

Stanisław Jurek tak się rozkochał w kobiecie, że ile razy przyjeżdżał do Włoszczowy z kimś ze dworu, cały czas przesiadywał w kuchni. Coś tam jej klarował, namawiał, wreszcie zauważyliśmy, że chyba i ona mu sprzyja, bo potakiwała i często się do niego uśmiechała. Taki stan trwał do adwentu.

Kiedyś przyszła do stołowego, pokłoniła się mamie, ojca wzięła wedle zwyczaju pod kolana i mówi: „Szanowne państwo, tak mnie ten stary Jurek otumanił, że chyba wyńdę za niego. Ma gront, będę se gospodynią, a mój Jasiek zostanie na ojcowiźnie. Musi, że już chyba podziękuje państwu, żeście mnie tu uszanowali i marnego słowa nie powiedzieli. Było mi tu z wami dobrze, odpasłam się i pewno dlatego mu się widziałam, bom teraz kiej lepa, a zawsze byłam sucha. Zostańcie w zdrowiu i Bóg zapłać za waszą dobrość. Mój ślub we święta”.

Popłakała się i ucałowała rodzicom ręce. Tata otworzył komodę, gdzie trzymał domową kasę, i dał kobiecie ładną sumkę na wiano.

Wracam teraz do wyjazdu naszego do Boczkowic na Święta Wielkanocne. Jurek tego dnia, odtrącony przez burczącą wciąż Andrzejową, nie dał za wygraną. I kiedy stanęłyśmy w progu już ubrane i niecierpliwe – podskoczył do baby i pocałował ją w szyję, mówiąc: „I tak będziesz moja, zobaczysz, jak mnie polubisz, bo ze mnie jest dobry chłop”. Usadowiliśmy się w bryczce – tata przy furmanie, mama z wujkiem Frankiem, mającym przy nogach kosz ze szklankami, a my naprzeciwko, tyłem do koni, na niskiej ławeczce.

Uśmiechała mi się dusza na podróż i chociaż wolałabym, aby już było zielono i drzewa kwitły, jak się to nieraz zdarzało na Wielkanoc, przyjęłam ze stoickim spokojem fakt, że po godzinie miałam nogi jak lód, a szal, którym okręcili mi łepetynę, był cały w osiedzielnicy od oddechu. Konie tylko parskały zdrowo,

a kiedy wyjechaliśmy na pola, furman – nieco podchmielony i podniecony własnymi marzeniami – zaczął wyśpiewywać, pohukiwać, strzelać z bata, aż się wrony wystraszyły. Jechaliśmy po grudzie, wszystko dygotało. Wpadliśmy do wsi. Tu tata zmitygował czerwonego na gębie Jurka i zakazał mu się wygłupiać. Minęliśmy kościół parafialny, przed którym, nie wiadomo dlaczego, jakaś niespokojna pomodliłam się o szczęśliwą jazdę. Chłop jechał z jednakową fantazją, strzelając często z bała i strasząc po krzakach pochowane zziębnięte kury. Darły się gęsi, psy jazgotały, a tata – zdenerwowany – trzymał się krzepko za poręcz siedzenia.

Na zakręcie znaleźliśmy się przed dworem pana Jacentego Czachorowskiego. Droga nagle się popsuła i konie chciały wyraźnie zwolnić, ale chłopisko traskał z bata, przynaglając. Dojechaliśmy na łąki, gdzie rząd gołych wierzb stał nad szerokim rowem z zieloną, aż gęstą breją, pokrytą cienkim lodem. Wtedy stała się rzecz straszna. Dwa prawe koła ześliznęły się z pobocza i bryka przechyliła się nad bajorem. Anusia jako pierwsza z prawej strony wyskoczyła na górkę przeciwległego brzegu, a ja wpakowałam się głową w lodowatą papę. Wuj Franek wyskakując na pomoc, wlażł obiema nogami do kosza i „załatwił” dwa tuziny szklanek i tyleż kieliszków, ale dzielnie się spisał, wyciągając mnie z błota. Nałykałam się zimnej wody, a wyglądałam jak nieboskie stworzenie. Dygotałam na całym ciele. Wytarli mi zabłoconą buzię i głowę, wuj zrzucił z siebie bekieszę, wpakował mnie w ciepłą jeszcze, i kiedy konie wywlokły brykę na suche miejsce, powiadaliśmy i znów co koń wyskoczy gnaliśmy do dworu. A było jeszcze dobre cztery kilometry.

Zaskoczenie wielkie na ganku, bo psy nas nie poznały, obwąchując upapranych błotem. Mnie głupi Krakus wniósł na rękach, a właściwie bekieszę wuja, bo mnie widać z niej nie było. Tylko biedny wuj w garniturze i derką okryty robił dobrą minę do złej gry, ale dzięki staraniom Nuni doszedł szybko do siebie. Dwa „głębsze” ożywiły bladą twarz i przydały purpury olbrzymiemu nosowi. Wszystko dobrze się skończyło, bo dziewczki nagrzały wodę w kotle od bielizny, wymyły mnie i wsadziły do ciepłego łóżka.

Hania i Jasia, małe córeczki Nuni, dopiero z niego wyszły, teraz zabawiały mnie, jak mogły, ale po tej przygodzie sen tak mnie zmorzył, że w połowie zdania usnęłam. Obudzili mnie na obiad, ale jeszcze nie świąteczny, bo dzień Zmartwychwstania miał dopiero nadejść. Czułam się dobrze, rozgrzana, wypoczęta, zerkałam tylko na wuja z niepokojem, bo był coraz czerwieńszy. Nadrabiał miną i często zaglądał do kieliszka. A jednak po świętach „rozebrało go”. Po przyjeździe przeleżał u nas tydzień. Biedny, mnie uratował, a sam nabawił się choroby.

Po południu przyjechał proboszcz, ten nasz grubiutki, z Konieczna. Szybko poświęcił ogromny stół, przysiadł trochę, przekąsił i zaraz spieszył do państwa

Czachorowskich.

„A wiecie, państwo – mówił – ta młoda arabka u Czachorowskich urodziła im dwa źrebaki, to się chyba rzadko zdarza, jak myślicie?”. Zakrzyczałyśmy wszystkich, że jutro musimy te cuda zobaczyć, jadąc do kościoła, i przekonać się, czy to rzeczywiście prawda. Znów ksiądz mówi: „Jak to, smarkule, to mnie, księżdu, nie wierzycie? Mówię wam, że są dwa źróbki, jak Boga ko...” – tu się chwycił ręką za usta i nie dokończywszy przysięgi, wytoczył się speszony na ganek, jakby go kto gonił. „Co się księżdu stało? – ojciec pyta, wypadając za nim, bo proboszcz zostawił przy rozgrzebanym talerzu swój biret. – Czego kanonik tak biegnie?”. A ksiądz na to: „Pomyliłem się, chciałem zrobić dzieciom Prima Aprilis, a z tymi dwoma źróbkami u Czachorowskich to nieprawda. Ma tylko jednego”.

W niedzielę wielkanocną, ubrane odświętnie i dumne jak pawice, wgramoliłyśmy się na bryczkę, ale już nie do Krakusa, w obawie, żeby nas znów nie wysypał do rowu, tylko do Antka Dąbrowskiego. Ja koniecznie chciałam usiąść na koźle i dotąd molestowałam ojca, aż się zgodził. Miałam się tylko mocno trzymać poręczy siedzenia i Antkowego paska. Jechaliśmy dziarsko, hucznie iwesoło, wyprzedzając wiejskie chabety. Nie dał się nam tylko młynarz, który spasionymi ogierami, buńczucznie i z impetem wyprzedził nas, ochlapując błotem.

Widział to stryj, który jechał wierzchem ostatni. Zdzielił konia szpicrutą i pochylony w siodle po kozacku doganiał rozpasane ogiery. Gdy się znalazł przy młynarzowym furmanie, stanął w strzemionach i odchylając się do tyłu – rąbnął paroba w łeb pejczem. „Masz, chamie jeden, za to, żeś mi gości błotem opryskał”. Chłop sfolgował, trzymając jedną ręką lejce, a drugą policzek z czerwoną pręgą. „Spotkamy się w sądzie, panie dziedzicu!” – krzyknął młynarz za oddalającym się stryjem. Ogiery niepoganiane zwolniły całkiem, człapiąc po bajorze, mogliśmy więc boczkami wyminąć je, a ja, puściwszy się poręczy, zagrałam młynarzowi na nosie, za co ojciec gniewał się później na mnie. Kiedy mu złość przeszła, co umiałyśmy doskonale odczytać z jego twarzy – nuż mu się naprzykrzać i przypodchlebiać, żeby na minutkę, żeby choć na tycio (tu pokazywało się koniec małego palca) pozwolił zajechać do państwa Czachorowskich i choć raz tylko rzucić okiem na te dwa źrebaki. „O, patrz, tato, już zakręt i widać dach dworu”. „Pozwólże im, Wacku, kiedy tak bardzo proszą, ale tylko na chwilę, bo za pół godziny msza, a ja chcę na nią zdążyć” – powiedziała mama. Tata szturchnął w plecy laską furmana, który, zrozumiałwszy, o co chodzi, skierował konie na dziedziniec w stronę stajen.

Akurat był tam dziedzic – pan Jacenty – i gdy się dowiedział, że chodzi o dwa źrebięta, tak się serdecznie uśmieł, aż mu się brzuch trząsł. „Słuchajcie, smarkule, proboszcz zrobił wam niezły Prima Aprilis, chciał sobie po prostu z was zadrwić i widzę, że mu się to udało. A teraz, kochani, mówię wam do widzenia, do jutra, śpieszymy się do kościoła, bośmy i tak spóźnieni. Czekać na nas ze

śmigusem”.

Siedzieliśmy jak niepyszne. Niby śmiałyśmy się razem ze wszystkimi, ale właściwie nie było się z czego śmiać. Jak nas mógł oszukać taki poważny człowiek, taki ksiądz, przecież to nie uchodzi kłamać! A zawsze palcem groził, żeby mówić prawdę. Powiemy mu to „w oczy i w brew” na dzisiejszym śniadaniu.

Msza święta zaczęła się, kiedy wchodziliśmy do kościoła. Proboszcz zaintonował od ołtarza: *Wesoły nam dzień dziś nastał*. Głupia Maniusia nachyliła się do ucha Aniusi i powiedziała: „Widzisz, jak mu wesoło?”. Ale w końcu skupiłam się, bo to przecież kościół, i śpiewałam ze wszystkimi z całej duszy tę mocną pieśń, która nabierała jeszcze powagi, owiana pachnącymi dymami z trybularza, a roztrzęsione dzwonki odezwały się wreszcie, bo tak długo milczały w czasie postu. Coś powróciło do nas radosnego, niepowtarzalnego, na co czeka się jak na przyjście wiosny. Małe serce znów się rozpląnęło we łzach, ale weszłam szybko pod ławkę i tam przypadłam do mamy kolan – jak zwykle.

Po skończonej solennej mszy wyszliśmy na cmentarz kościelny złożyć życzenia znajomym, a przede wszystkim proboszczowi. Nadszedł też w niedługim czasie, jeszcze pachnący kadzidłem, i w rozwarte ramiona zagarnął swoich znajomych parafian na oficjalne śniadanie. Odkąd pamiętam, siostra księdza zawsze nas częstowała słodkimi rogalikami swojego wypieku i pyszną mleczną kawą z domieszką prawdziwej. Bardzo nam to imponowało, że tak jak dorośli mogliśmy ją pić i często jedna w stronę drugiej chuchała, aby się wreszcie uraczyć tym tureckim zapachem. Po śniadaniu wyszliśmy do ogrodu, w którym wprawdzie niewiele się zieleniło, ale wiosnę czuć o się na pewno. Wyobrażałam sobie, że wyłazi ona z ziemi i rozpycha się w postaci jasnych rezedowych czubków, irysów, narcyzów czy jędrnych tulipanów. Co tu dużo mówić – pięknie jest na tym Bożym świecie.

Umawiamy się z Aniusią, że trzeba wreszcie z proboszczem porozmawiać, bo ta paląca i niedokończona sprawa nie daje nam spokoju. Podeszła więc Anusia do siedzącego w wielkim fotelu proboszcza, ponieważ była starsza i bardziej wygadana ode mnie. Przeprosiła, bo rozmawiał akurat z ojcem, i znalazłszy się sam na sam, wygarnęła: „Widzi ksiądz kanonik, że nas oszukał, a kłamać nie można. Żrebak jest jeden i w dodatku chodzić nie umie”. Uśmieł się ksiądz, pogłaskał nas po głowach i zaczął tłumaczyć, że wedle zwyczaju na Prima Aprilis urządzają sobie niektórzy taką zabawę, że oszukują się nawzajem, ale tego nie można brać na serio. Można się tylko niezłe uśmieć: „Zróbcież i wy to samo”. No, pogodziłyśmy się wreszcie z proboszczem, a wołane przez rodziców pocałowałyśmy go w rękę, obiecując jednak w myśli „odgryźć się” na przyszły rok. Po południu przyjechali do dworu goście, więc dzieci w naszym wieku powędrowały do „kominkowego” z nauczycielką Hani, która poprowadziła zabawę.

Najpierw były tak zwane „komóreczki”. Na krzesłach poustawianych w duże

koło usiedliśmy wszyscy prócz jednego dziecka, które stało pośrodku. Ten, kto stał, dopytywał się po kolei każdego z siedzących, czy jest komórka do wynajęcia. Zawsze odpowiadano, że nie ma. Na jego okrzyk: „Pali się!” – każde z nas musiało szybko zmienić krzesło, a ten stojący tylko zerkał, gdzie by mógł posadzić swoje siedzenie. Pisku i gonitwy było wiele, tak że aż mama zajrzała do nas, co się dzieje.

Po komórkach była zabawa w „obrączkę”. Poprosiliśmy więc mamę, aby nam pożyczyła swoją, przysięgając, że nie zgubimy. Tym razem krzesła stały również w kole, ale nieco mniejszym niż w „komórkach”. Na przyniesiony sznurek nawlekliśmy obrączkę, tworząc z niego zamknięte i naprężone koło. Każdy przed sobą chwycił pewien odcinek sznurka w dwie ręce i cały czas suwał po nim dłońmi w lewo i w prawo udając, że przesuwając obrączkę sąsiadowi. Przetrzywać jej nie było wolno. Stojący na środku tylko patrzył spod oka, gdzie ona wędruje. Kto od sąsiada ją otrzymał, musiał pozbyć się jej jak najszybciej, przesuwając niewidocznie do następnej osoby. Pomimo że ręce wszystkich były w ciągłym ruchu – udawało się czasem złapać winowajcę, który wystraszony, że ją ma, starał się ją wepchnąć sąsiadowi. O, nie raz mieliśmy wypieki na twarzach i byliśmy mocno oszłomieni.

To była pełna napięcia zabawa. Albo chowanie jakiegoś przedmiotu... mogła to być zapalka, kasztan, gumka. Dziecko, które miało go szukać – wychodziło do drugiego pokoju, a my chowaliśmy, ale tak, żeby odrobinę było widać. Kiedy delikwent wchodził i stanął z daleka, rozglądając się, mówiło się „zimno”, kiedy się zbliżał, wołaliśmy „cieplej, cieplej”, a kiedy był całkiem blisko, wrzeszczeliśmy „gorąco”! Wystraszony, wybałuszał oczy, czerwienił się i aż gryzł paznokcie ze zdenerwowania.

Była jeszcze „zgaduj-zgadula, gdzie jest moja złota kula”. Siedzieliśmy rzędkiem, każdy trzymał na kolanach zaciśnięte pięści, a jedno z nas miało w dłoni kulkę od bilardu. Ten, kto szukał, musiał się nieźle nagłowić, żeby ją odnaleźć. Lub siadało się na krzesłach, jedno dziecko za drugim. Ten ostatni nachylał się i szeptał jakieś słowo lub całe zdanie sąsiadowi siedzącemu przed nim. On powtarzał następnemu również szeptem, aż dochodziło do pierwszego. Ten wykrzykiwał głośno, co usłyszał, ale to zdanie było w tak zmienionej formie, żeśmy boki zrywali ze śmiechu. To był tak zwany głuchy telefon.

Wspaniała, choć bardzo głośna zabawa, to „ślepa babka”. Jedno z dzieci z zawiązanymi oczyma musiało złapać któreś z tych uciekających i wrzeszczących jak opętane. Kiedy była pogoda, jakże przyjemnie było chować się w parku za drzewa lub za dom. Dobrą zabawą były „szprutki”, gra w kamienie lub w „nożyk”, który wbijało się w ziemię. Był krokiet, była „piłka do dołka”, klipa, palant, ambasador, w który już grało się piłką nożną, skórzaną, z blazą w środku. Było również serso - „mieczykiem” rzucało się do partnera leciutkie kółko, które on chwycił na swój mieczyk. Kółka i mieczyki zrobione były z białych korzeni

drzewa. Starsze dzieci grały w siatkówkę.

Nadszedł drugi dzień świąt, czyli „lany poniedziałek”. Cały ten dzień, począwszy od otwarcia powiek, przebiegał pod znakiem wody, i to zimnej. Budził cię bowiem strumień puszczonej gruszką, czyli lewatywą, pod twoją ciepłą kołdrę, moczono ci nieprzytomną jeszcze łepetynę, mało tego, zalewano ci wytrzeszczone ze strachu oczy następnym strumieniem. Wrzaski, gonitwy, zaczajania się za drzwiami, podstępne chwytty – kiep ten, który nie miał refleksu. Dziś nie było „przepros” – dziadek czy stryj to też kumple do zabawy – i choćby był to stuletni Maluzalem, swoją porcję dostawał.

Nagle szczekanie psów i trzaskanie z bata. Przed ganek zajeżdża rodzina Czachorowskich, jak się byli wczoraj zapowiedzieli. Stoimy w mokrych koszulach, patrzymy przez okno. Dwaj Czachorowszczaki juniorzy skaczą z bryczki od tyłu i chyłkiem, czając się pochyleni, mijają drzwi frontowe i kierują się na palcach do bocznych – wychodzących na taras. Spod pach wyglądają im jakieś długie rury czy też sikawki. „Tu cię boli!” – mówimy i ustawiamy się gęsiego pod tymiż drzwiami, schowane za futrynę, i „ani pary z gęby”.

Weszli po cichutku, przyczajeni, z lekka sapiąc, i na palcach kierują się w stronę stołowego. Rozglądają się na boki. Tego nam było trzeba! Z nieludzkim wrzaskiem atakujemy z sikawek różnego kalibru, łącznie z pompką rowerową, ja tylko podtykam wiadereczko z wodą do czerpania. Obezwładniamy zachłystujących się młokosów i - co tu dużo mówić – Boczkowice w starciu wygrywają ostatecznie pierwszą rundę z Koniecznym. Po tym wyczynie uciekłyśmy do sypialni przebrać się, bo to niby pierwszy kwietnia, ale „jeszcze północ mrozi chłodem”, jak mówi poeta. Rozgrzane walką nie czułyśmy lepiących się do ciał koszul, a te jednak zaczęły nas ziębić.

Wytarte do sucha, przebrane i rumiane ze szczęścia, idziemy z niewinnymi minami do pokoju, gdzie już gwar, krzątanina, nakrywanie do stołu. Jedna z dziewczek, zatrudniona wyjątkowo dzisiaj do wycierania zalanych podłóg, z mozołem wyżyma ścierkę, przechodząc z pokoju do pokoju. Radość wprost rozpiera małe piersi, kiedy pytamy się naiwnie państwa Czachorowskich: „Dlaczego nie przyjechali chłopcy?”. Pan Jacenty patrzy nam dogłębnie w oczy i robiąc „perskie”, mówi ze śmiechem: „No, chłopcy dostali za swoje. Aleście ich, moje panny, urządziły!”. W tym momencie uszczypnęłam Aniusię ze szczęścia. On dalej mówi: „Przecież już przed świętami szykowali te swoje sikawy, myśląc o was, moje kochane, aleście im zadały bobu! Przemoknięci do suchej nitki przebierają się teraz w sypialni pana sędziego w nie swoje kolorowe rubaszki i szarawary, ale jak będą w tym wyglądać, nie wyobrażam sobie. Bo trzeba wam wiedzieć, że wczoraj była istna bitwa o żelazko z duszą, jako że cięższe od tego na węgiel i lepiej przygniecie kanty u spodni. A tu macie i kanty, i spodnie. Ano, na moją prośbę zabrały dziewczyny do ciepłej piekarni ich mokre odzienie, gdzie



może do wieczora przeschnie. Żal mi moich chłopaków, wielce są zdesperowani”.

Niby współczujemy, okazując smętne miny, ale aż nam piszczy wszystko w środku, bo wiemy, że nam teraz nic nie grozi. Ale lichy nie śpi. Nie dali za wygraną, bestie. Kiedy szliśmy korytarzem do kuchni, te dwa diabły, w pana sędziego rubaszkach – zaczęły wodną kanonadę z grubej rury, siedząc na schodach prowadzących na strych. A każda z rur miała pewnie po dwa litry wody, więc znów wyglądałyśmy jak dwie wodnice, ale od czego zwyczaj – tak musiało się stać. Właściwie byliśmy rade, że nam oddali. Pewnie nie mogli przeżyć porażki, przecież to chłopcy, a my przy nich szkraby, wstyd byłoby się poddać. Zeskoczyli ze stopni, przepraszając i tłumacząc, że musieli, bo ambicja i takie tam rzeczy... jednocześnie przywitani się z nami.

Ależ oni wyglądali w tym przebraniu! Choć ociekałyśmy wodą, dziwna nas rozpierała radość. Znów zmiana ubrań, wreszcie dzwonek na śniadanie. Chłopaki siedzieli sztywno przy stole jak dwa czubaryki i woleli nie wstawać, strój bowiem poniżej pasa przedstawiał się jeszcze gorzej. Skrępowani byli do końca wizyty. To nas zresztą niewiele interesowało, bo tak naprawdę podobał się nam pan Stanisław, student drugiego roku architektury.

Po śniadaniu graliśmy w różne gry w „kominkowym”, które oni przywieźli od siebie z domu, panowie zaś, jak zwykle, przy preferansie – z mamą moją na czele. Ona bardzo chętnie grała, nawet lubiła hazard.

Do stryja przyjechali w tym czasie, jak zresztą co niedzielę, dwaj gospodarze z Konieczna: Kaczmarek i Piątek, zawzięci politycy, naśladowcy stryja w jego zapatrywaniach, razem z nim przez jakiś czas byli endekami, potem razem psioczyli na sanację. Nasi młodzi kuzyni, studenci przebywający na wakacjach, wzięli stryja na języki, mówiąc wierszem: „Stryjek, zapalona pałka, prześladowca wciąż Marszałka i nie wiedzieć z jakiej racji, uprzedził się do sanacji”. Stryja, kiedy perorował z gospodarzami, słychać było w całym dworze. Kiedy się uciszyło – był to znak, że czytają gazety.

Po sutym obiedzie wchodzimy do salonu w momencie, kiedy pani Czachorowska, siedząc przy gerydoniku i otoczona paniami, stawia pasjanse. Robi to ze znanstwem, z czego słynie w okolicy, i z namaszczeniem. Przepowiada również z kart, używając indyjskiej kabały. Zna najróżniejsze zestawienia, konfiguracje i układy. Dlatego z daleka nieraz zjeżdżały do niej amatorki wróżb i chociaż pani Czachorowska tłumaczyła się brakiem czasu i opędzała od nich, jak mogła, zawsze jednak znalazła wolną chwilę na tego rodzaju zajęcie. Po prostu pasjami lubiła wróżyć. Taki występ kończył się zawsze herbatką, a sąsiadki, chcąc się odwdzińczyć za kabałę, przywoziły własnego wypieku ciastka, słodczyce, a to indycze jaja z rasy gigantów (trudne do sprawdzenia czy faktycznie giganty), a to jakieś robótki, bibeloty.

Ruszyliśmy wszyscy do stołowego na pożegnalny podwieczorek, bo już

słońce było na zachodzie i należało się wybierać w powrotną drogę. Pożegnaniom i zaproszeniom nie było końca. Młodzi Czachorowscy uprosili, aby ich rodzice i nasi jechali razem w jednej bryczce, a my w drugiej. Wesoło upłynęła nam ta godzina, wreszcie trzeba się było żegnać przed ich dworkiem. Żal było rozstawać się z młodymi ludźmi, ale słońce wtoczyło się za las i czas naglił. Do widzenia, do przyszłego spotkania!

Jadąc, rozmawialiśmy o panu Stanisławie, który był naprawdę młodzieńcem urodziwym, wzrostu może dwa metry, ja przy nim to okruszyna, ale zadzierałam głowę, aby się na niego napatrzeć. Kiedy rozbierając się wieczorem do spania napomknęłam Aniusi o jego wyjątkowej urodzie, tę jakby osa użądliła. „Ja mam pierwszeństwo, bo jestem starsza” – mówiła. Rzeczywiście, była cztery lata ode mnie starsza. I tu znów skończyło się na różnych epitetach pod moim adresem i na „smarkuli”. „Jeżeli mnie się podoba, to nie tobie, faflu jeden”. Nie chciałam tej nocy spać w tym pokoju, gdzie ona. Obrażona, wyniosłam swoje bety ostentacyjnie do rodziców, gdzie pocieszona i ucałowana – błogo zasnęłam po całodziennych trudach.

## Żegnaj, swobodo

Kiedy byłam w siódmej klasie szkoły powszechnej, pojechała mama do Częstochowy, aby się dowiedzieć czegoś o egzaminach wstępnych do gimnazjum „Nauka i Praca”. Było to Stowarzyszenie Sióstr Ukrytek, którym kierowała Matka Przełożona Maria Rzeszotarska, kobieta światła o wielkiej dobroci i patriotyzmie.

Maria i Helena Rzeszotarskie, córki obywatelskie z kresowych rubieży polskich, kończyły studia w Petersburgu, w dawnej carskiej Rosji. Siostra Helena przeniosła się do Polski i tu, w Warszawie, prowadziła prywatne gimnazjum pod swoim nazwiskiem. Słynęło ono z wysokiego poziomu, pierwszorzędnych sił nauczycielskich i cieszyło się dobrą renomą wśród zamożnych domów.

Stryj mojego ojca, Julian, miał córkę Kazimierę, panienkę drobnutką, studentkę biologii, dziewczynę z wielkim warkoczem. Przyjeżdżała często do nas, do Boczkowic, na wakacje. Ja wówczas byłam małą, nie pamiętam więc jej z tego okresu.

Zaraz po studiach została zaangażowana do gimnazjum Marii Rzeszotarskiej, gdzie prowadziła lekcje przyrody i zoologii. Mama знаła adres ciotki Kazi i do niej udała się pod koniec maja. Okazało się, że miejsce mam zapewnione – tylko zdać. Tylko zdać!

Musiałam zdać egzamin, do którego w ciągu wakacji należało „przerobić” dwa podręczniki francuskiego.

Mama przywiozła do mnie świeżo upieczoną maturzystkę, która miała piątkę z francuskiego. Od razu zrobiła na wszystkich bardzo miłe wrażenie. Drobną, szczupłą panią o kręconych włosach i wielkich mądrych oczach okazała się nie tylko taktowna i delikatna w obcym domu, ale dała się poznać również jako dobry pedagog. Z miejsca zabrałyśmy się do przywiezionych podręczników. Dobrze, że miałam wielką łatwość w przyswajaniu sobie obcego języka i czekałam na te lekcje bez trwogi. Sprawiały mi wielką przyjemność. Siadałyśmy zaraz po śniadaniu na trzy bite godziny, po półgodzinnej przerwie na drugie śniadanie pracowałyśmy aż do obiadu. Po jedzeniu Ziotka Trąbska, bo tak się nazywała, zarządzała leżeniem, co obydwu nam dobrze robiło, tak ona, jak i ja byłyśmy wątłe. Potem mały spacer, chrupanie czereśni, które już się zaczerwieńiły, jakieś ćwiczenia czy piłka i znów zasiadałyśmy na trzy godziny. Ojciec nieraz zaglądał do nas zaniepokojony i pytał, jak ja wytrzymuję tę potworną harówkę, a widząc mnie przyklejoną do pleców Ziotki, pytał, co ja tam robię, czy mi się coś nie stało. Wtedy ona mówiła, śmiejąc się, że to najlepsza dla mnie pozycja przy odmienianiu czasowników. Siedząc tak, czułam jej ciepło i miałam oczy zamknięte, co naprawdę ułatwiało mi recytowanie słówek. Takie małe dziwactwo.

Ucieszyli się wszyscy, a najbardziej Ziotka i ja, kiedy w połowie czerwca był już przerobiony jeden podręcznik oraz lwia część gramatyki. Wobec rodziców

chwaliła mnie zawsze, ale ja sama czułam się pewnie i wierzyłam, że ten egzamin zdam.

Pod koniec czerwca otrzymałyśmy wiadomość, że egzamin z ogólnych przedmiotów ma się odbyć za tydzień i należy stawić się w szkole. Pojechałyśmy obydwie z panią Ziutką i wszystko poszło jak z płatka. Został mi tylko język francuski, odłożony na koniec sierpnia.

W tym samym czasie wypadło święto Bożego Ciała i cała rodzina została zaproszona na dwa dni do Boczkowic. Ziutka pochodziła z niezamożnej, choć inteligentnej rodziny. Nie miała takiej sukienki „od święta”, w której mogłaby pokazać się z wizytą. Aniusia, bardzo z nią zaprzyjaźniona, wzięła ją kiedyś do swojej szafy. Długo tam radziły, mierzyły, wreszcie dobrały leciutką szyfonową sukienkę, w której czuła się tak dobrze, że aż jej oczy błyszczały.

W Boczkowicach biegałyśmy szczęśliwe, zresztą jak zwykle przy każdych odwiedzinach. Obeszłyśmy wszystkie kąty, nawet lasek brzozowy, gdzie na brzegu zasadzone rzędy wikliny pachniały cierpko i gorzko. Ale kiedy weszło się w te szpalery do środka, aż oczy się śmiały do pierwszych tej wiosny poziomek, dużych jak naparstki, nietkniętych jeszcze ludzką ręką. Każda z nas miała swoją alejkę. Szło się nią na kolanach, zbierając i zajadając wonne owoce. Było nam cudownie! Chciało się śmiać, krzyczeć i płakać razem.

Pierwsze niezapominajki niebieszczą się w rowach, kępy kaczeńców, powtórzone w wodzie, ciągną oczy, a boćki nad stawami poważnie łążą po grobli, nachylając się od czasu do czasu po ulubiony kąsek. (Być może Boczkowice były kiedyś Boćkowicami, bo okolica ta roiła się od olbrzymich stad bocianów, które miały co jeść nad stawami i rzeczką Czarną, dopływającą do Nidy).

Jak dobrze, że czekają na nas na tarasie. Ktoś obejmie, ktoś zapyta z uśmiechem, bo mi zawsze czułości mało i jestem na nią łasa. Gwarnie zasiadamy do stołu, gdzie w dzbanach kawa z kożuszką, różnego rodzaju bułeczki chrupiące, razowy chleb, miód i masło tak świeże, że kiedy smarujesz nożem, tryska ci spod niego kropla wody. I ogórki w skórkach na szklanych salaterkach, na pół tylko przekrojone, które bardzo smakują z miodem, drażone łyżeczką.

Zwiedziłyśmy z Ziutką wszystkie pokoje, pograłam na pianinie, ona oglądała w „kominkowym” bibliotece, rozmawiała ze stryjkiem, który dowiedziawszy się, że ma zamiar iść na prawo, asystował jej i był bardzo szarmancki, a przy stole wciąż jej dolewał wina. Rozmowom nie było końca.

Po kolacji, że to dzień długi, wyszliśmy wszyscy na ganek, gdzie zebrała się gromada psów z wielkim ujadaniem. Nazywałyśmy je po imieniu, a wkradając się w łaski, wrzucałyśmy im do pysków przysmaki. Potem poszłyśmy do stajen, gdzie wśród parobków rej wodził Antek Dąbrowski, zajrzałyśmy do obór podczas wieczornego udoju, spijając ciepłą piankę z mleka, i do kwiczących świń, bo właśnie dziewczka rozlewała do koryt żarcie. Po drodze jeszcze wielka stodoła

o dwóch zapolach, gdzie w jednym aż pod dach zieleniło się tegoroczne siano, drugie zaś opróżnione czekało na żniwa. W owczarni nie ma owiec jak dawniej, stoją tylko stare landary, bryczki i wozy, a po drugiej stronie wysmarowane towotem maszyny żniwne, lokomobila, kosiarki i reszta sprzętu. Wszędzie ład i porządek.

O zachodzie poszliśmy wszyscy nad stawy. Płoneły w łunie zachodu. Chóry żabie przekrzykiwały się nawzajem. Momentami wydawało się, że ktoś rzucił kamień w wodę, bo nastawała nagle cisza, a wystraszone żaby pokucaly w mule. Ale nie. Znow za chwile, najpierw nieśmiało, w najbliższym stawie odzywa się jedna, podchwytną inne obok i momentalnie mamy już wielki chór, w różnym tempie i o różnym nasileniu. Istna kakofonia. Ale mimo swoich dysonansów żabi śpiew działa na nas kojąco.

Nikt nie rozmawia. Milczymy w wielkiej zadumie, licząc zapalające się kolejno gwiazdy. A oto zza lasu, w złotej poświacie, wypłynął właśnie wielki rogal i bodzie niebo swoim wygiętym w prawo rogiem, znak, że „pewnikiem idzie na pogodę”. Kierujemy się wolno w stronę dworku, urzeczeni pięknem, senni, opici wrażeniami i niepowtarzalnym zapachem. Te dwa dni i mnie, i Ziotce były bardzo potrzebne.

Skończyliśmy materiał w połowie lipca, a sierpień przeznaczaliśmy na powtórki z francuskiego i innych przedmiotów. Nadszedł zapowiadany sierpień i pojechałmy w trójkę do Częstochowy na egzamin. Mama, Ziotka i ja – najbardziej zdenerwowana.

Kiedy jednak zobaczyłam madame, siwiutką staruszkę uśmiechniętą i bezpośrednią, lęk gdzieś uciekł i pewna już zasiadłam do arkusza z pytaniami, na które odpowiadałam bezbłędnie. Chodziło o położenie Francji, ludność, znajomość mapy politycznej i fizycznej, o historię kraju w skrócie i obecne rządy. To poszło pomyślnie. A teraz trzeba był o oddać wiernie tłumaczenie bajki La Fontaine’a. Udało się również. Gramatyka, której byłam pewna – też wyszła na pięć. Po egzaminie, na którym byłam cała spocona z wrażenia, przysiadłam w korytarzu, żeby nieco rozładować napięcie. Doszła do mnie *madame*, pocałowała mnie w czoło i powiedziała: „Bardzo dobrze!” – aż spiekłam raka. Uszczęśliwiona pocałowałam ją w rękę. Na to weszła ciotka Kazia, niespokojna, ale widząc na twarzy *madame* uśmiech, zawołała: „Co, widzę, że jej dobrze poszło?!”. Na to madame Zofia pokiwała głową i powiedziała jedno ważne słowo: „Piątka!”.

Radości nie było końca. Pobeczalam się na piersi mamy, potem nieprzytomna rzuciłam się Ziotce na szyję, nie znajdując słów wdzięczności. Wróciliśmy jeszcze raz do Włoszczowy, aby zabrać spakowane już rzeczy, a wszystko podług spisu, bo siostry były wymagające i nieco kapryśne w doborze odzieży. Ziotka odprowadziła nas na dworzec, żegnana ze łzami przeze mnie i mamę, która pokochała tę dzielną i przemiłą panienkę jak córkę. Całując ją na

pożegnanie, zapraszała na każde wakacje.

Ile razy Ziułka była u swoich rodziców w Częstochowie (studiowała w Warszawie), zawsze odwiedzała w szkole siostry i mnie. Opowiadała o uczelni, o nowych przyjaciach. Odwiedziła Boczkowice dwukrotnie, potem korespondencja się urwała. Nie wiedziałam długo, co było przyczyną milczenia. Dopiero wydało się przypadkiem, kiedy przyjechał do nas Staś Czachorowski, już jako student, i spacerując po ogrodzie, zapytał o pannę Ziułę. Anusia bez namysłu powiedziała, że już nigdy więcej do nas nie przyjedzie. Widocznie obie w nim się kochały, a ta zacna i taktowna dziewczyna odstąpiła go Anusi i więcej się w naszym domu nie pokazała.

## Gimnazjum i internat

Przyjechałyśmy obie z mamą do gimnazjum wcześniej o jeden dzień. Dorozkarz wniósł walizy i pudła, ja cała rozdygotana poszłam szukać ciotki Kazi, ale że były nieszpory w kaplicy – musiałyśmy nieco poczekać. Dyrektorka przywitała mnie łaskawie, popatrzyła w oczy i powiedziała z uśmiechem, że chyba nie będzie miała ze mną żadnego kłopotu, co w przyszłości nie okazało się prawdą. Furtianka, siostra Agata, zabrała co cięższe walizy i poszłyśmy na piętro, gdzie mieścił się internat. Miało tam zamieszkać dwadzieścia sześć uczennic z różnych miast, ale tego wieczoru były zaledwie trzy. Sypialnie duże, widne, łóżka angielskie, z siatkami, metalowe, oddzielone od siebie szafeczkami i taboretami, a w kątach szafy na ubrania, gdzie każda pod swoim numerem miała półki i miejsce do wieszania mundurków. Mój numer był jedenasty, wyszyty na każdej części garderoby, nawet na pończochach.

Rozlokowałam się z pomocą mamy, a że nadszedł czas odjazdu, żegnałam ją ze łzami. Zostałam sama. Ciotka Kazia pocałowała mnie, dodając otuchy, i również odeszła. Zaprzyjaźniłam się z tymi trzema uczennicami z mojej sypialni, z których jedna miała chodzić do mojej klasy. Pod wieczór przyszła siostra wychowawczyni, która spała za parawanem. Umyłyśmy się w łazience, gdzie każda miała znów swoją szafkę z numerem, i ułożyłyśmy się zmęczone w czystej pościeli. Ale nie było nam pisane spać dzisiaj. Wszystkie rozmyślałyśmy o domu, czułyśmy się samotne jak nigdy, tak że łzy płynęły z czuwających oczu. Na drugi dzień jednak zjechała reszta dziewcząt i zaczął się rejwach, opowiadania, śmiechy, bo przecież niektóre już tu w ubiegłych latach mieszkały, więc opowiadania snuły się do późna w noc.

O godzinie dziesiątej nie wolno było już rozmawiać, więc przytuliłam się do poduszki i odsypiałam pierwszą „zarwaną” noc.

Punkt szósta budzenie, mycie, pośpiech, bo trzeba było iść na mszę inauguracyjną, więc ubrane w świąteczne kremowe mundurki zeszyłyśmy do kaplicy. W klęcznikach, ustawionych wokół ścian, klęczały już wszystkie siostry, a w pierwszym od drzwi – Matka Przełożona. My w ławkach, które stały po obu stronach przejścia. Za chwilę odezwał się dzwonek. Wszedł ksiądz prefekt, Jan Tomaszewski, potężny mężczyzna niezwykle przystojny, postawił kielich na ołtarzu i odwrócił się do nas, witając te uczennice, które wróciły po wakacjach, i nas – nowicjuszek. W dobrych ciepłych słowach dodał otuchy do pracy i pobłogosławił. Zaczęła się msza, do której przygrywała na fisharmonii madame Zofia Niedźwiecka, ta sama z egzaminu z języka francuskiego. Siostry stojąc za nią półkolem, śpiewały po łacinie mszę świętą i piękne pieśni na trzy głosy. Po mszy i przywitaniu się z Matką Przełożoną poszłyśmy do refektarza, gdzie siostry służebne nalewały już kawę mleczną, roznosiły chleb, masło, ser i dzemy. No, nie

to samo co w domu, ale przecież płakać nie będę. Zbliżała się ósma, więc śpieszyłyśmy z jedzeniem, aby odszukać swoje klasy, w których już większa część ławek była zajęta przez dziewczęta dochodzące z miasta i dojeżdżające spod Częstochowy. Gwar, nawoływania i śmiechy ucichły na głos dzwonka i weszła z dziennikiem pod pachą siostra Wiktoria, nasza wychowawczyni. Prowadziła już swoją klasę do matury.

Polubiłam od razu szkołę z jej profesorkami i przykładałam się do nauki szczerze.

Byłam wciąż jednak niepoprawną marzycielką. To mnie nieraz gubiło, bo zapytana, o czym przed chwilą była mowa, plątałam się nieprzytomnie. Ciotka Kazia, chcąc mnie ściągnąć z obłoków, zabierała mnie po południu do swojego gabinetu przyrodniczego i tam razem sprzątałyśmy, rozmawiając o Boczkowicach. To był zawsze mój najmilszy temat i wtedy nie zamykały mi się usta, a że ciotka niejedne wakacje u nas spędzała – opowiadania snuły się bez końca.

Ciotka wykładała anatomię, przyrodę i zoologię, a w swoim gabinecie miała klatki z węzami, jeżami, wiewiórką, z żabami do sekcji i akwaria z rybkami. Kwiatów było tu moc, należało je podlewać i spryskiwać, tak że praca nasza trwał a około trzech godzin. Czyściłyśmy podłogi w klatkach węży, które w takich chwilach ciocia wyciągała z gniazd i wieszala sobie na szyi, a one się tam wyginały, zsuwały, zawijały na jej rękach, na co patrzyłam z przerażeniem. Wiedziałam też, że ciotka panicznie bała się myszy, wskakiwała przed nimi na taboret. Piszcziała przy tym przeraźliwie i była wprost nieprzytomna ze strachu. Tym bardziej dziwiłam się, że nie lękała się wcale gadów.

Po oczyszczeniu ptasich klatek, jeżowych i żabich, siadałyśmy spracowane do fig i daktyli, które przywoziła moja mama, wiedząc, że ciotka bardzo je lubi.

Kiedy w szkole dowiedziano się, że umiem malować, już nie wywinęłam się ani od gazetek ściennych, ani laurek, a przecież imienin było w szkole co niemiara. Biedna byłam wtedy. Lekcje szły na bok, często nie dosypiałam i nie chodziłam na spacer, a to odbijało się na zdrowiu.

Pani od geografii, również Niedźwiedzka jak *madame*, tylko przez „dz”, miała stryja w Rzymie, który był prałatem papieskim. Kiedy nadeszły jego imieniny, obydwie z Matką Przełożoną zawołały mnie do siebie i przedstawiły całą sprawę. „Chcemy – mówiły – aby to był jakiś swojski widoczek, coś z lasem czy polami, obrazek, który przypominałby mu dom i młodość, bo on jest przecież Polakiem, a pochodzi z ziemiańskiej rodziny. Najlepiej będzie, jak ty sama zdecydujesz, co widoczek ma przedstawiać”.

Namalowałam więc otwarte okno, nad nim kawałek dachu, pod dachem gniazdo jaskółcze z pisklętami mającymi otwarte gardziółka i przyl atującą do nich matkę. Za oknem, w tle, pola pocięte miedzami, na nich grusze kwitnące, z boku jakieś wiejskie budynki i kościółek, a w oddali ciemna ściana lasu. Podobało się to



bardzo i poszło razem z życzeniami i okolicznościowym wierszem.

Byłam z siebie zadowolona, ale następnego dnia dostałam tróję z historii, bo nawet nie zajrzałam do książki. No i bura od Matki Przełożonej, bo raz w tygodniu nosiło się do niej dzienniczek ze stopniami do podpisu.

Od ciotki też mi się dostało, ale potem mnie pocałowała na pocieszenie i zawiadomiła, że będzie wystawa i liczy na mnie, że zrobię z plasteliny na czarnej szybie całą roślinę bobu wraz ze strąkiem i korzonkami oraz kwiatem. I znów była praca nie na jeden wieczór, dobieranie kolorowej plasteliny, formowanie poszczególnych listków, kwiatków, które wydawało się, że patrzą biało-czarnymi oczkami, i powstał bób jak żywy, jakby ktoś położył roślinkę na szybie. Do pytającego wówczas inspektora, kto to tak pięknie zrobił, przyprowadzono mnie za rękę, małą Maniuskę z warkoczykami – mizerną i bladą.

Bardziej jeszcze wypracowany i precyzyjny był model głowy człowieka z profilu, również wykonany z plasteliny. Twarz bez skóry, z uwzględnieniem mięśni, żyłek, nerwów, z brwiami i rzęsami z powtykanej na sztorc szczeciny obciętej ze szczotki do butów. Całość naturalnej wielkości.

Leżały sobie potem te dwa eksponaty w szafie za szkłem i służyły jako pomoc naukowa.

Albo te zwierzęta i ptaki malowane piórkiem na szkłe. Przede wszystkim trzeba był o doprowadzić szkło do zmatowienia, aby to zrobić wystawiało się szybkę za lufcik przy kilkustopniowym mrozie i powlekało ją kwasem solnym, który dymił na powietrzu, wydając wstrętny, duszący zapach. Potem dopiero rysowało się na tym szkiełku mały, hipopotamy, słonie, kangury i różne inne zwierzęta potrzebne do lekcji. Po wyświetleniu tego z epidiaskopu na płótno otrzymywało się bez mała metrową wielkość takiego obrazka.

Zasiłiłam szkołę na wiele lat swoją mozolną pracą.

W starszych klasach zaczęły się występy szkolne: *Antygona* Sofoklesa, *Elektra*, *Wesele* Wyspiańskiego. Przychodził wtedy po południu profesor Szuster (który mnie uczył rysunku), na sali gimnastycznej rozwijał olbrzymie płótna zagruntowane na biało, dawał w rękę płaskie pędzle i kazał zaciągać poziomo tło. Był to błękit nieba u góry i zieleń na dole. Miałam do pomocy starszą koleżankę, Jadwigę Szukalską, która przychodziła z miasta, bo u nas się stołowała. Dobre siostry, znając jej warunki domowe, doceniając wielki talent plastyczny i łatwość w nauce, przygarnęły dziewczynę od pierwszej klasy gimnazjalnej. Karmiły ją i uczyły bezpłatnie. Potrafiła się im odwdzięczyć, nie żałując ni sił, ni czasu.

Później dopiero dowiedziałam się, że to cała rodzina jej jest utalentowana, począwszy od stryja Stanisława Szukalskiego, który był słynnym rzeźbiarzem. Pamiątką po nim jest pomnik Krakusa w Krakowie. Wiem, że żył w Stanach, tam miał swoją pracownię i był wykładowcą na akademii. Całe życie samotny, zmarł w wielkiej biedzie w 1988 roku. Drugi jej stryj wybudował w Afryce kolej

transkontynentalną i tam zmarł na malarię. Z kolei ojciec Jadwigi – Kalikst z Sieradza – mistrz stolarski, miał zakład w Częstochowie. Tu mieszkał, z córką Jadwigą i siostrą Michaliną, starą panną. Ta również miała talent. Wyrabiała z jedwabiu przepiękne kwiaty, bukiety do sukien i wielkie wiązanki do wazonu, które wstawiała do sklepu.

Ile razy były jakieś teatryki, występy, tyle razy przydawały się jej zdolne ręce, miała u nas w gimnazjum zajęcie. Zawsze wykazywała własną inwencję twórczą.

Była kiedyś wystawiana przez nas nowela o ziołach, warzywach i kwiatach. Ileż ona miała pomysłów i jak to pięknie potrafiła oddać z jedwabiu czy po prostu z karbowanej bibuły. Na przykład koleżanka była „główką kapusty”. Uszyła jej więc na sztywnych kolistych drutach sukienkę z jasnozielonej bibuły, która sięgała od szyi aż po uda; każdy listek na sukni był nieco pofryzowany, jak się to spotyka u włoskiej kapusty. Na przedzie tej główki paradowała z ukosa olbrzymia kosmata lizska. Na głowie mała artystka nosiła również listek z kapusty.

Mój kostium też został pięknie wykonany. Byłam zieloną łodygą lili świętego Józefa, udekorowaną bocznymi wąskimi listkami, z głową ujętą w olbrzymi biały kielich z żółtymi pylnikami pośrodku. Byłam z tego kostiumu bardzo zadowolona, a mówiłam wtedy jakiś wiersz o lilii. Do *Wesela* Wyspiańskiego ciotka Michalina uplotła ogromną weselną różgę dla Starosty, pokryła ściany kilimkami również z bibuły, bo gdzie było szukać prawdziwych makat wełnianych. Za święte obrazy powtykała przeróżne kwiaty, w naczyniach na podłodze stały również barwne bukiety, a wszystko własnej roboty.

Taka to była ciotka Jadwigi – dobra, cicha, a zakochana w tej swojej pracy, że aż strach. Niedużego wzrostu, podobna do brata Kaliksta, biegła co rano na prymarię na Jasną Górę, należała bowiem od wielu lat do Trzeciego Zakonu, od kiedy to jej narzeczony został zabity w wypadku samochodowym przez pijanego kierowcę. Ofiarowała się Bogu i już nie myślała wychodzić za mąż. Pod koniec życia, pewnie od tego klęczenia na zimnej posadzce, zrobiła jej się na kolanie olbrzymia naciekła narośl – i na to zmarła, cierpiąc wiele. Poświęciła całe swoje życie na wychowanie Jadwigi, która swojej matki nie знаła, bo ta (również Jadwiga) zmarła przy jej urodzeniu. Kalikst Szukalski, zakochany w żonie bez pamięci, pozostał we wdowieństwie do końca swoich dni. (Podczas wojny, kiedy byłam już żoną leśnika, zabrałam i ojca, i córkę do nas, do lasu, bo nie mieli z czego żyć).

Kiedy odbyły się zamierzone występy i mogłam pracować na bieżąco, postanowiłam wreszcie chodzić na spacer lub na plac po drugiej stronie ulicy, który należał do sióstr. Tam, pod okiem wychowawczyni, grałyśmy w siatkówkę, ambasadora, w piłkę ręczną czy palanta. Zaraz nabrałam rumieńców i apetytu. Poprosiłam mamę o przywiezienie świeżych jajek, które uwielbiałam na miękko,

i o śliwki węgierki, bo to była jesień, już druga spędzona poza domem. Tęskniłam za owocami, których tu nie dawano. Pamiętałam stojące w spiżarni naszego domu solówki z węgierkami, które szły na przetwory zimowe, ale najpierw najadał się człowiek przez kilka dni – aż do obrzydzenia. A śliwki były jeszcze lepsze, kiedy podeschły i miały na sobie pomarszczoną skórkę – miód nie śliwka! Teraz byłam szczęśliwa, bo na każde drugie śniadanie, czyli na dużą pauzę, zjadałam dwa jajka na miękko z pieczywem i masłem, a przegryzałam śliwkami. Umyte leżały przede mną na talerzyku. Teraz wiedziałam, że żyję! Po prostu czułam siebie.

Kiedy były chłodniejsze dni, chodziłyśmy na spacer wszystkie. Ale co to był za spacer! Pożał się Boże! Szło się przede wszystkim parami, jak gęsi, wolniutko, siostra z przodu, siostra z tyłu, tu nie patrz, za głośno rozmawiasz... A mnie w dodatku kręciło się w głowie, kiedy tak szłam za kimś, widząc jego pięty.

Po prostu było mi nudno. Powiedziałam o tym w infirmerii naszej pani doktor Castelli i ta kazała mi chodzić w pierwszej parze, z powodu jakoby słabych nerwów. Rzeczywiście, pomogło, ale cóż z tego, kiedy pod bokiem szła siostra z wyczulonym uchem.

Tak się składało, że jakoś codziennie wracał tamtędy z tenisa uczeń od Sienkiewicza (gimnazjum męskie), wyrosnięty drab, ale bestia ładny. Sypał mu się zarost i miał niebieskie oczy z długimi rzęsami w ciemnej oprawie. Cóż, kiedy przechodząc, zawsze spuszczał oczy, a nam przecież nie wolno się było oglądać. Te, co szły w środku, miały większe szansę, ale my już żadnych. I masz tu twoje nudności, narzekania na cudze pięty, kiedy teraz siostra pod bokiem dziwnie zezująca oczami.

Zauważyłyśmy, że nawet kiedy były chłody, a potem przymrozki – on zawsze chodził w krótkich spodenkach i skarpetkach do kolan. Jakiś niewrażliwy, czy co? Nam przecież nogi marzły. Opowiadałyśmy dziewczynom z miasta o tym wyjątkowo przystojnym chłopaku, a któraś powiedziała, że go zna, że to nieprzystępny młodzian, syn wdowy, polonistki z gimnazjum Sienkiewicza. No, dobrze! Poczekajmy, może przypadek nam dopomoże.

A tymczasem zaszły inne sprawy. Po śmierci madame Niedźwieckiej za fisharmonią zasiadła siostra Aniela Kalinowska, kobietka drobna i pewna siebie. Grając przeważnie z pamięci, akompaniowała śpiewającym siostrą i chórowi złożonemu z uczennic. Wybrał nas do chóru profesor Wawrzynowicz, który w swoich olbrzymich apartamentach na ulicy Śląskiej urządził studium na fortepian, a syn jego prowadził klasę skrzypiec. Oprócz udzielania prywatnych lekcji przychodził do naszego gimnazjum i uczył śpiewu, a po przesłuchaniu każdej z nas przy fortepianie decydował, czy może należeć do chóru. Stworzył więc dwa zespoły. Jeden to chór szkolny, a drugi, złożony tylko z nas – mieszkających w internacie – chór kościelny. Kiedy nauczył nas jakiejś pieśni czy kantaty,

a brakowało akompaniatora (bo siostra Aniela Kalinowska nie nadawała się wcale do tego), obiecał przysłać ze swojej klasy organowej ucznia kończącego już studia. Bardzo byliśmy ciekawe tego chłopaka i owej niedzieli nie raz i nie dwa zjeżdżaliśmy po poręczy na dół, chociaż to było zabronione, aby tylko wypatrzeć – czy już przyszedł. Na oznaczoną godzinę parami weszliśmy do kaplicy. Te, które nie należały do chóru, szły do ławek, a my, było nas kilkanaście – dołączyliśmy do sióstr i stanęliśmy obok fisharmonii. Zamiast się modlić i pocziwie odmawiać pacierze – zawiesiliśmy wzrok na kłamce, licząc, że zaraz nadejdzie, bo zegarek podsunięty przez Staśkę pod nos wskazywał za minutę dziewiątą.

Nareszcie... rozmowa za drzwiami, męski głos, jakiś wysoki cień i nagle – jest! Drzwi się uchyliły i wszedł nasz kandydat na organistę. Wysoki, chudy, z wiecznie latającą grdyką, pewnie z wrażenia, i śmiesznym przedziałkiem przez pół głowy. Od razu, aż wstyd powiedzieć, skojarzyło mi się powiedzenie – półgłówek, bo miał w dodatku czubatą głowę, na nosie strasznie mocne i grube binokle. Oblał się pąsem, uklonił się jak na estradzie i zasiadł, szukając nogami pedałów. A ręce mu drżały, kiedy rozkładał przyniesione nuty. Wyciągał piszczałki, kalikował pedałami i znów się czerwienił, bo go zbijały z tropu nasze delikatne chrząkania i cichutkie chichoty, aż siostra Wiktoria zastukała w białą batutę dla opamiętania. Przy drzwiach dzwonek, zaczyna się msza. Wchodzi ksiądz Tomaszewski w kapie. Wszystkie trzymamy nuty, napięcie wzrasta. Zaczynamy mszę śpiewaną, organista spisuje się znakomicie, choć jest cały w gorączce i myślę, że również mokry. Nic dziwnego, bo oczu z biedaka nie spuszcza. No, dzięki Bogu, dobrnęliśmy do końca, ksiądz wyszedł, tylko kadzidło pachnie. Niepotrzebna nasza trema mija i jesteśmy temu chłopcu nawet wdzięczni. Zbiera nuty, chowa do teczki, a siostra Wiktoria podchodzi do niego, dziękując za sprawne poprowadzenie naszego chóru. Ale już na przyszłą niedzielę, kiedy msza jest cicha, a on gra tylko jakieś etiudy, krzyżują się nasze spojrzenia i uśmieški, słychać szepty i nastrój pryska. Chłopak czule to, wychwytuje ironiczne spojrzenia i się rumieni. To samo jest za tydzień. Niepotrzebny nam tu obcy mężczyzna. Ksiądz to ksiądz, prefekt przecież, ale po co nam ten niepokój z nieznanym mężczyzną? Nie chcemy go. Jedną chichoczącą wyprowadza siostra z kaplicy. Zamieszanie wzrasta. Organista ledwie dotrwał do końca i szybko wychodzi. Na korytarzu rozmawia z Matką Przełożoną, mówiąc, że nie jest w stanie grać dłużej, bo panny śmieją się z niego. Przełożona zaprzecza, obiecując dopilnować porządku, ale chłopak rozżalony zegna się i odchodzi, przecierając zapocone szkła.

Tak pozbyliśmy się intruza, bo nie tolerowałyśmy go, a zwłaszcza jego wyglądu. Staśka Osuchówna, siostra kanonika z Klimontowa, nasza wspaniała solistka, wezwana przez Matkę Przełożoną powiedziała, co o nim myślimy, że go nie chcemy, bo się nawet pomodlić nie da, tak pachnie fryzjerską wodą. Wystąpiła z propozycją, abym to ja grała na fisharmonii. Przełożona zrobiła wielkie oczy, ale

powiedziała, dobrze, niech popróbuje.

Kiedy dowiedziałam się o jej zamierzeniach – osłupiałam i w pierwszym odruchu chciałam uciekać, nie godzić się. Widziałam przed sobą ogrom pracy, wiele przeciwności i po prostu złękłam się – nie ufałam swoim nerwom. W pierwszym odruchu uciekłam na górę i gdzieś w pustej klasie zachłystywałam się łzami z wielkiej bezsilności, czując się jak ptak, któremu ściskają gardło. Znalazły mnie jednak, musiałam drzwi otworzyć i taką splakaną do nieprzytomności, pocziwe dziewczyny rozebrały i ułożyły spać, dając jakąś pastylkę. Na drugi dzień, czyli w poniedziałek po lekcjach, wzięła mnie Stacha i poszłyśmy obie do kaplicy. Ona była dobrej myśli – przytulała mnie, całowała, a ja, chociaż jak z krzyża zdjęta, byłam już nieco spokojniejsza.

Usiadłam, chciałam grać, a tu w żaden sposób nie mogę skoordynować ruchów nóg z grającymi rękami. Są tam dwa pedały nad podłogą, które przy naciskaniu wprowadzają do piszczałek powietrze. Przes taniesz deptać nogami – muzyka milknie. Uklękła więc Stacha i dłońmi wprowadziła w ruch pedały, a ja grałam jakoś śmieiej, głośniej. Wyciągnęłam wreszcie piszczałkę celestę (czyli niebiańską) i popłynęła nagle pieśń tak słodka, o delikatnym brzmieniu, że zasłuchana nie zauważyłam, kiedy w drzwiach stanęły uśmiechnięte siostry. Stacha też ich nie widziała, kalikując zawzięcie.

Kiedy skończyłam, doszły do mnie, uściskały, a Przełożona mówi: „Poproszę profesora Wawrzynowicza, aby ci dał parę lekcji, żebyś mogła pedałować, bo przecież Stasia należy do chóru”.

I tak zaczęło się to moje granie na chwałę Bożą, okupione ciężką pracą. Profesor wróżył powodzenie – i rzeczywiście, w niedługim czasie potrafiłam sama kalikować i grać. A trzeba mi było nauczyć się Haydna, Bacha, umieć zagrać dla chóru mszę świętą i najprzeróżniejsze pieśni okolicznościowe. Najtrudniejszy był dla mnie maj i czerwiec, kiedy pod wieczór odbywały się nabożeństwa majowe, później czerwcowe, na które przychodziło mnóstwo osób z naszej dzielnicy. Najśmielszym moim posunięciem było to, że ucząc chór nowej pieśni – przetransponowałam melodię o dwa tony niżej, bo mi piszczały niektóre dziewczyny, a w kilku miejscach poprawiłam drugi głos, ponieważ siostra Aniela, filar w tej grupie, śpiewając zawsze w tercji – zniekształcała melodię. Gniewała się o tę zmianę mocno, bo ta wersja była trudniejsza, ale profesor mi przytaknął i tak już musiało zostać.

## Jubileusz Matki Przełożonej

Kiedyś, w dzień Matki Boskiej Zielnej, na dwudziestopięciolecie istnienia gimnazjum prowadzonego przez Matkę Przełożoną, miała odbyć się msza celebrowana przez samego biskupa Kubinę. Ile to było szumu, ile krząlaniny już na dwa tygodnie naprzód! Ćwiczyłyśmy nowe pieśni w kaplicy, żeby tylko wypaść jak najlepiej. Siostry służebne wysprzątały do czysta cały gmach. A teraz w głowę zachodziły i czyniły narady, sprzecząc się srodze, czy ryba w galarecie będzie, czy też nóżki cielęce. Aż problem rozwiązała niedoszła jubilatka i kazała prócz ryb szukać w jatkach mięsa na tatar. Bo jak wieść niosła, nic tak świątobliwości ponoć nie smakuje jak surowy tatar polany oliwką nicejską, z dekoracją z cebulki, kwaśnego pikla i żółtka umieszczonego w dołku befsztyka. Potem radziła czerwony barszcz na rurze i grzybkach, a do niego maleńkie diablutki masłem polewane. I tak po kolei skompletowano menu. Do szczupaka faszerowanego podano białe wino, na pieczone dziczyznę: kuropatwy z piersią słoninką owiazaną, zajęc z buraczkami i kwaśną borówką, a wszystko zakrapiane rubinowym wytrawnym.

Polskie to były przecież przysmaki i polskie przyjęcia. Ona je pamiętała. Stąd ta wystawa i znawstwo sztuki kulinarnej, bo przekazane z rodu, z domu. Jeszcze deser. Olbrzymi tort hiszpański, w piramidę ułożony z delikatnych merengów (bezów), zlepionych bitą śmietaną z wanilią, malinowym sokiem suto oblany, a zakropiony białym winem. Toż to delikcje prawdziwe!

Tak to wszystko było ułożone i przygotowane onego dnia. Ale najpierw o ósmej msza święta – uroczysta. A mnie serce wali jak młotem. Ręce się pocą, bo biskup już w drzwiach, w asyście ośmiu księży i naszego prefekta. Daję w tej chwili znak rozpoczęcia.

I oto huknęła pieśń, dla Jego Świątobliwości specjalnie opracowana: *Ecce Sacerdos magnus, qui in diebus suis, placuit Deo et inventus et iustus*, powtórzona trzykrotnie. Po skończeniu spojrzałam na biskupa. Stał w pozłocistych szatach, drobny staruszek, i uśmiechem zdawał się nam dziękować. Udało się, myślę, żeby teraz tylko się nie zbłąźnić. Płyną cichutko różne figielki muzyczne, lekkie, śpiewne, chwilami przekorne, to znów piukające serdecznie, jak te ptaszki za oknem, to znów rozplływające się wraz z dymem kadzidła prosto pod stopy Przenajświętszej, bo to dziś właśnie Jej dzień, naszej Matki Bożej Zielnej. Drzęca z wrażenia, palce nauczone – same głaszczą i przebiegają klawisze dziwnie lekko. A i mnie lekko na sercu, bo widzę, że mogę, że podołałam tak trudnemu zadaniu. Aż mi się na płacz zbiera, trzymam się jednak dzielnie, bo oto już podniesienie, niedługo komunie, gdzie już mogę grać, co mi pod palce przyjdzie. Wtem słyszę gorący szept Stachy w samo ucho: „Zagraj teraz swoje tango”. Och nie – myślę – wstyd, chociaż to przecież też melodia, a w dodatku smętna i w

innym tempie będzie zagrana, więc niech się stanie Zielnej na chwałę.

I zagrałam. Dziewczęta patrzają na mnie, odwracają się od ołtarza zdziwione, niektóre wystraszone, bo przecież one znają tę melodię, a ja gram na celeście cichuteńko, cała rozmarzona. No i wreszcie wszechmogący głos: *Benedicat vos omnipotens Deus, Pater et Filius et Spiritus Sanctus*. „Amen. Amen” – powtarzam spieczonymi wargami. Fisharmonia drży od dziękczynnego fortissimo – na szczęśliwe zakończenie.

A oto biskup skręca od ołtarza do mnie, bierze za głowę, a mnie łyzy ciekną ciurkiem. Usta drżą, składając się w podkówkę, całuję w pierścień i nie wiem, co się ze mną dzieje, bo wszystko nagle wiruje. Chwytam się poręczy. Otoczył mnie wianek wystraszonych sióstr i dziewcząt, bo znają moje omdlenia. Stacha lunęła na mnie wodą z wazonu, razem z kwiatkami, i dopiero wtedy oprzytomniałam. Za mocne to było przeżycie jak na moje nerwy, toteż zaprowadziły mnie na piętro. Poszłam do łóżka i momentalnie usnęłam jak kamień, wydychając zmęczenie wielu dni i niedospanie.

Po przebudzeniu widzę nad sobą zatroskane twarze. Wypoczęta i zdrowa siadam na łóżku, pytając o godzinę. „Wiesz, ileś ty spała? Całe osiem godzin. Jest już czwarta po południu, ubieraj się szybko, obiad ci zostawili”. Ciotka Kazia wzięła mnie w ramiona, dziękowała i szeptała czule, troszcząc się o zdrowie, w końcu zapytała: „Maniuśka, a co ty takiego grałaś tuż po komunii, że aż się płakać chciało? Przyznaj się, nawet Matka Przełożona o to pytała”. Jakże jej powiem, że to tango, a w dodatku pod tytułem: *Dlaczegoś mnie zdradziła, czemu serce zapomniało?* Coś tam pomruczałam, że jestem bardzo zadowolona, że się podobało – i na tym koniec. Opadły mnie dziewczyny, dziwiąc się mojej odwadze. „Aleś głupia – przecież to ta sama melodia, którą nam grasz na rekreacji”. Bo trzeba wiedzieć, że wieczorem na sali gimnastycznej grałam dla nich relaksowo różne melodie, przeważnie tanga, a one rozmarzone tańczyły. Popisywała się również Jadwiga Poradowska, hrabianka, córka bardzo zamożnych ziemian ze Śląska. Ale one jej nie akceptowały, tylko czekały na mnie. Taka była prawda. A tanga były wtedy bardzo melodyjne, sentymentalne: Warsa, Petersburskiego. Jeśli się było w naszym wieku... nic dziwnego, że wszystkie dziewczyny miały swoje sercowe sprawy. Gasiły wtedy światło, nieraz tylko księżyc zaglądał przez okno, a ja grałam sobie i tym szalonym – rozmarzonym. Ale cóż, trzeba było zamknąć pianino na kluczyk i oddać do kancelarii, bo wybiła nieubłagane dziesiąta. Nie bardzo przytomne szłyśmy do łazienki.

Wspominałam tu o hrabiance Jadwidze Poradowskiej, obytej, władającej francuskim podobno od dziecka, ładnej, wyrosniętej i zawsze elegancko ubranej ósmoklasistce. Mało powiedzieć elegancko – ona naprawdę potrafiła chodzić, kołysząc się lekko w biodrach, nosić ten nasz mundurek z fartuszkami jak nikt i cudownie się śmiać. Nie było drugiej tak niebieskookiej dziewczyny, nikt nie miał

takich włosów jak len, związanych w wielki węzeł, i tak ładnej buzi. Nigdy nie chodziła w ciapkach jak my, chudopachołki. Jej smukłą stopę obciskało zgrabne czółenko z brązowej lub beżowej skórki, pończoszki tejże barwy, na zgrabnych długich nogach, jednym słowem – dziewczyna dama. Nic więc dziwnego, że była pod ciągłym ostrzałem ciekawych oczu. Niektóre dziewczęta, zwłaszcza młodsze, przywiązywały się do niej od razu, bo była opiekuńcza i czuła, starsze zaś pewnie zazdrościły jej wszystkiego – a to niespotykanej urody, wielkopańskich manier, swobody bycia, no i najbardziej tytułu, z którym zresztą nie obnosiła się nigdy. Rodzice jej byli bardzo hojni i nierzadko pani hrabina składała na tacę w kaplicy olbrzymie datki. Nic więc dziwnego, że Jadwiga miała fory u wszystkich, choć mówiąc prawdę – solennie zasługiwała na swoje stopnie i wyróżnienia, ponieważ była bardzo pilna i zdolna.

Niejedna z tych zazdrośnic nie posiadała się ze złości, że Jadwiga ma swój „apartament”, jak to szumnie nazywały – dwa pokoje z łazienką (i dwa oddzielne wejścia), mieszczące się na parterze szkoły. Od niej samej dowiedziałyśmy się, że ma narzeczonego pana Jurka, który ją często odwiedzał, przyjeżdżając olbrzymim samochodem. Przywoził wtedy wyszukane łakocie, bomboniery i stosy czekolad, które zresztą rozdawała nam, młodszym. Na spacerze, jako że była najwyższa z nas wszystkich, chodziła w pierwszej parze, a później ustąpiła miejsca mnie. Szła za mną, prowadząc cały czas rozmowę w języku francuskim z naszą opiekunką, siostrą Marią Załuską, również hrabianką.

Co drugi dzień przychodziła do niej z miasta madame Trapani, Włoszka, a właściwie Sycylijka – na konwersacje z francuskiego. Później, po stworzeniu kompletu, i nas uczyła. Również co drugi dzień bywała u Jadwigi pani profesor z klasy fortepianu i na sali gimnastycznej, pustej już wieczorem, odbywały się lekcje. Co było ciekawe, Jadwiga nie miała za grosz słuchu. Nie należała do chóru i sama się przyznawała, że nigdy nie wyśpiewa żadnej melodii. Taka jednak była wola rodziców, że grać musi, a nowiuteńki Bechstein czeka na nią w domu. Owszem, była zaawansowana mocno w grze, ale na moje odczucie – grała, bo musiała. Nie widziało się w tym muzykowaniu ani zamiłowania, ani zrozumienia.

Miała w klasie koleżankę, Krystynę Zalejską, córkę sędziego. To były dwie najładniejsze w ósmej dziewczyny. Jadwiga – typ słowiański. Krystyna zaś – to dziewczyna z Kresów, Ukrainka czy dorodna Kozaczka, co to takiej nie nowina wskoczyć na konia i pogalopować na oklep. Urody dodawały jej dwa grube, czarne warkocze, a ze względu na cerę smagłą z rumieńcem wybór między tymi dwiema był zaiste trudny.

Kiedy podczas jakiejś uroczystości stały obie w kremowych mundurkach, trzymając sztandar, przepasane błękitnymi wstęgami, nie słuchałyśmy przemówień, apeli, tylko zauroczone wpatrywałyśmy się w te dwie wybrane.

Hrabina Poradowska przyjechała z mężem dzień wcześniej na jubileusz



Matki Przełożonej, Jadwiga namówiła ją, żeby poszła do fryzjera. Ale po powrocie i przejrzaniu się w lustrze uznała, że jej źle w tym uczesaniu. Poszła więc pod kran i „zmyła” całą fryzurę. Teraz uczesana gładko za uszy i z kokiem wyglądała naprawdę dystyngowanie. Ofiarowała tego dnia Matce Przełożonej prezent do kaplicy w postaci zegara Beckera, który bił co kwadrans i swoim dzwonieniem rozweselał to zawsze ciche miejsce.

Od uczennic z internatu przełożona otrzymała piękny akacjowy klęcznik, zrobiony przez pana Kaliksta Szukalskiego, ojca Jadwigi. Wymalowałyśmy ten klęcznik na robotach, pod okiem siostry Zaluskiej. Za wzór posłużyły nam wijące się gałęzie winogron, które rubinowymi owocami pięknie odbijały od złocistego tła akacjowego drzewa.

W połowie roku szkolnego przyjechały z Katowic dwie dziewczyny. Jedna z nich bardzo wysoka i chuda – Wanda Rybarkiewicz, nieco rudawa i piegowata, ale miła i zawsze uśmiechnięta. Druga zaś – Irena Raube – siostra znanego w tamtych czasach sosnowieckiego bramkarza. Wielki wisus i wiercipięta, dziewczynka jak żywe srebro, wiecznie gestykulująca i jedyna do figlów i psot. Jej wadą było to, że mówiąc szybko, pluła i ciągle musiała połykać mnóstwo śliny, która białą pianą zbierała się w kącikach ust.

Wszystko szło normalnym trybem, do chwili gdy pewnej nocy stanął w naszym oknie księżyc w pełni. Było już dobrze po północy. Leżałam, nie mogąc usnąć od dobrej godziny. Kończyłam laurkę i napięcie jeszcze nie opadło. Odwróciłam się plecami do okna, bo mi ta poświata wchodziła pod powieki. Nagle czuję, że ktoś z nogami jak lód pakuje mi się pod kołdrę. Jak nie wrzasnę! Jak nie zerwę się na równe nogi! Siostra momentalnie zapaliła światło – i co widzimy... Na moim ubraniu złożonym na taborecie leży Wanda, a nogi okrywa sobie moją kołdrą i coś tam mrucząc – kokosi się do spania. Siostra ją obudziła, wzięła za rękę i zaprowadziła do łóżka, myśląc, że je pomyliła. Na drugą noc słyszymy, że coś sapie. Podnosimy głowy, a tu znów Wanda. Tym razem z wyciągniętymi przed siebie rękami idzie w stronę okna, wchodzi na czyjś taboret, a z niego na parapet. No, tego było za wiele jak na dwie noce. Znów światło, klaps w pupę na otrzeźwienie i odprowadza ją siostra do łóżka.

Na trzecią noc zasłoniłyśmy dobrze okno, a zmyślna Irena Raube przyniosła miednicę zimnej wody i postawiła przy łóżku Wandy. Żadna z nas nie spała, czekając, co będzie. Po jakimś mamrotaniu, po przewracaniu się z boku na bok – patrzmy – już siedzi i spuszcza nogi z łóżka. Za chwilę krzyk, bo umoczyła je w miednicy i całkiem otrzeźwiała. Zrobiła „brr...” i położyła się spokojnie, śpiąc już do rana. Na czwartą noc Irena coś długo majstrowała przy jej łóżku, kiedy Wanda już spała. Myśmy także usnęły wreszcie, zmęczone ciągłym niepokojem. W nocy jednak obudziły nas jęki i szamotanie. Zapaliłyśmy światło. A to Wanda szaleje pod kołdrą nie mogąc ani rusz wyjść spod niej, bo ta głupia Irena przyszyła

kołdrę do materaca. Kazano w końcu zrobić stolarzowi okiennice i odtąd spałyśmy spokojnie aż do rana.

Na studniówkę pozwoliła Matka Przełożona zaprosić maturzystów od Sienkiewicza. Już po południu widziałyśmy krzątanicę; ustawianie długich stołów w klasie sąsiadującej z salą gimnastyczną, znoszenie stołowizny (naczyni, sztuców), toreb ze słodyczami, całych pudeł pączków, chrustu. To wszystko łącznie z wodą gazowaną zostało umieszczone na razie w kącie sali, gdzie miał być podręczny barek. Obiecałyśmy sobie, my młodsze, że wypatrzymy taki moment, aby porwać chociaż po pączku dla siebie.

Z korytarza obok naszej sypialni patrzyłyśmy ciekawie przez szparę w drzwiach na gości i sztubaków. Już ruch, gwar, szanowne ciało pedagogiczne, rodzice wystrojeni po wizytowemu, a Matka Przełożona w asyście prefekta na poczesnym miejscu. Dalej siostry, profesorowie, wreszcie rodzice. Do stołu swoim starszym koleżankom usługiwały dziewczęta z siódmej klasy.

Siedzą nasze maturzystki jak kwiaty, szczęśliwe, poprzedzielane granatowymi mundurami, bo każda ma pod ręką znajomego młodzieńca, który z udaną powagą częstuje, podaje, a w oczy ze śmiechem zagląda. Patefon na sali cicho szemrze, nastrój wesoły, wybuchają petardy śmiechu, brzęk kieliszków, toasty, przemowy... A my musimy się już myć i do łóżek! Nie wytrzymujemy nerwowo i tak jak stoimy, w koszulach do ziemi, z zaplecionymi na noc warkoczami, cichutko wsuwamy się przez uchylone drzwi do sali wygaszonej w tej chwili. Gdzieniedzie tylko błyszczą kinkiety w powodzi wstęg kolorowych, dekoracji i zieleni. Pod oknem długi stół z kłozami ciast, góry lukrowanych pączków piętrzą się na przemian z chrustem, jakieś butelki, słodycze, owoce...

Po ścianie, po ścianie, zbliżamy się w siódemkę do stołu, gdzie każda, drżąc ze strachu, łapie po kilka pączków i już jesteśmy w powrotnej drodze. A wtem trzask kontaktów, iluminacja razi w oczy, i oto stoimy rzędkiem przed dwoma chłopcami, którzy zaśmiewają się, wołając: „Na pomoc, złodzieje!”. Zamarłyśmy w niewymyślnych pozach, ale na widok przybiegających młodych ludzi staramy się, aby tylko do drzwi, a to przecież tak daleko! Coraz bliżej nas te wstrętne, roześmiane gęby, że tylko walić. Drwiące oczy i wołanie: „Chodźcie no, chłopaki, z wysokiego nieba anioły zstąpiły!”. Bałwany, myślimy. Buchnęłyśmy w drzwi, przeciskając się jedna za drugą. Któraś porzuciła łup, ja tam dzielnie doniosłam swoje pięć pączków w „podołku”, tylko że się w końcu rozplakałam z nerwów, bo mnie wstyd żał za wszystkich. Przecież między nimi był również ten w skarpetach do kolan, nasz znajomy ze spacerów. Ach, co za hańba! Jak ten wstyd przeżyć! Na koniec wpadła zdenerwowana siostra, nasza nocna opiekunka, i w krótkich, ale dosadnych słowach skomentowała takie zachowanie – „niżej wszelkiej krytyki”. Te słowa najbardziej nas zabolowały. Zgasiła światło i trzaskając drzwiami, wyszła. Otarłyśmy oczy, przełknęłyśmy obelgi jak gorzką pigułkę i zabrałyśmy się do

pączków. Musiałam swoje rozparcelować, bo te głupie wypuściły je przed czasem ze zdrętwiałych ze strachu rąk. „Ale siostra i tak musi się spowiadać, bo trzasnęła drzwiami” – powiedziałam najspokojniej.

Na drugi dzień krótka rozmowa z Matką Przełożoną, że wstyd, że się nie spodziewała, a tym bardziej po mnie. Myślę sobie, dlaczego po mnie? Tak samo pączki lubię jak inne, a dawno ich nie jadłam! Potem na zakończenie wyrzuty od cioci Kazi.

Zapomniałam w niedługim czasie o całym incydencie, bo oto mam grać menueta Paderewskiego do tańca w przyszłą sobotę. Ręce pełne roboty, bo wymyśliłam peruki z waty, więc stopy wałeczków, loczków, szycie płóciennych czapeczek, do których mają być przyczepiane długie francuskie loczki dla dam, a poprzeczne dla panów. Stroje wypożyczone z teatru; a więc obcisłe fraczki z brokatu – złote, błękitne, srebrne, lamowane, haftowane, halsztuki, pończochy białe i czarne, lakierki z klamerkami i chustki kolorowe do rąk, nie mówiąc o wachlarzach. Panie w sutych krynolinach dobranych kolorem do stroju tancerza – pięknie wyglądały w tych białych peruczkach, każda z czarnym pieprzykiem na policzku.

Pani Hanka Kańska, ulubiona przez nas młodziutka instruktorka od gimnastyki, uczyła na próbach kroków tanecznych, ślicznych pas, obrotów, skrętów i ukłonów. A ja nie tylko grałam przez jeden wieczór, ale przez drugi, trzeci... Profesor Wawrzynowicz (który uczył również moją siostrę Aniusię) doszedł do mnie i mówi: „Słuchaj, dziecko, masz talent. Powiedz matce, że chcę cię widzieć u mnie na lekcjach”. A ja na to: „Przecież pan profesor już uczy moją siostrę, Janinę Stępkowską”. „Ach, to twoja siostra? Dobrze się składa, będziecie grać na dwóch pianinach w operze *Baba*

*Jaga*, którą dla waszej szkoły wystawiam. Mam gotowe libretto, kończę już do niego melodię, no, przyjdź na przyszły tydzień”. Chodziłam na lekcje dwa razy w tygodniu, ale grać w tej operze nie podjęłam się, czasu było za mało i pewnie nie podołałabym wszystkim moim obowiązkom.

Afisze były już rozklejone w mieście 15 maja. Do tej pory brzmi mi w uszach aria Stachy, naszego słowiczka, która śpiewała w okienku baszty pieśń mrozącą krew w żyłach: „Och, nieszczęsna ja królewna, na wieży zamknięta, próżno płaczę, lamentuję, wyciągam rączęta...”. Królem, jej ojcem, cierpiącym po stracie córki, była Jadwiga Szukalska, która najbardziej nadawała się do tej roli ze względu na męską postawę i profil, co jeszcze podkreślała dobrze dobrana peruka. Płaszcz z gronostajami, oczywiście sztucznymi, dopełniał całości. Nauczona władczych gestów, sposobu siedzenia, umiejętności zachowania iście królewskiej powagi, a jeszcze ze swoim silnym jak na dziewczynę głosem, zbierała rześiste oklaski. A trzeba wiedzieć, że wtedy nie było jeszcze mikrofonu i należało liczyć tylko na siłę głosu. W sztuce występowała Baba Jaga, która na czele siedmiu

wiedźm odprawiała tańce i schylając się nad parującym kotłem, przywoływała złe moce. Była gromada wieśniaków pokrzywdzonych przez nią, była rozwrzeszczana baba, która śpiewała piosenkę: „Gąsków było równo dziesięć, trzy siodłate, reszta siwe...”. I królewicz był, Rogalikiem nazwany, który Stachę uwolnił z wieży. A potem uczta wspaniała, sam król na niej płakał i matka królowa płakała – ze szczęścia, oczywiście. Wreszcie *happy end* – uroczystość zaślubin i huczne wesele kończące się polonezem, gdzie i ja również tańczyłam, bo śpiewać nie mogłam z powodu słabego głosu. Za to pełno mnie było za kulisami. Przebierałam, cesałam i malowałam drżące, z wypiekami na twarzach aktorki, dodając im otuchy i prawiąc dusery.

Występ tak się podobał, że ta miniopera szła trzy razy. Po opłaceniu lokalu, wypożyczalni strojów, światła i orkiestry zostało jeszcze moc pieniędzy, które Matka Przełożona przeznaczyła na zakup sprzętu gimnastycznego, przyrządów potrzebnych do fizyki, map, barwnych atlasów zoologicznych. Ciotce Kazi osobiście zakupiła dwie ary, kolorowe papużki, które ta zawsze całowała w dzioby na powitanie, a nauczone tylko na to czekały. Nie mając własnych dzieci – kochała ciotka nas, tę czeredę rozkrzyczaną, roztańczoną, no i te swoje klatki z żywym stworzeniem. Miała kiedyś narzeczonego, ale że był a nieśmiała, tak kołowała i kręciła, żeby tylko nie zostać z nim razem w pokoju. Zostawiała go z koleżanką, a sama zażenowana wynosiła się cichaczem. Nic więc dziwnego, że wybrał tę odważniejszą.

Jednym jedynym mężczyzną w gronie pedagogów – rodzynek na niego mówiono – był pan profesor doktor Krzysztof Kmiecik, fizyk, który po lekcjach u chłopców w gimnazjum Sienkiewicza przychodził do nas.

Każda z nas miała jakąś sympatię czy znaj omego z tej właśnie szkoły, więc zaakceptowałyśmy natychmiast projekt jakiejś „myślącej” koleżanki, żeby kalosze, które profesor zostawiał w kącie pod wieszakiem – służyły za torbę listonosza (oczywiście w te dni, kiedy byliśmy pewne, że od nas idzie prosto do chłopców). Udawało się nam to przez parę jesiennych tygodni. Listy były odczytywane i znów w wyznaczone dni profesor „odnosił” odpowiedzi chłopców – jedne zawiłe, pokrętne, inne czułe i obiecujące. Bawiłyśmy się wyśmienicie. Trwało to okrągły miesiąc. Aż tu pewnego dnia, kiedy jak zwykle wybiegłyśmy za nim do korytarza, patrząc, jak mu tam idzie z wkładaniem kaloszy – okazało się, że tym razem zakochane dziewczyny przeholowały, wpychając do nich zbyt dużą ilość bilecików.

Stał, ręką wsparty o framugę, już w futrze, i pchał z wielką siłą nogę do opornego kalosza. Wreszcie schylił się, wytrząsnął wszystko na podłogę i powoli spojrział w naszą stronę. Boże, nie daj więcej widzieć takiego wzroku! Jak wrzucony między stadko wróbli kamień czyni momentalny popłoch, tak w nas jakby piorun strzelił – byliśmy i już nas nie było. Najlepsze schowanie to szatnia.

Wlaziłyśmy między płaszcze, imaginując sobie Bóg wie co, ale po paru minutach któraś wyjrzała. Profesora nie było. Zobaczyła tylko wypiętą siostrę Agatę, zbierającą na śmietniczkę nasze miłosne liściki. I żeby chociaż pokrzyczał na drugi dzień, żeby zrobił wymówkę! Po prostu nic i nic! Prowadził lekcję jak co dzień.

Którąś odważną ruszyło sumienie i poszła przeproszać z łezką w oku. Roześmiał się tylko i stwierdził, że już dawno o tym wiedział. Tego niefortunnego dnia obydwoj jego synowie zapytali: „Tata, dlaczego dzisiaj nie przyniosłeś nic w kaloszach? No, daj spokój, taka była fajna zabawa”. „Wytłumaczyłem, że listów było tak wiele, że nie mogąc po prostu nogi wsadzić – zabawę przerwałem”. Gadałyśmy na przemian jedna przez drugą, podbiegając do katedry, a on na to: „Nie usprawiedliwiajcie się, kozy, młodość ma swoje prawa. Ja też kiedyś płaćłem figle”. No, patrzcie, jaki kochany, czy inny tak by postąpił? To nas zmobilizowało do nauki fizyki i od tej pory chętnie przykładałyśmy się, aby mu tylko nie sprawić zawodu. Kochany, niezapomniany Kmiecik.

## Koncert skrzypcowy

Kiedy byłam w szóstej gimnazjalnej, zebrał się komplet amateerek gry na skrzypcach. Przychodził wtedy trzy razy w tygodniu na lekcje w sali gimnastycznej profesor Jan Opaliński. Uprosiłam ojca i kupił mi stare, zgrane włoskie skrzypce o pięknym tonie. Miały wewnątrz pudła napis „Antonio Stradivari, Cremona”, ale czy był to oryginalny Stradivarius, do dziś nie wiem. (Tata odsprzedał je, kiedy znalazł się w finansowych kłopotach). Myślę sobie – znam już pianino i uczę się nadal, może teraz poprobuję na skrzypcach. Zaczęłyśmy naukę w jesieni, a przed Wielkanocą szykowałyśmy się już do występu. GraSo ponad dwadzieścia dziewcząt. Wśród różnych pieśni ludowych, żołnierskich, była *Barcarola* Offenbacha i *Lecą świetliki*.

Na występ szłyśmy przez miasto parami, jak zwykle pod okiem aż trzech siostrzyczek, „bo tam przecież chłopcy będą, dziewczęta są czasem nieodpowiedzialne” – dowodziła jedna bardzo surowa. Zauważyłyśmy, że potem sama, kiedy ją witali, cmokając w bielutką dłoń, zaśmiewała się rada i szczebiocząc, pokazywała srebrne plomby.

Salka, do której nas wprowadzono z profesorem, była maleńka, ale miała fortepian. Można było przy nim albo z kamertonem nastroić skrzypce. Byłyśmy dziś na granatowo, w marynarskich kołnierzach. Włosy przeważnie długie, umyte, więc puszyste, spadały luźno na plecy, spięte olbrzymim czarnym motylem z taftowej wstążki. „Żadnej biżuterii, żadnego zegarka” – mawiały siostry. W tym momencie trwały jeszcze występy dziewcząt od Nazaretanek i Zmartwychwstanek. Śpiewy, recytacje, nawet tańce.

Nadeszła jednak chwila, kiedy trzeba było wziąć życie za bary, a skrzypce pod pachę. Smyczki wysmarowane kalafonią aż się lepią – to nic, będą lepiej trzymać ton. Przechodzimy wzdłuż szpaleru chłopców i tu znów gęby roześmiane (skąd ja to znam) i bezczelne. Ani jednej pocziwej twarzy. Żeby nam tylko figła jakiego nie splatali – pomyślałam i pewnie w złą godzinę, bo oto pierwsza z dziewcząt wchodząc tuż za profesorem, który szczęśliwie jakoś dotarł do fortepianu stojącego na scenie, na progu schodków wyłożyła się jak długa, rąbiąc skrzypcami w stojącą obok budkę suflera. Za nią druga, trzecia i dziesiąta, a na scenie całkiem ciemno, bo tak te bestie wykombinowały. To oni poprzeciągali sznurki tak zmyślnie, że żadnej nie przepuścili – reszty dokonały ciemności. Na sali ryk, krzyki i tupanie. Pewnie o tym podstępnie wiedzieli wszyscy z budy. Ażebym wam łapy uschły – myślę zła. Niejedna płakała z żalu i wstydu, kiedy profesor, widząc, co się wyprawia, podawał im rękę, wprowadzając po kolei, zdesperowane i załamane na scenę.

Stałyśmy jak należy w półkołu, profesor dodał odwagi, mówiąc szeptem: „Panny, głowy do góry, niech sobie nie myślą smarkacze, że nas tak łatwo można

zbić z tropu. No, zaczynamy”. Tu zasiadł elegancko i z wdziękiem na kręconym taborecie, z dystynkcją odrzucając na boki poły fraka. Stary wyga – myślę. Siwy, z niejednego pieca chleb jadał. Światło lekko przyćmione. Cisza. Czeka ją pewnie, jak zareagujemy na to świństwo. A my nic. Gra po jakimś czasie okazała się majstersztykiem, jak na młode lata adeptek. Szło nam jak z płatka, a już przy Ofenbachu widziałyśmy kołyszących się na boki widzów w takt słynnej barkaroli gondolierów. „Sukces na całej linii – mówi profesor, wychodząc po brawach. I zje diabła ten, komu się nie podobało”. Już nie było szpaleru, nie było żarcików, docinań i ironicznych spojrzeń. Oho, mówimy, już my wam tu grać więcej nie będziemy, wolimy dla Technikum, tam uszanują nasze wysiłki. I rzeczywiście, topór wojenny wykopany: zerwana przyjaźń, wieczorki, potańcówki, a idąc spacerkiem przez miasto, ostentacyjnie omijałyśmy oczyma niebieskie wyłogi na mundurkach – a szukały czerwonych, bo takie właśnie mieli uczniowie z Technikum.

## Wydarzenie w szóstej klasie

Siedziałam zawsze w pierwszej ławce, lubiłam to zresztą, bo byłam bliżej tablicy. Tego dnia geometrię prowadziła profesorka Amelia Pietkiewicz z Wileńszczyzny. Nieduża pani w olbrzymim szalu na ramionach, uczesana gładziutko w małeńki koczek, wyglądała wyjątkowo młodo, zwłaszcza w słońcu, które biło w olbrzymie weneckie okno.

Nastrój był dobry, lekcja nowa. Po odczytaniu listy okazało się, że nieobecna jest Magierówna, którą dziwnie stroniła od całej klasy, ale wcale nam na niej nie zależało. Siedziała zwykle pod samą ścianą na ostatniej, dostawionej ławce starego typu, wysokiej i niewygodnej, ozdobionej wyrzeźbionymi sercami i monogramami.

„Dzisiaj będziemy przerabiać ośmiościan ścięty. Proszę Stępkowską do tablicy i niech mi narysuje siatkę tej bryły... – tu wymieniła cyfry. – A wy rysujecie w zeszytach”. Wzięłam się żywo do roboty, odmierzyłam ścianki i za pomocą linii i ekierki połączyłam całość, oznaczając jeszcze literami boki. Nagle pukanie, wchodzi Magierówna, podaje jakiś powód spóźnienia i przechodząc koło pierwszej ławki, kładzie przed siedzącą koleżanką zwiniętą kartkę. Zobaczyła to profesorka, gdyby zabrała i przeczytała ją – byłaby zażegnała niebezpieczeństwo. Ale ona położyła kartkę na katedrze, przy której zresztą nigdy nie siedziała. Wykładając, miała zwyczaj chodzenia po klasie. I tym razem podeszła do tablicy, tłumaczyła coś, pokazując paleczką, kiedy nagle podniósł się krzyk: „Proszę pani, co ona robi?!”. Obejrzałyśmy się szybko i widzimy Magierównę wykrzywioną, z buteleczką jodyny w ręce, którą przechyla. Jodyna leje się do ust i po brodzie. Sparaliżowane widokiem – zamiast biec na pomoc – zaczęłyśmy uciekać na korytarz. Za nami pani profesor, ciągnąc po podłodze za sobą spadający szal. Wołała bez przerwy: „Panienci, nie uciekajcie!”. Z innych klas wychyliły się wystraszone twarze, ktoś uderzył w dzwonek na przerwę, wreszcie przybiegły siostry, a dowiedziawszy się, o co chodzi, wyniosły chorą do infirmerii, gdzie wezwany lekarz zaaplikował płukanie żołądka. Przyjechało pogotowie i jęczącą z bólu zabrało do szpitala. Leczenie spalonego przełyku trwało prawie cztery miesiące.

Magierówna została usunięta z gimnazjum. Jak się okazało, kartka, którą położyła na pierwszej ławce, była napisana do całej klasy. Ktoś ją jakoby posądzał o zjadanie drugich śniadań podczas pauzy. Czy tak było – nie wiem, nikt się do tego nie przyznał.

Tego tragicznego dnia przyszła do nas Matka Przełożona, nakrzyczała, jak tylko umiała, a na zakończenie powiedziała: „Błaźnice, tak zniszczyć dziewczynę! Marsz mi zaraz do kaplicy, kajać się i przeproszać Boga za winę!”. Długo nie mogła się uspokoić, czerwona jak piwonia, ciskała oczyma pioruny, ale pewnie miała rację. A my, na kolanach, zapłakane, przesiadaliśmy z godzinę w kaplicy,



a że zadzwonił dzwonek na lekcje, poszliśmy do klasy, gdzie już czekała patrząca na nas z wyrzutem łacinniczka.

W niedzielę na mszy świętej ksiądz prefekt wygłosił kazanie na temat tego wydarzenia. Ile to można złego zrobić, posądzając niesłusznie bliźniego. Tak nas tym przybił i pognębił, że nie mogłyśmy się długo pozbierać. W dodatku jedna z uczennic, Stanisława Orly (późniejsza polska lekkoatletka), witała nas od tej pory nieodmiennie w drzwiach przed lekcjami z korkiem od jodyny w ręce, który pewnie w ten pamiętny dzień został na ławce. Przebiegając zręcznie po pulpitych ławek, siadała na tej najwyższej, udawała, że coś pije, krzywiąc się niemiłosiernie i przewracając białkami oczu. Potem biegała za nami i podsuwając korek pod nos, wołała: „Kto kupi słynny koreczek od trucizny za jedną złotóweczkę, panowie, panie! To całkiem darmo, a można nim i nos przytkać, i ucho!”. I tak wrzeszcząc, skakała jak szalona po ławkach. Obmierzło nam to w końcu i dojadło do żywego.

## Zielone Świąta w Dankowie

Dobrze, że za parę dni Zielone Świątki, bo my z internatu zaproszone jesteśmy z dwiema siostrami zakonnymi do państwa Zaborowskich do Dankowa, majątku leżącego koło Myszkowa. (Pan Zaborowski był dyrektorem fabryki naczyń aluminiowych).

Było wiele radości, bo miałyśmy aż trzy dni wolne i perspektywa swobody kusila każdą z nas. Już po południu zajechał przed szkołę mały fabryczny autobus do przewożenia robotników, tak że z powodzeniem zabrałyśmy się wszystkie.

Pogoda była przecudna i jeszcze słońce nie zaszło, kiedy zajechałyśmy na klaksonie przed front białego dworku, gdzie już oboje państwo czekali na ganku, witając nas serdecznie i oddając w ręce obu córek, naszych młodszych koleżanek z internatu, które dopiero od tego roku szkolnego mieszkały z nami. A były to dziewczynki dobrze ułożone, nieśmiałe i cichutkie. Jedna z nich, czternastoletnia, to Halina. Wysoka, opalona. Druga, może dziesięcioletnia, Danusia, śmielsza od siostry, z różową buźką i kręconymi włosami – do matki podobna. Ale obydwie nierozmowne i bez uśmiechu. My je tu rozruszamy – myślimy sobie, bo jak można być smutną na wsi w takim ślicznym dworku.

Po umyciu po podróży i zapoznaniu się z sypialniami wyszłyśmy przed dom, bo nas ciągnęło do słońca i upragnionej swobody. Sióstr nie było, słyszałyśmy ich głosy w stołowym oraz brzęk porcelany rozkładanej do kolacji i miły głos pani Zaborowskiej, która im o czymś opowiadała.

Jadźka Szukalska, bo i ona z nami przyjechała, że to najstarsza i najśmielsza, pobiegła do stajni, a my za nią. Lśniące zady końskie rudziały w blasku zachodzącego słońca. Krowy idące z pastwisk porykiwały, a w bramie puściły się już „na wypródki” do koryta pod studnią, wzniecając tumany kurzu, w których ledwo widoczne beczały owce z jagniętami. Mignął mi nawet łeb rasowej kozy z „kolczykami” i parą kozłatek. Halina powiedziała, że od tej kozy piją co rano mleko, oczywiście kiedy są w domu. Przestałyśmy się teraz dziwić ciągłym odwiedzinom ich rodziców w internacie, zwalówkami, słoikami... Matka w trosce o ich zdrowie potrafiła dwa razy przecierać pasztet z drobiu na włosianym sicie, aby tylko grudek nie było. Pakowała tę papę do weków i ugotowaną przywoziła dwa razy w tygodniu. Prócz tego przeróżne frykasy: biszkopciki, makaroniki – czyli ciasteczka z marcepanu (sam marcepan to z kolei masa z utartych migdałów, prażona z cukrem na ogniu i użyta do wyrobu tychże ciasteczek).

I my dzisiaj, nakarmione, wprost napasione pysznościami, ledwie żywe wyszłyśmy na wielką werandę, z której było widać słońce wiszące już nad lasem, całe w ogniach, wielkie jak rozpalone koło. Siostry zaproponowały, abyśmy pośpiewały. Więc śpiewałyśmy po kolei, co nam przyszło na myśl. Jadwiga najczęściej znająca melodii – altem, a ja o oktawę wyżej – drugim głosem. Ale

siostry chciały usłyszeć jakieś kościelne pieśni, których nigdy nie miały dosyć. Więc jedna, że to pochodziła ze wsi, jak sama nam mówiła, zaczęła silnym głosem jakąś dziwną, nieznaną nam pieśń na dobranoc – i zęgnąła się z zachodzącym słońcem, kłaniając mu się w pas. Słowa były wzruszające, a i ten nibyobrzęd żywo przypominał dawne wierzenia. Powiedziała, że tam, skąd pochodziła, cała wieś śpiewa, kiedy słońce zachodzi, a nauczyli się tej pięknej pieśni od jej dziadka, który z kowieńskiego pochodził i ten zwyczaj wprowadził. Może tak śpiewali i za Światowida na Litwie? Chociaż nie, przecież pieśń kończyła się piękną zwrotką: „Dobranoc, wonna lilija, dobranoc, Niepokalana Maryja! Dobranoc!”. Jednak coś w tym było niepokojącego, bo nam skóra cierpła, kiedy siostra tak kłaniała się, patrząc w słońce, a twarz jej stężała z przejęcia.

Słońce zaszło za las, tylko przez czuby drzew żarzyło się jeszcze, zęgnając ziemię do jutra. Stoimy opite powietrzem. Mrok zgęstniał. Szła noc ciepła, pachnąca rosą i trawą, a w pobliskiej kępie drzew odezwał się słowik, najpierw jeden, za nim następne, zanosząc się wkrótce kłaskaniem bez pamięci. „Słowiki śpiewają w tym lasku” – mówię. A Halinka na to: „To cmentarz. Tam leży moja babcia”. Głos jej drży, łzy widzę w oczach, choć mrok, więc tulę ją do siebie i razem z nią jest mi bardzo smutno. Przecież w ubiegłym roku i moja babcia Urszula zmarła i teraz mi jej brak. Idziemy do swoich sypialni jakieś inne, zamysłone.

Spotykamy się na śniadaniu, przy sutym stole zastawionym pachnącą kawą, miodem, twarogiem z jajkami i wędliną. Żegnamy się, wstając od stołu jak na komendę i siadamy do mikrobusiku, by pojechać na mszę świętą do Myszkowa. Po mszy państwo Zaborowscy idą prosić księdza na obiad i wszyscy wracamy do dworu. Znow obżarte do nieprzytomności, rozkładamy się na trawie w zaciszu, opalając te części ciała, które jeszcze w tym roku słońca nie widziały.

Było już koło czwartej, kiedy pan Zaborowski delikatnie obudził drzemiącego w fotelu księdza, który miał łysinę przykrytą od much chustką do nosa. Zaczął zwoływać towarzystwo, mówiąc, że łódki gotowe i jedziemy na jezioro zapolować na kaczki. „Jak to – mówię – wiosna przecież, matki siedzą na gniazdach. Teraz się nie poluje”. „Brawo – mówi pan – widzę, że i ty coś o tym wiesz, tylko, widzisz, ja zapoluję na kaczory. Mam taką przynętę, same zobaczycie, a właściwie usłyszycie”.

Wsiedliśmy do trzech łódek, w których czekali na nas chłopcy z wiosłami. Pan Zaborowski płynął w malutkiej, do której wstawił przykryty płótnem koszyk. Usiadł z dubeltówką na ramieniu, a gryfon – pies myśliwski imieniem Bies – wskoczył za nim do łódki. „Uprowadzam tylko – powiedział pan Zaborowski, odwracając się do nas – że rozmawiać nie wolno”. Siedziałyśmy jak trusie, tylko Jadźka poradziła grubemu proboszczowi, aby przesunął się ku środkowi łodzi, bo niebezpiecznie przechylał łupinę na jeden bok.

Ponieważ był upał, panny, siedząc za plecami księdza, zdjęły bluzki, a mała Danusia była w kostiumie kąpielowym. Pan Zaborowski wiosłował pierwszy i wkrótce zboczył, chowając się w las szuwarów. My okrążyliśmy cypel, skręcając w kępy rogożyny. Nastąpiła cisza, komary jakby się wściekły, opadły nasze niewinne ciała i siekły miejsce przy miejscu, a tu nawet nie wolno było drania zabić głośno. Dobrze, że przewidująca Halinka zabrała olejek goździkowy. Wstała i kolejno namaszczała nasze „zbąblone” plecy. Ksiądz siedział cichutki i bezpieczny pod fularową chusteczką, przycisnąwszy ją uprzednio biretem tak, że komary nie miały do niego dostępu. We mnie aż coś się gotowało z tłumionego śmiechu, bo wielka chustka miała czerwone kropki, a biret był czarny.

Nagle wśród przedwieczornej ciszy usłyszeliśmy kwakanie kaczki, tak częste i namolne, jakby ją tam psy rozszarpywały. Na niebie pokazały się „krucyfiksy” kaczek, a jak się później dowiedzieliśmy – kaczorów. Huk strzału przewalił się po wodzie, jeden, drugi, trzeci... to strzelba pana Zaborowskiego odezwała się w porę. Dwa kaczory spadły w tej stronie, gdzie wcześniej zginęła nam z oczu łódeczka naszego gospodarza, chowając się w trzciny. Trzeci kaczor spadł na wodę tuż obok nas i kołysał się na małej fali rozłożony skrzydła.

Mała Danusia, nie namyślając się, skacze do wody, chwytając kaczora zębami za nóżkę i płynnie rozbawiona w stronę zbliżającego się ojca, aportując ubitego ptaka. Pies również wyłowił dwa ptaki, teraz otrząsa się z wody i siada w łódce obok swojego pana – cały dumny. Nareszcie możemy się śmiać głośno, krzyczeć i cieszyć razem. Dopływamy do brzegu, a ksiądz zdejmując z głowy fular i ściska dłoń pana Zaborowskiego, chwając udane strzały. Ten mu wręcza piękną sztukę i mówi: „Na jutrzejszy obiad, ale proszę pamiętać, żeby ptak dobrze skruszał”. Spytałyśmy go w drodze, co to za kaczka darła dziób na jeziorze. A on otworzył wieczko kosza i pokazał nam zwykłą domową kaczkę ze sznurkiem i ciężarkiem przy łapie. Wypuszcza się ją na wodę, a ta nie mogąc odplynać – kwacze wystraszona i tym sposobem przywołuje kaczory na strzał. To jest tak zwane polowanie z „krykuchą”, czyli „na wabia”.

Nazajutrz po śniadaniu wyjeżdżamy do Myszkowa, aby obejrzeć fabrykę. No, rzeczywiście potężna, rozbudowana, wyposażona w olbrzymie hale i maszyny sprowadzone z zagranicy, robi imponujące wrażenie – jak jakiś olbrzymi kombinat. Dziś w fabryce cisza, tylko kilku robotników czyści oliwą maszyny, coś tam reperują, aby je jutro uruchomić. W składzie, pod sam sufit, naczynia aluminiowe – duże, małe, jakieś drobne przyrządy, blachy walcowane dla lotnictwa, części okrętowe, rury i kto by tam wszystko wymienił. Coś z tego idzie na eksport, a reszta na potrzeby kraju. W laboratorium stoją olbrzymie maszyny, które natryskują płynne aluminium na powierzchnię przedmiotów stalowych. Tam też dowiedzieliśmy się, że aluminium jest metalem bardzo ciągliwym i kowalnym, jest dobrym przewodnikiem ciepła i elektryczności, a odpornym na wpływy

atmosferyczne. Po wycieczce wracamy na obiad o wiele mądrzejsze, potem trochę polegujemy w sypialniach, bo opalenizna dała się jednak we znaki.

Kiedy upał minął, poszliśmy do sadu, gdzie można schrupać kwaśny agrest, a i niektóre czereśnie, co już się zapłonily. Odwiedzamy również grób babci dziewczynek, pani Anny Zaborowskiej. Składamy urwane w polu maki, rumianki, kłosa, zapalamy znicz. Halinka płacze. Teraz wiem, dlaczego smutna, jeszcze się nie oswoiła z myślą o jej odejściu. Wracamy, bo trzeba już odjeżdżać i podziękować dobremu państwu za to przyjęcie wspaniałe, za opiekę i uprzyjemnienie pobytu. Mówimy im, że odżyliśmy prawdziwie i nabrałyśmy sił na te półtora miesiąca pracy, która nas jeszcze czeka do końca roku szkolnego.

Czas minął szybko. Nadeszły upragnione wakacje. Wróciłam do Włoszczowy, gdzie czekał już wykończony dom. Moja radość nie była jednak pełna, okazało się bowiem, że Anusia wychodzi za mąż i trzeba ją zastąpić w pracy u rejenta.

Musiałam przyjmować od Żydów weksle do prolongaty, wciągając je potem do repertorium. Co poniedziałek i piątek pisałam akta pod dyktando. Rejent chwalił mnie, że nie robię błędów. Zarobione pieniądze sprawiły mi jednak pewną przyjemność, bo nigdy nie dostawałam takiej sumy do rąk. Raz, że to było niepedagogiczne, a po drugie, miałam wszystko, więc rodzice uważali, że pieniądze nie są mi potrzebne. Dawniej udało mi się zdobyć od taty pieniądze „psim swędem”, jak mówiła Anusia, bardzo łatwo. Choremu i zaziębionemu stawiałam bańki, bo robiłam to podobno lepiej od mamy. Wtedy to stosowałam pewien podstęp. Kiedy zbliżała się pora zdjęcia baniek i tata wołał: „Już chodź, trzeba zdejmować!” – droczyłam się z nim o cenę i udawało mi się nieraz wyciągnąć od śmiejącego się ojca aż pięć złotych. Pamiętam, że kiedyś kupiłam za te zarobione pieniądze *Serce Amicisa*. Była to lektura w którejś tam klasie.

Minęły pracowite wakacje. Wróciłam znów do internatu.

## W ogrodzie u Szwarckopfów

Na peryferiach Częstochowy, z piętnaście minut drogi od internatu, mieszkała nasza koleżanka Zosia Szwarckopf. Nie miała czarnych włosów, jak sugerowało nazwisko, tylko długie, rude i piękne. Żeby nie prawie białe rzęsy, byłyby ładną panną, bo i wzrost miała słuszny i cerę jasną. Rodzice mieli kilka hektarów ziemi ornej i duże gospodarstwo, jednym bokiem przylegające do koszar wojskowych, które szarą bryłą ciągnęły się na dużej powierzchni w stronę pól. W ogrodzie owocowym stały ule, spośród których dwa były nasze, czyli sióstr.

Wysoka chuda siostra Aniela opiekowała się nimi i właśnie dzisiaj szliśmy wraz z nią, niosąc jej kapelusz otoczony gazą, rękawice, podkurzacz, w pudełeczku próchno do podkurzania pszczół, wielki nóż i naczynie na miód. Wirówka była u pana Szwarckopfa. Dzięki jego wskazówkom i mądrym radom siostra Aniela wzięła na odwagę i kupiła od niego dwa ule z młodymi rojami. Pszczoły miały skąd czerpać, bo w polu tataraka i biała koniczyna, czasem wsiewka seradeli w zbożu, a to rzepak miododajny, nie mówiąc o starych lipach otaczających dziedziniec.

Dokąd siostra z panem Szwarckopffem byli zajęci przy ulach, trzymałyśmy się z daleka. Widziałyśmy, jak wynoszą z ula plastry ociekające miodem, jeszcze ciepłe, i wkładają je do wirówki, która wprawiona korbą w ruch – oddzielała miód od woszczyzny. Dołem, po odkręceniu małego kranika – szerokim strumieniem lał się bursztynowy miód do podstawionego garnka. Dymiąc na rozdrażnione pszczoły, które całą chmarą szumiały nad ich głowami, wkładali na powrót do ula puste ramki i szli do drugiego, gdzie powtarzała się ta sama czynność.

Wreszcie garnek nakryty, ule zamknięte, jeszcze rozwścieczone pszczoły kołują, żądłąc niemiłosiernie tego, kto się nierozważnie zbliżył. Chwytnymi za wielkie uszy ciężki gar i, okadzane przez pana Szwarckopfa pachnącym dymem jak z trybularza, wycofujemy się w bezpieczne miejsce do komory, szybko zamykając drzwi.

Idziemy teraz do matki Zosi, bo coś się tam dzieje w oborze. Wychodzi na próg zadowolona i mówi: „No, już po wszystkim. Właśnie urodziły się dwie owieczki, jeszcze mają mokre kudelki, chodźcie zobaczyć”. Owca-matka stoi niespokojna, a obok niej na chwiejnych nóżkach słaniają się dwa baranki i szukają wymienia na jej szyi. Głupiutkie. Podchodzę więc i delikatnie popycham do wezbranego wymienia i przystawiam jednego z lewej, drugiego z prawej strony. Przypięły się mocno jak pijawki i ssą bez przerwy, aż piana spływa z małych pyszczków. Machają śmiesznie krótkimi ogonkami, a matka liże je, pobekując z cicha, bo te kruszyny już potrafią bóść łebkami, kiedy im pokarm za wolno leci. Narwałyśmy świeżej trawy, pachnących ziół i włożyłyśmy za drabinkę, mówiąc: „Jedz, staruszko, masz przecież dwójkę do wykarmienia”.

Widząc na środku ogrodu spory klomb z kwiatami, obsadzony kępami drobnego szczypiorku – pytamy mamy Zochy, patrząc z prośbą w oczach, czy możemy sobie urwać trochę tych zielonych piórek. „Ależ oczywiście, ile chcecie! Zosia, przynieś tam nóż z kuchni. Obetniecie, a on za tydzień znów będzie młody”. Obdarowane, niesiemy pęki szczypiorku, ciężki garnek z miodem – na zmianę – i te różne akcesoria potrzebne do podbierania miodu. Za płotem, wokół olbrzymiego dołu na kamionkach, rośnie wybujały krzew tarniny, oblepiony teraz bielutkimi kwiatuśkami. Siostra mówi: „Macie nóż, utnijcie tam parę gałązek, będzie do dekoracji kaplicy na majowe”. Ucinamy, kłując przy tym palce, ale niesiemy rade, że będzie pięknie na ołtarzu.

Starszy pan, który idzie na spacer z laseczką, staje, mówiąc: „Że wy, młode, popełniłyście taki nietakt – to można jeszcze darować, ale że siostra na to pozwoliła, w głowie mi się nie mieści”. Tu pokazał gałązie. „Ale przecież to tarnina, proszę pana, dziki krzew” – mówi siostra. „To nic, że dziki, ale za tydzień znajdzie się na śmietniku. Czy nie ładnie mu tam było w słońcu i na swobodzie?”. To mówiąc, spojrzął z żalem na więdnące małe kwiatuśki i powolutku odszedł, opierając się ciężko na lasce. Głupio się czułam i obiecałam sobie nie rwać nigdy nic kwitnącego. Ale to za trudne przyrzeczenie dla mnie, bo dzikie kwiaty są piękniejsze od wszystkich hodowanych na tej ziemi.

Dzisiejsza kolacja była pod znakiem szczypiorku, który zaledwie umyły gryzłyśmy bez pokrojenia. W całej szkole pachniało cebulą, a pani Szwarckopf nawet nie przewidywała, jaką zrobiła nam frajdę.

## Siostra Agata – furtianka

Pochodziła spod Łowicza, z wiejskiej rodziny. Nieduża, okrągła, stała prawie całe dni przy wejściowych drzwiach prowadzących do gimnazjum, trzymając robotę klockową w płóciennym woreczku, który zawieszała na framudze drzwi. Nigdy nie była beczynna. Bardzośmy z nią dobrze żyły, w wielkiej przyjaźni, obdarowując smakołykami, których nie dawano w klasztorze, a przecież i ona lubiła słodczyce. Często wystraszona, że ją ktoś zobaczy z cukierkiem w ustach, wypluwała go i kładła do woreczka, żeby w bezpiecznej chwili posmakować sobie do woli.

Ta pracowita dziewczyna nauczona była od małego prząć na wrzecie czy kołowrotku, tkąć płótno lniane na prześcieradła te cieniutkie i te grube – zgrzebne, na płachty i worki. A nauczyła ją tego matka, schludna i pracowita kobieta. Rodzina była liczna, ale samowystarczalna, bo stół, taboret czy skrzynię „na ubiór” robił dla domu ojciec – stolarz. Niejednej gospodyni wyszykował taką szafkę przeszkloną na talerze i wszelkie naczynie, że aż drugie jej zazdrościły.

Agata, jeszcze będąc dzieckiem, ciekawa była wszelkich robótek. Cięła wielkimi nożycami do strzyżenia runa owiec wycinanki łowickie, a wszystko to było robione z glansowanego, kolorowego papieru. Ozdabiała nimi w izbie czarne od dymu i starości belki. Biegała również często do nauczycielki ze szkoły, która nauczyła ją klockowej roboty z cieniutkich nici. Robiła więc serwetki do kościoła, dla domu czy obcych ludzi, przeróżne wstawki do poduszek, ząbki do halek i drobne ozdoby, kołnierzyki, obrabiała czepce i bluzki w kolorowe zęby.

Jako piętnastoletnia dziewczyna robiła siatki do firanek z grubszych nici, posługując się małym czółenkiem. Gotowy bryt firanki naciągało się na drewnianą ramę i przystępowało do cerowania grubymi, jedwabnymi nićmi, podług wyrysowanego wzoru. Były tam kwiaty, gałązki z liśćmi, owoce. Takie firanki służyły całymi latami, nie darły się, nie przepalały na słońcu, ale musiał być użyty do tego mocny, biały kordonek.

Zrobiła dla swojej parafii wiele siatkowych obrusów, jedne haftowane na ołtarze w przeróżne wzory i winne grona, inne bardziej proste do alb i do wszelkiej kościelnej bielizny. Będąc z pielgrzymką na Jasnej Górze, a miała wtedy dziewiętnaście lat, zapoznała się na noclegu z siostrą zakonną, której zwierzyła się ze swojego powołania do zakonu. Ta dała jej adres do Gimnazjum „Nauka i Praca” w Częstochowie, gdzie siostry szukały furtianki. Została przyjęta i gdy ja zaczęłam tu naukę, ona służyła już piętnaście lat Bogu i ludziom – szczęśliwa, dłubiąc te swoje robótki. Ozdabiała kaplice i wszystkie okna w klasach firankami, które robiła wprost na naszych oczach – wesoła, gadatliwa i bardzo obowiązkowa.

Kiedyś powiedziała nam, że ma w wojsku siostrzeńca, Kazika: „...a przecież od małości go bawiłam, nosiłam w płachcie po dworzu i karmiłam, kiedy



siostra poszła do pracy. Wyrósł na dorodnego chłopaka. Przykrzy mi się bez niego. Obiecał pisać, ale pewno nie może, a szkoda”. Słyszając to, uradziłyśmy, że wyślemy do niej serdeczny listy od Kazika z jego fotografią w mundurze, bo Staśka Osuchówna miała akurat zdjęcie swojego brata, tyle że w randze kapitana. Uprosiłyśmy koleżankę z miasta, aby kupiła znaczek i wrzuciła list, który był pełen pozdrowień i ucałowań dla kochanej ciotki. Obserwowałyśmy siostrę Agatę codziennie, ale nic. Uśmiechnięta jak zwykle, rada do pogawędki, a o liście ani du-du. Pewnie jeszcze nie przyszedł. Ale na trzeci dzień zbiegamy ze schodów na pacierz do kaplicy – a tu siostra jakby nas nie widziała, wykręca się plecami, a nos ma czerwony i dziwnie mruga oczami. „No, koniec – mówi najstarsza z nas – pograłyśmy jak te idiotki, trzeba ją będzie teraz przeproszać. Ona najwyraźniej płacze!”. Podeszłyśmy do niej, objęłyśmy całując, nawet jedna w rękę ją pocałowała. Na to wychodzi z drzwi Matka Przełożona, i pyta, co się stało. Mówimy szybko, że „zaproszyła oczy, my jej zaraz przemyjemy!” i popychamy ją do korytarza, niby w stronę łazienki. Tam usadziłyśmy ją na zamkniętym sedesie, tuliłyśmy, głaszcząc po głowie i przepraszając. A ona na to: „Nie, ja się na panienki nie gniewam. Wiem, że to z dobrego serca ten list, ale przyjdzie nieraz na człowieka taki smutek, że rady sobie dać nie może. Dziś, to przepłakałam prawie do samego rana, boście mi przypomniały mój dom, matkę i ojca, a ich już nie ma na świecie. Siostra wyjechała z mężem do innego miasta, a brat, co siedzi na gospodarce, jest dla mnie bez serca, bo mi musiał dać spłatę na posąg do zakonu. Dopiero był na dorobku i pewno za to mnie znienawidził. A ten mój Kazio – to tak niby jak rodzony. On jeden tylko ciotkę lubił i mówił, że kiedyś przyjedzie do Częstochowy. No, ale koniec płakania, tylko powiem wam, panienki, że ten wojak z fotografii, to ładny chłopak. Chciałabym, żeby i mój siostrzeniec był taki” – tu oddała Staśce zdjęcie. No, kamień spadł nam z serca i przysięgłyśmy sobie nie robić już nigdy takich głupich kawałów, bo to niebezpieczne igranie z uczuciem.

Wieczorem przyjechała hrabina Poradowska, więc siostra Agata pomagała jej wnosić walizki do pokoju Jadwigi. Prawdopodobnie któraś z nich nie zamknęła drzwi wejściowych. Wracając, Agata zauważyła, że są niedomknięte i że jakiś mężczyzna szybko wbiega na piętro. Popędziła za nim, coś tam wołając, ale w tym momencie zgasło światło w całej kamienicy. Korytarze i schody pogrzyły się w ciemności, więc poszła po omacku do kuchni po świecę i narobiła wielkiego szumu. Po chwili wyszły z korytarza gęsiego siostry ze świeczkami, chroniąc niktę płomyki dłońmi. Skierowały się na górę, jako że złodziej wbiegł na schody. My już jesteśmy w sypialni, niektóre przy zapalanej przez opiekunkę świeczce położyły się do łóżek. A tu nagle wchodzi orszak sióstr i szukają za szafami, niektóre na kolanach zaglądną pod łóżka, wprowadzając niepokój wśród dziewcząt. Przeszukały korytarze, klasy, a złodzieja ani śladu. Wreszcie zapala się światło. Siostry idą na wyższe piętro, a za chwilę zmęczone wracają znów gęsiego, modlić

się do kaplicy.

Na drugi dzień biegniemy na dół, co sił w nogach, patrzymy, że siostra Agata uśmiechnięta już tam coś dzierga po swojemu przy frontowych drzwiach. Pytamy jedna przez drugą: „I co, i co ze złodziejem, złapany?”. Siostra pokazała w uśmiechu wszystkie zęby i mówi: „Żadnego złodzieja nie było, panienki, przyjechał tylko pan Zaborowski do dzieci i wszedł przez niezamknięte drzwi. Wbiegł na górę akurat wtedy, kiedy światło zgasło i nie mógł trafić do córek. Kiedy szliśmy ze świecami z drugiego piętra, zawołał do nas z jakiejś kłasy, że to on, Zaborowski, nie może trafić do Halinki i Danusi. Śmiejąc się, zaprowadziłyśmy go do sypialni, opowiadając, ile nam strachu narobił”. Na drugi dzień, a była to niedziela, pan Zaborowski zaproponował nam wyjście do Kromołowa i Ogrodzieńca, gdzie Warta bierze swój początek. Radość w Panu! Znów parę godzin wolności, której tak mamy niewiele. Oczywiście cały plan wycieczki musiał wcześniej uzgodnić z Matką Przełożoną.

## Wycieczka

Ledwie – świt – siostra opiekunka potrząsa za ramię, wołając: „Wstawać, wstawać! Zapomniałyście, że dziś wycieczka! Ubierać się, a szybko, bo śniadanie czeka!”. Gdy teraz przypomnę sobie to ranne nawoływanie, po tych sześćdziesięciu latach z górą, jeszcze mi skóra cierpie.

W „majówkowych” nastrojach, jak szczygiełki pluszczemy się w wodzie, radzimy się nawzajem, jak się ubrać, spoglądamy na termometr za oknem, ale że ciepło, więc zakładamy letnie mundurki i skarpety zamiast grubych pończoch. Po mszy, którą na prośbę Matki Przełożonej wcześniej odprawił ksiądz prefekt, najadamy się do syta, rozgadane, niecierpliwe. Pod koniec śniadania wchodzi pan Zaborowski, wita się, całuje swoje dziewczynki i radośnie woła: „Jedziemy!”.

Każda zawija w serwetkę niedokończoną kanapkę, jeszcze sweter na rękę i wybiegamy gromadnie przed budynek, gdzie biały nasz znalazł autobusik czeka, oświetlony wschodzącym słońcem.

Tłoczmy się do niego ze śmiechem, czyniąc wrzask nieopisany. Wkrótce uspokaja nas ciotka Kazia, która o dziwo wybrała się z nami jako przyrodniczka i pewnie przeprowadzi przy okazji lekcję pogładową. Za nią z koszem prowiantów drepcze nasza kochana siostra Agata. Co do jej wyjazdu, to poprzedniego dnia wysłałyśmy delegację z naszej sypialni, składającą się z samych wybranych, umiejących przekonywać, aby uprosiły Matkę Przełożoną o zabranie jej z nami. Argumentowałyśmy to jej wiejskim pochodzeniem, ukochaniem wsi i pewnie tęsknotą, co do której nie byłyśmy pewne, ale co to szkodzi poruszyć poczciwe serce naszej Matki. I udało się!

Oto siedzi jak kwoka w gnieździe, rozczapierzona w głębokim, wysiedzianym fotelu, z koszem przy nogach, gdzie sterczą główki butelek z lemoniadą, a z jego głębi zalatuje smakowity zapach czosnkowej kielbasy. „Co to za miejscowość?” – pytamy ciotkę – bo właśnie mijamy spore miasteczko. „To Blachownia – mówi – teraz jedziemy na północny wschód drogą drugorzędną, ale bliższą, na Poraj, Myszków, Zawiercie i zaraz będzie Kromolów. Potem już krótka droga do Ogrodzieńca, gdzie są źródła Warty. A za nimi Góra Zamkowa, wznosząca się na pięćset metrów nad poziom morza, gdzie również będziemy. Chcę wam pokazać Czarci Jar i Diabelski Most”. Trochę ścierpła mi skóra, bo zawsze byłam uczulona na wysokość, a tu wyobraźnia pracuje: most, i to nad jarem, jeszcze w dodatku czarcim.

Patrząc tak na peryferie Blachowni, z której w tej chwili wyjeżdżamy, zaczynamy rozmawiać o koleżance z naszej klasy, Gabrysi Niwińskiej, która właśnie tu mieszka. Ta dziewczyna przez nas tak lubiana musi co rano – jadąc do gimnazjum – przejść najpierw przez olbrzymi las bukowy, na którego końcu dopiero znajduje się stacja autobusowa. Niełatwa to sprawa, zwłaszcza jesienią

w deszcz i pluchę. Ale jej nic nie zraża, jest zawsze uśmiechnięta, a spod blond włosów podciętych na pazia błyszczą dwa nieba, oczy tak błękitne jak lazur, cała jej ozdoba.

Wracam myślą właśnie do tej przepięknej jesieni, kiedy to nasza Gabrysia zbiera po drodze sosnowe gałązki, trawy, krwawe liście z czerwonego dębu i przynosi profesorowi Szusterowi na lekcję rysunków, a nam w woreczku zebraną buczynę, którą, wystrzegając się profesorskiego oka i ucha – chrupiemy na lekcji. Ależ dobre te orzeszki! Trójgraniaste, trochę cierpkie i pokryte meszkiem, mają jednak swoją słodycz, a oczyszczone dokładnie pod ławką – trzeszczą w zębach smakowicie.

Pani Pietkiewicz od matematyki słyszy dzisiaj już kilkakrotnie dziwny trzask w pierwszych ławkach. Idzie więc tam, rozgląda się, ale nic nie widzi, bo obrany orzeszek już w ustach. Więc daje za wygraną i prowadzi dalej lekcję.

Idziemy na lekcję rysunków, Gabrysia podaje profesorowi Szusterowi jesienne kwiaty i liście uzbierane w lesie. Trzeba było widzieć, z jaką miną przyjmuje ten bukiet czerwonych liści, przepleciony gałązkami żółtego grabu i wyniosłych traw. Na ich tle płoną wilgotne jarzębinowe grona, kłujące gałązki berberysu, czyli kwaśnicy, która już okryła się barwnymi, jesiennymi listkami i owocami jak krew. Profesor, ten na ogół małowówny i zda się surowy człowiek, jest wyraźnie wzruszony. Jakże inaczej wyglądają teraz jego oczy, które wiecznie zaczerwienione od pracy – w tym momencie nabierają dziwnego blasku i rozrzewnienia, a ręce, nieco drżące, z lubością układają pęki tych śliczności do glinianych dzbanów. Będą służyć do malowania tym, których uczy kochać piękno. „Dziękuję uczennicy Niwińskiej – mówi – za ten dar dla mojego gabinetu. Mam go w wielkiej cenie. Ale czy nie znalazłaby gdzieś w ogrodzie ostatniego kwitnącego słonecznika?”. „Chętnie poszukam, panie profesorze, ale wydaje mi się, że będą teraz tylko te mniejsze, bo te z nasionami dawno zerwane”. „Właśnie mi o takie chodzi. A więc za tydzień”.

Ta mała dygresja o kochanym profesorze była konieczna, bo właśnie mijaliśmy las bukowy ze stacyjką autobusową na jego skraju. Kochamy profesora jak dobrego dziadka i właśnie las bukowy w Blachowni nam go przypomniał.

Dowiedziałam się kiedyś z opowiadania profesorki Wilczek, że w Szwajcarii, gdzie była, widziała w jesieni potężne buki rosnące w dolinach i sypiące hojnie orzeszkami. Toteż po lesie snują się stadami świnie, tak, świnie, i to hodowlane, które tak się obżerają tymi wspaniałościami, że układają się później brzuchami w wodzie na brzegu Jeziora Bodeńskiego i tam, w chłodzie, trawią bukiw do wieczora, po czym wędrują nieomylnie, każda do swojego chlewika.

Jedziemy w dalszym ciągu autokarem na wycieczkę do Ogrodzieńca. Właśnie przejeżdżamy przed budynkiem fabrycznym w Myszkowie. Dozorca na widok znajomego autobusu staje na baczność, bo widzi samego dyrektora. Mijamy

go ze śpiewem i pędzimy przed siebie, przecinając Jurę Krakowsko-Częstochowską, o której słyśmy tylko na lekcji. Widoki przepiękne, krajobraz urozmaicony. Ciotka wskazuje nam wapienne głazy, skałki, które stoczyły się ze szczytów, a teraz zakrywa je zieleń rozrastających się lasów. Zatrzymujemy się. Szofer bierze benzynę. Do Kromołowa już krok i Ogrodzieniec niedaleko. Chętnie wysiadamy z autobusu, ponieważ zrobiło się duszno.

Pan Zaborowski zaprasza wszystkich do małej restauracyjki, co przyjmujemy z aplauzem, bo już czujemy głód. Są jaja sadzone z makaronem, naleśniki ze śmietaną i jakaś zupa, ale tylko w karcie, bo prawdziwego obiadu jeszcze nie ma. Wybieramy jednogłośnie naleśniki i nie czekając na ich przygotowanie, wychodzimy przed dom, gdzie na placyku rosną rzędem stare i okaleczone kasztany. Tu, wokół – dzieci, psy, czasem nawet prosiak z kwikiem przebiega ulicę – wszystko to w najlepszej zgodzie i rade bawi się na pustej i piaszczystej drodze, wzniesając tumany kurzu.

Przyglądamy się trzem chłopcom, którzy stanęli właśnie do wyścigów. Czekają teraz na linii startu, każdy z nich podtrzymuje haczykiem zrobionym z drutu okrągłą fajerkę, zdjętą z blachy kuchennej. Na strzał z korkowca – ruszają do mety, gubiąc kółka, zderzają się ze sobą, roześmiani i szczęśliwi. Patrząc, myślimy, że tym biednym dzieciom tak niewiele potrzeba do radości.

Z daleka słyszymy muzykę katarynki. Pytamy, co się tam dzieje. A chłopaki na to: „W Ogrodzieńcu dzisiaj odpust, to grają przy karuzeli, a chłopaki popiskują na kogutkach”. „No, a wy tutaj, nie na odpuście?” – pytamy. „Kiedy nie mamy pieniędzy”. Na pewno dałabym, gdybym sama miała.

Widzimy pana Zaborowskiego zbliżającego się w naszą stronę. „Panny moje – woła – świeży kłopot! Przecież oni nie mają tu potrzebnych produktów, muszą je przywieźć aż z Zawiercia, a to potrwa pewnie z godzinę!”. „Proszę pana – wołamy – dobrze się składa! Tutaj dzisiaj odpust, chodźmy zobaczyć kramy!”. „Wspaniale! Kupię wam lizaki, piłki-trocinki i co tylko zechcecie”.

Na placu przed kościołem ścisk, dzwonią właśnie na dziesiątą. Wzdłuż muru kościelnego stoją obrazy za szkłem, a wszystkie święte, przy nich handlarze targują, zachęcając przechodniów. Kramy trzeszczą od naporu kupujących. Na drażkach fruują kolorowe wełniane chustki w róże lub w błękitne kwiatki albo całkiem cienkie, woalowe. Dziewczyny mierzą, przeglądając się w lusterkach. Tu znów stoi chłop kupujący kaszkiet z lakierowanym daszkiem, ale jakiś niezadowolony, bo mu spada na oczy. Handlarz jednak, chytra sztuka, wkłada dłoń pod otok czapki z tyłu głowy, podsuwa chłopu przed oczy lustro, mówiąc: „Aj waj, sy git” – i tu cmoka niby z zachwytem. „Ny, płáćcie, panie gospodarzu!”. Chłop płaci i zabiera zawiniętą w gazetę czapkę. W innej budzie świecidełka, wstążki, stroiki różne, pierścionki i dziewczynskie drobiazgi.

Idziemy wzdłuż bud razem z falą ludzką, mijamy stragan z butami,

kamaszami uwieszonymi na drążkach. Na stole leżą rozłożone rzędami bułki, sterty chlebów i kukielki, pierniki aż zielone od farby i obwarzanki nawleczone na sznurek. Pan Zaborowski podchodzi, kupuje kilkanaście wianków i zawiesza nam na szyjach. U katarzyniarza ciągniemy losy, które podaje nam małpka. Wygrałam pierścionek z czerwonym oczkiem, za co w podziękowaniu ściskam jej maleńką dłoń. Dziwny to uścisk. Miły i niemiły, bo niby bardzo delikatny, ale trochę kosmaty. Przy zabawkach zaś, kogutkach glinianych i blaszanych, przy piszczałkach i organkach – najwięcej dzieciarni i tyle hałasu i trąbienia, że trzeba aż uszy zatykać. Dostajemy kogutki, piszczałki, piłki-trocinki na gumce – do wyboru.

Mijamy stoły z wyrobami mięsnymi; na miskach pęta kiełbas apetycznie ułożone, które na życzenie można zjeść na gorąco. Widzimy, jak wiją się we wrzątku niby węże, w wielkim saganie ustawionym na zapalanej dziwnej maszynie. Zapach aż bije w nozdrza. Jesteśmy naprawdę głodne, nie bawi nas już karuzela, chcemy jeść. Rzeczywiście wracamy do restauracji na czas. Jakaś dziewczyna roznosi właśnie zamówione naleśniki, ale te okazują się „podeszwowate” i oblane na dodatek skisłą śmietaną. Zjadamy po prostu z głodu, ale bez apetytu. Siostra Agata, ratując sytuację, kraje nam po kawale kiełbasy, którą pozeramy na poczekaniu z dwiema bułkami, popijając herbatą.

Obdarowane prezentami, idziemy według wskazówek jakiegoś obywatela do źródeł Warty, chrupiąc po drodze wspaniałe obwarzanki.

Widok tu niesamowity. W wielkiej niecce położonej w dole biją w czystym piasku na dużej przestrzeni źródła, których jest kilkadziesiąt, a wszystkie otoczone grubymi deskami i balami. Spod desek wypływa krystaliczna woda, dążąc skrętami popod sady i pagórki, przez łąki i pola, by opuścić Ogrodzieniec na stałe. Żłobiąc sobie koryto w urodzajnej glebie, nabiera pędu i podwaja szerokość. Idąc wzdłuż jej biegu, można zauważyć, jak niezmordowanie wgryza się w pagórki, które podmywa i z mocą wali przed siebie i bije pianą w leżące na dnie głazy. Musi zdobyć rozpęd i siłę, aby wzdłuż swojego biegu móc poruszać młyny, tartaki i turbiny maszyn. Napiliśmy się wody, która była zimna, czysta i przyjemna w smaku.

W południe, nieco zmęczone, siadamy z ochotą do autobusu, odpoczywając lub nawet drzemiąc. Dojeżdżamy do drogi leśnej, która biegnie u stóp Góry Zamkowej. Teren pagórkowaty, pokryty lasem. Przez pnie i zieleń podszytu bieleją nieregularne głazy, skałki i jary z pionowymi ścianami. Idziemy pod górę zasypaną drobnymi, łupliwymi kamieniami, które w pewnych miejscach mieniają się żółto i rozsypane na miał – lśnią miką. To blenda cynkowa i łyszczyk do izolacji żelazek i kondensatorów. Ślizgamy się po prostu na tych kamieniach, chowamy po kieszeniach co większe, żeby pokazać po przyjeździe innym dziewczętom. Wchodzimy wreszcie na górę i oto nowy widok.

Pod nami olbrzymi wawóz, ciągnący się w głąb lasu, skręca i wije się wśród zieleni. To ten Czarci Jar, o którym wspominała ciotka. Idąc grzbiejem, skaczemy po wapiennych kamieniach, dochodzimy wreszcie do mostu-kładki, który łączy dwa odległe, kamienne brzegi. Pan Zaborowski idzie pierwszy dla dodania nam odwagi. Ten prawdziwie diabelski, niewielkiej szerokości mostek wis i nad przepaścią, trzęsie się i chwieje na boki. Strach mnie oblatuje, ale przejść trzeba, przecież po tej stronie nie zostaniemy same. Idę, trzymając się za rękę koleżanki, która jest przede mną. Mówiąc drżącymi ustami „Zdrowaś”, szczęśliwie dochodzę do końca kładki.

Z tej strony jaru jest jeszcze piękniej. Na jego wapiennym podłożu, jakimś cudem, wyrosły kwitnące jarząby, czeremchy, jarzębiny, najprzeróżniejsze pachnące zioła i kwiaty, które świeżą zielenią i mdlącą słodyczą przyprawiają o zawrót głowy. Myślę, że położyć się tutaj nie wolno, to ryzyko, można się nie obudzić więcej. Dochodzimy zmęczone do jakiejś łączki w dolinie, siadamy odpocząć. Ale czy to dziecko długo posiedzi? Jak ptaki, które ledwo przysiądą na gałęzi, już za chwilę sfruwają, tak i my podrywamy się, by pograć w piłkę ręczną i pobawić się w chowanego. A są tu przepyszne miejsca na kryjówki. Mnóstwo rumowisk jak na gołoborzu, sterczących, wysokich obelisków, niby pozostałość po jakichś rozpadłych budowlach, schowki jak małe pieczary – idealne miejsce do zabawy. Toteż trwa ona prawie do zachodu, a nam trzeba pomału zbierać się do powrotu. Już teraz nie po głązach, ale równą dróżką idziemy gęsiego, kierując się na głos klaksonu, który na rozkaz pana Zaborowskiego miał zabrzmieć o ósmej. Upite powietrzem, wrażeniami, zapachami i lemoniadą przyniesioną przez siostrę Agatę, nawet nie czujemy, że nogi same idą, bez naszej woli. Oby tylko prędzej do samochodu i wreszcie usiąść!

Już nie śpiewamy w powrotnej drodze, siły nie dopisują. Więc siedzimy cichutko, mając jeszcze przed oczyma widziane niedawno obrazy. Ale ze mną coś się dzieje. Zamykam oczy i czy to sen, czy jawa, nie wiem, bo widzę wodę, a w niej błyszczące świecidełka z odpustu, drzę na mostku nad rzeką i nie mam ręki, aby przytrzymać się poręczy, bo obydwie zajęte naleśnikiem, którego przełknąć nie sposób. Pomimo wstrząsów śpię na pewno, ale niespokojnie. Czuję, że zaczyna mnie boleć głowa, jak to nieraz w domu bywało po jakiejś dalekiej wycieczce. Szczęście, że już jesteśmy na miejscu, ktoś bierze mnie pod rękę i taszczy po schodach. Torsje męczą mnie przez cały wieczór i ledwie żywa kładę się do łóżka. Muszę następnego dnia również przeleżeć, bo jestem bardzo osłabiona. Ta wycieczka musiała być dla mnie wyczerpująca, bo długo nie mogę przyjść do siebie. Cieszę się jednak, że użyłam choć tyle radości i swobody.

## Siostra hrabianka Maria Załuska

Była to śniada brunetka w wieku czterdziestu lat z czarnymi oczami pełnymi blasku, umuzykalniona i wielka estетка. Gdyby to były czasy powojenne, porównywałabym ją z wielką Indirą Gandhi, przypominała bowiem dumną postawą i mądrym spojrzeniem tę wspaniałą kobietę, przed którą tłumy rozstępowały się z czcią. Ale hrabianka Załuska w obecnym wcieleniu był a tylko skromną siostrzyczką, która musiała schylać głowę przed starszą od siebie urzędem, choć nierówną pochodzeniem.

Gdy któraś z nas weszła do jej gabinetu, czuła się tak, jakby przekroczyła próg innego świata; nieznanego, urządzonego z wymyślną finezją, smakiem i niepowtarzalnym urokiem wielkopańskiego domu. W szafkach pudła z przeróżnymi farbami, pęki pędzli wszelkiego rodzaju, a na ścianach obrazy najprzedniejszych malarzy, makaty z Indii, arabeski i festony batikowane z migdałowej czesuczy chińskiej wiszące nad posążkami i puzdrami z laki. Na trójkątnym gerydonie o jednej nóżce stał świecznik, kwiaty i dymiąca kadzielnica z indyjskimi wonnościami. Teraz już wiedziałyśmy, dlaczego hrabianka tak pachnie, a my naiwne zgadywałyśmy, co to za perfumy.

Przez kolorowe, aczkolwiek stonowane witraże wciskały się do pokoju ukośne promienie słońca i przefiltrowaną przez szkiełka tęczę rzucały na białe ściany prawdziwą feerię światła i barw. W spotkaniu zaś z dymem kadzidła – wirowały, mącąc kolory i stwarzając bajkowy obraz. Mogłabym tak patrzeć i patrzeć bez końca. Zrozumiałam, że ten pokój jest wyrazem upodobań hrabianki i źródłem jej przemyśleń, a także skupiskiem pamiątek.

Zamknięta w sobie, oszczędna w słowach, zawsze z otoczeniem na dystans, lecz nie z pogardą, zdawała się nosić w sobie jakąś zagadkę. Mimo widocznego starania, aby się nie dać rozszyfrować, wiedziałyśmy o niej więcej, niż jej się wydawało. Podszeptował nam to kobiecy instynkt. Zrozumiałyśmy, że musiała dokonać tego strasznego wyboru, z którym jej teraz trudno żyć, i że tylko w tym gabinecie czuje się dobrze, a nie u krat kaplicy. Pytamy siebie – dlaczego? Co ją zmusiło do takiego wyrzeczenia – i nie znajdujemy odpowiedzi. Tym bardziej wzbudza w nas szacunek i podziw.

Powiedziała, że nam zagra. Dzisiaj, jakaś poważna, zaczęła swój koncert *Burzę* Webera, melodią, która swą siłą i nieokiełznanym tempem odbijała się od ścian i stropu, rujnując w nas spokój serca i myśli. Słuchając tej kawalkady siekącego o szyby deszczu, huku grzmotów, wycia wichru – musiałam aż zamknąć oczy. I wtedy zamajaczył mi obraz Podkowińskiego *Szał*, ta dziewczyna z rozwianym włosom, unoszona przez rozszalałego wierzchowca. Nagle porównałam stan duszy hrabianki – w momencie wykonywanego fortissimo – z tą nagą dziewczyną, przewieszoną przez grzbiet konia. Spojrzałam na hrabiankę



i wtedy zrozumiałam, że z nią dzieje się coś niedobrego. Bo kiedy tak patrzyłam w jej twarz, dostrzegłam w niej coś nieomal dzikiego. Grymas ust zmienił ją nie do poznania, oczy ciskały błyskawice, plecy pochylały się nad klawiaturą jak w spazmie czy może ekstazie. Czoło miała zroszone potem, a usta mocno zaciśnięte. Zapomniała całkiem o nas. Na sali panowało głębokie milczenie aż do końca, aż do wyciszenia ostatniego akordu. Siedziała chwilę, dysząc ze zmęczenia, jakby zasluchana w milknące po korytarzach tony, i wreszcie odwróciła do nas swą nieprzytomną twarz, po której spływały łzy.

Podbiegłam. To był odruch instynktowny, jakaś konieczność okazania jej w tym momencie pomocy. Objęłam ją całą drżącą za ramiona i mówiłam: „No cicho, siostró, cicho, już przeszło, już się skończyło...”. I sama nie wiedząc, co mówię, trzęsłam się jak w febrze, płacząc razem z nią. Patrzyła niewidzącymi oczyma i wreszcie szepnęła przez zaciśnięte zęby: „Tak, już przeszło i już się skończyło”. Podprowadziłam ją do otwartego okna. Zacerpnęła tchu i uśmiechnęła się z wysiłkiem. „No widzisz, tak mnie nieraz nawiedza, a mówił lekarz – wystrzegać się burzy, bo to jej wina, że go nie ma. – I dodała z naciskiem: – Przecież koń sam wrócił”. Tu zmarszczyła brwi, spostrzegła się, o czym mówi, i z lękiem spojrzała na mnie. „Ja nic nie słyszałam” – szepnęłam. „Chcę, abyś mnie odprowadziła – powiedziała z wysiłkiem. – Muszę odpocząć”. Poszłyśmy z nią wszystkie, wystraszone, niespokojne i nieznające prawdy, oprócz mnie. (Tajemnicę zachowałam do dziś.) Teraz wiedziałyśmy, że spotkamy się z nią następnego dnia i wynagrodzimy jej smutek choć w części swoim nienagannym zachowaniem. Postanowiłyśmy nigdy nie dopuścić do odtwarzania *Burzy* Webera. Ale kiedy nieraz grała na naszą prośbę do tańca, to te walczyki były jakieś smętne i łzawe, tak jakby umyślnie je wybierała spośród olbrzymiego repertuaru. Albo kujawiaki... Niby to melodia ludowa, ale jakaś rzewna i omotana wielką tęsknotą, że wzruszała do łez, zamiast cieszyć. Koleżanki wołały, kiedy ja grałam, bo nie stać nas było jeszcze na smutek – chcieliśmy radości i śmiechu.

Nauka w gabinecie siostry Załuskiej była prawdziwą rozrywką po dręczących lekcjach, gramatykach i odmianach. Z dziwną łatwością przyswajaliśmy sobie jej wskazówki i rady.

Nauka rysowania woskiem, w zasadzie nietrudna, wymagająca pewnej ręki, bez najmniejszego drżenia. Poznałyśmy farby Buschki, liwor i sposób posługiwania się nim. Liwor – była to papka podobna do pasty do zębów; umieszczano ją w małych trójkątnych torebkach z woskowanego papieru, z otworem na końcu, przez który wyciskaliśmy wałek tej masy i układaliśmy go na linii wzoru, na tkaninie. Zanim przesechł, należało szybko posypać go złotkiem lub sreberkiem. Po całkowitym wyschnięciu powierzchnia materiału czyściła się szczotką i rozdzielone powierzchnie zamalowywało farbami. Położony liwor tworzył teraz kontury wzoru. Technika liworu stosowała się na jedwabkach,

szyfonach i gazach. Do batikowania potrzebny był na wzorze wałeczek zrobiony z gorącego wosku. Po uprzednim zamalowaniu farbami Buschki odpowiednich powierzchni, rozpuszczany ciepłym żelazkiem, wsiąkał w bibułę. Tu konturem była linia pozostała po wosku, w kolorze materiału.

Po półrocznej nauce mogliśmy już samodzielnie malować tą techniką także różne drewniane przedmioty, jak: kasety zamykane na kluczyk, talerze do zawieszania na ścianie, podstawy do lamp elektrycznych, do których dorabialiśmy tylko stelaż z drutu na abażur, obciążany jedwabiem także przez nas malowanym.

Dekoracją z liworu ozdabiano się kołnierzyki przyczepiane do mundurków lub zakładki do książek, serwetki na żardinierki do kaplicy czy do klas. Nawet ozdobiłyśmy nim jedwabny szal służący do trzymania monstrancji przez księdza. Najpiękniejszą naszą wspólną pracą był wspomniany klęcznik akacjowy, wybatikowany w winogronowe gałązki. Prawdziwy majstersztyk, oglądany i podziwiany przez wszystkich. Najbardziej cieszyła się nim Matka Przełożona. Niedługo jednak. Cios spadł nagle i pogrążył w ciężkiej żałobie całe nasze Stowarzyszenie. Tuż przed maturą Matka Przełożona – zajęta na drugim piętrze – chciała zawołać siostrę Agatę, przechyliła się przez poręcz i straciła równowagę, spadając aż na parter. Nie było radości ze zdanej matury, nie było zabaw, nie było śmiechu, cisza zaległa w całym gmachu. Przytłoczona tym wydarzeniem nie potrafiłam się niczym cieszyć.

Z westchnieniem ulgi opuściłam gimnazjum, wracając już na stałe do domu, bo dusiłam się wprost w tej ciężkiej atmosferze łez, modłów i nabożeństw. I ja uczciłam pamięć dobrej naszej Matki modlitwą, oplakałam jej zgon, ale dłużej i więcej nie byłam w stanie martwić się, nie miałam już siły. Podobno na drugi rok zakończyła też życie ciotka Kazia, ale nie byłam na pogrzebie, ponieważ nikt nas nie zawiadomił. Ciotka zmarła na nowotwór mózgu.

## Nowy dom

Kiedy po powrocie ze szkoły znalazłam się w naszym nowym domu, myślałam, że się niebo otworzyło przede mną. Jednak wypadło coś zgoła innego.

Anusia, jakiś czas po urodzeniu dziecka, leżała w szpitalu. Równocześnie i moja matka zapadła na zdrowiu i trzeba było przejąć ster w swoje niedoświadczone ręce. Opieka nad matką, wstawanie w nocy do niemowlęcia, przestrzeganie pór karmienia dziecka, kąpanie, pranie, gotowanie. Zastępowanie ojca w sklepie – wykańczało mnie do reszty. Stołowałam również cały sklepowy personel i kapitana Guta (jakieś zobowiązanie rodziców), wymagającego i kapryśnego starego kawalera, który nieraz żenował mnie swoimi propozycjami wspólnego wyjazdu do lasu.

Pamiętam, że po drugie śniadanie przychodziła jego służąca z termosem, do którego nalewałam prawie że samą esencję z dużą ilością araku, bo tak sobie życzył. Życzył sobie również wymyślnych obiadów, mózdzku zapiekanego w kokilkach, pożarskich befsztyków „z krewką” (jak mawiał), kawioru, ale nie astrachańskiego, tylko amurskiego z oliwką i cebulką, a do tego słodką chałkę. Prosił o auszpik z kury lub galantynę z drobiu. A ja biedna sama nie dojadłam, nie dosypiałam i ciągle śniły mi się po nocach rzędem stojące garnuszki z łyżeczkami pełne zupki przecieranej dla dziecka. Owszem, miałam pomoc domową, ale tak nierozgarniętą i zapasioną służącą, że tylko nadawała się do zmywania.

Z czasem wielką pomoc okazała mi sąsiadka z walącego się obok domu, niejaka Michalina Wolska, żona stolarza, który za jakieś tam przewinienia potrafił niepostrzeżenie przyśrubować do warsztatu jej spódnicę i nabić ją do woli pasem. Taki mały, suchy człowieczek w drucianych okularach, co to po całych dniach zgrzyta heblem i najczęściej jest nietrzeźwy.

Przychodziła Wolska spłakana do mojej mamy, kiedy ta jeszcze była zdrowa, i w ten sposób nawiązał się kontakt z tą kobietą. Teraz widząc moje nieludzkie zmęczenie, wyszła naprzeciw z fantastyczną propozycją, że będzie sypiać przy chorej mamie co drugą noc.

Spała więc w jej pokoju czujna na każdy ruch. Pytała: „Może podać pani bason, a może pasterki dać?” (Miała na myśli oczywiście basen i pastylki). Wdzięczna jej byłam za tę pomoc. Toteż kiedy wyszłam za mąż, a jechałam do rodziców, nie omijałam jej domu, przywożąc wiejskie przysmaki, płacąc nieraz czynsz za mieszkanie, zwłaszcza że Wolski już nie żył, a ona była bez renty.

## Mąż Aniusi

Mąż Aniusi, Władek – był dyrektorem gimnazjum, wykładał również matematykę, fizykę i chemię. Obowiązkowy i rzetelny w pracy, wymagał tego samego również od innych. Najbardziej trafną charakterystykę dał mu Żyd Mozes, olejarz (do którego często jeździłam z Dronowych Niw, będąc już mężatką, aby „wybił” nam olej z nasion maku, konopi czy lnu).

Mozes powiedział kiedyś do mnie: „Mój Icyk mówił, że w klasze na lekcje pański szwagier paczy na czystych rąk, a drugiemu chłopaku każe, żeby ucho sprawdził, a jak un woła: fe, gnój, to pan nie bije linią jak kierownik Grzesik. Dobry un jest, a pracowity, że aj waj! Ny, te pańskie rodzice, to nie zrobiom już z unego salonowy lew, ale un jest – ganc git, a już głowa do rachunku, to nasza. A rzetelny jak nie goj”. Taką to opinię wydał o Władku stary Mozes, rudy Izraelita z chytrymi oczkami.

Miał rację. Władek był również religijny, bogobojny, w kościele zawsze klęczał na obydwu kolana i był wzorem dla innych. Prócz tych zalet był pierwszym matematykiem i fizykiem w całym powiecie, a parając się chemią, wynalazł odczynnik do wywoływania klisz fotograficznych.

Kiedy zaczął budować dom, chcąc dorobić, udzielał lekcji tych trudnych przedmiotów dorosłym ludziom, którzy musieli gdzieś tam składać egzaminy.

Wśród uczących się u niego dorosłych był Zygmunt Szczukocki, który później został mężem Basi – ich córki.

W domu Jasi (teraz już nazywaliśmy Aniusię Jasią) i Władka mieszkali lokatorzy – państwo Hanka i Jeremi Waśniewscy, ludzie bezdzietni, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Byli obydwójce bardzo przystojni. Ona, z domu Pruszyńska (herbu Nałęcz), urodzona w majątku na Kresach – a w najbliższym Berdyczowie ochrzczona – odebrała staranne wychowanie i wykształcenie najpierw u sióstr w Sacre-Coeur, potem kończyła historię na uniwersytecie we Lwowie. Była wspaniałą brunetką o smagłej cerze, z puszką na górnej wardze i z czarnymi marzącymi oczyma. Cesała się w duży kok, a ubierała elegancko, choć skromnie, bez żadnej biżuterii, bo jej nie lubiła. Piękna figura, subtelny wdzięk i skromność wskazywały na wielką damę. Od razu zdobyła nasze serca, bo niewiele starsza od Jasi, stała się w niedługim czasie trzecią córką naszych rodziców, których ujęła układnością, wesołym usposobieniem i wielką pracowitością. Prześcigały się z Jasią w gotowaniu wymyślnych potraw, pieczeniu ciast i smażeniu konfitur. To ona nauczyła nas przyrządzać regionalne ukraińskie przysmaki (pierogi z różnymi warzywami, mięsem i serami w kształcie wielkich rogali). Zawsze usłużna, zawsze chętna, zawojowała naszych rodziców, nie mówiąc o nas, które odżyłyśmy w jej towarzystwie. (Gdy Jasia urodziła córkę – Hanka podawała ją do chrztu).

Jeremi (herbu Bończa), który poza Hanką świata nie widział, Poleszuk,

blondyn błękitnooki, był synem majątnych rodziców, spokrewniony z hrabiowską rodziną Skórczewskich-Ogińskich, wielkich potentatów tego regionu Polski. (Hrabia Ogiński był twórcą słynnego Poloneza. Skomponował go już na wygnaniu).

Jeremi od młodych lat przyjaźnił się z braćmi Ponińskimi, „hrabiukami”, takimi szalawilami i hajdamakami jak on sam, co to razem uciekli z domu, mając po szesnaście lat, do Legionów Piłsudskiego. Wszyscy też byli ranni i wszyscy trzej nosili później na palcach sygnety z oprawionymi „kulkami”, które zraniły ich w potyczkach z Moskałem. Mówili wtedy, że sami nadstawiali karku, aby imponować tymi kulkami w sygnetach. Po wojnie razem szaleli, tańczyli, swarzyli się aż do bitki, razem zaglądali dziewczynom w oczy.

Wydawał się nam najurodziwszym mężczyzną, jakiego znałyśmy kiedykolwiek z Jasią. Był to typ młodego szlachcica, rozhukanego, z fantazją kmicicową, co to „do wypitki i do wybitki” skory. Głośny, wesoły i rubaszny. W zimie chodził w obszernej pelisie podbitej tchórzami i nosił na głowie czapę futrzaną spłaszczoną z przodu, co przy jego szczupłej twarzy dodawało mu wdzięku. Pewnie byłabym się zakochała na zabój w tym mołojcu, którego oczy zawsze się śmiały, ale miałam już sympatię w osobie kuzyna z Warszawy, Wieśka Drewnowskiego, i zostałam mu wierna przez parę miesięcy.

Jeremi zaprzyjaźnił się z naszym ojcem i polubił go. Często zastępował go w sklepie, kiedy ojciec nie domagał. Pamiętam dowcipne opowiadania ojca, które bardzo się Jeremiemu podobały. Wtedy protekcyjnie walił go ze śmiechem w plecy, mówiąc: „Lubię cię takiego, ty stary diable”. Ojciec pozwalał mu na taką poufałość.

W wolnych chwilach, kiedy nie było w sklepie ruchu, Jeremi zapijał się w pakamerze mocną herbatą z kostką cukru „na prikusku”. Było to śmieszne celebrowanie, parzenie, bo nie w czajniczku, a po prostu w litrowym kamieniaku, do którego wsypywał pół paczki Szumilina, przykrywał, a po naciągnięciu do czerwoności uchylał pokryweczkę tylko i siorbał głośno napój dmuchając zawzięcie. Przy tym jęczał, że pyszna, chrupiąc w białych zębach kostkę cukru.

Ukończył studia w Dublinach. Był wytrawnym rybakiem. Umiał poprowadzić rybne gospodarstwo u hrabiostwa Ogińskich, a że z zamięłowania leśnik – zalesiał również puste, podmokłe tereny na Polesiu. Miał też na swoim koncie mnóstwo ubitej zwierzyny. Kiedy Hanka zapraszała nas na herbatę i pyszne rogaliki z różą, Jeremi chwalił się, wyciągając z przepastnych skrzyń swoje trofea; a więc wspaniałe jelenie rogi, to znów piękne łopaty łosi, z których robił wieszaki na okrycia do przedpokoju albo składał je na kandelabry, oprawiając w mosiężne okucia, co dawało w sumie niespotykany efekt. Z różanego drewna lub jałowca potrafił robić laski – piękne, wygładzone i lśniące naroślami niby węzłami. Pokazywał fajki z wiśniowego drewna na długich cybuchach i te mniejsze, pękate, błyszczące, o wymyślnych kształtach, z przykryweczkami metalowymi, na

niemiecką modłę robione, i ujęte w także „złote sztuczki”. Były niezwykle i znajdowały wielu amatorów. Nie tylko pociągało ich palenie, ale również sprawiało uciechę i dawało zajęcie czyszczenie takiej fajki specjalnymi wykałaczkami. Tacy wytrawni palacze mieli swoje wytrawne tytonie, które wachali bez mała z zachwytem, zamykając przy tym oczy.

Próbowałam i ja popalać, widząc jak babka, *de domo* Zarembianka, ćmi przez cały dzień, przebierając i w fajkach, i w tytoniach. Ale nie znajdowałam w tym ani przyjemności, ani smaku, chociaż był to „Pursiczan” czy „Hercegowina”. Wołałam zażyć tabakę i zdrowo kichnąć, aż wszystko się w człowieku poruszy.

Po rocznym pobycie we Włoszczowie Jeremi dostał posadę plenipotentą w majątku Skórzewskich i zamieszkał z żoną w Pohoście Zahorodzkim.

## Niedoszli moi pretendenci

Było ich kilku, ale żaden z nich to nie ten, którego wybrałabym całym sercem. Zresztą niespieszno mi było iść z domu.

Pewnego dnia zajechało przed ganek żółte lando zaprzężone w czwórkę koni. Najpierw wysiadł z niego mój ojciec, a za nim przy pomocy stangreta wysoki mężczyzna z laską, utykający na lewą nogę. Był w dobrze skrojonym tweedowym garniturze, obwieszony medalami. Obserwujemy go przez okno, a mama mówi, że to pewnie jakiś zamożny dziedzic ze sprawą do ojca. Okazuje się, że ten pan pod pięćdziesiątkę poznał mnie w biurze u rejenta, kiedy jeszcze w zastępstwie tam pracowałam. Przynosił wówczas weksle do prolongaty.

Jak mówi, jest po studiach i sam administruje w dobrach u Potockich, a że spodobał mu się mój sposób załatwiania interesantów i uroda, dlatego tu jest. Myślę sobie: pewnie przydałaby mu się taka domowa sekretarka. Ślinił się, kiedy seplenił, bo miał podobno przestrelone podniebienie, pamiątka z Legionów Piłsudskiego. W uśmiechu ukazywał cały garnitur złotych zębów. Gdy wyraził cel swojej wizyty – uciekłam do saloniku i zamknęłam się, patrząc tylko z bijącym sercem przez okno, kiedy wreszcie ten śmieszny pan odjedzie.

Miałam wtedy dziewiętnaście lat i duże poczucie humoru, bo stanąwszy przed lustrem, zaimprovizowałam przemowę do niego, deklamując: „Mój panie, jakiś tam... żeby nie umniejszyć w dystynkcjach i godności. Doceniam pańskie zasługi położone dla dobra kraju, podziwiam cały rząd dzwoniących orderów na pańskiej piersi, ale dziwię się również wielkiej odwadze, bo ja, mając te swoje dziewiętnaście lat, mogłabym z powodzeniem być twoją córką. Chwalisz się dobrobytem i że administrujesz w rozległych dobrach rodziny Potockich. Cóż by mi z tego przyszło, chyba że te dobra byłyby moje. A, to już inna sprawa, może bym się wtedy w nich rozkochała. Ale i tak nic z tego, bo ja jestem zdrowa dziewczyna i chcę mieć gromadę dzieci. A tu widzę, że jako twoja żona nie mogłabym powiększyć rodu – mój panie weteranie”. Chciałam jeszcze dodać coś pikantnego, ale zapukała matka, wołając, że odjechał. Wpadła do pokoju, wzięła mnie w ramiona, i tak ze śmiechem przetaczałyśmy się po otomanie, przekrzykując nawzajem po zaczerpnięciu tchu. „Mamo, powiedz, jak to jest? Czy ja nie zasługuję na młodego męża? Po co mi taki stary, obleśny dziadek!”. Dobrze, że spotkała go rekuza. Po prostu zjadł arbuza (jak to się dawniej mawiało).

Tej nocy spałam wysmienicie.

Innego dnia zjechał do nas młody człowiek – miły, błękitnooki, pan Staś Rudolf, leśnik z Lubochni. Ugoszczony przez mamę zaczął opowiadać o swojej pracy w lasach i o dużym gospodarstwie prowadzonym przez siostrę Weronkę. Ale cóż, Weronka ma narzeczonego i chce założyć rodzinę. I tu pomyślałam: „A ty szukasz nowej gospodyni? Nic z tego, mój śliczny”. Rزتaczał w swojej opowieści

obrazy pełne uroków wiejskich, mówił o stadach kur, gęsi, o zachodach słońca, a to o krówce pasącej się na postronku, „a mleko, mówię paniom, daje takie tłuste, że z litra pół szklanki śmietany można zebrać!”. A to ci osobliwość – myślę. W Boczkowicach zbierano całą szklankę. Przedstawiał widoki prawdziwego raję we dwoje w tej gęszy leśnej i wtedy ściszał głos, modulując odpowiednio – jak gęszec na tokach. A mnie robiło się go szczerze żal, że marnuje tylko czas. Przyjeżdżał wielokrotnie i nie był zniechęcony brakiem zachwyków z mojej strony.

Cóż, kiedy we mnie jeszcze coś niespełnionego drzemało, na co czekałam, a obudziło się dopiero po wielu latach. Ja po prostu nie mogłam oddać siebie człowiekowi, którego pokochać nie byłabym w stanie. Nie nadawałam się do macania jego kur ani patrzenia wiecznie w te błękitne, rozkochane oczy – skoro lubiłam czarne. Czasem obwinałam się za to, bo czułam, że trzymam w ręku mizerykordię do dobijania rannego. Ten pan, choć bardzo miły i delikatny, był w moim odczuciu za subtelny na stanowisko męża i władcy. Ze swoją skomplikowaną osobowością wymagałam mocnej ręki, siły psychicznej, urody nieprzeciętnej i wielu zalet, które wtedy dopiero czyniłyby mnie uległą. Nie odpisywałam na jego listy – i tak się zakończyła ta niefortunna znajomość.

Był jeszcze mecenas – również błękitnooki, cichy, jakby do trzech zliczyć nie umiał i przeproszał, że żyje. Był też mały profesorek grubasek, matematyk, typ, który pewnie liczyłby mi krupy do garnka, a ja jestem rozrzutna i bardzo samowolna. Nie umiem nigdy liczyć, a rozdaję – czy mam, czy też nie – i wtedy tylko, kiedy mam na to ochotę. Na moją miłość trzeba umieć zasłużyć.

Poznałam jeszcze w czasach gimnazjalnych młodzieńca ze dworu, Stanisława Konarskiego, który już był na studiach. Ale ten zapodział się gdzieś podczas wojny. (Powtórnie odnalazł się, kiedy już miałam dwoje dzieci).



## Janek

I zjawił się nareszcie ten, o jakim marzyłam – Jan Szwed. Przyprowadził go również mój ojciec (jak tego złotoustego weterana). Janek, młody chłopak z ogniem w oczach, był właśnie tym oczekiwanym. Niepokorny, władczy tyran, prawdomówny, kochający i wierny.

Pewnego dnia byłam w kuchni, gdy usłyszałam trzask zamykanej furtki i zobaczyłam ojca z jakimś wojskowym. Serce mi zabiło i miało rację. Przecież tego człowieka ja już dawno znałam! To był właśnie ten, którego spotkałam w lecie, pierwszy raz na rolniczej wystawie w Syndykacie. Nie oglądałam jednak wtedy żadnych eksponatów, tylko chodziłam za nim jak urzeczona. Był wtedy w płaszczu leśnika, wąski w pasie i szeroki w ramionach. I bardzo, bardzo przystojny. Drugi raz spotkałam go w deszczowy, listopadowy dzień, kiedy byłam u doktora Mokrauera po morfinę dla matki. Dowiedziałam się wtedy, że matka ma nowotwór. Wychodząc z gabinetu zapłakana, w stresie, nie mogłam odnaleźć pod krzesłem kaloszy. Nagle czuję, że ktoś klęka przede mną i nakłada mi je na botki. Tak, to ten sam... On również przyjechał po morfinę dla swojego cierpiącego ojca.

I teraz, kiedy 11 listopada 1935 roku, w święto narodowe, wracając z kościoła ojciec mój spotkał go i przyprowadził do nas – przeniknęła mnie głęboka radość.

Wilczura Leda, która zawsze jak wściekła rzucała się na obcych, przybiegła „po drucie” do niego, położyła łapy na ramionach i lizała po twarzy. A on ją klepał po bokach jak swojego psa. Zobaczyłam to przez okno i zawołałam: „Mamo, to on! Ja go przecież znam! Pamiętasz wystawę w Syndykacie?”.

Ogarnęła mnie jakaś gorączka, jednym szarpnięciem ściągnęłam z szaty wszystkie sukienki razem z wieszakami i przebierałam je na podłodze, bo mi się żadna nie wydawała godna na to pierwsze z nim spotkanie.

„Proszę dalej” – słyszę głos ojca w przedpokoju. Tu ojciec klaszcze w ręce, wołając: „Maniusiu, mamy gościa!”. Idę – nie widząc, potykam się o próg i podając rękę, głupio pytam: „Często pan u nas bywa?” – mając oczywiście na myśli nasze miasteczko. A on, tłumiąc rozbawienie, opanowanym głosem odpowiada: „U państwa pierwszy raz”. Śmiejemy się, atmosfera rozładowana. (Janek, o czym tego samego dnia mi powie, nie jest całkiem pewny, czy to nie moje dziecko usypia niańka w ogrodzie).

Zapraszam panów do stołu, donosząc jedno nakrycie więcej. Zośka stłukła coś w kuchni, więc wybiegam, a ta płacze, klęcząc nad skorupami w przekrzywionym stroiku na głowie, cała drżąca. Dysponuję szybko, co ma podać, i siadamy wreszcie do stołu.

Najpierw pojawia się półmisek z faszerowanym szczupakiem. W tym momencie ojciec podchodzi do kredensu, pytając: „Napijemy się dla kurażu –

prawda?”. Ale Janek dziękuje i odpowiada, że nie pije. Wtedy trochę bujał, bo później bywało, że nieraz w towarzystwie nie odmawiał kieliszka. Ojcu to się podoba, więc chwali niepijącego młodzieńca. Po pysznej rybie wjeżdża na stół waza, niestety z czerniną, tak zwaną czarną polewką. Janek pyta: „Czy to aluzja?” – i zerka na mnie łobuzersko. „Spiekłam raka” mówiąc, że to czysty przypadek. Potem kaczka z jabłkami i jakiś tam deser.

Po obiedzie tata ucina sobie drzemkę, a ja przedstawiam Janka mamie. Słaba jest, więc karmię ją łyżeczką. Ładnie uczesana, spryskana wodą kolońską – uśmiecha się do niego. (Kochała go później bardzo, straciła bowiem pierwszego syna przedwcześnie, więc jego jak syna traktowała).

Ubieramy się i wychodzimy do ogrodu z wiatrówką, z której dobrze strzelam. Dla zabawy przyszpilamy do płotu kwiat dalii, odliczamy pięćdziesiąt kroków. Każde z nas coś sobie wróży... i od ściany domu pada strzał. To Janek pierwszy strzelił. Kwiat nie spada. Idziemy więc do płotu, a tu wprost cud! Kłania nam się główka kwiatowa, a trzyma się zaledwie na dwóch włóknach. Strzał jeden na milion. Tak przecież musiało się stać!

Spacerujemy radzi w głębi serc, uśmiechnięci. Czerwone liście szeleszczą pod nogami, dudnią o ziemię spadające jabłka... Snuje się ciekawa rozmowa o malarstwie, bo i on maluje. Spojrzenia się krzyżują i jakieś bez słów porozumienie, nieznanne tym, co tego nigdy nie przeżyli. Opowiada o swojej pracy leśnika. Jest wesoły, bo nurtująca go dzisiaj zagadka już rozwiązana: śpiącym niemowlakiem w wózku jest moja siostrzenica. Słońce krwawo zachodzi. Wracamy, bo późno...

W saloniku gram mu z całego serca najróżniejsze dumki, szumki, on nuci nieśmiało, choć wyczuwam, że ma słuch i pewnie silny głos. Mówi, że lubi muzykę i że śpiewał w chórach. Z żalem żegnamy się, on obiecuje odwiedzić za dwa dni, bo to przecież będzie niedziela.

Urządzam więc popis z obiadem na niedzielny stół. Nie mogę spokojnie doczekać się wieczoru. Jednak nie przyjechał... Wciskam głowę w poduszkę i beczę nieprzytomnie, strofowana przez matkę, że niemądra, że raz człowieka widziała i już rozpacza. Ale ja wiem, czego chcę.

Nagle pies szczeka, biegnę jak na skrzydłach. Otwierają się drzwi i wchodzi chłop olbrzymi, w mundurze gajowego. Schyla głowę, aby się nie uderzyć o futrynę. Przy pasie ma przytroczonego bażanta, wyjmuje z zanadza list i podaje go w dwóch palcach, mówiąc: „Meliduje posłusznie, że pan leśniczy się kłania i przeprosza, że nie mógł przyjść, ale przyjechali panowie na bażanta i zabrali go na polowanie. A ten bażant to dla panienki, podobno pierwszy w życiu upolowany przez niego. A jak go też zmazali juchą po twarzy, to niech pan Bóg bronii, bo to tak zawsze robią, kiedy ktoś koguta ubije pierwszy raz”. Odbieram, dziękuję i częstuję chłopca, bo droga przed nim daleka.

Odtąd był naszym pocztynionem, ten wielki pocziwiec, a nazywał się Jaś z Pękowca. Posturą przypominał Macieja Żubra z *Huraganu* Gąsiorowskiego. Kiedyś podczas nawałnicy przeniósł swojego leśniczego na rękach po kładce przez wodę, a przecież Janek nie ułomek, miał swoją wagę. Nazywaliśmy go od tej pory nie świętym, a leśnym Krzysztofem.

Janek – mój chłopak – przyjeżdżał do mnie, kiedy tylko mógł i nie mógł, na swojej balonówce – rowerze, który mu służył do wypadów w las. A miał do pokonania ze swojej leśniczówki aż osiemnaście kilometrów.

Takie jazdy do Włoszczowy trwały od jesieni do wiosny, kiedy to pewnego dnia poprosił rodziców o moją rękę, a mnie włożył na palec zaręczynowy pierścionek z brylantem. (Stał się on późniejszym łupem bandziorów, kiedy pewnej nocy zdarli mi go z palca, o mało nie ze skórą. Ale to już była wojna i las).

Nasz ślub odbył się 26 lipca 1936 roku w kościele parafialnym we Włoszczowie. Rzymską mszę celebrował mój ojciec chrzestny – kanonik Teofil Rzepczyński. (Kanonik ten za zgodą i pozwoleniem Diecezji Kieleckiej, biskupa Łozińskiego, chrzczył mnie swego czasu w domu z powodu jakiejś mojej niedyspozycji. Depeszę, wyrażającą zgodę na tę uroczystość, przechowuję do dziś wśród innych pamiątek).

Na uczcie weselnej była tylko najbliższa rodzina i starzy znajomi moich rodziców. Uroczystość odbyła się bez wielkiej pompy ze względu na niedawną śmierć ojca Janka. Moja matka, pomimo złego stanu zdrowia, wstała jednak z postłania, żeby nam zrobić przyjemność. Kochana. Z najbliższej rodziny przyjechała z Boczkowic Nunia z dziećmi i stryj Stanisław. Z rodziny Janka – macocha i jego siostra Zosia z mężem, Tadeuszem Hockiem.

Po bardzo smacznym i elegancko urządzonym przyjęciu (tata wziął kucharza ze dworu) macocha zamęczała Janka ciągle, że zaraz po obiedzie wyjeżdżają, bo chmurzy się i trzeba zwozić żyto. Ale znajoma rodziców, pani Szydłowska, kryjąc uśmiech, usiadła do pianina i zagrała nam do tańca. Później Jasia popisała się wspaniałą techniką w muzyce klasycznej. I tak zeszło do popołudnia. Nunia nachyliła się do nas i szepnęła, żebyśmy przejechali się jej końmi na spacer, bo rzeczywiście byliśmy zmęczeni tą przedłużającą się uroczystością. Macocha, urażona, odjechała na Dronowe Niwy.

Muszę przyznać, że podczas całego przyjęcia padał deszcz, co później łączyłam sobie z przyszłym moim życiem. Dopiero po południu wyjrzało słońce i buchnęło ciepło. Spacer był piękny, jechaliśmy przez pola, aż znaleźliśmy się w Czarnicy (gdzie leży pochowany nasz Wielki Hetman Polny, Stefan Czarniecki). Po drodze, jakaś niespokojna, wypytywałam się Janka o jego macochę, która była przez cały czas nieprzystępna i chmurna. Sam fakt, że wyjechała, dawał do myślenia. Pocieszał mnie, że jestem cicha, mam łagodne usposobienie, to ona mnie na pewno polubi. Stało się jednak inaczej.



## Rodzina Janka

Ojca Janka – Jana – poznałam wtedy, kiedy jego druga żona Franciszka odwoziła go do Warszawy w styczniu na operację. Wstąpili do nas, bo chciał poznać mnie i moją rodzinę.

Szczupły wtedy, schorowany, bardzo miły pan – pocałował mnie w głowę mówiąc, że się cieszy z naszego poznania. Prosił, żebym o Janka dbała, bo to szlachetny i prawdomówny człowiek. Ucałowałam te szczupłe ręce, a on przytulił mnie do serca. I takie było pożegnanie. Więcej go już nie zobaczyłam, bo w marcu, po operacji, zmarł w szpitalu, ten zacy, cichy i dobry ojciec.

Był chemikiem w Wielkich Piecach na Rakowie pod Częstochową. Pracował w laboratorium. Podczas pierwszej wojny światowej został aresztowany, bo potajemnie wyrabiał granaty dla naszego wojska. Jego pierwsza żona nie żyła. Sam opiekował się dziećmi, a kiedy poszedł do więzienia, Janek – liczący wtedy dziewięć lat – został zabrany do dworu przez rodzinę Karskich. Brata Antosia wzięli również jacyś państwo do siebie. Małą Zosią zaopiekowała się inna rodzina. Kiedy nastąpiła niepodległość za Piłsudskiego, ojciec wyszedł z więzienia i sprowadził dzieci do Chlewisz, gdzie znów dostał się do pracy w laboratorium chemicznym.

Wtedy to wróciła z Rosji Franciszka Różycka, jego przyszła druga żona.

Ponieważ w domu było bardzo skromnie, uczący się jeszcze Janek malował paletki brzożowe i sprzedawał je, pomagając w ten sposób ojcu. Będąc jeszcze u państwa Karskich, obserwował malującego tam Belinę-Prażmowskiego. Zapamiętał technikę i sposób malowania i później to wykorzystał. Miał zresztą duży talent.

Opowiadał mi kiedyś o wielkim niedostatku w czasie wojny i o tym ziemniaku, co to potoczył się jakoś za nogę od łóżka, a po który wchodził na czworakach, aby go wydobyć... Biedne dzieci, biedny mój Janek.

Janek bardzo kochał ojca. Opowiadał, że kiedyś ojciec wchodząc po drabinie z workiem zboża na plecach, stanął mu na dłoni i przycisnął do szczybła. Chłopak myślał, że zemdleje, ale wiedział, że gdy krzyknie, ojciec może spaść. Przetrzymał więc dzielnie ból i nawet się nie przyznał do tego, co zaszło. Z macochą jednak zawsze była wojna. Nie lubiła dzieci. Może dlatego, że nie miała swoich. Rzuciła nieraz za nim polanami drewna.

Kiedy przeprowadzili się do Skarżyska Kamiennej, Janek odbył służbę wojskową w lotnictwie. Później pracował jako brakarz w fabryce broni, aby zarobić na studia leśne, o których dawno marzył.

## Dronowe Niwy

Janek skończył studia leśne i złożył dyplom w 1936 roku. Przed egzaminem poszedł pieszo na Jasną Górę, aby prosić o pomyślność. Wtedy umówiliśmy się, że kiedy będzie przechodził przez Włoszczowę, wstąpi, aby się ze mną zobaczyć. Tego dnia o świcie stanął przed furką, gdzie już czekałyśmy na niego obydwie z panią Wolską. Ona sama zaproponowała, abyśmy go odprowadziły do wsi Łachów. Miło mi było popatrzeć na jego radosną twarz, gawędziliśmy, a ja życzyłam mu szczęśliwej drogi. Po kilku dniach wrócił pociągiem, bo jednak pocierał sobie nogi aż do krwi, z czego śmiał się potem, że prawie na kolanach wszedł do klasztoru. Zamiast wziąć jakieś wygodne buty na drogę, poszedł w kierpcach góralskich.

Egzamin zdał szczęśliwie i dostał leśnictwo na Dronowych Niwach.

Do Janka i jego leśniczówki wyjechałam w tydzień po weselu. Musiałam przecież zapakować swoje rzeczy, a w dodatku mama położyła się na dobre. Wiedziałam, że nie powinnam jej teraz zostawiać.

Z niepokojem odjeżdżałam na to nowe życie i choć pewna męża i jego uczucia – czułam lęk, jak ułożyć się wszystko w nowej dla mnie rodzinie.

Nie ułożyło się jednak według moich wyobrażeń. Już w pierwszych dniach płakałam, tęskniąc za latami spędzonymi w domu. Buntowałam się – jak to, on stale w lesie, a ja tu sama na mchu z oczyma pełnymi łez... Byłam w nim zakochana po uszy, pomimo licznych utarczek małżeńskich. On sam mnie krnąbrną nagiął do ziemi tak, że trudno było nieraz odetchnąć i przełknąć jego decyzje. Jednak nawet wobec siebie samej nie chciałam przyznać mu racji, którą miał wiele razy. Przypuszczam, że upór ten odziedziczyłam po babce Zarembiance.

Zaczęłam nowe życie, trudno mi było z początku wdrożyć się w obowiązki domowe, inne rzędy, inne zwyczaje. Brak ciepła tak mi zawsze potrzebnego sprawiał, że cierpiałam. Nie zaznałam go bowiem u mojej nowej matki, i to mnie przerażało. Dopiero kiedy Janek wracał z lasu, odżywałam.

Macocha była bardzo surowa. Prawda, że *de mortuis aut bene – aut nihil*, ale nie mogę ani zapomnieć, ani przemilczeć, ile przecierpiałam z tą kobietą pod jednym dachem. Bo nawet wieczorem, kiedy już kładliśmy się spać, ten okrutny cerber wchodził do sypialni bez pukania, a kluczy w zamkach nie było. Toteż dosłownie kradliśmy te tak drogie chwile szczęścia, które nam się przecież należały.

Kiedy patrzyłam na tę wrzeszczącą kobietę, byłam sparaliżowana strachem. A ona do końca swoich dni, przez długie trzydzieści dwa lata, mieszkała z nami. Jakże często mówiłam, że nigdy w życiu nie powinnam była spotkać się z tym człowiekiem, wiecznie tyranizującym wszystkich wokół. I zapewne byłoby inne życie moje i inne zdrowie, bez jej obecności. Janek bronił mnie przed jej

napaściami, lecz nigdy macochy nie usunął z naszego życia. Trwały niesamowite awantury. Wiedziałam, że jest to jego druga matka, on ma dobre serce i nic nie można tu zmienić. Sama zresztą przyłożyłam do tego ręki. Z natury litująca się i wrażliwa na łzy – po pogrzebie ojca Janka – wzruszona żalobą ucałowałam ją i powiedziałam: „Proszę, niech pani zostanie z nami, pewnie wiele skorzystam i nauczę się pracy w gospodarstwie”.

Okupiłam tę decyzję łzami i zdrowiem. Dopiero gdy zaszłam w ciążę, dojrzałam jakby wewnątrz, otrząsnęłam się z tej dziwnej niemocy i lęku, i odtąd nie obchodziły mnie jej krzyki. Zająłam się sobą, szykowałam pomalą wyprawkę na przyjęcie naszego syna, bo tak było zaplanowane. Ale nowy cios zniweczył marzenia.

Wezwano mnie do chorej matki, chciała mnie widzieć. Kazałam parobkowi popędzać konie, wytrzęsłam się na korzeniach leśnych i zmokłam na dodatek. A był to koniec listopada. Po smutnej wizycie i powrocie do domu, spłakana i zniszczona podróżą, zaczęłam rodzić przedwcześnie. Zanim z miasta przyjechał doktor, który zjawił się dopiero nad ranem – odebrała naszego martwego synka stara służąca Andrzejowa. (Cóż za tragiczna analogia! Moja mama i siostra również straciły swoje pierwsze dzieci – synów).

Widząc naszą boleść, bo i Janek płakał – macocha jakoś przycichła. Kiedy po roku w styczniu 1938 przyszła na świat córka Joanna, babka Franciszka okazała swoje zadowolenie. Często siedziała przy kołysce, śpiewając dziecku. Widocznie obudziło się w niej wreszcie niespełnione macierzyństwo.

## Joanna i Maciej

Mała Joanna urodziła się 9 stycznia. Ponieważ mieszkaliśmy w „leśnej głuszy” – wolałam rodzić u siostry Jasi we Włoszczowie, zresztą zaprosiła mnie do siebie, oddając swą małżeńską sypialnię. Wieczorem odczułam pierwszy przejmujący ból. Janek kazał zakładać konie do sanek i „co koń wyskoczy” pokonaliśmy te 18 kilometrów w mroźną styczniową noc.

Już w bramie przywitał nas szwagier, śmiejąc się serdecznie, gdyż ubawił go mój wygląd. Rzeczywiście, nie mogłabym wtedy pozować do zdjęcia. Ubrana byłam w bekieszę z szamerowaniem z tasiemek, bo dopiąć się nie mogłam, a spod szamerowania wyglądały ciepłe kalesony Janka opięte na wydętym brzuchu. Ale mnie tam nie było do śmiechu, bo bóle następowały jedne po drugich. Przyszła akuszerka – pani Bielawska, zbadała i orzekła, że jeszcze upłyną trzy do czterech godzin, zanim nastąpi rozwiązanie. Kazała nastawić duży gar wody, a do mniejszego wrzuciła nożyczki do przecięcia pępowiny. Nacierpiałam się nieźle. Wszystkie matki znają ten przepotężny skurcz, kiedy się kości rozstępują.

Rozwrzeszczana Joanka była już na świecie. Akuszerka zawołała o nożyczki. Nagle słyszymy w kuchni jeden wielki ryk. To Aniela, służąca, trzymając przez fartuch pasujący garnek, zachłystując się płaczem, wrzeszczy: „O Matko Boska Włoszczowska! Co ja mam zrobić! Nożyczki się rozleciały, o mój Boże, nożyczki popsute! Zaraz mówiłam, że będzie nieszczęście, bo na niebie nad kościołem jest ognista różga, znak, że się coś stanie. Pani Bielawska, co ja mam robić, może dam swoje?” – to mówiąc, wysmarkała potężnie nos w fartuch. Ale akuszerka złożyła nożyczki, bo były rozkładane, zręcznie przecięła pępowinę i włożyła naszą córeczkę do przygotowanej kąpieli. Pokarm był, więc po przywitaniu się z rodzicami już czysta – przypięła się do piersi i nakarmiona, spracowana, momentalnie usnęła. Mnie nie pozwolono zasypiać, że to niby niebezpieczne. Ale ja i tak nie usnęłabym teraz, bo oto leży przy mnie moje pierwsze dziecko, zdrowe i śliczne, jak chińska księżniczka, żółta i pulchna. Niestety, mama moja nie dożyła tej radości. Zmarła pół roku wcześniej. Widziałam, że Janek cieszy się ze zdrowego dziecka, ale przecież tak bardzo czekał na syna. Z Joanną byłam u siostry cały tydzień, a że mróz zelżał, mąż zabrał nas do domu.

Minął rok. W lutym 1939 przyszedł na świat Maciuś, duży i gruby. Ponieważ miałam bóle przez cały styczeń, siedziałam znów u siostry, i to w dodatku z małą Joanką. Bardzo możliwe, że te przedwczesne bóle wywołałam sobie sama, wykonując polecenie macochy, która kazała mi wejść do pieca chlebowego i powybierać suszone śliwki, co przylgnęły do cegieł. I znów nie umiałam się sprzeciwić.

We Włoszczowie była również z nami niańka Joanki. Bardzo kłopotliwa, bo nie chciała się myć. Twierdziła, że się utopi, bo nigdy dotąd nie myła się w wannie.



Dopiero kiedy Aniela rozebrała ją i na siłę wsadziła do wody, po kąpieli wróciła uśmiechnięta mówiąc, że głupia była.

Po tym porodzie leżałam dłużej. Dopiero po miesiącu wróciłam na Dronowe Niwy. Jednak nie było spokoju z małym Maciusiem. Otworzyła się rana wokół pępka, z której szła żywa krew. Przejęta pojechałam z dzieckiem do Częstochowy, gdzie przyjmował słynny w owych czasach pediatra, doktor Jarosz, wspaniały lekarz i człowiek. Rozebrane dziecko położył sobie na dłoni, po chwili przerzucił je na drugą dłoń, zmierzył, zważył, osłuchał, zalapisował rankę i już było po wizycie.

Ale to był początek kłopotów. Pod koniec sierpnia wszyscy wiedzieli, że będzie wojna.

W porze sianokosów jeździliśmy pod Gościęcín nad Pilicę, gdzie łąki ciągnęły się nad rzeką aż po wieś. Przyjeżdżało się drabiniastym wozem na cały dzień, z kanapkami i dużą ilością picia. Na naszych łąkach czekali już ludzie do pomocy, aby roztrzasać zżętą świeżo trawę i przerzucać ją przez cały dzień z boku na bok. Witało nas bezchmurne niebo i słońce jak patelnia. Pod koniec takiego dnia byliśmy spracowani, ale radośni i opaleni.

Dzieci, jeszcze maleńkie, chlapały się w płytkiej wodzie pod moim czujnym okiem, rade, kiedy udało się im puścić na wodę papierową łódeczkę. Konie, po napojeniu i kąpieli na głębinie, szczypały trawę, stojąc w cieniu przybrzeżnej olszyny i były kopytami, bo te uprzykrzone gzy końskie pastwiły się nad ich delikatną skórą, tnąc niemiłosiernie. Żeby koniom pomóc, wtykaliśmy im za chomąta gałęzie, więc same się opędały.

W taki właśnie dzień byliśmy na łąkach, gdy nagle usłyszeliśmy nad rzeką jakieś krzyki, a nad nimi górujący babski jazgot. Wnet zbiegli się ciekawi, starsi i dzieci, pytając jedno drugiego – dlaczego stara Babulina tak wrzeszczy. Stała tam rozczapierzona niby kokosz, jedną ręką zdarł a chustkę z głowy, drugą zaś pokazywała plażę, gdzie widać było dwie nagie osoby wylegujące się na słońcu. Było to w miejscu, gdzie Pilica – omijając maluszyński pałac – poszerzała się nieco na zakolu i naniósła wiele żółtego piachu, tworząc plażę. Tam właśnie, przez furtkę z parku, udał się pan hrabia Połocki wraz z małżonką. Rozebrani leżeli na słońcu. Babulina potargana i czerwona jak piwonia wyrzucała ze schrypniętej gardzieli potok słów. „Takie, to się i kary bożej nie bojo, myślo, że jak hrabini, to może gołym tyłkiem świcić. A to bezkurcyja jedna! Będiesz ty, zarazo, co zyjes z ludzkiej krwi i potu, jesce z głodu zdychać i popamientaj, com rzekła, bo Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Wstyd i obraza boska chodzić jak te najgorse... A mosz, a mosz!” – to wrzeszcząc, rzucała kamieniami, które padały w wodę, czyniąc fontanny, a dzieciaki donosiły i podawały jej kolejne kamienie.

Potoccy, widząc tę scenę, ubrali się i wolno odeszli w stronę pałacu, ścigani jeszcze niewybrednymi wyzwiskami starej Babuliny.

Był koniec sierpnia. Wojna „wisiała w powietrzu” jak zło z dawna

przewidziane. Szosy zaroily się od tłumy uciekających pieszo, wozami i na rowerach. Szli ludziska utrudzeni, pchając przed sobą ubogi dobytek na wózkach, taczkach, wózkach dziecięcych.

Na drugi dzień po incydencie nad rzeką hrabiostwo szykowali się ostatecznie do wyjazdu. Konie niecierpliwiły się, biegały panienki i hrabięta wystraszeni, pytając matkę, co zabierać. W końcu każde z nich, mając tylko walizkę w ręku, siadało do landa. Otoczyli ich ludzie dworscy i ci ze wsi, litując się nad wystraszonymi dziećmi i zapłakaną hrabiną, która wsiadając, opuściła na twarz czarną woalkę. Stara piastunka przytulała do serca dzieci, które przez tyle lat na jej oczach dorosły, i polecała je opiece boskiej. Hrabia wydał jeszcze służbie polecenia dotyczące zabezpieczenia pałacu przed rabunkiem, masztalerzowi nakazał przeprowadzić stadninę do najbliższego majątku, ale to wszystko było bez sensu, bo co się miało stać, to się i tak stało...

Nagle wpadła między zebranych rozwścieczona Babulina i wspierana przez pyskate sąsiadki, ująwszy się pod boki, krzyczała urągliwie: „Widzisz, dał ci Niemiec radę, jaśnie pani hrabini, dał! Bierz d... w troki! Za naszo to krzywdę, za harowanie na twoje spaśne brzuch i za te świństwa, cośta wyprawiały nad wodo. Da ci i Pan Jezus radę, da, pani hrabini! Dopiro tera będziesz goła, całkiem goła!”.

Nic nie pomogły odciągania baby od powozu, szarpała się i parła naprzód, potargana, wściekła. Podcięte batem konie ruszyły, tłum ustąpił i nagle zrobiła się cisza. Wszyscy patrzyli za oddalającymi się – w milczeniu. Kobiety rozejrzały się, popatrzyły na siebie i, naciągnąwszy chustki na rozkoczkodane głowy, ruszyły chyłkiem, każda do swojej chałupy.

## Wojna

Do naszego spokojnego lasu dotarł niepokój. Janek musiał stawić się do wojska, więc szybko załadowaliśmy parę metrów pszenicy do lnianych worów i mąż zawiózł je do młyna w Kurzelowie. Kiedy już był na miejscu, spadły na Kurzelów pierwsze bomby. Jedna tuż przy stawidłach, wyrrywając potężny lej. Janek zawrócił natychmiast do domu, bojąc się o nas. Wory z pszenicą zostały u młynarza i już nigdy do nas nie wróciły. Mąki więc nie było. Wieczorem przyszedł rozkaz stawienia się przed biurem nadleśnictwa razem z rodziną. Na wozie mogło być nie więcej niż czterysta kilogramów bagażu. Cóż można było wziąć? Pościel i trochę żywności. Babcia Frania uparła się, że nie jedzie i zostaje na gospodarstwie. Popatrzyłam na półtoraroczną Jagusię i półrocznego Macusia i zostałam również.

Z opowiadań wiem, że ci, których kierowano na Sandomierz, wywożeni byli do Związku Radzieckiego. Pewnie nie wrócilibyśmy stamtąd nigdy.

Pojechał więc tylko Janek – rowerem, mając na jednym ramieniu dubeltówkę, a na drugim karabin. Był w góralskim kożuszku mojego ojca i takiego go miałam w pamięci przez ponad miesiąc. Kiedy odjeżdżał, spod dachu wyfrunęła jaskółka. Uwierzyłam, że tak jak ona i Janek wróci do gniazda i do dzieci. Ze służby została tylko dziewczyna. Reszta uciekła. Z braku pastucha wypuszczaliśmy krowy na cały dzień z obory, aby same się pały. Chodziłam w pole z wiadrem i stołeczkiem, by je wydoić. Mleka i serów było dosyć. A krów wtedy było kilka, poza tym jałowizna i owce, koni zaś para ze źrebkiem. Suszyliśmy na brytfannach w chlebowym piecu żyto. Mełłam je później z dziewczyną na żarnach. I z takiej razówki piekłyśmy chleb. Ościste to było, ale z mlekiem smakowało. Janek przed wyjazdem kazał zabić wieprza. Zawołałam więc Mietka Gładysia ze Studzianek. Ten wieprza oprawił, nasolił i zalał saletrą. Mięso schowaliśmy w beczce wkopanej w ziemię między ulami, bo słyszeliśmy, że ubój jest zabroniony. Cóż, kiedy sklepikarz z Kurzelowa zamiast saletry dał sodę i mięso zbiałało, zrobiło się kruche. Po prostu było do wyrzucenia. Uratowała się tylko słonina, która leżała na wierzchu.

Zbliżał się front, od zachodu szły głuche huk armat, przeciągłe grzmoty spotęgowane echem wśród lasu. W nocy zaś połowa nieba płonęła od łun krwawych i czasem dolatywał śwąd spalenizny. Po kolejnych salwach wiatr pędził czarny dym w naszą stronę. Często wśród nocy słyszeliśmy zagubione kulki karabinowe dzwoniące o dach. Dniem i nocą uciekinierzy przechodzili przez nasze podwórze, które było zasłane snopami słomy. Nocowali tutaj z braku innej możliwości i golowali skromne posiłki. Kuchnia pełna była kobiet, płaczących dzieci, którym dawałyśmy chleb i mleko. Z myślą o domownikach musiałyśmy chować nieraz bochenki chleba do pustego ula w sadzie, ale jeśli zaszła taka

potrzeba, to i ten ostatni się wyjmowało.

Już czwartego dnia wojny rozgromiona armia polska pod dowództwem kapitana Kochańskiego rozłożyła się pokotem na polach, pobliskich łąkach, w stodole, w piwnicy na ziemniaki. Cóż było robić, jak im bronić dostępu, kiedy wszyscy głodni, spragnieni i wielu rannych.

Przywłókł się kiedyś ranny żołnierz spod Częstochowy i w nocy zapukał do drzwi. Był głodny, zakrwawiony. Dałam mu cywilne ubranie, obmyłam i opatrzyłam ranę, która wcale dobrze nie wyglądała. Pocisk trafił w prawe płuco z przodu, a wyszedł łopatką, rozrywając kość. Namozoliłam się, pousuwałam drobne kostki, zdezynfekowałam ranę i obwiązałam płótnem. Sypiał w kuchni na łóżku służącej, którą wzięłam do sypialni, aby pomagała mi w nocy przy dzieciach. Mężczyzna zaczął po pewnym czasie wstawać. Rana goiła się nad podziw pięknie, bo zastosowałam dermatol, który zawsze miałam pod ręką – proszek zebrany w lesie z kwitnącego widłaka babimura. Okazało się, że nasz chory jest fryzjerem z Łodzi. Opowiadał o swojej rodzinie – bardzo się o nią niepokojąc.

Tego samego dnia, kiedy Janek wyruszył w drogę, ludzie z Kurzelowa obserwowali wyjazd wszystkich leśników z okolicy. Rano, kiedy jeszcze nie było u nas uciekinierów ani wojska, zajechało na podwórze parę drabiniastych wozów, na których siedzieli znajomi chłopci z Kurzelowa. Myśleli, że nikogo już nie ma i nuż brać się za bydło w oborze, sprzęt gospodarski i szperać po budynkach. Macocha wybiegła z kijem i dopiero teraz zaprezentowała cały swój repertuar dobranych słów na tę okazję. Trzeba było widzieć ich zaskoczone miny i szybką rejteradę; bractwo wynosząc się z podwórka, pomieścić się w bramie nie mogło, a nad szczekaniem psów i nawoływaniem złodziei górował babciny dyszkancik, cięty jak bicz. Wróciła triumfalnie do kuchni i jakby nigdy nic – zasiadła do niedokończonego śniadania, sypiąc pod nosem przekleństwami.

Za parę dni zajechała przed leśniczówkę fura chłopska i jakie było nasze zdziwienie, kiedy wysiadła z niej siostra Janka, Zocha, z Jurkiem Hockiem, jej pasierbem. Okazało się, że wynajęła mieszkanie w Kurzelowie, jest asystentką przy lekarzu wojskowym i jakoś sobie radzi. Prosi tylko o prowiant i czy może zostawić u nas Jurka. Oczywiście zgodziłyśmy się. Chłopak miał nie więcej niż szesnaście lat. Był wymizerowany i zmęczony. (Znałam go wcześniej, bo był z ojcem i matką na naszym weselu).

I tak to Jureczek został u nas na okres wojenny. W czterdziestym czwartym zaprzyjaźnił się z partyzantami, a ci naopowiadali mu, że można się dostać do wojska amerykańskiego i że znają przejście przez „zieloną granicę”; chłopak, który miał już dwadzieścia lat, zarządził sobą i nie mówiąc nam nic – wywędrował w nieznane. Rzeczywiście, jak potem pisał, przedostał się przez granicę, Amerykanie dali mu umundurowanie i wysłali do Australii.

Ale wracam na Dronowe Niwy. Wyleczony żołnierz poprosił mnie, aby go

odprowadzić do pociągu. Wszędzie byli Niemcy, a on nie miał dokumentów. Ustaliliśmy, że je zgubił. Ubrałam się w wełniak, założyłam chustkę na głowę i z koszykiem w ręce wyruszyłam w tę niebezpieczną drogę. Mijały nas czołgi z hukiem i dzwonieniem żelastwa, raz nawet poczęstowali nas Niemcy zupą z kuchni polowej. Fryzjer idąc wzdłuż szosy, zbierał w rowie pety, spragniony papierosowego dymu.

We Włoszczowie wstąpiłam do ojca. Niemcy zajęli połowę naszego domu, przez drzwi mieścił się sztab gestapo. Tam zmieniałam jeszcze choremu bandażę na drogę i tak się rozstaliśmy. (Po wojnie przysłał mi obrączkę złotą w podzięcie za uratowane życie).

Wrześniowe noce były bardzo zimne, za to w dzień upał i susza. W gospodarstwie przybyło pracy. Trzeba było już wiązać krowy w oborze i karmić, bo dobierały się do ziemniaków. Kartofle należało wykopać, by mieć przez całą zimę czym karmić świnię i drób. Macocha, dziewczyna i ja zabrałyśmy się więc do kopania, składając ziemniaki w dole pod lasem. Dowożyłyśmy je końmi, z którymi na całe szczęście umiałam się obchodzić. Karmiłam je, potrafiłam nałożyć uprząż i naszykować wóz.

Dzieci zabierałam w pole, bo nie miałam innego wyjścia. I tak się odbyło kopanie, później kopcowanie. Reszta ziemniaków poszła do dołu w podwórzu.

Od paru dni przez Dronowe Niwy ciągnęło wojsko rozbite pod Maluszynem i Mostami – wsią przyczółkiem, która została spalona, a ludzie wymordowani. Ogień tylko huczał i szedł w naszą stronę. Całe połacie lasu padły pastwą płomieni. Niemcy podpalali las, wiedząc, że tam gromadzą się uciekinierzy i wojsko.

Pewnego dnia rano zaczęły się palić ścierniska na polu i suchy łubin. Co to będzie dalej, kiedy ogień dojdzie do podwórza zawalonego słomą? – wtedy jak nic i dom spłonie! Postanowiłam zabrać, co zdołam, na wóz i wyjechać za pobliskie jezioro. Założyłam konie do drabiniastego wozu, wyścieliłam go słomą i powynosiłam z mieszkania pościel, ubrania i co ważniejsze przedmioty. Pousadzałam dzieci na poduszkach, przeżegnałam się i wyjechaliśmy za jezioro poprzedzani przez psy, które puszczalam z łańcuchów. Wcześniej wypędziłam z obory krowy, barany i cielęta, świnię i maciory z prosiętami, no i drób z kurnika. Na wóz wtoczyłam po deskach sieczkarnię. Naprawdę nie wiem, czy byłam tak silna, czy też wielki strach sił dodawał, że tego dokonałam. Zabrałam również bochny chleba, mleko w wiadrze, łyżki, noże, garnki i mały piecyk do gotowania. Rano, kiedy przeprane w jeziorze pieluszki rozwiesiłam na niskich sosnowych gałęziach – nadleciał samolot i zaczął kosić z karabinu maszynowego. Dzieci były w wózku pod gałęziami. Maciek leżał, Jagódka siedziała u niego w nogach. Mało myśląc, położyłam się na nich, chroniąc od kul. Jakoś Pan Bóg nas strzegł. Samolot odleciał, nie robiąc nam krzywdy. Tylko konie się pourywały i z kwikiem uciekły w las. Połapałyśmy je, ale lejce były porozrywane, a część uprzęży zgubiona.

Pewnego dnia lunął deszcz. Jężory ognia przestały pełzać po polu, wiatr się odwrócił i można było po tych męczących dniach wrócić wreszcie do domu.

Na podwórzu wojsko, żołnierze sami wyciągają ze stodoły koniczynę, siano, karmią konie i szukają jedzenia. To był pułk częstochowski rozbity nad Pilicą. Zakrzatnęliśmy się w kuchni i za godzinę był sagan gorącej zupy, pożywnej, z kawałkiem mięsa. Odpoczęli parę dni, a odchodząc, zakopali w polu dokumenty i stolik z powielaczem.

Był na Studziankach chłop nazwiskiem Noga – złodziej i szpieg. Widziałyśmy, jak rył szpadlem ziemię na polu i wywlekał dokumenty wojskowe. Szukał pewnie pieniędzy. W końcu odkrył również ten nieszczęsny stolik z maszyną. Zostawił go, zabrał natomiast zakopane tam buty. Wieczorem poszłam z Jurkiem po powielacz. Naoliwiony i owinięty kocem został zakopany pod daszkiem, pod którym były schowane narzędzia rolnicze. Noga nas niestety widział, ale o tym później...

Na początku października wrócił Janek, ale zupełnie niepodobny do siebie. W przykrótkiej marynarce, z dziurami pod pachami, zarośnięty, brudny i bardzo chory. Wykąpałam go i ułożyłam w ciepłym łóżku. Okazało się, że ma krwawą dezynterię. Mówił, że jadł z głodu owoce, jakąś brukiew i rzepę. Po drodze dały mu kobiety mleko lodowato zimne z bańki wpuszczonej do studni dla odciążenia śmietany. I stąd ta straszna choroba. Biorę więc do ręki książkę księdza Kneippa i dowiaduję się, że należy chorego trzymać w ciepłe, kłaść mu na brzuch gorące okłady, do picia dawać wywar z kory dębowej, a na pokrzepienie sił – kleik z kaszy jęczmiennej, przecieranej. Ponieważ Janek nie mógł siedzieć, a kleik się rozlewał podczas karmienia, napelniałam buteleczki dziecięce i jedynym smoczkiem, jaki miałam, karmiłam go pięć razy dziennie. Trzeba było smoczek wygotowywać, bo przecież i Maciuś był dokarmiany, ponieważ z tych zmartwień zabrakło mi pokarmu.

Pewnego dnia odwiedziła nas kobieta z Częstochowy, która chodziła po wsiach, skupując masło, jaja i słoninę w zamian za mydło, nici, świece i inne artykuły.

Uprosiłam ją, aby mi kupiła kilka smoczków. Długo trwało leczenie, aż w końcu Janek poczuł się lepiej. Wygrzał się, kaszel się zmniejszył i bóle ustępowały. O doktorze przecież nie mogło być mowy podczas wojny.

Któregoś wieczoru z warkotem i hukiem zajechały na podwórze wozy niemieckie. Wskoczyli z nich żołnierze i w jednym momencie otoczyli dom i budynki. Siedziałam wtedy u Janka na łóżku i karmiłam go z butelki, kiedy kopnięciem nogi gestapowiec otworzył drzwi. Stał w rozkroku z bronią wymierzoną w nas. Byłam opanowana i spokojna, pomachałam w jego stronę ręką, aby wyszedł, mówiąc „tyfus”. (Niemcy bardzo bali się tej choroby). Odwrócił się nagle, jakby w niego piorun strzelił, i trzasnął drzwiami. Nie wiem, skąd mi się

wziął wtedy taki spokój.

Janek zaczął opowiadać, jak dojechał wraz z nadleśniczym Gumińskim do mostu w Sandomierzu. Dalej już ani wojska, ani ludności nie puszczano. Most był zamknięty, dlatego wrócił do nas szczęśliwie. Jadąc rowerem, mijał z przerażeniem zastrzelonych z samolotów ludzi, którzy leżeli na drodze. Samoloty wciąż krążyły nad szosami, a z rowów sterczały porzucone i poprzewalane wozy z całym dobytkiem uciekających. Rozwalone skrzynie pełne zelówkowych skór, worki cukru i mąki dla wojska mieszały się z odzieżą, sprzętem gospodarstwa domowego i pościelą. Po polach chodziły uwolnione, bezpańskie teraz krowy i stada owiec. (Jak się dowiedziałam później od ojca, leśników skierował na pewną śmierć porucznik Gut – zdrajca, którego kiedyś żywiłam w domu moich rodziców).

Na wiosnę Janek przyszedł całkiem do zdrowia. Już planował, co gdzie będzie siał. Gajowy, który mieszkał z nami przez ścianę, polecił swojego piętnastoletniego syna Kazika do pomocy.

Był to chłopiec wyjątkowy, dobry, cichy i posłuszny. Jeden z siedmiorga dzieci gajowego – pijaka. Kiedy żona gajowego zmarła na płuca, najstarsza z dziewcząt – Maryśka, opiekowała się pozostałym drobiazgiem. Co to była jednak za opieka, kiedy nie było co do garnka włożyć. Poszłam tam kiedyś do nich, jeszcze za życia ich matki. Leżała na łóżku i trzymała przy piersi niemowlę. Zobaczyłam w kącie pokoju jedyne pożywienie, jakie mieli. Był a to kupka ziemniaków, które dzieci piekły pod blachą w popiele, a w drugim kącie kupka prosa w łupinach, które Maryśka meła u nas na żarnach i z tego podobno gotowała zupę.

Od tej pory starałam się pomagać biednym dzieciom, zwłaszcza że i gajowy też nie podnosił się z łóżka. Popadł w delirium. Maryśka opowiadała, że robił ze słomy, którą wyciągał spod siebie, małe zwitki i rzucał w nogi łóżka, jakby na podsycenie wyimaginowanego ogniska. Ponieważ palił papierosy, Maryśka ciągle była w strachu, że roznieci prawdziwy ogień. Pilnowała więc bez ustanku zapalek. W kolejnym stadium choroby, awanturując się i krzycząc, chciał wyskakiwać oknem, w bieliźnie, a była to zima. Więc zabito okno deskami. W niedługim czasie, w tej nędzy i chorobie, zmarł. Kazika wzięliśmy do siebie. Intrygowało mnie, dlaczego podczas posiłków odkłada część jedzenia, zawijając je w papier. Myślałam, że dla siebie na później. Okazało się, że nosił je dla rodzeństwa. Od tej pory dostawał większe porcje.

Kazik, choć nie miał żadnej szkoły, wykazywał swoistą inteligencję. Był zakochany w przyrodzie. Nieraz stawał przed Jankiem w niedzielę po pracy, ubrany w jego stary kozuch przepasany rzemieniem, w baraniej czapce, która wpadała mu na oczy, i prosił błagalnie: „Panie leśniczy, przelecę się z psami po lesie. Mróz zelżał, a może co upoluję”. Janek śmiał się i zawsze mu pozwalał na te spacerzy, bo widział, że to jedyna jego radość. I rzeczywiście. Ledwie psy

pospuszczał i wypadł z nimi za furtkę, kładł głowę w śnieg z radości i „stawał dęba”, tylko mu sterczały w górze chude nogi w przydużych Jankowych butach.

Kiedyś wybrał się na Studzianki, po śladach lisa, prowadzących w tamtą stronę. Pies, Szary, zwęszył trop i biegł głęboką bruzdą w śniegu ciągnącą się w stronę lasu. Kazik pobiegł za nim i po chwili zobaczył rude stworzenie, szamoczące się w krzakach. Okazało się, że lis złapał się we wnyki, po czym odgryzł gałąź, do której były przymocowane, i ciągnął ją za sobą, znacząc ów głęboki ślad. Pies nie poradził sobie z lisem, więc Kazik dobił go kijem i wrócił z przewieszonym na szyi zwierzęciem. Czerwony, z błyszczącymi oczyma i zmęczony, bo biegł przez duże zasy, dysząc powiedział: „Ja tu pani zara go obedrę, niech tylko zrobię obrządek w podwyrzu”. Skóra była piękna, krzyżowa – białe plamy biegnące przez grzbiet i łopatki tworzyły krzyż. (Daliśmy później tę skórę do wyprawy i wreszcie do kuśnierza, który zrobił mi piękny kołnierz).

Pamiętam jeszcze inne polowanie Kaziczka. Pewnego majowego dnia, bardzo upalnego, wszedł do pokoju, mówiąc: „Dałaby mi pani dzieci na godzinę, pogoda taka, koło domu nie mają uciechy, wziąłbym je do lasu”. Pozwoliłam. Znów zabrał psa, dał dzieciom do rąk kije – pewnie już wcześniej przygotowane. Poszli. Czas mijał, już dawno było po obiedzie, więc zaczęliśmy się niepokoić. Nagle usłyszeliśmy szczekanie Szarego, który pierwszy wpadł na podwórze, za nim dzieci szczęśliwe i rumiane, a na końcu Kazik niosący coś na plecach w worku. Dzieci przekrzykiwały się nawzajem. Kazik gestykulując – szybko opowiadał o tym, jak to wytropił lisy i odnalazł ich nory, i jak to dzieci ustawił przy wylotach jam, a sam wykopywał szpadlem z gniazda małe lisięta. Było ich pięć. Co mieliśmy z nimi robić? Siedziały na razie w sieczkarni.

Janek przywiózł z Włoszczowy arkusze blachy z otworami, z której wykonał skrzynię. Wykopał z Kazikiem prostokątny dół, który przykryli balami, wymościł słomą i nakryli to skrzynią z blachy z otworkami. Siedziały tam lisięta cztery miesiące. Na razie nie miały apetytu. Potem piły już ciepłe mleko prosto od krowy, jadły je z kaszą lub makaronem. Kazik przynosił im z lasu ptaki, nornice i różne leśne przysmaki: jaszczurki, ślimaki, ptasie jajka... Janek przywoził z rzeźni wątrobę, krew w bańkach. Kiedyś padł na polu wojskowy koń, więc przyciągnęli go na saniach na podwórze, poćwiartowali i dawaliśmy to mięso lisiętom po kawałku. Żarły na potęgę, rosły jak na drożdżach, a jeszcze łypały ślepiami na gęsi i kury, zaglądające do nich ciekawie. Pracy było przy nich wiele, gotowało się krupnik na mięsie końskim lub rosół z makaronem. Jednak najbardziej smakowało im surowe mięso.

Trwało to do momentu, kiedy Janek zdecydował, że następnego dnia trzeba będzie z nimi skończyć. Tej samej nocy słyszemy ujadanie psów i docinanie, jakby się wściekły. Wskoczył mąż z dubeltówką i widzi, że jakieś cienie przemykają koło parkanu i giną na drodze do lasu. Domyślił się, dopadł do klatek i zobaczył:



wygryzioną dziurę w blasze, a w klatce ostatniego, szamoczącego się lisa. Był największy i nie mieścił się w otworze. Zastrzelił go, Kazik obdarł ze skóry, a ja z tłuszczu zrobiłam aż pięć kilo mydła. (Mydło robiło się wtedy z tłuszczu rozgotowanego z wodą szklaną i sodą kaustyczną. Wylane później w metalowe formy zastęgało w pokaźne kostki, które pokrajane służyły przez całą wojnę do mycia). Mięso z lisa usmażyła macocha w rondlu na smalcu. Zjadło je rodzeństwo Kazika, bijąc się o każdy kęs i chowając małe kawałki za pazuchę.

W parę dni później olbrzymie stado indyczek – sześćdziesiąt sześć sztuk – nadających się już do sprzedaży, nie wróciło na noc do kurnika. Jak się później okazało, posiadały na niskich gałęziach w lesie, przy wielkiej chłopskiej łące, trzysta metrów od domu. Tam je wywęszyły te bestie lisy i podusiły. Zostawiły tylko pięć żywych, te siedzące na wyższych gałęziach. Kiedy się patrzyło z drogi na łąkę, to jak okiem sięgnąć – leżały poduszone ptaki. Brakowało tylko czterech, które lisy zjadły. Pozbieraliśmy pięćdziesiąt siedem ptaków wielkich i ciężkich – niektóre sztuki dochodziły nawet do dziewięciu kilogramów, bo to była ta mięsna, ruda rasa. Ile było roboty, ile skubania, to tylko my, kobiety, wiemy. Jedliśmy je długo, częstowaliśmy „leśnych ludzi”, a że był przymrozek, więc nic się nie zmarnowało.

Po chorobie Janek rozpoczął pracę w lesie i bywał w Kurzelowie w nadleśnictwie. Dalej nie pozwalałam mu wyjeżdżać, żeby nie wchodził Niemcom w oczy. Dowiedzieliśmy się bowiem, że jesteśmy na czarnej liście.

Za każdym razem, kiedy odwiedzali nas partyzanci, byłam zmuszona jeździć do Starostwa, do wsi Komparzów, i tam składać meldunek. Niemcy byli na tyle podstępni, że nieraz przebrani za polskich żołnierzy prosili o pożywienie, a potem czekali tylko, czy się o tym zgłosi w Starostwie. W przeciwnym razie stosowane były represje. Gdy zimą pojawiły się o jakieś 300 metrów od naszej leśniczówki bunkry partyzanckie, poczuliśmy się bezpieczniej. Pamiętam, że kiedy wracałam z Włoszczowy przez las, czułam w powietrzu zapach tytoniowego dymu: ktoś na ścieżce zapalał papierosa. Byłam spokojna – to wartownik, który przy okazji pilnował i nas.

Ale także od tej pory był ciągły ruch w podwórzu: mycie, pojenie koni, a co rano wspólna modlitwa i śpiew *Kiedy ranne...* Co parę dni partyzanci przywozili wory mąki żytniej i pszennej na chleb i bułki. W leśniczówce były dwa piece: jeden u nas, drugi u gajowej przez ścianę. Piekłyśmy więc z macochą na dwie dzieże. Jedne chleby wyjmowało się z pieca i paliło w nim od nowa, a do drugiego wsadzało osiem-dziesięć bochnów. Potem Janek układał je na słomie i wozem dostarczał do lasu przy wsi Pękowiec. Często dawaliśmy też owoce, warzywa, ziemniaki. Poznaliśmy wielu oficerów. Przychodzili do nas zjeść. Kiedyś usłyszeli, jak gram na pianinie. Weszli do saloniku, usiedli, nucili grane melodie i obiecali, że będą przychodzili wieczorem po rozstawieniu czujek. Tak też było. Kiedy

wydołam krowy i zniosłam wiadro z mlekiem pod umówiony dąb, zasiadłam do pianina – grając *Toskę* Pucciniego. Aria była sygnałem dla partyzantów, że kolacja gotowa i pora na spotkanie.

Kiedyś stanął w oknie dziedzic Stanisław Konarski, z konieczności partyzant, i powiedział, że nie spodziewał się usłyszeć w tej głuszy Pucciniego. Przyszedł również tego wieczora hrabia Morstin z harmonią – i tak pospołu muzykowaliśmy do późnej nocy. Ja popisywałam się też swoim gwizdaniem przeróżnych pieśni i serenad, bo podobno dobrze to robiłam. Maciuś usnął na moich rękach, Jagódka na dywanie wśród „leśnych” z głową opartą na kolanach Anglika, którego też poznaliśmy. Był z „cichociemnych”. Prowadził akcję dywersyjną na terenie Kielecczyzny. Nauczył nas kilku wojskowych angielskich piosenek. Powiedział kiedyś, że i on zna wesołą polską piosenkę. Na naszą prośbę zaśpiewał ją. Huncwoty chłopaki zaśmiewali się, bo to oni go nauczyli tej frywolnej piosenki, której słów nie rozumiał, a brzmiała tak: „Kulawy kotek szedł sobie drogą, k... go mać (3x), jakiś sk... syn kopnął go nogą k... go mać (3x)”. Pokładali się na ziemi ze śmiechu, a on był zadowolony, że ich tak rozbawił.

Kiedyś śpiewał swym miłym barytonem coś o księżycu. Ubrał się w burnus zrobiony z prześcieradła i kłaniał się Joance siedzącej na stole. Całował ją w rączki, a ona uśmiechała się do niego. Bił czołem pokłony – nie przerywając śpiewu. W końcu wziął Maciusia i niosąc go na wyciągniętych rękach, położył przed nią „na ofiarę”. Jaką – nie wiem. Taka była całość tego żywego obrazu. Karbidówka już zgasła, świecił tylko księżyc w oknie. Cisza zaległa pokój, a on sam autentycznie płakał.

Mały Maciuś był moją „ucieczką przed niebezpieczeństwem”. Ile razy przyjeżdżali Niemcy lub partyzanci z BCh czy AL, brałam go na ręce, bo czułam wtedy siłę swego macierzyństwa i wierzyłam, że nic się nam stać nie może.

W 1939 roku czterej ruscy spadochroniarze nawiedzili naszą leśniczówkę i przywlekli ze sobą tyfus brzuszny. Przynieśli wiadro bimbru i kazali porozlewać go do butelek. Jeden z nich został w naszej sypialni, a trzech zabrało Janka i Michała Lichotę (były subiekt mojego ojca) do lasu. Tam podobno „roztasowali się” w krzakach i kazali pić naszym ten bimber z pustych skorupki po jajkach. Za przekąskę służyły surowe ogórki. Janek oszukiwał i nie pił tego piorunującego napoju. Wrócił do domu trzeźwy, ale pozwolono mu odejść dopiero na drugi dzień. Pozostawiony zaś w sypialni spadochroniarz położył się w poprzek naszych łóżek i na rozłożonej brudnej szmacie liczył naboje. Później usnął.

Domyślałam się, że tę chorobę na dom sprowadzili właśnie oni. Dzieci miały wysoką temperaturę i bóle. Tym razem sama pojechałam do doktora Jarosza po radę. Kazał Maciusia odstawić od piersi, obydwójgu nie dawać nic oprócz soku pomarańczowego i białka ubitego z jajek. Wymęczyły się dzieci, ale choroba została zażegnana. (Sok pomarańczowy dostałam w Częstochowie, w sklepie tylko

dla Niemców, mając specjalne zlecenie od doktora).

Odkąd dzieci wypadły niańce z wózka podczas spaceru, niespokojnie obserwowałam ich rozwój. Joanka mając półtora roku, powiedziała pierwsze słowo: „sito”, a w pół roku później „sito-bryto” – i to było wszystko. Dzisiaj trudno ją przegadać.

Kiedy Maciuś miał rok, dostał silnej temperatury, widocznie z zaziębienia. Nikt nie dawał nadziei na jego przeżycie w tych warunkach. Ale od czego rady księdza Kneippa? Według jego wskazówek rozbełtałam świeży twaróg z serwatką i robiłam z niego okłady. Po półgodzinie ser był twardy jak guma i suchy. Po kilku takich kompresach i dwóch nocach pełnych lęku – temperatura spadła i dziecko po paru dniach wróciło do zdrowia.

Wszyscy odczuwaliśmy wyraźny brak świeżego mięsa. Kury, które się niosły, nie mogły być przecież zabijane. Więc Janek polował na dzikie króliki, których było mnóstwo w akacjach tuż przy domu. Okrawaliśmy to białe i delikatne mięso i robiłyśmy z niego wyborne klopsiki.

Pewnego wieczoru, kiedy zebraliśmy się po kolacji na śpiewanie, jeden z partyzantów wyjął z kieszeni granat. Dzieci już były przy nim, spierając się, które z nich wyciągnie zawleczkę. Leśni ludzie często rozkładali karabiny w naszym domu i czyścili je, a przy składaniu Joanka pokazywała palcem część, którą należało kolejno dopasować. To były ich wojenne klocki. Dzieci często chodziły do lasu same. Nie bały się napotkanych ludzi. Zdarzało się, że siadały z partyzantami na trawie, aby gawędząc, przyglądać się ich zajęciom. Joanna była odważniejsza od Maćka. Zostawiła kiedyś pod oknem sypialni swój nocnik, po który poszła w ciemną noc bez lęku. W chwilę potem, jakby dla udowodnienia swojej odwagi – Maciuś wybrał się poza ogrodzenie po żołędzie. Jednak gdy furтка zatrzasnęła się za nim, pozostał tam, płacząc pod płotem. Tłumaczył, że żołędzi nie widział, bo było ciemno, a nam zrobiło się przykro, że poddaliśmy małe dziecko takiej próbie.

Pewnego dnia wyjechałam do Częstochowy kupić dzieciom jakieś ubranka. Wróciłam pod wieczór i usłyszałam złą nowinę. Maciuś zaciął niechcący Joannę końcem bata, raniąc jej gałkę oczną. Znów wzięłam się za kurację. Tym razem był to świetlik, którym wyleczyłam oko dziecku.

Zdarzył się jeszcze jeden przypadek, kiedy Joanna mogła stracić życie lub zostać kaleką. Chodziłam za parą koni w kieracie. Po skończonej pracy odpięłam orczyk z haka, aby poprowadzić konie do stajni. Wyrwały mi się jednak i popędziły jak oszalałe, oganiając się od bąków. Trzeba trafu, że Joanka akurat stała w bramie. Zamiast uciekać, przytuliła się tylko do słupa bramy i z zamkniętymi oczami czekała. Rozpędzone, splątane lejcami konie przecisnęły się obok. To był moment, którego nigdy obydwie nie zapomnimy.

Dzieci bawiły się na ogół same. Nie miałam wiele dla nich czasu. Same więc poznawały przyrodę i nowe dla siebie zjawiska. Kiedyś zastałam je nad oborą

w słomie, gdzie znalazły w pogryzionym snopku mysie gniazdo. Joanka, jak zawsze bez lęku, brała do rąk myszeta i bawiła się nimi. Były różowe, bez futerka, z wielkimi, wybałuszonymi, jakby przylepionymi ślepkami. Wchodziły Joannie do rękawa sukienki, a wychodziły dziurą, która była pod pachą. Joanecka zaśmiewając się, mówiła: „Mysi skłobią i cipią”. Takie to były zabawy.

Kiedy dzieci nieco podrosły, ułożyłam z Danusią Kobylecką (córką uciekinierów z Częstochowy) plan dnia. Przed południem Danusia prowadziła zajęcia polegające na poznawaniu liter i cyfr naklejonych na drewnianych klockach, roboty pana Szukalskiego. Uczyłyśmy dzieci piosenek, wierszyków, do czego Maciej przejawiał wielki talent. Często zaskakiwał nas dojrzałymi spostrzeżeniami i określeniami małego poety.

Gotowe do koszenia żyto nazywał „ogrzany”, a przechodząc koło wyschniętego strumyka, powiedział: „Pac, tata, słonecko wypilo wodę swoimi plomykami”. Mnie marzył się syn muzyk. Kiedy Maciuś usiadł do pianina mając dwa lata i próbował wygrać jakąś melodię, podniósł na ojca oczy i powiedział z uśmiechem, porozumiewawczo: „Tata, to była Szopena”.

## Wyprawa do Częstochowy po pianino

Nastała jesień, dni coraz krótsze, nocą już mróz ścinał wodę. Pewnego dnia przyszedł na podwórze jakiś gospodarz i pyta, czy nie mamy na sprzedaż krowy. Była taka, nie cielna, więc ją obejrzał, dobił targu i od razu zapłacił. Ale co teraz za to kupić, pieniędzy trzymać nie warto, bo ktoś przywiózł wiadomość z Włoszczowy, że będzie wymiana.

Proponuję kupno pianina, bo mi go brak, i nie zastanawiając się dłużej, jadę do Częstochowy. Przejeżdżając przez Włoszczowę, dostaję jeszcze od ojca pewną sumę. W Częstochowie wysiadam z dorożki przed mieszkaniem profesora muzyki, pana Wawrzynowicza. Godzina jest wczesna, dzwonię, otwiera mi drzwi Japonka. Zdziwiona pytam o profesora. „Tak, mieszka tu – mówi – zaskoczyłam panią swoim widokiem, ale przecież wojna, ludzie się przemieszali, proszę do środka”.

Siedzę w salonie, czekając na herbatę, którą obiecała podać. Na kominku płonie ogień, poza tym cisza niezmacona. Nie ma tu wojny i niepokoju, wszystko zostało za drzwiami. Na ścianach olejne obrazy, żardiniery pełne kwiatów, w kącie wielki Steinway, a w powietrzu zapach świec. Okna zaciemnione – przecież wojna. Za parę chwil wchodzi Japonka, przynosząc filiżanki gorącej herbaty, jakieś ciasteczka i siada przy mnie, wypytujac o cel wizyty. Mówię o naszej dawnej znajomości z profesorem i o pomocy, jakiej mógłby mi udzielić przy zakupie instrumentu. Rozmowa schodzi na tematy rodzinne, ona pyta o dzieci, a potem proponuje, że jeśli zechcę, może mi powróżyć. Śmiejąc się, podaję jej dłoń, słyszę, że za parę lat urodzę jeszcze dwoje dzieci, że jesień życia będzie dla nas obojga bardzo szczęśliwa i pogodna, ale że nad naszym domem wisi niebezpieczeństwo, którego unikniemy, trzeba, żeby mąż uważał na siebie, bo może zginąć.

Byłam wstrząśnięta tą wróżbą. Dobrze, że wszedł profesor. Przywitał mnie bardzo serdecznie. Gdy dowiedział się, po co przyjechałam, rzekł: „Idziemy od razu! Jest pianino u pewnego Żyda, prawnika, którego dzieci uczyły się u mnie. Instrument w dobrym stanie, firma znana – Betting – pianino krzyżowe na metalowej płycie. Właśnie chce je sprzedać, bo powstaje tu getto, gdzie musi się przenieść z rodziną bez dobytku. Jedziemy. Rzeczywiście, spodobało mi się od razu. I wygląd, i łagodny ton, zwłaszcza kiedy zagrał na nim profesor. Cena umiarkowana, więc zapłaciłam, mówiąc, że mąż przyjedzie po nie za parę dni. Zawierzyłam tym ludziom, chociaż w wojennych czasach mogłam nigdy już nie zobaczyć ani ich, ani mojego pianina.

Zaczął padać deszcz, śnieg przemienił się w grząskie kałuże. Wynajętym we Włoszczowie wozem dojechałam tylko do Kurzelowa. Gospodarz odmówił mi dalszej pomocy, a miałam jeszcze do pokonania trzy kilometry przez las i przez „trzy oceany” (tak nazwaliśmy pobliskie bagna). Człapałam po mokrym śniegu, grzęznąc w lodowatej topieli po łydki. Mokra i zmęczona, będąc już u kresu sił,

zaczęłam wołać naszym umówionym sygnałem: „Hooooop!”. Janek był akurat przed domem. Usłyszał mój słaby głos wśród wichru, odpowiedział okrzykiem i pobiegł w moją stronę. A mnie sił nagle przybyło, i choć zataczałam się, wydobywając nogi z tej zimnej, lepkiej papy, szłam i szłam do niego.

W domu wzięłam gorącą kąpiel w drewnianej balii i wypłam kubek „krupniku” z wódki i masła, z ukręconymi z cukrem żółtkami, imbirem i gałką muszkatołową. Nie dopuściłam do zaziębienia, pijąc ten gorący trunek, który nieźle szedł do głowy.

Nazajutrz trzeba było jechać po pianino. Nocą ścisnął wielki mróz, toteż Janek z Kazikiem, jeszcze po ciemku, naszykowali sanie „smyki” (są to dwie pary sani złączone łańcuchem, które nie podskakują na wybojach i nie trzęsą tak jak sanki pojedyncze). Wyściełali deski sianem i kiedy ledwo dniało – wyjechali z podwórza. Do Częstochowy 66 kilometrów. Zajechali na wieczór. Z pomocą wynajętych ludzi załadowali pianino na sanie i po gorącej przekąsce w restauracji wyjechali z powrotem.

Mróz wziął zaraz z wieczora. Na koniach osiadła szreń, tak że wyglądały jak dwa rumaki z bajki. Nagle Kazik wykrzyknął: „Coś mi się widzi, że na polu koło stert słomy skaczą zające. Niech no pan stanie”. Wyjął Janek spod siedzenia dubeltówkę, zeskoczył z sań i wygarnął do gromadki baraszkujących zajęcy. Kazik pobiegł pod stertę chyłkiem i przyniósł pod kozuchem dorodnego szaraka, którego natychmiast owinął sobie wokół szyi dla ciepła. Janek po strzale, bojąc się Niemców, ruszył z kopyta. Po drodze często zsiadał z sań, bo mimo grubej baranicy marzył potwornie. Biegł więc na zdrętwiałych nogach jak na szczydłach, trzymając się kłonicy. Opowiadał później, że koło Świętej Anny, niedaleko Gidel, sanie tak się rozpędziły z góry, że konie nie mogły nadążyć uciekać przed nimi. Do domu przyjechali nad ranem. Pianino służy do dzisiaj. W czasie wojny strojone było przez pana Śniegockiego, który regularnie zajmował się naszym Bettingiem (i Fibigerem – pianinem moich rodziców). Śniegocki, zdolny i dobry fachowiec, lubił pić. Nie nastroił dobrze, kiedy nie wypił butelki. Potem praca szła jak z płatka. Kiedyś zimą przyszedł do nas siny od mrozu, w płaszczu od deszczu i bez swetra. Na odchodnym Janek dał mu swój sweter, nakarmił jak zwykle i zapłacił za strojenie. Już na drugi dzień dowiedział się, że Śniegocki we wsi sprzedał sweter. Któregoś roku nie pokazał się wcale – może na śmierć gdzieś zamarzył?

## Szukalscy (nowi lokatorzy)

Jeszcze przed zimą wybrałam się do Częstochowy po łóżeczko z siatką dla Maćka. Na ulicy Kościuszki był olbrzymi sklep Żyda Kindermana. Kupiłam tam białe łóżeczko „na sprężynach”, kazałam zapakować i przechować do następnego dnia. Teraz poszłam na bazar koło kościoła Świętego Jakuba. Ścisk, tłok, handlarze sprzedają wyszabrowane z opuszczonych niemieckich domów ciuchy (wycofywali się przed Rosjanami). Kupiłam cały tłumoczek, nawet nie wiedząc, co tam jest w środku, ponieważ na sztuki ubrań nie sprzedawano. Już miałam odchodzić, gdy zrobił się krzyk i powstał wielki popłoch. Patrząc, ludzie uciekają w różne strony, tratuja stoiska, przewracają budy, a w ulicach – promieniście dochodzących do bazaru – stoją niemieckie „suki”, do których żołnierze ładują, kogo złapią. Obok mnie przebiega młoda kobieta, z trzepoczącą się gęsią, machając ręką do mężczyzny, który stał na progu składu aptecznego. Mało myśląc biegnę za nią. Wpadamy do apteki, mężczyzna zamyka drzwi na klucz i wypycha nas na zaplecze.

Złapałam oddech i przyjrzałam się kobiecie. Widzę, że to przecież moja dawna szkolna koleżanka – Szostakiewiczówna, i to jej apteka. Wycalowałyśmy się, płacząc z wrażenia i radości. Nakarmili mnie, posiedziałam nieco. A kiedy uspokoiło się całkiem na bazarze, mąż jej odprowadził mnie przez podwórza na peryferie – aż za rzekę Wartę, i tam wskazał drogę do śródmieścia. Było chyba z pięć kilometrów do miasta, ale trzymałam się dzielnie, niosąc toból na plecach. Kiedy przechodziłam koło Katedry, wstąpiłam podziękować Bogu za ocalenie. (Nunia z Boczkowic, przyłapana na Kolejowej w Kielcach, została wywieziona na roboty. Przez miesiąc kopała rowy w gliniastej ziemi. Chorą, z gorączką, ograbioną z pieniędzy, wypuścili do domu. Była na drugim końcu Polski. W jaki sposób wróciła, sama nie pamięta. Dość że przyszła prawie boso. Miała na nogach buciki, ale bez zelówek. Chorowała długo, bo to był listopad i zimno).

Noc spędziłam u Jadwigi Szukalskiej. Mieszkali teraz z ojcem w suterenie. Drzwi otworzył mi sam pan Kalikst. Jadzi nie było – wyjechała na wieś zahandlować, bo nie mieli z czego żyć. Miałam akurat kawałek szynki, chleb i masło. Dodatkowo ugotowałam żurek na kości i skórce z szynki. Było parę ziemniaków, więc kolacja suta. Zaproponowałam, aby do nas przyjechali. „Jest co jeść na wsi i będzie wam ciepło. A tutaj istna psiarnia nie do wytrzymania, bo węgla nie ma za co kupić”. Kalikst miał łzy w oczach. Nie porozumiałam się z Jankiem, ale czułam, że nie będzie przeciwny.

Przyjechali więc z jedną starą walizką, głodni i wymarzni. Jadwiga pomagała mi przy dzieciach i w gospodarstwie, a on w kuchni po gajowym robił szafki, ławy, ule, stoły, wreszcie – olbrzymi warsztat tkacki. Lubił bawić się z naszymi dziećmi. Wieczorem po kolacji wychodził z Jankiem przed dom, by

obserwować gwiazdy, które rozpoznawał i bezbłędnie nazywał ich gwiazdozbiory. Pan Kalikst był ciekaw ludzi i świata. Równocześnie był dobrym psychologiem i zawołanym politykiem.

W jego pracowni stolarskiej ukryliśmy przed Niemcami mały odbiornik radiowy, z którego korzystaliśmy w nocy. Był to „kryształek” na słuchawki. Łapaliśmy na nim Głos Ameryki i Londyn w języku polskim. Można było usłyszeć codzienne wiadomości o ruchach Niemców i naszych wojsk, a któregoś dnia przeraziła nas wieść, że do Polski wkroczyła Armia Czerwona.

Wspominając Kaliksta Szukalskiego, widzę go idącego do kościoła ze świeżo przepraną chustką do nosa, która schła, leżąc na jego głowie. Kiedy wracał wygłodzony po sumie, siadał do stołu, zjadał zupę, a drugie danie mieszał z deserem. Na przykład mięso i jarzynę z budyniem. Mawiał wtedy, że i tak to idzie do wspólnego mianownika. Pałaszował „danie”, zamykając oczy. Kiedy była na obiad fasola – żuł ją wolno, a resztę upychał „w policzki” i później pracując w stolarni, przegryzał ją po ziarnku. Dziwak, cudak, ale prawy i uczciwy człowiek.

Jadwiga od czasu do czasu jeździła do Częstochowy i po wsiach – handlując. Ale pewnego razu wróciła bez towaru i bez pieniędzy. Wszystko jej odebrali Niemcy na dworcu w Częstochowie. Zdecydowała wyprowadzić się od nas i zamieszkała u pani Wicuni Gierczyckiej pod Kurzelowem, gdzie ojciec tamtej miał duże gospodarstwo i pasiekę. Majątek nazywał się „Niedźwiadek”. Jadwiga pomagała prowadzić pasiekę i tam też wyuczyła się przyszłego zawodu. Po wojnie, mieszkając w Nowym Targu, gdzie wyszła za mąż, prowadziła własną pasiekę na sto uli. Sprzedawała miód i założyła plantację czarnej porzeczki.



## Kobyleccy

Na Podlipiu, w lesie, w domu gajowego, ukrywała się rodzina Kobyleckich. On – do niedawna dyrektor Banku PKO w Częstochowie – inteligent, zaangażowany mocno w organizację Ludzi Podziemia, był poszukiwany. Ponieważ obawiał się o swoją rodzinę, zapytał przez przyjaciół, czy może przysłać do nas żonę z córkami. Janek jak zwykle się zgodził i pojechał bryczką na Podlipie obok stacji Włoszczowa. Mieszkanie było prawie zlikwidowane, walizy spakowane. Pani Kobylecka z Danusią i Haliną były już wieczorem u nas. Oddaliśmy im swoją sypialnię, ale również swój spokój. Matka i młodsza córka miały wyraźnie semickie rysy. Jak się później okazało, pan Kobylecki ożenił się z najbogatszą Żydówką w Częstochowie, która potem stała się neofitką. Rysy jednak zdradzały jej pochodzenie. Od tej pory zawisł nad domem lęk o życie całej naszej rodziny. Pani Kobylecka opiekowała się głównie przywiezionym ze sobą ratlerkiem, wiecznie jazgoczącą i trzęsącą się suczką Pepiną.

Jej młodsza córka – Halina, wielce zadufana w sobie, małomówna i bez uśmiechu, była z nami na dystans. Coś tam zawsze szyła, przerabiała, ale do pomocy nie brała się nigdy.

Zupełnie inna była szesnastoletnia Danusia: mądra, czytana i uczynna. Zaopiekowała się naszymi dziećmi. Ja harowałam wtedy jak dziewczka, bo służącą macocha wyrzuciła (przez okres dziesięciu lat na Dronowych Niwach zmieniło się piętnaście dziewczyn, bo żadna jej nie mogła dogodzić).

Pewnego razu, w biały dzień, zajechali na podwórze samochodem Niemcy. Zobaczyliśmy ich przez okno, strach przepęłnił nam serca.

Pani Kobylecka natychmiast zawiązała sobie chusteczkę na głowie, nasunęła ją na oczy i z wiadrem poszła do obory. Przesiedziała tam, dopóki Niemcy nie odjechali. Dobrze, że Janka nie było w domu. Pojechał właśnie odebrać sieczkarnię z reperacji. Weszli do kuchni z krzykiem, pytając, gdzie jest leśniczy Szwed. Wysłałam z pokoju i mówię, że jest w lesie. Wtedy wystąpił z gromady tłumacz i zapytał, gdzie jest powielacz, który został zakopany na polu, a my zabraliśmy go – jak ktoś im doniósł. Oczywiście wyparłam się wszystkiego. Przyciskałam tylko Maciusia do piersi, jak ostatni ratunek, jak jakąś tarczę bezpieczeństwa – tak wtedy to odczuwałam. Gruby Niemiec pienieł się, wrzeszczał i tupał, poSem kazano mi iść z nim w pole.

Papiery rozrzucone zaścielały cały brzeg lasu, zryta ziemia świadczyła o poszukiwaniu dokumentów i domniemanej kasy z pieniędzmi. Pod drzewami zobaczyłam olbrzymią bombę-niewypał. Samoloty ciągle krążyły nad lasem...

Niemcy trzęśli mną za ramiona, a Maciuś płakał. Miałam zawsze jedną odpowiedź: „Nic nie wiem, niczego nie widziałam”. Podczas tego przesłuchania drogą z lasu wyjeżdżał akurat Janek z Kazikiem, stał na tyle wozu, podtrzymując

sieczkarnię, aby nie spadła. Kiedy ujrzał Niemców, zsunął się powoli z wozu w krzaki. Do domu wrócił dopiero na noc. Niemcy odjechali, przedtem przeszukali cały dom, strych, skłuli bagnetami siano i snopki w stodole, nawet weszli do piwnicy z ziemniakami, ale niczego nie znaleźli. Za parę dni dowiedzieliśmy się, że we Włoszczowie Niemcy zabili Nogę, tego, co nas prawdopodobnie chciał wydać – i nie tylko nas.

## Klimkowscy

Kiedys wraca Janek z nadleśnictwa i mówi, że przyjechał pociąg z Warszawy i wyładowują ludzi z powstania. Gmina przydzieliła nam jedną osobę z dzieckiem. Przesunęłam szafę i wstawiłam dodatkowe łóżko. Janek przywiózł panią Janinę Klimkowską z półtorarocznym synkiem Leszkiem. Była żoną kapitana, który przebywał na froncie wileńskim. Widząc małe dziecko, przyniosłam ze strychu wiklinową kołyskę i postawiłam przy łóżku matki. W nocy słyszę, że dziecko bardzo kaszle, zanosi się wprost i dławi. Zajrzałam więc do nich. Pani Klimkowska była roztrzęsiona, a Leszek czerwony z gorączki. Zrobiłam zaraz okład według księdza Kneippa z zimnej wody i na rano dziecko nie miało już temperatury. Pozostał jeszcze ciężki, mokry kaszel. Przez kilka nocy wstawałam, omywałam Leszka i poiłam ziołami, aż mały doszedł do zdrowia.

Chłopczyk widać musiał pamiętać płonąca Warszawę, bo nieraz, kiedy słońce zachodziło krwawo – krzyczał przeraźliwie i tulił się do matki.

Pani Janka była drobną, wysportowaną kobietą. Brała udział w wielu rajdach motocyklowych i otrzymywała nagrody. Mieszkali w Warszawie na Grójeckiej, w „Białym Domu”. Z tego domu wyszło w powstanie stu żołnierzy z księdzem Oleksym, kapelanem, o czym opowiadała. Kiedy dom był bombardowany, uciekła do brata. Stamtąd, po kapitulacji, popędzili ich Niemcy do Piaseczna, do obozu. Trzymani byli bez jedzenia pod gołym niebem, a był to styczeń, wraz z tysiącami innych ludzi. Pani Janina uciekając, zabrała z domu puszkę z kaszą manną, ronderek i łyżeczkę. Żeby rozpałcić ognisko, musiała zbierać patyczki po całym placu i na kamykach gotowała kaszę. Żywili się nią oboje przez dwa tygodnie. Potem załadowano ich do odkrytych wagonów. Przez całą podróż padał deszcz, więc kładła dziecku na głowę ręcznik, wyżywała i znów nim nakrywała głowę. Pewnie stąd ta długa choroba dziecka. Chłopiec ubrany był co prawda w kożuszek, ale nie miał czapki. Ona zaś zabrała długą skórę sportową i cienkie pantofelki na wysokich obcasach.

Nie była zdrowa. Po jakimś czasie przyplątała się żółtaczka i tylko dzięki naszym znajomościom z wojskowymi wyszła z tej groźnej choroby obronną ręką.

W tym okresie przybyło nam do leśniczówki jeszcze dwóch lokatorów. Ogrodnik z Kresów i jego brat, hutnik z Lublina. Pomagali trochę w gospodarstwie, ale więcej się objali. Trzeba ich było karmić przez zimę. Do kuchni przybyła stara kobieta, która przędła len i konopie na potrzebne w gospodarstwie worki i płachty. Andrzejowa, bo tak na nią mówiliśmy, wstawała o świcie, jeszcze przed nami. Klękała do modlitwy na środku kuchni i zaraz zasiadała do kołowrotka. Miała naprzeciwko piec chlebowy, gdzie suszyły się jabłka, gruszki i śliwki.

Zagląda kiedys do pieca macocha, aby przekręcić owoce na drugą stronę, i mówi: „Jakoś ubywa tego suszu, ktoś go pewnie zjada”. Na to Kazik: „Niech się

pani starsza nie martwi. My tu w mig zrobimy z nim porządek!”. Na drugi dzień raniutko budzi nas okrutny wrzask. Pędzę do kuchni i widzę Andrzejowa, która trzyma rękę do góry, a na końcu palca wisi olbrzymia pułapka na szczury. Kazik właśnie na to czekał. Specjalnie wstał wcześniej. Teraz wszedł do kuchni i bardzo poważny zdjął jej tę piekielną maszynę, jak ją sama określiła, z ręki. Andrzejowa uderzyła w płacz: „Już nie będę łakoma, ale to mi tak smakuje i dobrze robi na żołądek, że trudno się oprzeć”. Od tej pory gotowała sobie buraki, które również regulowały trawienie.

A u nas w domu ludzi pełno. Już dziewiętnaście osób naliczyłam. Brakuje mięsa.

## Wojenne migawki

## Domowy ubój

Janek zdecydował zabić świnie. W nocy zdejmujemy kolczyk z ucha staremu wieprzkowi, zapinamy go małemu prosięciu. Była bowiem prowadzona inwentaryzacja pogłowa w każdym gospodarstwie i ilość sztuk musiała się zgadzać ze spisem. Oddawało się Niemcom w owym czasie kontyngent ze zboża, ziemniaków i mięsa.

Poprzedniego dnia, przed ubojem, wszystko naszykowane, my w pogotowiu. Pan Szukalski mówi, że sam go zabije, więc wypuszczają wieprza z chlewa. Szukalski staje bokiem do niego i szykuje się do uderzenia obuchem siekiery w łeb. Długo to trwa, bo wieprz się kręci. Wreszcie uderzenie, kwik i nagle pan Szukalski wyjeżdża, siedząc na świni okrakiem, za bramę, w las, w dodatku tyłem. Gonimy za nimi. Zapędzamy wieprza na podwórze, gdzie pada pod uderzeniem siekiery, tym razem z ręki Janka. Dopiero teraz zaczynamy się śmiać z poprzedniej sceny, ale po cichu, bo się boimy Niemców. Licho nie śpi.

Następuje ważny moment. Gdzieś trzeba teraz ubitego wieprza uwiązać. Jest lina i jest studzienny żuraw – gruby i masywny bal, który na pewno utrzyma ciężar. Podciągamy wspólnie przewieszoną linę. Ciężar uwiązany za nogi do orczyka idzie w górę powoli. Nagle trzask, lina pęka i wieprz, jakby się uwziął na Szukalskiego, zbija go z nóg – i oto z olbrzymiej zasy widać tylko śmiesznie machające nogi pana Kaliksta. No, teraz salwom śmiechu nie było końca. Zlitowaliśmy się wreszcie z Kazikiem i odgrzebaliśmy go, tylko po czapce ani śladu.

Musieliśmy jeszcze tej nocy opalić wieprza, poćwiartować i wtaszczyć mięso na strych nad oborą. Kiedy wieczorem drugiego dnia na olbrzymim stole rozdzielaliśmy mięso od słoniny, nagle zaszczekał pies i zobaczyliśmy, jak przez bramę wjeżdża samochód z Niemcami. Janek wychodzi do nich. Jak się okazuje, przyjechali po siano. Otwiera im więc stodołę, mówiąc, że sam je zrzuci. Daje nam znaki, aby chować mięso, nakryć i zgasić światło. Szybko przykrywamy płachtami stół z mięsem, przysypujemy sianem, a sami chowamy się w ciemne kąty. Janek spocony jak mysz, bo samochód wielki – a trzeba go załadować do pełna.

Na trzeci dzień były już w marynacie szynki i balerony, zakopane w ziemi, w beczce. Do zrobienia zostały tylko kielbasy. Robiliśmy je znów przez kolejną noc. Powiesiliśmy je nie w wędzarni, ale w kominie. Babcia Franciszka i służąca miały zapowiedziane, żeby palić w kuchni tylko drzewem olszowym. Znów zjawili się Niemcy. Obeszli dom dookoła. W mieszkaniu pachniało jeszcze czosnkiem po nocnej pracy, więc szukali po kątach, ruszyli nawet zrobioną przez pana Szukalskiego ławę, zasuwaną na przemyślną zapadkę. Były w niej ukryte jabłka, które przetoczyły się, grzechocząc.

Niemcy kazali ławę otworzyć. A poprzedniego dnia babcia Frania radziła schować tam słoninę. Byłoby po słoninie i po Janku, bo aresztowano wtedy

każdego za samowolny ubój.

Kiedy poszli, zdenerwowana zająciem macocha podłożyła pod blachę sosnowe drewno, zapominając o kiełbasach. Janek widząc z podwórza czarny dym walący z komina, wdrapuje się po drabinie ze swoim praktykantem, panem Ryśkiem Darnowskim, na dach. Domyślam się, że coś jest nie tak. Wybiegamy wszyscy z kuchni. Na kalenicy, czyli grzbiecie dachu, gdzie najczęściej gnieźdzą się wróble, okrakiem siedzi Janek z jednej strony komina, Rysiek z drugiej, i gryzą cieniutkie, wytopione i zwęglone kiełbasy, zaśmiewając się w głos. Taka to była kolejna świńska zemsta wieprza.

## Niespodziewane ocalenie

Pewnej nocy obudził nas sąsiad. Poszeptał coś z Jankiem, ubraliśmy się i wyszliśmy na podwórze, gdzie psy ujadły. Przed stodołą stał olbrzymi wóz załadowany bronią, którą trzeba było ukryć. Kilku partyzantów kopało już w zapolu głęboki dół, wyściełali go słomą i tam przenosiliśmy karabiny z wozu. Dniało, kiedy kończyli zakopywać. Tej zimy nie zazналиśmy spokoju, przyszła bowiem wiadomość, że jesteśmy na liście do stracenia. Od tej chwili żyliśmy w ciągłym napięciu, ciągle na nasłuchu.

Od pewnego czasu zjawiały się w leśniczówce jakieś luźne oddziały. Partyzanci zabierali jedzenie i grozili, aby nie ukrywać AK-owców. Kiedyś przyszli w nocy. Waleniem do drzwi postawili cały dom na nogi. Kazali dać biesizną pościelową na bandażę. Myszkowali po wszystkich kątach. Jak się okazało, byli to ludzie z AL-u. Dowodził nimi stangret z majątku Nieznanowice od dziedzica Karskiego, pseudonim „Garbaty”. Ponieważ w poprzednim tygodniu prałam, więc nie znaleźli w szafie bielizny. Rozwścieczeni, kazali się zaprowadzić na strych, gdzie się suszyły prześcieradła, poszwy... Zabrali ze sznurów wszystko, co było, nawet bieliznę i ubranka dzieci. (Prokurator Szydłowski z Kielc, który również się u nas ukrywał, podarował Jankowi potem swoją koszulę, a jego żona zwój płótna, z którego poszyłam bieliznę. Resztę płótna, schowaną do ławy, zabrała kolejna grupa. Ze skórek sarnich leżących przed łóżkiem uszyłam dla dzieci w parę dni później spodnie, w których wyglądały jak potomstwo Tarzana. Dzieci były zachwycone).

Strata bielizny okazała się niczym w porównaniu z tym, co mnie czekało w domu. Wracam pod eskortą ze strychu do mieszkania i słyszę płacz dzieci. Dowiaduję się, że któryś z tej bandy zabrał Janka do saloniku. Łapię więc Maćka na ręce i wchodzę do pokoju. Wysoki mężczyzna w pelerynie każe mężowi kłaść się na otomanie twarzą na dół, a ja już wiem, co będzie... Drętwieję. Barbarzyńca unosi w górę karabin, trzymając go za lufę, aby bijąc, wydobyć prawdę lub przyznanie się do niepopelnionych win. Wyobraźnia pracuje... widzę pogruchotany kręgosłup i nagle decyduję się... Kładę synka na podłodze, chwytam za brzeg peleryny, którą mam przed sobą i z krzykiem: „Nie bij, ty bandyto!” – pociągam nią z całej siły. Stracił zamach, zachwiał się. Myślałam, że to już koniec z nami. „Czego chcecie!” – wołam. Ten pyta mnie o broń. „Nie mamy żadnej broni. Oddał ją pod Sandomierzem, tam szukajcie!” – krzyczę. Wypchnęli mnie z dzieckiem z pokoju, chwilę naradzali się i wyszli. Później wprowadzili kilku oficerów z AK, zamknęli ich w komórce i bili po kolei. Słyszeliśmy krzyki, wycie i kłatwy. Rano było już cicho i pusto... Byliśmy po tych przeżyciach jak nieprzytomni.

Janek wskoczył na rower, mówiąc, że jedzie na Nadolnik do młyna,



odległego od nas o trzy kilometry. Był on własnością pana Hipolita Będkowskiego, który miał ośmioro dzieci, w tym dorosłe dziewczęta po maturze.

Zdziwiło go, że będąc już blisko, nie słyszał turkotu młyna. Zauważył nagle starą, kulawą służącą, która wychodząc z obór, dawała mu znaki ręką, aby się oddalił. Ale to nie Janek. On musiał wiedzieć, co się naprawdę dzieje. Gdy wszedł na podwórze, służąca, wskazując na pięć świeżo usypanych grobów, opowiedziała ich historię. Wczoraj przyszli do młyna „leśni” z oddziału „Marcina” („Marcin” to nadleśniczy Tarchalski z Pomorza, który już dzisiaj nie żyje). Siedzieli długo z młynarzami, zostawiając na posterunku przebranego w niemiecki mundur partyzanta o pseudonimie „Księżyc”. Po jakimś czasie „Księżyc” zauważył jadący samochód pełen Niemców. Zatrzymali się przy moście. Powiedział im (a mówił biegle po niemiecku), że droga jest nieprzejezdna i muszą iść pieszo. A potem, jak na filmie... Niemcy weszli do mieszkania prosto w ręce AK-owców, którzy po sądzie pol owym wyprowadzili ich na podwórze i rozstrzelali.

„A co z rodziną młynarza?” – pyta Janek. „A to pan zaprzągnął konie do wozu drabiniastego, wzięli państwo pościele, żywność, garnki i pojechali do bunkrów, do leśnych”. (Wiemy z późniejszych opowiadań, że przeżyli wszyscy te ostatnie lata wojny, tylko stary młynarz przemroził nogi i miał obydwie odjęte).

Wraca teraz Janek do domu jak na skrzydłach, opowiada, co słyszał. Opuszcza nas wreszcie ten ciągły lęk, bo wiemy wszyscy, że po młynarzach nasza rodzina była kolejną na liście do stracenia. Dowiedzieliśmy się później, że ci zabici byli i przebranymi w niemieckie mundury Polakami, którzy za pieniądze likwidowali całe rodziny. Mąż zawiadomił o wydarzeniu na Nadolniku leśniczego Opilkę, sołtysa Bugajnego z Gościęcina, gajowego Kmitę z Pękowca i tych, którzy byli czynni w podziemiu i też figurowali na liście. Mógł przekazać tę dobrą wiadomość, że im na razie nic nie zagraża.

## Moje leczenie

Moim pierwszym udanym zabiegiem było skuteczne złożenie złamanej nogi jaskółce. Miałam wtedy siedem lat.

W wystrugane deszczułki złożyłam prawidłowo chorą nóżkę i okręciłam ściśle całość włosiem, specjalnie na ten cel uciętym z końskiego ogona. Nóżka zrosła się po dwóch tygodniach.

Jako małe dziecko nie bałam się widoku krwi, nie robiły na mnie żadnego wrażenia rany czy ropiejące ciało. Po prostu chciałam pomagać chorym i cieszyć się radością wyleczonych. Znajomość ziół wyniosłam jeszcze z Boczkowic, gdzie babka Urszula jeździła na wsie do chorych i moja matka leczyła ich również. Bardzo wiele pomogły nam wszystkim książki księdza Sebastiana Kneippa, Bawarczyka, mądrego i dobrego kapłana, który na sobie wypróbował niezawodne metody leczenia wodą i ziołami.

Ksiądz Sebastian Kneipp wydał kilka książek: *Moje leczenie wodą*, *Mój testament*, *Tak żyć potrzeba* i *Zielnik*. Po dziś dzień istnieje szpital w Worishofen.

W Polsce wprowadził jego sposób leczenia doktor Tarnawski w Kosowie, w Beskidach koło Stanisławowa, dokąd tłumnie zjeżdżali chorzy, a głównie ludzie otyli. Leczyła się u niego również moja ciotka Stanisława Braun. Opowiadała nam po przyjeździe, odmłodzona i szczupła, jakich to sposobów używał doktor Tarnawski, aby chorego zachęcić do rannego wstawania, długich marszów po górach, kąpiele i natrysków. Jeśli chodzi o panów grubasów, musieli biedacy rąbać drzewo, co idealnie wpływało na spadek tuszy. Nagrodą po wycieczkach czy pracy fizycznej były cztery śliwki (słownie cztery). To było całe śniadanie. Pojem zabiegi wodolecznicze, później godzinne leżakowanie na werandzie z widokiem na góry. W porze zimowej zaś, w kozuchu na słońcu, i znów przed obiadem spacer po górach. Mały kawałek białego gotowanego mięsa, do tego stosy surówek z oliwą i czosnkiem musiały wystarczyć za obiad. Półgodzinne spanie na werandzie, a przed wieczorem, o godzinie 17, zabiegi: kąpiele, tusze, bicze lub polewania według schematu. Kolacja składała się ze zsiadłego mleka z odrobiną razowca albo z dwóch surowych jabłek wedle wyboru.

Przestudiowałam wszystkie opracowania księdza Kneippa, które stanowią jeden wielki elementarz sztuki wodo – i ziołoleczniczej. A że w dzieciństwie pilnie obserwowałam zabiegi wykonywane przez moją babkę i matkę przy chorych – nietrudno mi było je stosować.

Kiedy zamieszkałam w leśniczówce, już jako mężatka, pomagałam chorym mieszkańcom okolicznych wiosek. Dowiedziawszy się, że leczę ziołami, przyjeżdżali nieraz z odległych miejsc, szukając pomocy. Nie zawsze udawało się uleczyć tego, co już był skazany, ale większość przypadków wspaniale poddawała się mojemu leczeniu. Zioła zbierałam sama, dbałam o ich jakość i wierzyłam, że

przeze mnie zbierane – muszą pomóc!

Często przychodziły do mnie robotnice leśne z odbitymi dłońmi, czego nabawiły się, pracując ciężkimi motykami. Siedziała taka na ławie przed kuchnią i popłakując, odwijała przyschnięte szmaty z ropiejącej i opuchniętej dłoni. Szłam do stodoły, przetrząsałam siano i zgarniałam do garnka tak zwane prochy sienne, te z kwiatów i liści. Siano nie mogło być solone, jak to nieraz czynią gospodarze w obawie przed jego zapleśnieniem, gdy jest niedosuszone. Takie dwie garście prochów, najlepiej z łąki samosiejki, sypałam do kotła i zagotowywałam. Po lekkim przestudzeniu gara sadzałam kobietę w łazience i polecałam zanurzyć ręce po łokcie w dobrze ciepłym naparze. Całość przykrywałam płótnem, aby dłużej utrzymać ciepło, i wychodziłam, zostawiając ją zwykle płaczącą. Po piętnastu minutach wracam, a chora mówi: „Paniusiu, jakby mi bóle odeszły i mogę już palicami przebierać” – i śmieje się. Wyjmuję jej ręce z naparu i na mokre jeszcze dłonie przykładam liście z zaparzonej babki lencetowatej, okręcam lnianym płótnem, kładąc na wierzch ciepły szal. Na drugi dzień rozwijam opatrunek i widzę, że pokazuje się ropa. Robię znów dobrze ciepłą kąpiel i obserwuję zadowolenie chorej. Zabiegi trwają przez tydzień. Na dłoni pęka wielki „bajon” z ropą, więc wszystkie nieczystości wyciskam delikatnie łącznie z zielonym, twardym rdzeniem, który musi wyjść, bo inaczej leżąca na kości materia doprowadziłaby do próchnicy. Resztę przeznaczonych zabiegów wykonuje chora już sama, u siebie w domu, aż do całkowitego zagojenia rany. Idąc w niedzielę rano do kościoła, wstępuje, aby mi podziękować za wyleczenie. I to była wystarczająca zapłata. Nigdy za pomoc nie brałam pieniędzy.

Przychodzili do mnie ludzie, których słuch zawiódł i którym lekarz nie pomógł. Mimo oczyszczania ucha nie słyszeli nadal. Kiedy przez trzy dni nie pomogło choremu przykładanie kapuścianych, ukwaszonych liści z beczi, stosowałam inne leczenie. Mówiło się wtedy do chorego: „Muszę wam postawić świecę”. Układało się delikwenta na kanapie na boku i do ucha, okrytego ręcznikiem wokół, aby uniknąć podpalenia włosów, wkładało się pionowo rurkę wykonaną z lnianego płótna. (Cięło się lniane płótno na paski o szerokości dwóch palców, maczało je w stopionym wcześniej płynnym wosku pszczelim i okręcało się tym umocnionym paskiem wrzeczono zanurzone przedtem w zimnej wodzie, aby było łatwiej z niego zsunąć wykonaną rurkę. Rurka ta miała około trzydziestu centymetrów długości i była szersza u góry). Węższym końcem wkładałam ją do ucha, a szerszy podpalałam. Obieg ciepłego powietrza rozgrzewał, a powstałe podciśnienie „wysysało” zastarzałe i zaschnięte grudki woskowiny. Po takim zabiegu przykładalam do ucha chorego budzik, który głośno tykał, i pytałam, czy słyszy. Jeśli nie pierwszego, to już następnego dnia chory zwykle słyszał. Stara Wojciechowska, która była kucharką na każdym weselu w Augustowie, z radości wrzasnęła: „Pani, adyc słyszę cykanie! I co, tak już będę słyszeć zawdy?!”.

Doszłam do takiej wprawy, że i teraz mogłabym spróbować uwolnić niejednego biedaka od tego nieszczęścia, chyba że ucho jest chore (stan ropny lub uszkodzony bębenek).

Przychodzili chorzy z osłabionym wzrokiem lub ropiejącymi oczyma. Tu znów wykorzystywałam wiedzę mojej mamy. Będąc dzieckiem, podpatrzyłam, że do czystej buteleczki „setki”, wyjąłowanej w gorącym piekarniku, wrzucała aloes nabrany na koniec noża. (Były to bryłki wysuszonego soku aloesu, który kupowało się w aptece). Całość zalewała wrzątkiem do pełna. Tym zielonym płynem kazała chorym przemywać oczy będące w stanie zapalnym. Kąpiele takie zwykle skutkowały.

Często zdarzało się, że przychodziły do mnie kobiety z drzazgami pod paznokciami, których wyjąć nie mogły, a bały się lekarza i zdzierania paznokcia. (W tych czasach gospodynie wiejskie musiały chociaż raz w tygodniu szorować podłogi i wtedy przy wycieraniu desek nietrudno było o nieszczęście). Kiedy drzazga, szeroka nieraz na pół centymetra, nie dała się usunąć igłą, bo drewno było spróchniałe i kruszyło się, sadzałam kobietę przy stole, dezynfekowałam brzytwę i ręce i dotąd ścinałam powierzchnię paznokcia, aż się dostałam do drewnianka i podważywszy, usuwałam je z łatwością. Teraz przemywałam palec ziołami, kładłam na nim liście zaparzonej babki lancetowatej i owijałam lnianym płótnem. Nie pozwoliłam ruszać opatrunku przez trzy dni. Przy następnej wizycie było moczenie dłoni w wywarze z ziół i po trzech takich zabiegach posypywałam palec dermatolem, owijałam gazą i nakładałam odcięty od rękawiczki skórzany „palec”, przywiązując go w nadgarstku. Po dwóch tygodniach wyrastał nowy, zdrowy paznokieć.

Sąsiadowi, majstrowi tartacznemu, wpadło do oka lasowane wapno. Do doktora daleko, wapno pali i można stracić wzrok. Nie namyślając się długo, wylizałam je raz, drugi i trzeci śliną, potem wywinęłam górną powiekę na zapałce otoczonej watą i resztę nieczystości wypłukałam, przykładając do oka kieliszek napełniony przegotowaną wodą.

Były też poważniejsze przypadki. Kiedyś, w dniu poprzedzającym święto Trzech Króli, mąż był na zrębie przy ścinie drzewa. Zwrócił uwagę na źle wyglądającego, mizernego robotnika leśnego i na pytanie o powód zmartwienia usłyszał: trzy miesiące temu, przy wyrzucaniu obornika, jeden z chłopów zakłuł mu żonę widłami w nogę, do krwi. Zbagatelizowała całe zajście, ale już w nocy noga spuchła. Lekarz z Kozienic skierował ją do naświetlania lampą kwarcową. „Dało to tyle – skarżył się robotnik – że miesiąc temu moja stara wchodziła na furę sama, a teraz wsadza ją dwóch chłopów i jeszcze wrzeszczy wniebogłosey z bólu. Teraz lekarz przeznaczył ją do operacji i ma jej odjąć nogę do kolana. Dałbym krowę, aby tylko kobita miała nogę, bo jak se poradzi z dzieckami, a jak z obrządkiem?”

Na drugi dzień pojechałam do nich z Jankiem saniami. Kazałam wyszorować

sagan, nasypałam przywiezionych przeze mnie prochów siennych ze skrzypem, zagotowałam je i po schłodzeniu w śniegu przed chałupą postawiliśmy go przy łóżku. Teraz dopiero zobaczyłam chorą nogę. Była sina jak wątroba aż do kolana i rozsadzona tak, że żadnej kości nie można się było dopatrzeć. Jak zwykle przed zabiegiem przeżegnałam się. Nogę włożyliśmy do dobrze ciepłego naparu. Całość okryłam derkami, aby utrzymać ciepło, i pół godziny czekam. Chora rozgadała się: „Już śmierci sobie życzę, tak cierpię. Przez te ostatnie osiemnaście dni nie spałam wcale. Krzyczę i budzę wszystkich, tak noga rwie”. Wiem, że mówiła prawdę. Już w krótkim czasie poczuła ulgę i ochotę do spania. Po wymoczeniu nogi rozłożyłam na łóżku ceratę zdjętą ze stołu, na to położyłam chodnik z gałganów (które wiejskie kobiety tkają z różnych starych materiałów), prześcieradło grube, lniane, i jeszcze jedno zamoczone w odwarze babki i skrzypu. Nogę owinęłam tym opatrunkiem szczelnie aż do biodra, nakryłam pierzyną i obiecałam przyjeżdżać przez tydzień. Już po trzech dniach kobieta mogła spać w nocy, a po tygodniu otworzyła się w pięcie rana, przez którą za każdym okładem wydobywała się ogromna ilość nieczystości. To oczyszczanie trwało przez miesiąc. Potem rana zagoiła się.

Jakie było nasze zdziwienie, kiedy w lipcu, na żniwa, przyszła Ślażyńska do odbierania zboża, uśmiechnięta i szczęśliwa. Przeżywałam z nią razem to szczęście i dziękowałam księdzu Kneippowi za dobre rady. Uśmieśliśmy się szczerze z mężem, bo obiecaną krowy nie widzieliśmy na oczy.

Innym razem jeździłam do leśniczyny Flackowej na Brzeźniczkę. Jej matka, krępa i silna kobieta, leżała w wysokiej gorączce, a pastylki dane przez lekarzy z Radomia i Krakowa nie pomagały. Podobno zaziębiła się, kosząc trzciny na stawie i stojąc parę godzin w wodzie. Znów nie dałam umrzeć następnej chorej. Przez tydzień owijałam ją prześcieradłem lnianym zamoczonym w gorącym odwarze ze słomy owsianej, po którego zdjęciu omywałam ciało zimną wodą z octem. Stara Flackowa przeżyła zięcia i córkę.

Gdy gajowemu Wąchockiemu zachorowała dwuletnia wnuczka (starsza, mając te same objawy, zmarła poprzedniego roku), wezwano mnie na ratunek. Po sprawdzeniu, czy nie jest to atak wyrostka robaczkowego, dałam dziecku „okienko” czekoladki na przeczyszczenie i kompresami z zimnej wody spędzałam wysoką gorączkę. Po dwóch godzinach mała „pozbyła się” pestek z czereśni, które podobno popiła surowym mlekiem. Ot i cała choroba, i nie wiadomo, czy poprzedni przypadek nie był identyczny. Po osiemnastu latach byłam na jej weselu.

Miałam bardzo wiele przypadków wyleczenia tak zwanych zastrzałów, które nieleczone prowadzą do gangreny i w konsekwencji amputowania chorych palców do pierwszego stawu. Ratowałam tych biedaków kąpielami rąk aż do łokcia w naparze babki i skrzypu. Tylko w przypadkach, w których interwencja lekarza była nieodzowna, bo potrzebne było zszycie skóry i podanie zastrzyku przeciwwężcowego – odsyłałam chorego do ambulatorium.

Pewnego wieczoru wezwał mnie mąż doktor Cybulskiej, abym zastosowała moje leczenie w przypadku jej dolegliwości gastrycznych. Niedowierzająca już lekarzom, oddała się w moje ręce – bacznie tylko obserwując wszystkie poczynania. Po zbadaniu, ustaliłam dietę i sama gotowałam jej różne posiłki. Robiłam omywania według księdza Kneippa i podawałam na dwie godziny przed jedzeniem po 5 kropli nalewki z arniki (w większej dawce jest to trucizna). Po tygodniu pani doktor poczuła się na tyle dobrze, że nie byłam jej już potrzebna.

Śmieszny i zarazem odważny zabieg przeprowadziłam podczas wojny na Jędrku, naszym parobku. Mieszając bez rękawicy ospę z ziemniakami (paszę dla koni) w wiadrze polewanym, nieco obitym – wpakował sobie trójkątną drzazgę z polewy pod paznokcie, która wyszła opuszką palca. Wolał – jak powiedział – zdychać niż poddać się zabiegowi. Klnąc, poszedł do stodoły. Wrócił jednak po paru godzinach i wypowiedział jedno ważne słowo: „Ciąć!” Zdezynfekowałam brzytwę (żyletek jeszcze nie było) i wzięwszy odpowiedni kąt ułożenia drzazgi – pociągnęłam. Zaskrzypiało po polewie, trysnęła krew. i znów nie widzieliśmy Jędrka ze dwie godziny. Kiedy stanął za oknem i rozchylając ranę kazał, „lać”, wzięłam przygotowaną już kwartę przegotowanej wody z łyżeczką jodiny i polewając ranę, wypłukałam zadrę. Ścisnęłam ranę, obłożyłam surowym liściem aloesu, który uprzednio przecięłam, i całość owinęłam lnianym płótnem tkanym w domu. Nie zdjęliśmy opatrunku, aż rana się zagoiła. I tak obyło się jeszcze raz bez lekarza.

Pewnego dnia Janek wrócił z pracy z objawami grypy. Musiał być zdrowy następnego dnia, ponieważ w nadleśnictwie miała odbyć się sesja z leśniczymi i gajowymi. Tego dnia była „ponowa”, to znaczy spadł świeży śnieg przy plusowej temperaturze. Zaryzykowałam więc i namówiłam go, aby pochodził po nim boso przez jedną minutę i wrócił do zagrzanego łóżka. Janek zrobił jeszcze coś więcej. Zdjął kozuch i piżamę i goły wytarzał się w zaspach śnieżnych, a na największej przejechał na plecach, odpychając się piętami. Gdy był już w łóżku, podałam mu szklankę „krupniku” z wódki, masła, pieprzu i miodu. Otulony po nos spał do rana, pocąc się. Gdy rano brał prysznic, zobaczyłam jego poorane plecy, od siedzenia aż po kark. Okazało się, że ta największa zaspą ukrywała wyrzuconą po świętach choinkę.

Innym razem, otworzywszy wierzeje stodoły, młynkował zboże. Ponieważ był spocony, przeciąg spowodował, że wrócił do domu skrzywiony w kręgosłupie, ledwie się poruszając. Przyjechało pogotowie – czyli bryczka konna, do której wsadzono go pomiędzy dwa siedzenia. Leżał w szpitalu miesiąc. Stosowano blokady i zastrzyki, bez wyraźnego rezultatu. Po powrocie do domu przystąpiłam do leczenia metodami Kneippa. Do beczki po żywicy, która stała pod dachem drwalni, wypełniona po brzegi deszczówką, wchodził goły, choć na powierzchni leżała tafla cienkiego lodu, i zanurzał się po piersi licząc „121, 122, 123” (tak jak

przy rzucie granatem). Potem wyskakiwał z beczki, okrywał się futrem i wkładał wołokowe walonki i futrzaną czapkę.

W łóżku otulony pierzyną rozgrzewał się momentalnie i miał podobno wrażenie ogromnej lekkości, jakby unosił się pod sufitem. Po tygodniu doszedł zupełnie do zdrowia.

Na czym innym polegało cierpienie wiejskiej kobiety o nazwisku Bębeniec, która wywieziona przez Niemców na roboty, bosko kopała rowy w gliniastej, grząskiej ziemi. W grudniu, kiedy nogi były przemarznięte i obrzmiałe, zwolniono ją do domu. Trafiła do szpitala, gdzie przeleżała pół roku i wyszła o kulach. Gdy ją odwiedziłam, sama nie potrafiła unieść się na łóżku. Nogi były opuchnięte i czerwone. Przystąpiłam do działania. Co drugi dzień brała kąpiele w drewnianej beczce, wypełnionej na metr wywarem z siana, rozchodnika i macierzanki. W ciepłym naparze stała tak o kulach za każdym razem przez piętnaście minut. Trwały te zabiegi przez dwa tygodnie. Piła skrzyp, miętę, szałwię i krwawnik. Po trzech tygodniach usiadła po raz pierwszy na łóżku. Powróciła nadzieja i apetyt. Jeszcze przez pół roku stosowała kąpiele dwa razy w tygodniu. Potem pozostała tylko przy polewaniu zimną wodą z konewki stojąc w balii, według schematu. Po trzech miesiącach ta kobieta przyszła do mnie o lasce dziękować. Mówiła ze łzami w oczach o swoim „cudownym uzdrowieniu”. Kiedy pod kościołem przed mszą zobaczył ją doktor Z., który leczył ją w szpitalu, zaskoczony spytał: „Któż to panią wyleczył?”. „Dobrzy ludzie – odpowiedziała. – Już mi teraz i laseczka niepotrzebna!”.

Pewnej niedzieli przyjechała do mnie chora kobieta spod Kozienic. Miała na nogach osiemnaście ropiejących ran. Zastosowałam kąpiele ziołowe i po nich natychmiastowe polewania zimną wodą. Do wewnątrz również zioła na oczyszczenie krwi. Na noc nogi owijane były kompresami z babki. „Uprzedzona” przez księdza Kneippa wiedziałam, że po tygodniu na ciele ukażą się wrzody. I tak się stało. Na owrzdzone plecy zakładałam jej koszulę lnianą, specjalnie uszytą, z długimi rękawami i aż do stóp. Była ona zamaczana w odwarze z prochów siennych, zakładana na gołe ciało. Dla ciepła okrywałam kobietę kocami i pierzyną. Po tygodniu ciało goiło się już pod dermatolem, a nogi również pokryły się nową skórą. Leczenie trwało pół roku, ale zakończone zostało pomyślnie.

Co do leczenia ludzi obecnie – nie czuję się tak pewnie. Kiedyś, jak przyszedł chłop i miał wrzód, to był to wrzód, jak odbite ciało, to odbite... Wtedy umiałam leczyć... teraz są inne choroby.

Nie tylko ludzi leczyłam, ale i zwierzęta, jeżeli zaszła taka potrzeba. Kiedyś przybiegł do mnie Jurek Warchoł, wołając o pomoc, bo krowa jego ojca udławiła się jabłkiem i ledwo oddycha. Na podwórzu zastałam ją leżącą, przy niej kilku bezradnych gospodarzy, a sam Warchoł, podłożywszy krowie pod gardło pniak, zamierzał się obuchem siekiery, aby to jabłko rozgnieść. Powstrzymałam go

jeszcze i zażądałam przyrządu drewnianego, który był w każdym obejściu. Dzięki umieszczeniu go między szczękami zwierzęcia, można było wlewać lekarstwo czy włożyć rękę. Posmarowałam olejem rękę aż do ramienia, zanurzyłam ją w gardzieli po łokieć i szczęśliwie natrafiłam na jabłko odwrócone do mnie ogonkiem. Chwyciłam je paznokciami i pomagając sobie od zewnątrz drugą ręką, pomału przesuwając je do góry. Krowa, przelękając ślinę, zaciskała moją rękę aż do bólu i drętwienia, ale operacja się udała. Cały tydzień potem miałam rękę zasinioną, ale krowa została uratowana. To, co chciał gospodarz rozbić – to nie było jabłko a tchawica.

Innym razem sąsiadka nasza, Okowa, przybiegła mówiąc, że weterynarz Rogulski pojechał po przyrząd do pocięcia cielaka w krowie, bo ta go sama nie urodzi. Pobiegłam. Zastaję dwu mężczyzn, bezskutecznie ciągnących cielaka za przednie nóżki, do których przywiązano grube postronki. I znów po naoliwieniu ręki badam, gdzie znajduje się główka cielaka. Okazało się, że przy tym niezręcznym wyciąganiu wpadła pomiędzy nóżki i cielę zostałyby przyduszone. Wołam o sznurek lniany, z którego robię pętelkę. Dostaję się ręką do środka, układam główkę cielęcia na nóżkach tak, jak się zwykle cielę rodzi, i na ząbki dolnej szczęki zakładam pętlę na oślep, na wycucie. Prowadzę całość, lekko pociągając za sznurek. Mężczyźni ciągną za przednie nogi. Wreszcie zdrowe cielętko jest już na zewnątrz. Dmuchałam mu w otwartą gębkę, upewniając się, że żyje. W bramie ukazał się weterynarz ze swym śmiertcionośnym narzędziem. „Chleb mi pani odbiera” – mówi, śmiejąc się. „Ano, udało się i tym razem, bo mam szcuplejszą rękę, ot i cała filozofia” – odpowiadam.

W swoim gospodarstwie robiłam zastrzyki w trakcie różnych chorób inwentarza, szczepiłam prosięta, kastrowałam je, hodowałam już od stycznia kurczęta, przetrzymując jaja w przeze mnie skonstruowanym inkubatorze, a potem pod lampą kwarcową. Inaczej nie mogłyby dorastać zimą, ponieważ kurniki były zimne.

Gdy kurczęta wylęgły się, podawałam każdemu sproszkowany węgiel drzewny dla zlikwidowania nadkwasoty. Karmiłam siekanym jajkiem lub jajkiem przesmażonym na patelni z mlekiem. W miseczkach podawałam piasek i tartą cegłę dla odkwaszenia wola, a do poidła poza wodą nalewałam specjalny środek przeciw bigunce. Na gwoździach nad podłogą wieszałam bukiety suszonej pokrzywy, aby kurczaki zimą zażywały ruchu, podskakując i skubiąc liście, które również były lecznicze.

Kiedyś zdechło mi jedno z dwu prosiąt półrocznych. Weterynarz stwierdził gripę i kazał parobkowi zakopać je na metr głęboko. Wiedziona ciekawością i instynktem, odkopałam zdechłe prosię i przecinając gardło, potwierdziłam moje przypuszczenia. W gardle tkwił cały kłęb glistnic, które je udusiły. Wcześniej prosię zgrzytało zębami. (Taki objaw u dzieci również wskazuje na obecność



robaków w przewodzie pokarmowym). Gdy udowodniłam weterynarzowi jego pomyłkę, powiedział: „Szkoda, że nie została pani lekarzem weterynarii, byłby z pani dobry kumpel”.

## Nowa służba w gospodarstwie

Nadeszła wiosna i znów przybyło do domu troje nowych ludzi. Potrzebowali pracy i dachu nad głową. Najpierw Janek przyjął piętnastoletnią dziewczynę do plewienia. Była to Zosia Biskupska z Dankowa, zapóźniona w rozwoju, pochodząca z biednej rodziny.

Zgłosił się również chłopak, może trzydziestoletni, Jędrrek, i wreszcie czterdziestoletni chłop, Aleksander. Z tym był prawdziwy „humor i satyra”. Ale po kolei...

Rano słyszę ujadanie psów i trzask furtki wychodzącej na las. Patrząc przez oszklone drzwi stołowego i widzę, jak ścieżką idzie jakiś zwalisty chłop z potężnym węzełkiem zawieszonym na lasce opartej na ramieniu. Otwiera drzwi i bez pukania pakuje się do środka. Kładzie swój tobołek na obrusie i mówi do mnie: „A to mi przysłał tu taki jeden i pedział, co ni majom pastuchy. Laksynder mi na krzcie dali”. Za chwilę zwraca się znowu do mnie, rozkładając jakiś brudny łach. „Przodziu, z ty kamzeli da mi paniusia łaty na te portki, na kolanach i pod pachamy. Trza tyż klina wszyć, bom przygrubiał, a z tych starych portek dać rozszywki do tych jasnych, bo tyż przyciasne”. Na to weszła babcia Frania. Jak zobaczyła te szmaty na obrusie, to Laksynder jeszcze prędzej niż wszedł, znalazł się za drzwiami, a za nim posypały się „kamzele” i przyciasne portki. Usiadł biedak na trawie i składał wszystko pieczołowicie, wygładzał rękami i wiązał w płachtę, łypiąc na drzwi jednym okiem, bo drugie miał kose. Teraz zobaczyłam jego bose stopy, każda z nich miała po sześć palców. Ohyda! A oprócz tego rzadka rudawa broda i olbrzymi brzuch. Przyjechał Janek z lasu, przyjrzał mu się, ustalił zapłatę i pokazał w stajni wyrko do spania. Laksynder został u nas na cały długi rok.

Kolejny nabytek – Jędrrek, któremu patrzył z oczu niejeden wyrok – również został przyjęty przez męża, ponieważ Kazik okazał się za słaby do pracy w polu. Przybyły nam więc jeszcze trzy gęby do jedzenia. Ach, Jędrrek i Zośka, nawet służąca i baba, ta od kołowrotka – to była pestka, jedli jakoś po ludzku, normalnie, za to Laksynder – to był wór bez dna.

Najlepszą scenę mieliśmy co rano, ale to trzeba było wejść wtedy do kuchni i samemu widzieć, Na progu pod drzwiami od stołowego odmawiała różaniec baba od przedzenia i bił a się w suche piersi aż dudniło, na drugim progu od wejścia klęczał Laksynder i coś tam mamrotał po swojemu, a na środku kuchni Zośka mówiła pacierz, którego nie umiała. Rozbrajające. Ponieważ nie była jeszcze u komunii, pojechałam na wiosnę do proboszcza, przeds tawiłam cała sprawę, że niedorozwinięta służy u nas, czy ją mam przygotować do pierwszej spowiedzi, czy z tego zrezygnować. „Tak – powiedział proboszcz – jest to nawet pani obowiązek, skoro dziewczyna jest teraz pod pani opieką”. Uczylałam, ale szło to jak z kamienia. Nawet pacierz brzmiał pociesznie: kiedy nastąpić miają... „Święta Mario, Matko

Boża”, ona mówiła: „Święta Mario, łaskiś pełna”... i tak bez końca. A grzechy główne to były takie: „Pirse, nie bedzies miół, drugie, nie bedzies broł, bedzies miłował Pana, Amen”. Jeśli mąż był w pobliżu, patrzyła na niego i uśmiechała się, bo go sobie kojarzyła z Panem Bogiem, wiedząc, że trzeba na niego mówić „pan”.

I z taką wiedzą duchową zabrałam Zośkę najpierw do pierwszej spowiedzi, a na drugi dzień do komunii, wymyła, w białej sukience, pończochach, w wianuszkach uwitym z żywych kwiatów i z wielką świecą. Odbyła się uroczystość, która pewnie zrobiła na niej wielkie wrażenie, bo ciągle o tym opowiadała, klękała w kuchni i pokazywała język jak do komunii.

Aleksandra Janek przyjął do służby, bo nie miał kto paść bydła, a gospodarstwo się powiększyło. Było teraz dziewięć krów, nie licząc jałowizny i cieląt, a i owiec spore stado – może kilkadziesiąt. Kobieta wynajmowana na całą zimę przędła najpierw len, a później wełnę.

Tego roku nadeszła wiosna wcześniej niż zwykle. Omgłona o poranku i przekrapiana często ciepłym deszczem sprawiła, że wkrótce pokazała się ruń na rowach, ugorkach i polanach leśnych, tak że bydłatka mogły już poskubać soczystej trawy do woli. Kiedy zasmakowały w zielonej paszy – brały w oborze siano czy seradelę pod nogi i ryczały przeciągle już od świtu, kierując wielkie gały w stronę drzwi, za którymi czuły wyraźnie wiosnę – a z nią wolność. Dlatego to Aleksander miał zapowiedziane wczesne wyganianie stada z obór.

Gdy tylko wzeszło słońce, schodziła się służba do kuchni i po rannych pacierzach siadali wszyscy na ławie, a mała Zośka gęsiarka sadowiła się na wysokim progu w sionce i odpędzając łyżką uprzykrzone kury – przedmuchiwała z uwagą parujące ziemniaki – jedząc powoli. Na stole ziemniaki kurzyły na miskach, suto okraszone, i żur zabielały, a pośrodku, jak wielki przetak, leżał bochen razowego chleba.

Po śniadaniu rozchodzili się wszyscy do swoich zajęć, tylko jeden Laksynder zostawał przy stole nieco dłużej. Jego miska na ziemniaki i zupę była głębsza od innych, miał więc zawsze większą porcję, ale i tak wypijał najpierw żur, a potem oglądając się na parujący saganek na kuchni, rzucał z wymówką, wskazując na niedojedzone w misce ziemniaki: „Same źmioki będę jod?”. Była więc dolewka, potem kromka chleba z serem do kieszeni na drugie śniadanie i wreszcie Laksynder, opasawszy się paskiem, zapinał go na ostatnią dziurkę, co świadczyło o pełnym żołądku. (Zośka mówiła, że kiedy jest głodny, to robi sobie zakładkę ze skóry na brzuchu i przyciska ją pasem, a po jedzeniu już fałdy nie ma). Był ciągle nienasycony i wiecznie ruszający ustami, bo w polu i groch niedojrzały był dla niego dobry, i bób, i kukurydza.

Szedł teraz do obory i spuszczał krowy z łańcuchów, które już w drzwiach mało się nie pozabijały, pędząc do koryta z wodą ciepłą i nagrzaną słońcem. Studnia, budowana wraz z leśniczówką jeszcze za Austriaków, miała cembrowinę

drewnianą, zrobioną z grubych, dębowych bali. Wodę z niej ciągnęło się żurawiem, którego skrzywienie, podobne do kląngoru lecących żurawi, słyhać było już z dala od domu. Nikt nie pobłądził, bo ten żuraw go prowadził i ujadające psy.

Ale oto i krowy napojone ustawiają się same za najstarszą i najmądrzejszą. Nazwaliśmy ją Bamboszka, bo miała czarne, lśniące nogi „obute w białe buciki”, jak w ciepłe bambosze. Była to krowa podstępna i przebiegła; robiła w polu wiele szkód, kiedy tak nieraz wypadła sama z obory, niezauważona. Potrafiła na przykład iść grządką ziemniaków – jak dobre radło – wyorywać je i miażdżyć w pysku tak szybko, że tylko piana spływała z głębuli... Silna, rasowa, doskonale umięśniona, siała panikę wśród stada, bo często bodła boleśnie te, co jej nie słuchały lub uprzedzały ją w jedzeniu.

Nareszcie brama otwarta. Bamboszka z głośnym rykiem wypada na drogę zadarłszy ogon, potrąca potężnym cielskim słup od wrót, który często uderzany grozi upadkiem. Stado pędzi przed siebie, ledwie już widoczne w tumanie kurzu. Łby rogate wskazują na kierunek biegu – prosto na pole buraczane. Z daleka słyhać jeszcze rozpaczliwe beczenie owiec-matek, które zwolują pogubione jagnięta. Laksynder klnie z ruska, wygraża kijem i, glimiąc uskubany chleb z kieszeni, kołysze się powoli na swych dziwnych nogach.

Innym razem, wyszedł po śniadaniu syty i zadowolony. Właśnie Andrzejowa wysypywała z saganów do koryta świeżo uparowane ziemniaki z burakami pastewnymi. Poszła jeszcze po chwast i ospę, kiedy ten, zaintrygowany, stanął na szeroko rozstawionych nogach i pochylony – zaczął przegrzebywać patykiem parujące ziemniaki. „Cosiś mi się tu zabielało” – powiedział do nadchodzącej dziewczki, po czym odgrzebał dwa małe prosięta, które uduszone przez matkę tej nocy, zostały uparowane dla drobiu. Nie namyślając się, zaczął je wyciągać, klnąc, bo były gorące, położył na desce obok dorodnego pastewnego buraka i ciężko siadł na progu. Wziął deskę na kolana, otworzył kozik z czerwoną rączką i zaczęła się uczta. Dzielenie, krajanie, mlaskanie. Psy gryzą się o kostki, które rzuca od czasu do czasu pańskim gestem, mówiąc: „Mata!”. Kury ciągną po trawie flaczki. Wreszcie syty aż do zamroczenia przegryza jeszcze mięsiwo słodkim burakiem, na co Zośka pluje po kątach. A i mnie robi się mdło.

Koniec. Wlecze się, trzymając brzuch w obu rękach, i pada na siano w stodole. W stanie takiego „upojenia” nie ma mowy o wygonieniu krów do lasu czy rąbaniu drzewa.

Chłop po półrocznym pobycie u nas, jedząc regularnie i do syta, „wybrał się”, jak mawiała Zośka, „galancie”, utył i wyglądał jak „ćwik” (czerwony burak). Niekiedy potrafił nawet podnieść głos na Andrzejową, a miał taki śmieszny dyszkancik jak młody kogut, bo sam był cały niewydarzony. Pasąc krowy, chodził w zdobycznym szynelu, w którym również sypiał. Szynel nie chciał się już dopinać, więc opasywał go powrósem ze słomy przez siebie uplecionym, cienkim

i mocnym.

Pyta go kiedyś Zośka: „Jak was w domu wołają?”. A on na to: „Na krzacie dali mi Laksynder – to jakże majom wołać. Drugi brat był Jambroży i tyż tak go wołali, dopóki nie pomar. A jeste inszy, tyn najstarszy, tyn pojechał za morze do Hameryki i sia, nic o nim nie wiadomo. Abeło mu Józwa. Beł i Kaźmirz, beła i Ulisia, ale kiej poszła na świntego Jana do rzeki w taki goronc okrutny – tak i nie wróciła, musi utonyła. A Kaśka, huncwot dzieucha, ma bachora, znajde. Jes i Werónka – tu ściszył głos – ale urodna, ma nad czołym postawiono z warkocy korone złocistom, jak ze słomy, a i niebieściuchne ocy. Piękna dzieucha. Ta kciała być dychtórko, lebo i ucycielkom. Ale nie wim, co u ni, bo starzy ciągiem dunderowali nade mnom, co dużo jim. A tu sie tyła ji, ile potrza lo brzucha. To zem i posed we świat”.

Do leśniczówki często przychodzili partyzanci napić się mleka czy coś zjeść. Pewnej niedzieli zjawili się w kilkunastu, nie chcieli tym razem nic oprócz taboretu, bo kolega fryzjer będzie ich golił i strzygł. Kolejno siadali na stołku i wstawiali odmienieni i odmłodzeni. Szli potem pod studnię się myć.

Golenie odbywało się na dworze, pod kuchennym oknem. Widzę, że namawiają na coś naszego Aleksandra, który do tej pory stał pod płotem i wypiąwszy brzuch, strzykał śliną na powiększający się materac z włosów. Wreszcie kiwnął głową i zasiadł na taborecie. Obcięto mu czuprynę „na piasta” i wziął się teraz golarz za tę rzadziutką bródkę, a kiedy ogolił ją do połowy, uczynił się nagle popłoch i krzyk, że Niemcy idą. Zostawili więc chłopca z na pół ogoloną twarzą i uciekli w las, zaśmiewając się w kułak ze swego dowcipu.

Laksynder odszedł od nas i pociągnął z partyzantami. Pasterką była teraz Zośka.

## Huragan

Tego dnia, kiedy rano stanęłam przy oknie – mignęła mi skromna postać inspektora Naksjanowicza, który drobnym kroczeniem, z torbą przewieszoną przez ramię i ze składanym stołeczkiem służącym do polowań, zdążył nad jeziorko. Zjechał do nas na parę dni. Ranny ptaszek, myślę sobie, pewnie poczuł wenę. Przyznaję, że zawsze z przyjemnością oglądaliśmy te jego nieśmiałe próbki pejzaży, subtelne i delikatne, które później w domu wykańczał – ten leśnik z prawdziwego zdarzenia i artysta malarz z łaski Bożej.

Już poprzedniego dnia można było zauważyć, że słońce krwawo zachodziło, a smugi pierzastych obłoków wlokły się ciężko podbite purpurą. I kury poszły spać wcześniej. Pod wieczór namaszczały pióra tłuszczem, który nabierały dziobem z własnego kupra – co wróży rychłą słotę. Całe stada wron rozkrzyczanych ciągnęły do lasu – co czynią zwykle przed deszczem. Rosy nie było na trawie i ta cisza wielka, co zawisała w powietrzu – nie zapowiadała niczego dobrego. Pomimo tych niepokojących oznak wybieramy się na łąki pod Pękowiec, obok bunkrów. Zabieramy również krowy, żeby się w rzece ochłodziły i wykapały, bo przez te upalne dni bąki i muchy nie dawały im spokoju.

Po śniadaniu więc założył Jędrrek konie do bryczki wysłanej sianem, dzieci uśmiechnięte przekomarzają się ze sobą, przekrzykując nawzajem. Koszyk z wiktuałami stoi przy furmanie. Dzisiaj ja nim jestem, żeby się nas więcej pomieściło, bo i babcia Frania, jako że lubi spacerować końmi, wyraziła chęć jazdy. Obok niej siedzi mała Basia, moja siostrzenica z Włoszczowy. Nie wspomniałam jeszcze o chłopcu Niemcu, którego kobieta handlująca nićmi, igłami i różnymi drobiazgami zabrała z Częstochowy, jako że: „Sierota, biedne to i zagłodzone, może u państwa przetrzyma najgorszy czas”. Owszem, chłopak miły, ale zarażony świerzbem. Trzeba było wykapać, odwszyć i leczyć. Pojechałam specjalnie do Włoszczowy, zakupiłam w aptece lek i doprowadziłam chłopca do porządku.

Teraz właśnie siedzi w tyle bryczki, rozgląda się, a że nie zna polskiego języka – coś tam bąka pod nosem. Widząc pszczołę, która usiadła mu na koszuli, uśmiechnięty głaszcze się po brzuchu i zamykając oczy, szepcze: „Biene” (pszczoła), „Hönig”! (miód). Siadamy do bryczki, żegnamy się z Jankiem i z inspektorem-malarzem i machamy długo na pożegnanie.

Na razie piaszczysta droga, więc jedziemy wolno. W powietrzu cisza i jeszcze chłodno, jak to z rana bywa. Żaden listek nie drgnie. Będzie upał. Zośka pasterka wypędza bydło z obory i doganiając nas, siada przy Niemczyku. Mijamy pole i wjeżdżamy w las. Krowy podążają tuż-tuż za wozem i mają coś w oślinionych gębulach. Droga dość daleka, będzie może z pięć kilometrów, czas mija, dzieci skaczą po sianie na dnie bryczki i ze śmiechem chrupią papierówki.

Zjeżdżamy z górki na olbrzymią łąkę. Tutaj wyprzegam konie i pętam je.

Z lasu powoli wychodzą krowy. W tumanie kurzu prześwietlonego słońcem widać tylko unoszone do góry potężne rogate łby i łzawe ślepia. Po chwili słychać pisk dzieci chlapiących się przy brzegu rzeczki i głośne siorbanie spragnionego bydła. Nareszcie chwila odpoczynku, bo macocha ofiarowała się przypilnować dzieci.

Leżę na wznak na trawie, zapatrzona w płynące chmury, jest we mnie cisza, ukojenie i myśli dalekie od grozy wojennej. Chyba się nawet zdrzemnęłam, ale głośny krzyk wnet stawia mnie na nogi. To Maciusiowi przyczepiła się do pięty czarna pijawka, których tu wiele w stojących zakolach rzecznych. Uwalniam dziecko od „krwiopijcy”, karmię i poję całą gromadkę, podając kanapki. Z nadbrzeżnych szuwarów wypędzam oddalone konie i przypadkiem spoglądam w niebo. Struchlałam.

Nad lasem szary pas jak ława. Ni to chmura, ni to kurz, szybko podnosi się do góry i przesłania słoneczne niebo. Krzyczę wniebogłosy: „Spędzać krowy, jedziemy do domu!”. Szybko zakładam opierające się konie, bo żrebak jeszcze stoi w wodzie, wsadzam na bryczkę również opierające się dzieci i kiedy wszyscy na miejscach – podcinam konie i wyjeżdżamy z łąki w las. Na razie nic. Cisza, jak przed czterema godzinami. Ale widzę, że stada ptactwa mijają nas w płochliwym locie. Dojeżdżamy do lasu sosnowego. W tym momencie uderza w niego olbrzymi podmuch o tak niebywałej sile, że drzewa pochylają się, wydając złowrogi trzask. Pędzimy. Po chwili wichura rozpełtała się na dobre. Pierwsze krople deszczu tną jak bicze. Mija nas rozhukane stado krów, a barany nie nadążając – beczą przeraźliwie. W lesie słychać trzask łamanych wichrem gałęzi, jakby z jękiem pękały struny. To wszystko dzieje się za nami. Konie tulą uszy i same przechodzą w galop. Bryczka skacze po korzeniach, kolebie się na boki. Oby tylko coś w niej nie pękło. Na dzieci zarzucam derkę, bo zaczyna lać.

Nagle w oślepiającej błyskawicy widzę padające za nami z hukiem drzewa. Burza przybiera na sile, a my pędzimy, prosząc Boga, aby tylko zdążyć wyjechać z walącego się lasu. Co chwilę oglądam się i widzę za sobą most z poukładanych kolosów. Konie rwą jak szalone, boją się, czy wytrzymają popręgi i lejce. Woda gnana wichrem chlusta nam w oczy i zalewa usta. Zośka z tyłu wyje, a ja czuję serce jak ścinięte w garści. Przecież odpowiadam nie tylko za swoje, ale i za cudze dzieci. Jeszcze pół kilometra i wreszcie kończy się stary las. Wyjeżdżamy w młodnik. Z lękiem znów patrzę za siebie. Pusto. Nie ma lasu. Jest pomost poukładany równo z tych stuletnich olbrzymów – sosen, czego najlepszy drwal nie dokonałby lepiej. To już nie deszcz, to oberwanie chmury. Woda wprost przytłacza. Widno od błyskawic. Grzmoty przewalają się nad pobojuwiskiem, gdzie strzaskane sosny leżą pokotem. Konie nie zwalniają, ale rozpędzone w galopie i wyciągnięte jak struny, podobne do jakichś nieziemskich zjaw, pokonują ostatni kilometr. Wicher nie ustaje. Wpadamy na podwórze, zahaczając o słup bramy, której połowę wleczone za sobą. Janek z panem Naksjanowiczem

wybiegają z domu. Pan inspektor przytrzymuje za pyski drżące ze strachu konie, które biją kopytami, o mało nóg nie połamią, zaplątane w przywleczony płot. Janek chwytając dzieci i niesie do domu. Ja pomagam wystraszonej (pierwszy raz) macosze i biegnę do domu z płaczącą i ociekającą wodą Basiunią. Pioruny biją nadal, naokoło leśniczówki też walą się drzewa. Jest prawie ciemno.

Po dwóch godzinach, a jest dopiero trzecia po południu, wiatr uspokaja się powoli i pod wieczór znów świeci słońce. Wychodzimy na podwórze rozejrzeć się. Janek opowiada, że kiedy zdjął orczyki koniom i chciał je zaprowadzić do stajni, popędziły same i stanęły przed zamkniętymi drzwiami. Gdy próbował je otworzyć, wichur przygniółł go nimi do ściany. Ledwo uszedł z życiem. Teraz w oborze Kazik z Zośką i Niemczykiem wycierali do sucha rozdygotane krowy i naścielali słomy, żeby bydło wyschło. Na podwórzu leżało kilka sztuk drobiu, które nie zdążyły schronić się pod dach, bo również drzwi od kurnika wichur zatrasnęła.

Kłęsk było wiele; rozwalone płoty, dachy uszkodzone, podmyta i zawalona piwnica z ziemniakami. Biedny Szary ze swoją budą wyjechał na środek podwórza. W sadzie niektóre drzewa wywalone z korzeniami, a za stodołą odsłoniło się niebo, nie ma lasu. Z dwudziestu dwóch dębów dwustuletnich zostało tylko jednaście. Bóg strzegł, że ta trąba powietrzna szła od południa, bo gdyby z zachodu, grube dęby upadłyby na nasz dom. Niektóre z nich wichur złamał w połowie – jak zapalki.

Tego dnia wybraliśmy się do zwałonego lasu. Szliśmy ponad kilometr jak po moście. W podwórzu mieliśmy kłopot ze studnią, bo woda podmyła drewnianą cembrownię i wszystko zawaliło się do wewnątrz. Trzeba było dowozić wodę ze Studzianek.



## Nie pamiętam pana

Jesień 1944 roku nadeszła słoneczna i ciepła. Coraz pomyślniejsze wieści z frontu rokują rychłe zakończenie okrutnej wojny. Tereny uwolnione ożywają, ludzie odbudowują zniszczone i spalone osiedla, orzą i sieją oziminy i choć głód dokucza, radość dodaje skrzydeł, że wróg pokonany wreszcie. Otwierają się więzienia, oflagi, wygłodzone szkielety ludzkie wracają do swoich. Pani Kobyłecka zabiera dzieci, bo mąż uwolniony z obozu i jest już w Warszawie.

Pewnego popołudnia przyjeżdża bryczką jakiś pan, elegancki, dość przystojny i pyta służącą o nas. Pies Trop łąsi się do niego i idzie przy nodze. Obserwuję go przez okno, ale nie przypominam sobie, żebym go znała. Janek wychodzi naprzeciw i zaprasza do mieszkania. Po przywitaniu gość przygląda mi się badawczo, żartuje z dziećmi i oświadcza, że mnie zna od dawna.

Odparłam: „Nie pamiętam pana”. Zjawia się gajowy i wychodzi z Jankiem przed dom. Wtedy nieznajomy mówi do mnie pospiesznie, że nazywa się Stanisław Konarski, był partyzantem, który zawsze na dźwięk *Toski* przychodził z lasu pośpiewać i popatrzeć na mnie. „Proszę sobie przypomnieć przyjęcie i bal u mojego ojca, kiedy byłem w podchorążówce, a pani, wtedy młoda, szesnastoletnia panna, przyjechała do nas z rodzicami. Tak, to ja. Ten sam Stach, który z panią tańczył tego wieczora i tak wiele obiecywał sobie po tej znajomości. Niestety – nie czekała pani na mnie, a może nie przeczuwała, że byłem tak zakochany, może utrudniała mi bliższą znajomość moja wrodzona nieśmiałość? Stało się. Zabrał mi panią. Przyjechałem zobaczyć, czy w tym domu gości szczęście”. Rozmowa się przerwała, bo wszedł Janek. Byłam jak ogłuszona. Stach pożegnał się i odjechał.

(Kiedy mieszkaliśmy już w Pionkach – przyjechał, ale nie do nas. Poszedł na wieś i tam wypytywał panią Helenę Warchołą o mnie – jak żyjemy, czy jestem szczęśliwa, a na koniec powiedział: „Tak, on mi ją zabrał”. Nie był mi przeznaczony ten cichy i zrównoważony człowiek, gdyż pokochałam narwańca, despotę i niepokornego. Może taki charakter najbardziej mi odpowiadał, a może Janek przede wszystkim imponował mi uczciwością, prawością i wielką ambicją w pracy – cechami danymi niewielu).

## Nadleśnictwo Zagożdżon

## Przeprowadzka

Któregoś dnia wiosną czterdziestego piątego „leśni” przynieśli tak długo oczekiwaną, wytęsknioną, radosną wiadomość. Koniec wojny! Oszołomieni, jeszcze niedowierzający i niepewni, zaczęliśmy snuć nieśmiałe plany na przyszłość.

Ze względu na zbliżający się szkolny wiek naszych dwojga dzieci trzeba było szybciej pomyśleć o przeprowadzce. Prokurator Szydłowski, który ukrywał się w naszym domu, podsunął myśl, aby jego żona Zofia (dyrektorka Domu Sztuki w Warszawie), zwróciła się do ówczesnego ministra leśnictwa z prośbą, by znalazł dla Janka odpowiednie miejsce. Dzięki tej znajomości mąż już w ciągu miesiąca dostał posadę adiunkta w Nadleśnictwie Zagożdżon w Pionkach koło Radomia. Po roku wzorowej pracy został nadleśniczym i gospodarzem części Puszczy Kozienickiej na całe dwadzieścia osiem lat (aż do emerytury).

Wyjazd z Dronowych Niw był obliczony na 5 czerwca 1945 roku. Wagony towarowe zostały zamówione. Ostatnia noc spędzona na słomie była prawie bezsenna, wszyscy przeżywaliśmy rozstanie z naszym uroczyskiem, a masy czarny pies wył tej nocy niemiłosiernie do białego rana. Zajechało sześć wozów drabiniastych, na które załadowano worki z różnym zbożem, seradelą, fasolą... Było tego dużo. Samą seradelę dwóch chłopów „wiał” na wialni przez trzy dni. Prócz tego zabraliśmy wszystkie maszyny rolnicze. Maciora rasy yorkshire pochrząkiwała w olbrzymiej klatce. (Później sprzedawałam po niej piękne prosięta). Na osobnych wozach jechały meble, dywany, zegar Beckera, pianino, bambusowe japońskie lekkie meble, otomana, metalowe angielskie łóżka z ozdobnymi poręczami, szafy, toaleta z inkrustowanym kością słoniową blatem, stolik do gry w preferansa z 1900 roku, kredens z całą zapakowaną w skrzynie zastawą. Za wozami szły krowy, para koni i źrebak.

Cała karawana zajechała na stację Włoszczowa dobrze po południu. Na bocznych torach były już podstawione dwa bardzo długie wagony. Lokowanie bydła i rzeczy przeciągnęło się aż do zmroku. Prawdopodobnie w tym czasie zginął toból z futrami i wartościowymi ubraniami. Domyślamy się, że to nieuczciwy furman wepchnął go między wagony lub wrzucił w krzaki i później zabrał. Nie mogłam długo odżałować pelisy po ojcu, подарowanej Jankowi, swojego futerka, bekieszy, wyprawionych skór baranich i lisich, szali wełnianych i kożuszków.

Jedziemy. Kiedy zrobił się brzask, pociąg stanął na stacji Piekoszków pod Kielcami. Janek dowiedział się, ile jest czasu do odjazdu, i z parobkiem zaczął nosić z pobliskiej chłopskiej studni wodę dla bydła. Biegał za nimi przez cały czas nasz mały piesek, ale kiedy bydło zostało napojone i trzeba było wchodzić do wagonu – pies nie pozwolił się złapać. Nie lubił noszenia na rękach i nigdy nie dał się nawet pogłaskać. Po prostu nie znosił pieszczot. Jedyłą zabawą, jaką uznawał,

było „dawanie tabaczki”. W zwiniętą dłoń przyłożoną do jego nosa uderzało się drugą ręką na płask – wtedy kichał, zataczał kręgi i unosząc wargi, „śmiał się”.

Maszynista zagwizdał, pociąg ruszył. Nic nie udało się zrobić. Nasz mały pupilek został. Dzieci płakały. Kiedy Janek przejeżdżał za miesiąc tą samą trasą, specjalnie wysiadł w Piekoszowie. Dowiedział się, że pies biegał jeszcze przez tydzień od studni do torów kolejowych, a w końcu przestano go widywać.

Dwie doby później jechaliśmy wolno od stacji kolejowej w Pionkach przez Wygwizdów – do nadleśniczówki. Stanowiliśmy niemałą atrakcję dla miejscowych gospodarzy, którzy stojąc wzdłuż drogi, obserwowali nas i liczyli wozy. Dziewięć wynajętych na miejscu wozów wiozło cały dobytek. Ostatni z nich pełen był beczek z marynatami mięsnymi, fasek z masłem i kamieniaków z przetopionym smalcem.

Pierwsza noc po przyjeździe była niespokojna, bo mnóstwo uzbrojonych grup grasowało po okolicy, węsząc za zdobyczą. Tacy właśnie, waląc w drzwi i wołając: „Otwierać!” – zjawili się po północy, stawiając cały dom na nogi. Nie byliśmy jeszcze całkowicie rozpakowani, więc weszli do stołowego, gdzie zostało trochę miejsca. Przynieśli słomę, zaścielili całą podłogę, niektórzy spali na niej, inni czyścili broń, popijali specjalnie dla nich ugotowane mleko i zagryzali chlebem.

O świcie wyszli bez „Bóg zapłać”, zostawiając pobojuwisko i zapach brudnych onuc.

Rano zaczęło się rozpakowywanie tobołów, skrzyń i paczek.

Wiedzieliśmy, że w nadleśniczówce zamieszkamy z rodziną leśniczego, który za miesiąc miał się wyprowadzić. Był to Mikołaj Tonkiel z żoną Janiną, nauczycielką, z bratem Szurykiem i jego żoną Wierą, ze starą matką i służącą Helką. Małomówny inżynier Tonkiel unikał nas i jakby nie dostrzegał. Jego żona wychodziła o siódmej do szkoły. Służąca szarogęsiła się w „gospodarstwie”. Składało się ono z jednej zasuszonej krowy, która mleka nie dawała, chudego prosiaczka i psa. Toteż dziewczyna zdziwiona naszym dobytkiem, nie raz wpatrywała się w rząd krów stojących w oborze, lśniących i sytych.

W domu nie było łazienki ani ubikacji. Owszem, stała przy oborze wygódka drewniana, do której każdy z robotników czy chłopów mógł wejść. W pokoiku za kuchnią, który właściwie przeznaczony był na łazienkę, stało wyrko pod oknem, na którym Helka spała, a po twarzy łąziły jej karaluchy. To samo było w kuchni, gdzie w każdej szparze brązowiły się dla odmiany odwłoki olbrzymich prusaków. Jak tylko Helka odeszła i zwolniła pokój, wzięliśmy się za porządki i likwidowanie robactwa specjalnym zielonym proszkiem, przywiezionym z Częstochowy. Janek kazał założyć szamba, zaprowadził wodę w mieszkaniu i świat ło w budynkach gospodarczych, bo do tej pory chodziło się do stodoły czy obory z naftową latarnią. Wreszcie zapanował ład.

Najsympatyczniejszymi z domowników byli – pan Szuryk i jego żona Wiera. Stara Rosjanka z dobrego i zamożnego domu, żyła jeszcze pamięcią dawnego dobrobytu, serdecznych przyjaźni i tamtych dobrych czasów. Kiedy miała humor, śpiewała sobie i muzom, mieszając coś w garnku (była na swoim wikcie).

Tak zaczęły się pionkowskie czasy, gdzie prócz ciężkiej pracy i niewielkich radości przetoczyło się nasze życie aż do 1974 roku.

Na nowym gospodarstwie roboty było huk. Sad, ogród warzywny, 15 hektarów pola i 1,4 hektara łąk nad rzeką Zagożdżonką. Cieszyłam się olbrzymim ogrodem owocowym, który z przyjemnością pielęgnowałam, bo znałam się na prześwietlaniu drzew, szczepieniu i hodowli. Na zimę drzewa były otulane słomiastym nawozem, a pnie bielone wapnem z domieszką gliny i obornika. Owoców z sadu mieliśmy tyle, że żywiliśmy się nimi całą zimę, rozdawaliśmy znajomym, sprzedawaliśmy i wreszcie wystarczało i dla krów. W piwnicach wiele zagród oddzielało poszczególne gatunki jabłek, z których robiliśmy tarte surówki z marchwią i cukrem niemalże przez cały rok. W zimowe wieczory obok stołu zawsze stało czubate wiadro renet, koszteli, antonówek, kalwili, boikenów i innych. Zawartość wiadra znikała za jednym posiedzeniem.

Na wprost frontowego wejścia do biura nadleśnictwa i przed gankiem od zachodu posadziłam kwiaty, krzewy kolorowe i koślawe sumaki, ozdobione w jesieni krwistymi, kosmatymi szyszkami, które w smaku przypominały kwaśny owoc, stąd ich potoczna nazwa „octowiec”. Tworzyły u góry parasol z liści, tak cudownie ubarwionych jesienią, że rozweselały i odmładzały nasz drewniany dom, już nie pierwszej młodości. (Kiedy prowadziłam w pionkowskim gimnazjum lekcje rysunków, nosiłam do szkoły całe pęki barwnych pióropuszy octowca i uczyłam młodzież oddawać wiernie ich urok).

Naprzeciwno ganku – alejka jaśminowo-bzowa, gdzie olbrzymie pęki kwiatów silnym zapachem przyprawiały wprost o ból głowy. Dwie szerokie ławki ukryte w gąszczu krzewów po obydwu stronach ścieżki widziały zabawy kolejnej dwójki naszych dzieci, która przybyła nam po latach – Małgorzatki i Grzesia. Słyszały również głosy starszych – Joanki i Maćka – uczących się wierszy, łacińskich i rosyjskich słówek czy gramatyki. Tam był azyl przed „niehumorem” ojca.

Nasze dzieci tak przywykły do tej części ogrodu, zarośniętej i prawie dzikiej, że kiedy Joanka po latach przyjechała z Warszawy z akademika AWF na Święta Wielkanocne i zauważyła, że pod oknem od stołowego ścięłam jaśmin, wybuchła takim żalem, że płakała jak mała dziewczynka. Nie mogła mi tego długo zapomnieć. Ale krzak wnet odbił i znów zasłaniał dwa olbrzymie, weneckie okna.

Pracowity dzień zaczynał się wcześniej, bo przy gospodarstwie pracy było wiele. Do pomocy miałam służącą, była i babcia Franciszka (żyła osiemdziesiąt lat). Pomagał też Janek, po biurowych powinnościach i kiedy nie wyjeżdżał na

kontrolę do lasu.

Ogrom pracy przerażał mnie, praktycznie nie do przerobienia. Zmieniały się tylko pory roku, przynosząc z sobą inne zajęcia. Zawsze byłam nieludzko zmęczona.

Już od stycznia hodowałam kurczęta w ciepłe czerwonych żarówek. Dwie maciory najczęściej miały potomstwo w zimie. Aby prosiaczki nie marzły – zawieszałam na czterech kołkach starą pierzynkę, która je grzała. Kiedy, wypuszczone do matki na posiłek, wracały ociężałe do swojego chlewika nassane jak bąki, wsuwały się pod ciepłą pierzynę i układały wygodnie na czystej słomie. Pięć razy na dzień powtarzała się ta sama operacja. Krowy i owce rodziły w zimie. Ile to kłopotu, ale i radości mieliśmy z nowo narodzonymi cielętami i jagniętami, które przychodziły na świat najczęściej parami. Wielka owca urodziła trojaczki. Cóż było robić, kiedy sutki miała matka tylko dwa, a łakomych pyszczków trzy? Karmiłam więc owieczkę z butelki przez smoczek. Kiedy już urosła i sama żywiła się na pastwisku, przypominała sobie o „drugiej matce”, biegała za mną po podwórzu becząc cicho i trącając mnie w nogi łebkiem. Była także świnka, moja wychowanka, czyli trzynastka, która również nie miała u matki swojej przydzielonej piersi. Prześladowała mnie potem. Wyskakiwała z zagrody i gonila za mną po podwórzu, kwicząc przeraźliwie. Nie dała mi żyć do tego stopnia, że musiałam ją sprzedać. Rodziły się również w stajni źrebaki, ale to już na wiosnę. Kiedy doiłam krowy, przynosiłam ze sobą miskę dwulitrową i takim ciepłym mlekiem z pianką dokarmałam źrebięta, które wystawiały swoje śliczne łby z zagrody i czekały, nauczone. Kiedy piły z tej miski, łby wsadzały w mleko – aż po oczy i potem takie ociekające – żądały pieszczot. Ciągnęły mnie wtedy delikatnie za włosy lub kładły łebki na moim ramieniu. Toteż byłam przez nie wiecznie zalana mlekiem. Nasze konie były rasowe. Pochodziły ze słynnej stadniny z Kozienic. Do drobniejszych hodowli należały gęsi, kaczki, indyki, perlice, kury. Najmniej kłopotu sprawiały mi kaczki. W podwórzu wkopana była stara balia z wodą, gdzie chlapały się bez przerwy, a gdy jadły parzę, popijały z tej samej balii. Za to gęsi, których pióra były potrzebne na poduszki i pierzyny, trzeba było karmić ziemniakami utartymi z ospą pszenną i siekanymi pokrzywami, a prócz tego paść je na trawie lub po sprzęcie zboża – w polu, na kłosach. Do podskubywania gęsi najczęściej przychodziła gajowa. Sama wykonywała tę robotę, oddzielając puch od pierza.

Las dostarczał nam owoców, orzechów i grzybów. Z suszonych grzybów robiło się wianki na nasze potrzeby i na prezenty.

Janek często sprowadzał do domu gości. Ponieważ prowadził piękne szkółki leśne i głośno było wśród leśników nawet w innych województwach o jego dorodnych sadzonkach – przyjeżdżali więc po nie samochodami, zostając na poczęstunek. Gościłam też studentów profesora Kamińskiego z SGGW

z Warszawy. Zawiadamiana o wizytach telefonem z rana – goniłam z dziewczyną po krzakach kogutki, aby mieć co podać na obiad. Na deser były zawsze owoce, bo założyłam również plantację truskawek w czterech gatunkach: poziomkowe i ananasowe (najwcześniejsze), późniejsze malinowe i wreszcie konfiturowe zenga-zengana.

Z ogrodu ojca przywiozłam karpy szparagów i zrobiłam trzy „szparagowe wały” na dobrej ziemi. Już w kwietniu był pierwszy zbiór, a trwał do Świętego Jana, czyli do 24 czerwca. Do wycinania szparagów służył specjalny, trójkątny nóż na długim trzonku, który pod kątem wbijało się obok wystającego z ziemi łebka szparagowego, nie za płytko i nie za głęboko, aby karpy nie uszkodzić. Operację tę wykonywało się przed wschodem słońca, bo szparag w świetle zielenieje i staje się gorzki.

Pomidorów natomiast nie zrywałam nigdy zaróżowionych. Wisiały na krzakach, póki nie dojrzały. Toteż kiedy zjadło się taki pomidor, jeszcze ciepły od słońca, smakował jak najwspanialszy owoc. (W tamtych czasach nie był o potrzeby mycia ich. Jadło się prosto z krzaka).

Była też w polu kukurydza, którą wszyscy lubiliśmy jeść z solą i świeżym masłem. A gotowało się ją nieobraną do ostatka. Kolba musiała mieć dwie warstwy liści, czyli była „w koszulce” – wtedy ziarno nie traciło swego smaku. Tak mama uczyła.

Miałam wśród warzyw kalafiory i podobne do nich brokuły, równie smaczne. Były siane różne fasole masłowe, rośliny kapuściaste, brukselka, kalarepa, rzodkwie przeróżne. Był jarmuż, były cebule w różnych gatunkach... Tym się zajmowałam i odpowiedzialna byłam za to wszystko. Janek zaś miał pod dozorem zboża wszelkiego rodzaju, ziemniaki i łąki. Połowę łąk kosiło się dwa razy w roku, a na drugiej części pasły się krowy „upalowane” na łańcuchach. Mieliśmy wtedy tyle mleka, że robiłam prawie co dzień masło, które szczególnie w maju – żółte i pachnące – ubijałam w kamienne gary, soląc po wierzchu dla konserwacji i przykrywając lnianym płótnem. Pyszne było do smażenia w zimie, a zwłaszcza jako dodatek do drożdżowych ciast. Raz w tygodniu piekłam duże bochny żytniego chleba pytlowego, który zaczyniony serwatką „rósł jak na drożdżach”.

Od pewnego czasu w pracach domowych, w polu i ogrodzie zaczęła mi pomagać Stanisława Czarnecka, Białorusinka. Polecili mi ją sąsiedzi, że uczciwa, schludna i pracowita. Polubiłam tę kobietę, sprytną do roboty, wesołą i wyjątkowo niefrasobliwą, jak na tyle trudów i nieszczęść, których doświadczyła, oraz biedę, która goniła ją od dzieciństwa.

## Stanisława Czarnecka

W zapadłej wsi na Białorusi przysła na świat w roku 1904. Na chrzcie dano jej za patrona Świętego Stanisława, majowego biskupa.

W dwa lata później urodziła się Antośka, i już od tej pory chowały się razem, niepieszczone przez życie ani zaharowaną matkę. Nie kończyły żadnej szkoły, toteż do końca życia podpisać się nie umiały, stawiały jedynie koślawe krzyżyki. Bieda była nie tylko w ich chacie, ale i w całym siole, bo ziemia tam jałowa, bagnista, płonna. Najbliższa cerkiew znajdowała się w Pohoście Zahorodzkim, dokąd w czas powodzi można było się dostać tylko łodzią.

Już od dziecka prawie każda dziewczyna umiała prząć len lub wełnę na wrzecionie. W domu były dwie owce, a że każdemu potrzebne było na zimę ciepłe okrycie, więc zasiadały w zimowe wieczory przy dymiącym kaganku we trzy do przędzenia i tak się uwijały, że tylko furkotały wrzeciona puszczone luzem i tłukły się po ubitej na kamień polepie z gliny. W mroźne dni, kiedy skwierczały i dymiły niedosuszone gałęzie pod kuchnią, również ulepioną z gliny, tajała cała podłoga od ciepła płynącego z drzwiczek, tak że nieraz i woda stała wokół tego jedyne go źródła ciepła. Niesamowity fetor bił na całą izbę, bo tuż za przegródką czochrała się chuda krowa, z grzbietem i łbem upapranym kurzymi odchodami, gdyż ptactwo siedzące na drągach umieszczano tuż nad bydlęciem. Tylko płakać. Tropy, czyli postoły, robione przez ojca z kory lipowej, sznurkami lub łykiem przywiązywano do nóg. Wisiały teraz na drągu duże i małe rządkiem – liczne, bo zdzierały się szybko. Monotonnie mijały zimy.

Ale gdy tylko były jakieś zmówiny albo wesela – nie obyło się bez tych trzech kobiet. Nic dziwnego, że matka była proszona, bo starsza, doświadczona i „ugotować umiejąca” lub dosmaczyć jedzenie. Dwie smarkate, z których Staśka miała dopiero piętnasty rok, a młodszej Antolce szło na trzynasty, proszono z innego powodu – śmiałe były, a taneczniczki pierwsze, nie mówiąc o umiejętności śpiewania przyspiewek weselnych, w czym przodowały.

Był rok 1920, toczyły się boje o rubieżę Polski między Moskałami a żołnierzami polskimi pod wodzą Marszałka Piłsudskiego. Potworzyło się wieje band grasujących w pasie przyfrontowym, które łupiły dobytek mieszkańców, zabijały w razie stawianego oporu.

Wracały kiedyś dziewczęta z więcierzem, z rybami złowionymi w przeręblu, gdy zobaczyły rozwalone drzwi domu, a w izbie nieżywych już rodziców, leżących w kałużach krwi. Z obejścia zabrano krowę, owce i co tylko nadawało się do jedzenia.

Wypadły z mieszkania z wielkim krzykiem i płaczem i tak jak stały, biegły przed siebie do szosy, tam gdzie ludzie, gdzie zaprzęgi konne i może jakakolwiek pomoc.



Jacyś zamożni państwo, uciekając na zachód przed Moskałem, jechali wielką bryką z tobołami, tylko we dwoje. Widząc biegnące bez tchu i splakane dziewczyny, zabrali je z litości.

Państwo Romanowiczowie, bo tak się nazywali, kierowali się na Brześć i pod Terespołem przekroczyli most na Bugu. Popasali w stodołach lub przygodnych zajazdach. Ponieważ pani Romanowiczowa miała w Jabłonie pod Warszawą znajomych, postanowiła tam wyruszyć.

Romanowiczowie zostali tu na dłużej, a dziewczęta najęły się u ogrodnika do pomocy. Pracowały tam przez rok i przypadkiem usłyszały, że u państwa Hozerów też szukają dziewcząt do podobnej pracy – ale z wyższą zapłatą. Przeniosły się więc do nich, gdzie Staśka, zręczna i silna dziewczka – służyła jako pomoc domowa. Po roku pani Hozerowa powiedziała im, że w Sulejówku u Marszałka Piłsudskiego, w willi o nazwie „Milusin”, poszukują pokojówek.

Staśka od razu się zdecydowała, ale Antolka wołała wrócić do Jabłony. Pracując tam w ogrodzie, poznała człowieka odpowiedniego do swojego stanu i rychło się pobrali. A nasza Staśka, śmiała i ryzykantka wielka, przyjechała do Sulejówka, odnalazła willę i tam została przyjęta na pokojową.

Zawsze ubrana czyściutko, z uplecionymi włosami w koronę, wyglądała schludnie w granatowej sukience i białym fartuszk. Wciągnęła się szybko do pracy, często zasługując na pochwały. „Sam Marszałek pogłaskał mnie kiedyś po głowie, że mu niczego przy sprzątanii nie ruszyłam na biurku. Kiedyś, jak odkurzałam i poskładałam wszystkie papierki na kupkę, to tak klął, tak klął, mój Jezus, że się schowałam do skrytki pod schody, aż mu przeszło”.

Dowiedziały się kiedyś o jej śpiewaczych talentach panienki – Wanda i Jagódka, córki Piłsudskiego, i dalejze prosić. Mówiła, że się wstydzi i boi ojca, czyli Marszałka, ale wzięły ją do altanki i tam „dała koncert”, zapomniawszy o całym świecie. Miał ją na oku młody chłopak w mundurze, szeregowy, który czuwał przy wejściowej bramie.

W ów dzień wartownik, słysząc miłe sercu melodie, opuścił posterunek i podkradł się w krzaki, nie spuszczać rozśpiewanej dziewczki z oczu. Próżno dzwonił do bramy jakiś wojskowy, musiał wsiąść na powrót do powozu i jak niepyszny odjechał. (Była potem wielka awantura, z której jednak żołnierz wyszedł cało). A tymczasem wartownik przyłapał wracającą Staśkę na ścieżce i, tak jak stał, oświadczył się, mówiąc, że wzruszyła go piosenkami, które przypomniały mu rodzinną wieś, że aż się płakać chciało. Jej się też spodobał, więc nie odpowiedziała „nie”. Dodała jednak, że ma w pani Marszałkowej opiekunkę i „bez jej pozwolenstwa nic się nie stanie”. „To jutro – panno Stasiu – mam wolny dzień i zaraz po śniadaniu pójdziemy do naszej pani”. I było tak, jak sobie ułożyli; nawet obie panny poparły zamiary chłopaka i z radością obiecały, że i one będą na weselu. „Ale gdzie mnie myśleć o weselu, przecie że bez matki”. Wtedy pani

Marszałkowa mówi: „Nie martwcie się, biorę to na swoją głowę, będę wam matkować”. Chłopak jak długi rymnął na podłogę, a Staśka zwyczajem ojców podjęła ją pod nogi, płacząc serdecznie i obiecując wiernością i dobrą pracą odpłacić za dobro.

Cichutkie było to wesele. Panna młoda wystąpiła w białej sukni, w welonie i z różami z pańskiego ogrodu, a gośćmi byli domownicy. Rolę matki i opiekunki sprawowała pani Piłsudska. Na weselu panna młoda sama śpiewała te wesole i te smutne piosenki, a łzy ciekły jej z oczu, ze szczęścia pewnie i z wdzięczności. A może sobie matkę wspomniała i białoruskie sioło?

I potoczyły się dni jak paciorki różańca. Czynności te same, twarze te same, ale we wrześniu panny wyjechały do Warszawy do szkół, a z nimi i pani Piłsudska. Marszałek przebywał teraz w Belwederze z rodziną, później przeniósł się do jeszcze innego mieszkania, jednak często wracał do Sulejówka, czasami na parę dni, czasem na kilka godzin. Smutno i pusto zrobiło się w willi. Dobrze, że Staśka miała męża i własne mieszkanie ofiarowane za dobrą służbę od Marszałkowej. Była to służbówka przylegająca do starego domku, „drewniaczkiem” zwanego. W „drewniaczku” zaś zamieszkał plutonowy z ochrony, nazwiskiem Mil och, i pani Adela Haybutowicz (która po śmierci Piłsudskiego oprowadzała wycieczki po willi-muzeum).

Staśka miała wtedy dwadzieścia lat i spodziewała się dziecka. Napisał o tym w liście jej mąż, szeregowy Czarnecki – do pani Romanowiczowej, która osiadła z mężem w Pionkach, gdzie wykładała w technikum historię Polski. Obiecując Czarneckiemu dobrą pracę w wytwórni broni i mieszkanie – pani Romanowiczowa namówiła ich do przyjazdu. Zdecydowali się szybko, a pani Adela zgodziła się na ich odejście, bo teraz, kiedy państwa Piłsudskich nie było, personel okazał się zbyt liczny. Pozbierali więc ubogi dobytek i żegnając ze łzami, odjechali znów w nieznane.

Na dworcu w Pionkach czekali już na nich państwo Romanowiczowie i powieźli samochodem do wynajętego mieszkania. Pani kupiła młodemu małżeństwu potrzebne wyposażenie do kuchni, tapczan, szafę i dała „cieplą ręką” pewną sumę. Niedługo Stasia odkryła tajemnicę, także pani Romanowiczowa spodziewała się dziecka.

Pierwszy urodził się Wacusz Czarnecki ku wielkiej radości ojca, który najpierw upił się z kolegami, a później przyniósł żonie w prezencie materiał na spódnicę – w różyczki. Za dwa miesiące i pani Romanowiczowa urodziła syna, ale że była już nie pierwszej młodości, powstały pewne komplikacje. Dla małego Janka nie miała pokarmu. Stasia ofiarowała się odkarmić dziecko – i tak została jego mamką na cały rok.

Chłopcy chowali się zdrowo, pokarmu było aż nadto. Wdzięczni państwo Romanowiczowie kupili Czarneckim plac na Wygwizdowie i drewniany

dwuizbowy zrąb. Radość była wielka, bo kiedy minął rok karmienia Jasia, domek stanął gotowy i Stasia z rodziną przeniosła się „na swoje”.

Kiedy w 1946 roku mój mąż objął urząd nadleśniczego w Puszczy Kozienickiej, przyjął Czarnecką na woźną w biurze. Była także gońcem, sprzątaczką, paliła w piecach. Zgodziła się również pomagać mi w gospodarstwie za niewielkie wynagrodzenie i posiłek w południe.

Ja, prócz gospodarskich zajęć – udzielałam w domu lekcji gry na wiel u instrumentach, pracowałam w trzech szkołach, byłam opiekunem społecznym i leczyłam chorych.

Pani Czarnecka była więc nieoceniona. Już nie potrzebowałam dźwigać z piwnicy wiader z ziemniakami dla świń, które należało wypłukać pod studnią i nastawić do gotowania w parniku, ani ciężkiego dębowego drewna do kafłowych pieców w czterech pokojach. W sobotę szorowała podłogę w kuchni i sieni, pomagała również przy praniu na tarze w blaszanej balii. Po tym zajęciu poklepywała dłońmi swój mokry brzuch, co według ludowego zwyczaju oznaczało, że należy jej teraz dać wódki.

Ile razy były siewy czy sianokosy – zawsze nam pomagała Czarnecka. Kiedy miało się na deszcz i trzeba było szybko zbierać siano, Janek wskakiwał na motocykl i przywoził Stasię. Siedziała za nim na siodełku, kurczowo trzymając się go za pasek i unosząc w górę grabie, śpiewała na cały Wygwizdów, aż baby wychodziły patrzeć, co się dzieje. Ponieważ lubiła być tęga – jak mówiła – „w zadzie”, nakładała na siebie trzy, może cztery sute kiecki, które podczas jazdy wydymały się jak wielki balon. (Zauważyliśmy kiedyś, że w jedną z tych spódnic miała wszyte przepaściste kieszenie, w których często wynosiła jedzenie lub wełnę. Wełna wisiała na strychu pod dachem w wielkich wańtuchach, workach. Przemykałam na to oko, wiedząc, że dawna bieda była tego przyczyną).

Pewnego razu, podczas sianokosów, wybraliśmy się na łąki nad Zagożdżonkę. Pojechaliśmy wtedy „całym domem”, zamykając drzwi na klucz. Babcia na tylnym siedzeniu ze mną, dzieci na sianie pośrodku wozu, obok kosz z jedzeniem, Janek za furmana, a Czarnecka tyłem do koni obok niego. Wyprawa miała trwać do wieczora, bo siana do grabienia było parę wozów. Nasmażyłam kotletów i naleśników, oprócz tego wzięliśmy kanapki, ciasto i olbrzymią bańkę kompotu, którą, jeszcze dobrze ciepłą, trzymała Czarnecka między kolanami.

Już łąka, wystarczy zjechać z górki na groblę, którą z dwóch stron oblewa woda pokryta zieloną rzęsą. Zakrakała nad nami wrona. „Tylko nie wykracz tam czegoś” – mówi Czarnecka. Wypowiedziała pewnie w złą godzinę, bo nagle, jak się konie nie zerwą, jak nie ruszą z kopyta, a to przecież z górki. Wszystko podskakuje razem z nami, tylko koła dzwonią po korzeniach. Wóz podskoczył na jakimś pniaczku i... była Czarnecką, nie ma Czarneckiej. Widzimy tylko balon ze spódnic, w uszach świdruje przeraźliwy pisk, a ona głową wpada do zielonego bajorka.

Gdyby nie Janek, pewnie by się utopiła, bo jej głowa ugrzęzła między gałęziami iwy. Mokną i wystraszoną, oblaną dodatkowo kompotem truskawkowym, wyciągnął i usadowił na słońku. Rozebrała się do bielizny, rozwieszając mokre kiecki na krzakach. I już za chwilę przetrząsała siano, wyciągając jakąś wesołą nutę z pokrzykiwaniem, tylko echo odpowiadało z głębi lasu. Miał a na sobie teraz wielkie, żółte, długie do kolan majty z klapą, szerokie i zebrane w pasie w fałdy. „A co, nie fajne gacie ześciuboliłam?” – spytała ze śmiechem. Patrzyliśmy na nią rozbawieni, bo dopełnieniem obrazu były jej włosy, ozdobione gęsto rozgniecionymi truskawkami.

Jesienią, oprócz zbierania owoców, warzyw i kopania ziemniaków odbywało się również grabienie liści do siania w oborach i stajni, słomy bowiem za wiele nie było.

Któregoś dnia poszliśmy z Czarnecką do lasu z grabiami. Grabimy jednostajnie długimi pociągnięciami. Mała Małgorzatka zbiera obok ostatnie jesienne kwiatki. Nagle widzę w uklepanym deszczami kozuchu liści jakiś drut zakończony kółkiem. Na szczęście nie pociągnęłam grabi, choć zamach już był wykonany. Doszłam bliżej, przyglądam się i serce zamarło mi na moment. Z liści wystawała mina, jeszcze z czasów wojny. Tego dnia nie grabiliśmy więcej. Wezwani saperzy rozbroili ten śmiercionośny ładunek.

Czarnecka, kiedy była wolna, wozila moją małą córeczkę na spacer do lasu. Usypiała ją, śpiewając pieśni, począwszy od kościelnych – a na weselnych kończąc. Lubiła Małgosię. Majeństwo łąziło za nią od biura do obory i stodoły, a to nakładając jej do fartucha drewna w szopie, a to w piwnicy ziemniaki do wiader. Wtedy śpiewały sobie razem: „Staśka ciacia (ładna), Staśka łubka (kochana), Staśka myła (miła) jak holubka (gołąbek)”. Nieraz siadały na schodach wiodących do biura. Czarnecka brała jej rączkę w swoje ręce i kręcąc palcem w maleńkiej dłoni, mówiła: „Sroczka, woronka, kaszku warila, na próżku złożyła, temu dała na łyżeczku, temu na miseczku, temu w skorupku, a temu draniu łbu urwała i do strugu rzuciła”. Wtedy przychodziła do mnie Małgosia po łyżeczkę, miseczkę, skorupkę od jajka i po starą lalkę, której na niby łeb urywały z zamiarem późniejszego wrzucenia do rzeki.

Takie momenty wytchnienia zdarzały się Czarneckiej bardzo rzadko. Jej postać wiąże głównie z ciężką pracą. Oto kolejna, wspólnie przeżyta historia.

Budowaliśmy piętrowy dom na ulicy Augustowskiej. Zabrakło kamieni „otoczaków” do fundamentów. Zabrałam więc dzieci i Stasię do pomocy (parobka już u nas nie było) i pojechaliśmy po nie do lasu zwykłym wozem „w deskach”. Było takie miejsce, gdzie kamienie leżały w lesie jakby dla nas porozrzucane, duże i małe. Wrzucaliśmy je na wóz wszyscy, nawet malutka Małgosia pomagała nam w tej pracy. Po godzinie wóz był pełen aż po brzegi. Siano związane w płachcie poszło na wierzch i posłużyło za siedzenie. Ujęłam lejce w dłonie. Klacz Kara

ledwo ruszyła z miejsca. Z wielką biedą jakoś wyjechaliśmy na szlakową drogę – i tu popełniłam wielki błąd. Podcięłam konia batem. Wóz potoczył się szybciej, a potem z górki coraz prędeziej i prędeziej. Serce podeszło mi do gardła. Obciążony wóz nabierał rozpędu, z grzechotaniem podskakiwał, rozsypując po drodze kamienie. Na dodatek naszelnik zsunął się z dyszla, który poszedł w górę. Kołował, obijał się o końskie boki, to znów odstawał, o mało nie zahaczając o drzewa. Czułam pod czaszką zimno. Strach paraliżował mi ruchy, bo widziałam, że klacz ledwie nadaża, by uciec przed wozem. Czarnecka zaczęła wyć i wzywać pomocy Boskiej, aż echo tłukło się po lesie. Dzieci uderzyły w płacz, a ja zacisnęłam tylko zęby i próbowałam kierować rozszałym koniem, aby nie zwalić wozu do rzeki. Od szarpania pękł lewy lejc. To już koniec! – pomyślałam. Byłam bezsilna wobec nieuniknionej katastrofy. Bóg jednak raczył nas strzec, bo teren po paru minutach tej piekielnej jazdy wyrównał się, jeszcze trochę... i koń, jakby instynktownie, skręcił na lewo w krzaki. Koła zaparły się o drzewo. Byliśmy uratowani.

Objęłam rozkrzyczaną gromadkę, całując zasmarkane płaczem buzie. Czarnecka dała teraz popis pomysłowości. Udarła swą płócienną koszulę aż do pasa, ukręciła z niej sznur i powięzała poszarpane lejce. Koń przerażony jeszcze, okryty pianą, drżał i parskał, wydychając zmęczenie, i przekrwionymi oczyma patrzył na nasze wyczyny. Co o mnie myślał – mogłam sobie sama dopowiedzieć.

Do domu przywieźliśmy tylko pół wozu kamieni i rozdygotane serca. A Staśka, jakby się wściekła. Nigdy dawniej tego nie robiła, bo bała się Janka jak ognia. Teraz rozpuściła ozór, klnąc na jego „zasrane porządki, na lejce drutem powięzane” i takie tam inne niedopatrzienia. Może mu się to i należało, ale Janek był wiecznie zajęty lasem.

Czarnecka wiele lat jeszcze pomagała w pracy: w porządkach, myciu okien, w gospodarstwie. Zauważyłam jednak, że coraz bardziej ślepnie. Z tym faktem wiąże się pewna zabawna historia.

Poprzedniego tygodnia ocieliła się krowa, wielka, mleczna, a mądra bestia jak człowiek. Mieliśmy zawsze z nią kłopot. Wracając z pastwiska, wpadała na podwórze, wyprzedzając stado i zawsze zdążyła nakarmić swoje ciele, które już dawno było „od piersi” odstawione. Nieraz też potrafiła dotąd tłuc rogami w furtkę od stodoły, aż ją wyłuskiwała ze skobla i rozpoczynała urzędowanie. Wsadzała gębule do worka z ospą aż po ślepie i nażerała się do woli. Bywało, kiedy nikt nie widział, otwierała z haczyka furtkę do sadu i przechodząc od warzyw do owoców – wracała do obory gruba jak beczka.

Toteż kiedy usłyszałyśmy z Czarnecką jej znany, przeciągły ryk, wybiegłyśmy na drogę. W dali widać było krowy i barany w tumanie kurzu. Zanim dobiegłyśmy do pierwszych krzaków – nastąpiła cisza. Bydła ani śladu. Rozdzieliłyśmy się więc, aby zapobiec szkodzie, bo pole z ziemniakami blisko, a przebiegłe krówsko było mistrzynią w wrywaniu ziemniaków pyskiem. I tam ją

właśnie znalazłam. „Jest! – wołam do Czarneckiej. – Niech no Stasia mi pomoże!” Tu właśnie okazało się, jak Czarnecka słabo widzi. Zamiast gonić krowę, wypada prosto na mnie zza krzaków, czerwona jak upiór i drze się bez pamięci: „Ty cholero zapowietrzona, a tuś mi! Jazda do obory, zorazo jedna!” – i byłaby mnie niechybnie zdzieliła kijem, gdybym nie zdążyła uskoczyć za rozłożystą sosenkę. Czekam, trzęsę się ze śmiechu i nic się nie odzywam. Teraz Czarnecka, nie krępując się, zrobiła „na stojąco” siusiu (pewnie nie nosiła majtek) i wznowiła poszukiwania. Schyla się popod gałęziami, ma chustkę zdartą z głowy i nagle, cała zdyszana, wyłazi prosto na krowę. Zatrzymuje się przed nią i pokazując kijem w stronę domu mówi: „Pani nadleśnicza, ta ścierva poszła tamuj, prosto bez truskawki, i pewnikiem jest już w oborze”. Tu pobiegła na przelaj. Myślałam, że skonam ze śmiechu.

Czarnecka już wcześniej miała bardzo słaby wzrok, bo nieraz przy gotowaniu bielizny zamiast w kotle, żgała łopatką obok. Leki od okulisty nie pomagały. Staśka jednak nie traciła fasonu, a kiedy przyszły żniwa, dzielnie się spisywała, wiążąc snopy w polu, śpiewem, okrzykami i żarcikami dodając ducha całej gromadzie.

Pamiętam, było wtedy sześciu kosiarzy i tyleż podbieraczek. Zaniósłam im z Czarnecką rano kawę dobrą, mleczną, jajecznicę na chlebie i całą sałaterkę twarożku ze szczypiorkiem. „Szły” w pole również gary z kompotem z rabarbaru i wiśni, z czego jeden rondel Stasia wylała, przewracając się na szynach kolejki wąskotorowej. „Już tam do kompotów szczęścia nijakiego nie mam” – mówiła, kuśtykając do domu. Potem był obiad; zupa, jakieś mięso duszone czy kotlety mielone, do tego kluski kartoflane oblane masłem i pomidorowym sosem, no i kwaszone ogórki. A kiedy kobiety ustawiły już snopki, a sześciu chłopów podorywało ścierniska, szykowałam kanapki z wędliną – do tego była obowiązkowo wódka, herbata i ciasto z owocami. To „przyjęcie” po zakończonej pracy odbywało się pod gołym niebem, przy wielkim okrągłym stole przed kuchennymi oknami. Na ławeczce pod jesionem siedziała Małgosia z wielkim akordeonem na kolanach (już w podstawowej szkole umiała na nim grać). Popłynęły powolne walczyki, piosenki, które wszyscy śpiewali, a Staśka najgłośniej. Przy skocznym obertasie chwyciła małego, czarnego Kopcia – robotnika leśnego – i na trawniku tak wywijiała, że aż kiecki fruwały. Pewnie wódka dała znać o sobie, bo Staśka nie ustępowała nikomu w piciu.

Kiedy żniwiarze uraczeni i nasyceni żegnali się, odbierając zapłatę, pierwsza w stronę bramy szła Małgosia z akordeonem, grając marsza, a za nią Staśka z kosą na ramieniu i pod rękę z Kopciem. Tak prowadziła cały korowód – aż do bramy. Żegnając ich, machała rękami i skrzecząc coś – dziękowała, czyniąc za mnie honory domu.

Usiadłam wykończona. Za to Czarnecka, silna i niezmordowana, zabrała się

do mycia naczyń, tłukąc przy okazji któryś tam z kolei talerz. Zdążyła jeszcze podłogę w kuchni wyszorować i wtedy dopiero poszła do domu obdarowana przeze mnie, czym tylko mogłam.

Kiedy Czarnecka straciła wzrok na dobre, przestała u nas pracować. Wynajmowano ją jeszcze do pilnowania dzieci. Mówiła potem, że ma aż ośmioro przybranych wnucząt. Ona sama rodziła aż trzynaście razy, ale zostało jej tylko jedno dziecko, to pierwsze – kochany Wacusz. Pozostałe dzieci nie chowały się czemuś, umierały.

Czarnecka do śmierci mieszkała u syna i synowej, która nie była dla niej dobra. Często więc płakała, narzekając na smutną starość. Przyjeżdżałam co roku do Pionek, przywożąc jej ubrania i pieniądze. Ona z kolei opiekowała się grobem babci Frani – macochy Janka. Kiedy odwiedziłam ją pewnej jesieni, a Magłusia przywiozła magnetofon, aby nagrać jej weselne piosenki i przyśpiewki, była już bardzo chora. Żegnała nas i dziękowała za wszystko, wspominając te lata, które przeżyła z nami. Tak chciała kiedyś pojechać do Jabłonny, do siostry, o której nie wiedziała nawet, czy żyje. Nie zdążyła.

## Stary Józef Warchoń

Nadchodziły Święta Wielkanocne, a więc: generalne porządki, wielkie gotowanie i pieczenie. Poprosiłam Józefa, sąsiada, aby zabił nam na święta ogromnego wieprza rasy yorkshire. Po zabiciu i opaleniu rozćwiartował go i zaznaczył na trzonku kozika grubość słoniny. „Ten kozik, panie – powiedział do Janka – to mom jeszcze od krzesnego, co mi go kupił na odpuszcie, jakem był chłopakiem. Kuźdom jednom štuke ubitom mierzyłem zawdy. O, ile tu znaków. Ale ten dzisiejsy to pirsy taki wielgachny”. (Świnie tej rasy mogą ważyć nawet do 300 kilogramów). Nie mógł się nadziwić, tylko głową kręcił. Usmażyłam szybko kawałek wątróbki, nerki, polędwicę z cebulą, podałam razem z patelnią, a do salaterki nałożyłam świeżo tłuczonych ziemniaków ze śmietaną. Ze spiżarni przyniosłam pół litra wódki, bo taki to już był zwyczaj, że przy uboju należało postawić butelkę.

Zasiadł Janek obok Józefa. Żartowali i raczyli się mięsem, przegryzając swojskim chlebem. Nagle, przy jakimś nieostrożnym ruchu, cała prawie butelka wódki wylała się na patelnię i w ten tłusty sos. Nie zmartwili się tym wcale, zamienili tylko widelce na łyżki i gryząc mięso, popijali wódkę zmieszaną z masłem i cebulą. „Panie, niezgorsze picie – mówił z uśmiechem Józef. – Jeszczem przódzi gorzołki z masłem nie piół, hi, hi”. Nie spiesząc się – opróżnili zawartość patelni, uprzątnęli do czysta salaterkę ziemniaków *purée*, nad którymi Józef rozwodził się szeroko: „Kobita nigdy mi, panie, takich nie zgotuje. Alem se podjod, teraz dusa jak w puchu”.

Wódka i te tłustości zrobiły swoje, bo rozpiął kapotę, popuścił pas o jedną dziurkę, rozparł się niefrasobliwie i zaczął rozpowiadać o swojej młodości, o służbie wojskowej, najpierw w Zagłębiu Donieckim, później w Omsku nad rzeką Irtysz. Przez te dziesięć lat wyuczyli go tak, że został nadzorcą przy budowie linii kolejowej z Omska do Ufy. Opowiadał, jak to sam doszedł do wniosku, że na zakręcie przy układaniu szyn należy uważać, aby ta, która biegnie po najmniejszym łuku, była położona niżej od tej drugiej, bo w przeciwnym razie pociąg się wykolei. Patrzył wtedy na nas wszystkich, jakie zrobił wrażenie. „Tam, w ostatnim roku mojej służby, kupiłem se kozuch z czarnych baranów, dostatni, z dużym kałmirzem, a do tego czapke czarno – tyż z futra – ino spłaszczono w poprzek. Do tych pór ten ubier mom jeszcze”. I rzeczywiście. Dobrze w tym wyglądał, zwłaszcza że był wysoki i suchy, o przystojnej twarzy, patrzący tylko nieco spode łba. Usta czerwone, trochę nadęte, jakby wyrażały jakąś dumę i wyższość. Nie z każdym chętnie rozmawiał, był raczej mrukiwy i zamknięty w sobie. Miał jednak poważanie we wsi – zresztą był najzamożniejszym gospodarzem na Wygwizdowie. Był nad wyraz pracowity. Od swych dzieci wymagał posłuszeństwa i nie dawał próżnować.



Lubiłam Józefa. Nie pozwalał sobie nigdy na nietaktowne odezwanie się do mnie lub niestosowny żart. Nie słyszałam też nigdy, żeby w gniewie złorzeczył.

Na całej ulicy Wygwizdów mieszkali tylko Warchołowie. Krążyły opowiadania, potwierdzone zresztą przez Józefa, że ich przodkowie byli potomkami dawnych więźniów ze Skarżyska Kamiennej, którzy po odbyciu kary za warcholstwo – dostali po kawałku ziemi w Zagożdżonie pod samym lasem, na tak zwanym „wygwizdowie”, gdzie zamieszkali. My, po przyjeździe do Pionek, zastaliśmy tu już piąte czy szóste pokolenie.

Lata biegły w dobrosąsiedzkiej zgodzie. Kiedy pewnej wiosny mój mąż posypał żyto nawozami sztucznymi – azotem, potasem i fosforem – zboże wyrosło w las. Ooo, gryzł się w sobie biedny Józef. Pierwszy gospodarz we wsi przeżuwał jak gorzki piołun porażkę, aż wreszcie kupił worek samego azotniaku i rozsypał po polu. Spotkał go Janek, idącego do chałupy z pustym workiem na ramieniu. Prawie go nie poznał, bo był upaprany i czarny aż po białka oczu. Pluł teraz i kłął, że to tak cuchnie. „Zrobiłem to, bo mnie pan zdynerwował, a co będzie dali – nie wiadomo”. (Janka żyto było jednak lepsze, a jego położyło się miejscami. Poszło w słomę, a nie w ziarno.) Na drugi rok Józef był już mądrzejszy i śmielszy – dodał prócz azotniaku i inne nawozy.

Kupował u nas prosięta, bo widział, że były dobrej rasy. Sprzedaż wyglądała w ten sposób. Siadaliśmy na dwóch końcach ławy pod jego chałupą. Dawał mi w rękę patyk, wskazując na ziemię, i mówił: „Napisać cynę lo siebie, a jo będę pisał lo siebie”. Przeważnie ceny się zgadzały, z czego był bardzo zadowolony. Przychodził wtedy z workiem do zagrody, a że miał prawo wyboru przed innymi kupcami, pokazywał laską te, które wybrał – najpiękniejsze. Wtedy mówił: „Kuzden sprzedający niech nie pozwala wyjąć z gniazda kupującemu, bo mu się cały chów popśni. Niech gospodyni sama swoją rynką zabiera prosięta od matki”. Wymowałam je więc i trzymając za tylne nóżki, kładłam w otwarty worek. Teraz dopiero płacił należną kwotę.

Przez parę lat Józef pasał nasze bydło wraz ze swoimi krowami. Pewnego dnia nie przyszedł. Zaniepokojona zajrzałam do niego dowiedzieć się, co się stało. Leżał zgorączkowany. „Buł felcer u mnie – powiedział – i wycion mi, jucha, odciska, bo tak mnie boleł, zem ni móg nawet buta włożyć”. Patrzę, noga opuchnięta i zasiniące palce. Nie wyglądało to dobrze. Chciałam posłać po lekarza – zaprotestował. „Dochtory mi niepotrzebne, musi już będzie kóniec ze mno”.

Zakrzątnęłam się, nastawiłam w wysokim saganie wodę, przyniosłam z domu skrzyp z babką lancetowatą, a ze stodoły parę garści prochów spod siana i to wszystko zagotowałam. Po przestudzeniu kazałam mu usiąść na łóżku i wsadzić nogę aż po kolano do ciepłego naparuu. Spojrzał spode łba na mnie, ale posłuchał. Nakryłam kolana kocem i postawiłam budzik, żeby widział godzinę. Za jakie piętnaście minut pytam, jak się czuje, a on na to: „Nic nie będę naprzód

mówił, ale czuje, że mi łyzy i nie tak siepie jak wpródzi”. Myślę sobie – dobrze jest. Po półgodzinie postawiłam na podłodze miednicę, na którą wyjął nogi, a ja wtedy polałam je zimną wodą parę razy. Wytrzeszczył oczy – ale nic się nie odezwał. Okręciłam nogi derką. Położył się. Obracając się do ściany, rzekł: „Pani, chyba zdrzymne się, bom noc przemarnował, darło jak wszyscy diabli”. Uśmiechnęłam się i wyszłam, zamykając cichutko drzwi. Jeszcze raz wieczorem zajrzałam. Przywitał mnie z uśmiechem. Kuracja trwała przez cały tydzień. Palec, z którego był wycięty odcisk, zbielał, zrobił się w nim mały otworek, przez który widać było ropę. „Panie Józefie, muszę to wycisnąć, będzie trochę bolało”. „A niech ta boli, przecięć tak nie będzie jak przódzi”. Wygniotłam rdzeń, odeszło dużo ropy z krwią. Poczul wyraźną ulgę. Od tej pory już wstawał. Zmieniałam tylko opatrunki z babki, która resztki nieczystości wyciągała. Pewnego ranka stopę owiniętą w gazę włożył do szerokiego trepa. O, szczęśliwy był, że już nie cierpi. Chwalił mnie później do ludzi, że „dzięki nadleśnej może wzuć nawet te ślubne lakiery, co to dotąd były na strychu”. (Zawsze chodził tylko w gumiakach). Cieszyłam się razem z nim, mówiąc, że to nie ja, tylko ksiądz Kneipp mu pomógł. Innym razem znów Siwek Józefa zachorował. Dojść do niego nie było można, bo położył się i przewracał z boku na bok, bijąc kopytami. Józef twierdził, że to paskudnik, ale co to znaczyło, chyba sam nie wiedział. Zarządziłam leczenie. Poszłam z żoną Józefa (też Józefą) do lasu ze szpadlem, gdzie nakopałyśmy korzeni berberysu (kwaśnicy), by wygotować z nich napar. Wlałam lek do dwóch litrówek, a Józef z pomocą innych mężczyzn związał konia, że miałam do niego bezpieczny dostęp. Włożyłam koniowi do pyska między zęby przyrząd drewniany, coś w rodzaju organków z otworem w środku, do którego wsunęłam szyjkę butelki. Udało mi się wlać płyn, który koń powoli łykał. Gdy go dokładnie przeczyściło – jak barwnie opowiadał Józef – na drugi dzień był już zdrowy.

Siwek oddał mi wkrótce wielką przysługę za moje leczenie. Ponieważ nasz koń był zajęty w polu, Józef ofiarował się dać nam swojego Siwka, abym odwiozła truskawki z naszej plantacji na skup do odległej wsi. W drodze powrotnej zobaczyłam na horyzoncie granatowe niebo, rozjaśniane błyskawicami, choć jeszcze grzmotów nie było słyhać. Popędzam staruszką konia, ale ten, przyzwyczajony do truchciku, nie przyśpiesza biegu. Dojeżdżam do rozstajnych dróg i zupełnie nie pamiętam, czy w lewo, czy w prawo. Opuszczam więc lejce, zdając się na Siwka. Jak się okazało, wybrał właściwą drogę. Spoglądam znów za siebie i z przerażeniem widzę kręcący się w porywach wiatru ogromny lej, utworzony z piachu. Unosi się ponad drzewa, to znów osiada na drodze. Józef nazywał taki lej „srala Bartek”. Ale co mi tam facecje Józefa, kiedy za plecami burza. Ot i pierwsze krople deszczu. Niebo zaciąga się nagle skłębionymi chmurami i grzmoty przewalają się coraz bliżej. Błyskawice oślepiają. „Boże – modlę się – dlaczego akurat ja, która tak bardzo boję się burzy, muszę ją teraz

znowu przeżywać sama, bez Janka i w lesie! Ocal jeszcze ten raz – przecież on i dzieci czekają na mnie!”.

Strugi deszczu wałą wściekle, a ja siedzę już w wodzie, gdzie na nic koce i derki. Wicher chlaszcze po twarzy obwieszonymi wodą gałęziami. Trzask łamanych konarów zmusza do instynktownego pochylenia głowy. Otwarły się upusty niebieskie, deszcz z gradem grzmoci niemiłosiernie. Znowu strach dławi za gardło, jest mi niedobrze. Woda zalewa oczy i usta, zapierając oddech. Nie wiem, gdzie jestem, konia nie widzę, jadę, dokąd – też nie wiem. Chwilami, wśród oślepiającego światła, bieli się grzbiet konia, mojego jedyne go przewodnika.

Czarna noc spłynęła na las wraz z ulewą; rozświetlany był tylko potężnymi zygzakami ognia. Jadę teraz z zamkniętymi oczami, zdana na łaskę losu. Kładę się na wozie, aby gałęzie, które szarpia ociekające wodą włosy i kaleczą twarz, nie zmiotły mnie z siedzenia. Czas zatrzymał się w miejscu.

Nagle, wśród huku, dalekie szczekanie psa... wreszcie wjeżdżam na wolną przestrzeń. Jakieś światełko, matko, to dom! Ledwo widoczny w strugach deszczu.

Siwek sam ruszył zwawiej, ominął naszą bramę, skręcił na Wygwizdów i wjechał bezbłędnie w otwarte wrota na swoje podwórze, do siebie. Na progu domu, pod wystającym okapem, ze stajenną latarnią między kolanami – siedział Józef. Zerwał się, pytając: „Żyje pani nadleśna? A tu pon niecierpliwie zaglunął co i rusz i pytał. No, tera niech ucieka do dom, jo konia wyprzęgne”.

Biegłam jak na skrzydłach, ocierając oczy i od deszczu, i od łez. Biegłam do światła w oknie, do swoich. Była trzecia rano. Janek nie spał, czekał. Na drugi dzień poszliśmy do Józefa podziękować za pomoc. Nie musiałabym przeżywać tej potwornej burzy, gdybym doceniła jego przepowiednię. „Pani, będzie dysc, bo krowy cuchną”. Podobno krowy przed deszczem pocą się i mają wtedy specyficzny zapach. Przepowiednie Józefa zawsze się sprawdzały. Starego Siwka, że mnie wyprowadził z takiej opresji, pocałowałam w mięciutkie nozdrza.

Kiedyś wpadła mi w ręce książeczka *Bitwa pod Raszynem*. Wiedziałam, że Józef bardzo lubi opowiadania historyczne, zwłaszcza o tematyce wojennej, a sam już czytać nie może. Wybrałam się więc z nim do lasu na ługi i tam, kiedy tylko było wyszło na łąkę, usiedliśmy na pniaczkach i zaczęłam czytanie. Zwinął rękę w trąbkę, przyłożył do ucha i przymknął oczy. Słuchał, ani drgnął. W niektórych momentach reagował mimiką twarzy i był tak zaabsorbowany akcją książki, że krowy przestały go już całkiem interesować.

Czas mijał szybko, Józef trwał w bezruchu, a ja doszłam do wniosku, że w życiu nie miałam takiego słuchacza. Chwilami myślałam, że śpi, ale zapytany, czy mnie słyszy – kiwał głową. Przeczytaliśmy trzy czy cztery rozdziały, aż lekko ochrypłam. Mówię więc: „Panie Józefie, odłożymy to na jutro”. Nic się nie odezwał, więc ja głośniej: „Jutro panu dokończę, dobrze?”. Ocknął się wreszcie, otworzył nie bardzo przytomne oczy i jakby obudzony z długiego, lecz miłego snu

– uśmiechnął się do mnie i przeciągnął tak, że aż mu kości zatrzeszczały w stawach. „Pani nadleśno, nikt ta mi nigdy nie czytał o takich historyjach. Radyja nie lubię, a to tak udatnie zmyśłone i złożone, jakbym tam sam był. Nie do pojęcia. No, to niech pani wiruje do dóm, bo późno, a i pon nadleśny może się dynerwować, bo mu trza jakie jodło zszykować. Bóg zapłać za książkę, a jutro kończymy?”. „Tak, tak – mówię – spotykamy się jak zwykle przed bramą”.

Na drugi dzień skończyliśmy książkę, a on, jakby ciągnąc opowieść dal ej – zaczął mówić o swoj ej służbie w wojsku, o ciężkich zimach za Uralem, o słabym wyżywieniu i okryciu. „Bo jak przyszły mrozy, pani, tośmy fasowali drelichy, a w lato dawali nam cieplejsze mundury i długie gacie. Ale jakżem już zarabioł na kolei – tom się obkupił i nawet żem do dóm przywiózł”.

Przyszedeł czas, kiedy Józef nawet krów nie mógl pasać. Przeziębił się kiedyś, mając siedemdziesiąt siedem lat (dwie siekierki – jak mówił). Uznawano wtedy tę magiczną granicę wieku za trudną do przeskoczenia. Leczyć się nie chciał, bo uważał, że przyszedł czas i umrzeć musi. Doszedł bowiem lat, w których zmarł jego ojciec i nie wypadało mu go przeżyć. I tak się stało.

## Gospodarstwo

Mieliśmy w gospodarstwie sporo krów, a wśród nich jedną licencjonowaną krowę, „szwajcarkę”, która w okresie wiosennym dawała 34 litry mleka dziennie. Chyba był to miejscowy rekord.

Prócz krów było stado owiec, którym przewodził wielki czarny baran. Właśnie czerwona „szwajcarka” była jego ulubioną krową, i tylko jej pilnował, przy niej stał, ocierając się bez przerwy o jej wiszące, tłuste podgardle. Krowa mogła żreć w szkodzie i nikt nie miał prawa jej wypędzić, bo rozwścieczony bódl wtedy rogami każdego. Przytrafiło się to panu Michałowi, „oparzeńcowi” (przezwisełko takie otrzymał po wypadku w pionkowskiej wytwórni prochu), który pasał teraz nasze bydło. Gdy próbował któregoś dnia wypędzić „szwajcarkę” ze szkody – baran zaatakował. Biedny Michał spędził godzinę, leżąc nieruchomo w ziemniaczanej bruździe. Baran cierpliwie stał nad nim i gdy ten zaledwie się poruszył, trykał go ponownie, boleśnie, rogami. Dopiero posiłki z zewnątrz wybawiły zziębniętego Michała z opresji.

Jesienią – staliśmy z dziećmi na polu, przyglądając się ludziom wykopującym ziemniaki. Krowy pasły się obok. Na wszelki wypadek mąż uprzedził małego Maciusia: „Słuchaj, jakby cię baran zaatakował, postaraj się wskoczyć mu na grzbiet i trzymaj się mocno kudłów. Zobaczysz, że nic ci wtedy nie zrobi”. Nie upłynęła minuta, gdy ten drań opuścił do ziemi łeb i kopiąc wściekle przednią nóżką, ruszył do ataku. Maciuś tak się zachował, jak ojciec poradził. Zwinnie wskoczył temu idiocie na grzbiet i przejechał się na nim z wdziękiem.

Baran zbaraniał. Maciuś trzymając się wełny, podniósł lewą rękę do góry, zupełnie jak w corridzie, i zeskoczył. Baran postać chwilę zdezorientowany, odwrócił się i wolno odszedł do swojej krowy. Dziewczyny kopiące ziemniaki, widząc całą scenę, zaczęły bić brawo. Maciuś, choć blady z wrażenia – był z siebie zadowolony.

Innym razem służąca Andzia, rozlazła i nieruchawa, niosła w dwóch rękach wiadra z karmą dla świń. Baran wolniutko wyszedł z obory i ruszył... Widząc biegnącego prosto na nią – dziewczyna stanęła w rozkroku, wrzeszcząc wniebogłosy, a ten grzmotnął z rozpędu w jej pustą spódnicę tam, gdzie powinny być kolana. Tylko wiadra pofrunęły w górę. Upapraną świńskim żarciem, leżącą babę baran przeskoczył i w lansadach, jakby się nic nie stało, zniknął w oborze.

Mnie również oberwało się od niego, kiedy poszłam z wiadrami po wodę do studni. Patrząc, a on już drepcze w moją stronę grzecznie, pcha ten wredny pysk do wiadra i siorbie ze smakiem czyściutką wodę, której nawet niewart. Nie reaguję, czekam. Zaspokoił pragnienie i jakby mnie nie widząc, odbiegł na maleńkich, czarnych, jakby lakierowanych kopytkach i przepadł jak zwykle w mrocznych

czeluściach obory.

Wymieniłam wodę w wiadrze. Zerkam w stronę obory – nie ma go. No, chwała Bogu – myślę. Dochodzę już z wiadrami do schodów, a to bydlę, jak mnie nie rąbnie w siedzenie, a drugi raz poprawi, tylko wiadra zadzwoniły na betonie.

„Ty zaraz! – mówię językiem Staški. – Ja ci jeszcze pokażę!”. Kiedy wieczorem mąż smarował mi kojącym balsamem pewną nadwerżoną część ciała, poprzysięgłam baranowi straszną zemstę za wszystkie nieprawości, jakich się dopuścił. Najpierw, związanego w kij, „osmyczyłam” nożycami z wełny, że wyglądał jak wymoczek, a łeb z tymi baranami gałami wydawał się nieproporcjonalnie wielki. Jak już go oszpeciłam, wyostrzyłam nóż i zdezynfekowałam ręce. Podeszłam do związanego na wozie i „obcięłam u dołu” – po prostu wykastrowałam go. Kurował się długo, bo był już nie pierwszej młodości, ale od tej pory zmądrzał na tyle, że odechciało mu się wreszcie baranich figli i pieszczot z krową.

Ale nie tylko baran nam dokuczał. Był też kogut – piejak, jeden z kilku w stadzie, z których każdy miał swój harem, złożony z dwudziestu kur (choć często myliły się im „wybranki”). Urodziwy był bestia – dumny, rosły karmazyn, a taki wysoki, że wyciągając szyję, mógł jeść swobodnie ze stołu. Wyposażony w ostrogi, z wypiętą piersią i podwójnym grubym grzebieniem – był piękny. Cóż z tego, kiedy bardzo dokuczał dzieciom i naszym gościom. Gonił wszystkich, wskakiwał na głowę, bił skrzydłami i dziobał, gdzie się tylko dało. Pewnego dnia przebrała się miarka. Powiedziałam – dzisiaj koniec z tobą. Złapałam koguta. Owinęłam go ścierką i związałam skrzydła i nogi tak, że wystawał tylko łeb. Te przygotowania obserwowało siedem osób: Joanna z Maćkiem i zaprzyjaźniona z nimi piątka kolegów, która również doświadczyła jego ostrego dzioba. Potoczyłam siekierę na bruku i udałam się w stronę parnika, niosąc koguta pod pachą. Tam w pokrzywach leżał stary słup telefoniczny. Chłopcy uciekli na ławkę. Ułożyłam łeb koguci na kłocu. Teraz tylko zamach i... aż się dziwię, ale z ulgą i chyba bez litości uderzyłam ostrzem z góry. Cofnął łeb w ostatniej chwili tak, że odcięłam tylko jego połowę, a oko, które zostało, mrugało na mnie bezlitośnie. Tego było za wiele jak na moje nerwy. Zrobiło mi się niedobrze. Rzuciłam koguta w pokrzywy i zaczęłam uciekać w stronę domu. A ten, na związanych sznurkiem nogach, jak na jednej, gonił mnie tak szybko, że bez tchu wpadłam do sieni, zatraskując za sobą drzwi. Jednak ze strachu byłam szybsza. Padł na najwyższym schodku, uderzając raz jeszcze w drzwi okaleczoną głową.

Trzeba było widzieć teraz, co się działo na ławce. Ta dzika zgraja wyla z radości, okładała się nawzajem pięściami, tulała po ziemi, wrzeszcząc: „Ratujcie, bo zdechnę! Już nie mogę! Trzymajcie mnie, ludzie!” – i temu podobne wykrzykniki. Na to nadeszła Andzia, służąca, zabrała najspokojniej koguta do kuchni i w ukropie zdjęła z niego wspaniały strój. Bo szyja naszego koguta,

przystrojona w złote pióra z metalicznym pawim połyskiem, i ogon, pysznie uniesiony na wysokość głowy – mieniły się szmaragdową zielenią. Teraz wyglądał całkiem pospolicie i nadawał się tylko do garnka. Przyrzekłam sobie osobiście nigdy nie zabijać drobiu. Zawsze zresztą czyniła to babcia Frania, domowy „rzezak” od trzydziestu lat.

## Dzieci w Pionkach

Na Dronowych Niwach dzieci uczone były przeze mnie i Danusią Kobyłęcką wszystkich przedmiotów, toteż po przyjeździe do Pionek zdały od razu do trzeciej klasy! W drodze do szkoły przechodziły codziennie przez tory kolejowe, potem szły wzdłuż stawu i przez most na rzeczce. Bałam się o nie zawsze.

W pierwszym dniu nauki dzieci wróciły do domu bez tornistrów i książek. Zeszły bowiem nad rzeczkę, by przyjrzeć się kąpiącym, i zostawiły tornistry na moście. Za tydzień historia się powtórzyła, tym razem na placu tartacznym, gdzie poszły po prostu „na siusiu”. Zapomniały o tornistrach. Szukanie nie pomogło. Kupiliśmy więc trzeci zestaw.

Innym razem dzieci nie wróciły po szkole do domu. Zaniepokojona wysłałam im naprzeciw. Okazało się wtedy, że pomagały starej kobiecie zanieść do domu „zajdy” chrustu, które z trudem ciągnęła z lasu. Niepokój znów był niepotrzebny.

Kiedy nastawa zima i przyszły krótkie dni, Janek wyjeżdżał po dzieci saniami. Nasz lęk o nie okazywał się bezzasadny. Znajdował je zwykle radosne i rumiane, leżące w zaspach śniegu i robiące „orły”.

Przez jakiś czas dzieci chodziły do pani Postępskiej (hrabianki z domu Miączyńskiej) na lekcje francuskiego. Dawniej uczysa ona u Sióstr Zmartwychwstanek w Warszawie. Edukacja nie trwała długo, ponieważ podczas lekcji nauczycielka usypiała.

W domu udzierałam Joasi i Maćkowi lekcji gry na pianinie. Wiedziałam, że dzieci są muzycznie i artystycznie uzdolnione. Często uczyłam je piosenek przed snem, gdy leżały już w łózkach. Wystarczyło parę razy powtórzyć, aby następnego dnia w duecie zaśpiewały bezbłędnie na występie.

Maciek urozmaicał niemal każdą akademię szkolną wierszem okolicznościowym lub piosenką wykonywaną z Joanną na dwa głosy. Do momentu przejścia mutacji śpiewał sopranem jak dziewczynka, a Joanna altem. Wnet pozyskali sobie serca słuchaczy.



## „Święto lasu”

W dniu święta lasu, w kwietniu, urządził Janek wycieczkę dla dwóch szkół podstawowych kolejką wąskotorową do Puszczy Kozienickiej.

Jesteśmy przed parowozownią, z której wyjeżdżają dwie lokomotywy z wagonikami. Czy może sobie kto wyobrazić tę radość, ten rozgardiasz, nawoływania i śmiechy, ładowanie się na wózki, każdy z paczką prowiantu, butelkami, owocami i z Bóg wie czym jeszcze. Wreszcie pociąg rusza. Panie rozpinają parasolki, bo słońce zaczyna przygrzewać nieźle, a młodzież pozbywa się szybko zbędnej garderoby, aby przypiec nieco skórę i później wszystkim imponować i opowiadać, gdzie się to było. Maszynista przejęty swoją rolą gwizdał na każdym przejeździe, co jeszcze powiększało hałas, bo i dzieci naśladowały gwizd, jak kto umiał. Pod górką ciuchcia się zatrzymała. Maszynista wysiadł i nabierał z cembrowiny wodę, nosząc ją do kotła wiecznie nienasyconej lokomotywki. Chłopcy zaczęli naprzykrzać się, że i oni pomogą. Nosili więc wodę na zmianę, ulani do pasa, ale szczęśliwi. Ruszamy, znów gwizd przeciągły i stukot wagoników, które trzęsą się i tłuką jeden o drugi. Dojeżdżamy do „Trójkąta”, bo tak nazywa się baza – składnica. Tu furmani dowożą drzewo końmi, a stąd zabiera je kolejka do tartaku.

Kolejka zatrzymała się i teraz dzieci powyskakiwały z wagoników, czyniąc niesamowity hałas. Było to chyba jedyne miejsce, gdzie mogły się wreszcie wykrzyknąć i poczuć swobodnie.

Gdy wszyscy się rozbiegli, postanowiłam odwiedzić gajową Rozborską – matkę bliźniąt. Zastałam ją w kuchni, gdzie, siedząc w fotelu, trzymała na rękach półtoraroczne dzieci, przyssane do dwu pełnych mleka piersi. „Pani wie, oni jedzą równocześnie, siusiają równocześnie, zasypiają i budzą się o jednej porze. Nie mogę z niczym nadążyć, jeszcze tyle pracy w gospodarstwie... Mogłaby pani przypilnować trochę chłopców, to zrobię obrządek w podwórzu?”. Zgodziłam się chętnie, nieświadoma, co mnie czeka.

Kiedy matka tylko wyszła za próg, wnet w kojcu zaczęła się bitwa. Wyrwanie sobie nawzajem zabawek: koników wyrzeźbionych przez ojca, wózków, kolorowych kóleczek. Jak umiałam, tak godziłam. Śpiewałam, wygłupiałam się, ale nic nie pomagało, spór trwał. Wreszcie jeden z nich przez otwór między szczebelkami chwycił za ucho nocnik stojący w pobliżu, wciągnął go do środka i usiadł na nim, choć rozwrzeszczany brat spychał go zeń zawzięcie. Miała rację matka, twierdząc, że tu wszystko dzieje się równocześnie. Dopiero jej powrót wybawił mnie z opresji i pozwolił wrócić do szkolnych dzieci.

Większa część chłopców pobiegła na łąki z nauczycielem od gimnastyki. Przez błotniste tereny płynęła rzeczka Zagożdżonka. (Za gozdem, czyli za błotem, stąd jej nazwa. Wtedy była czysta, bo później, kiedy powstała fabryka sztucznej

skóry w Pionkach – wszystkie odpady płynęły bezkarnie, trując ryby, raki i to, co żyło). Z nauczycielką od przyrody dziewczęta wybrały się na poszukiwanie kwiatów i piestrzenic – grzybów, które w ciepłe dni po opadach pojawiają się już w maju. Ich główki o nieregularnych, ciemnobrązowych kapeluszach, osadzonych na białym trzonie, wyglądają jak poskręcany aksamit. Niektórzy nazywają je „babie uszy” lub smardze.

Swoją grupę dzieci zaprowadziłam na wzgórze, gdzie biło między kamieniami źródło i wypływało cienkim strumieniem w las, chowając się wśród paproci. Piliśmy tę wodę, bardzo czystą i zimną. Przystając na moście, po którym biegły szyny kolejki leśnej, obserwowaliśmy chłopaków biorących udział w konkursie na najlepszego pływaka pod prąd i z prądem. Zwycięzcę udekorowały dziewczyny wiankiem uwitym z kwiatów czeremchy, której całe pęki o duszącym zapachu wisiały nad wodą. Na kępach w rzece wyrastały gromadnie żółte kaczeńce i zakwitwały już gdzieniegdzie żółte kalie wodne. (Gospodynie wiejskie tną je sierpami i razem z usiekaną pokrzywą dodają do jedzenia dla drobiu i świń). Obok chwiała się olbrzymie rdesty i szafranowe irysy wodne. Było pięknie i nie chciało się odjeżdżać. Słysząc w lesie pohukiwania i fałszywe śpiewy chłopaków, którzy w fazie przechodzenia mutacji pieją i beczą, a cierpliwe echo musi to nieść dalej. Zbieramy się przy ognisku na posiłek. Siadamy na ściętych pniach drzew. Każdy wyciąga wiktuały i jemy, częstując się nawzajem. Potem sprzątamy skrzętnie papierki, puste pudełka i wrzucamy do płonącego jeszcze ogniska, nad którym pieką się resztki niedojedzonej kiełbasy i kawałki chleba. Wszystko ma swój smak i zapach.

Czas wracać. Żegnaj, piękny, stary lesie, żegnajcie osiemdziesięcioletnie kolosy – modrzewie znad Kamiennej Grobli. Wrócimy tu jeszcze w czerwcu, tuż przed zakończeniem roku. W drodze powrotnej wysiedliśmy przy ścieżce, która prowadziła do Czerwonej Figury. Był tam pamiątkowy krzyż z pierwszej wojny światowej, a nieopodal dwa groby żołnierskie, którymi opiekowały się moje dzieci. Zatrzymujemy się przy olbrzymim wykrocie sosnowym, który jak olbrzymi wachlarz na parę metrów wysoki, obrosły paprocią i borowiną – posłużył mojemu dziewięcioletniemu synowi za trybunę do wygłoszenia wiersza Tetmajera *Las*. Trudno sobie wyobrazić lepszą scenerię, a i Maciej deklamował wiersz z przejęciem, melodyjnie... Brawa powtarzały dęby dębom, a we mnie serce rosło.

## Krypa starego Glimasińskiego

Już ostatnie dni nauki, zbliża się wypoczynek, więc dzieci wymyśliły sobie wakacyjną przyjemność – rejs po Zagożdżonce. U starego Glimasińskiego na Kamyku leżała pod szopą świecąca szparami, rozeschnięta łódź. Któryś z chłopaków wypatrzył ją, zebrał po lekcjach kolegów i nuż Glimasińskiego molestować, obiecywać złote góry, aż chłopina zgodził się ją odsprzedać za równowartość czterech roboczodniówek. Należało najpierw zdobyć gotówkę, więc złożyli się wszyscy chłopcy na tę „pokaźną” sumę, dopuszczając jeszcze na ósmego Kazika Zawadzkiego, który miał siedzieć przy sterze, bo znał się na rzeczy, jako że kiedyś przepłynął łódką pionkowski staw. Zaczął się okres mozolnych przygotowań. Rano, idąc do szkoły, Joanna z Maćkiem zdjęli z płotu bańkę na mleko i przechodząc przez tory kolejowe, podstawili ją pod upatrzony już wcześniej wagon – cysternę, z której ciężkimi kroplami skapywała smoła. Po lekcjach zabrali bańkę, która przez te pięć godzin napełniła się prawie, i powędrowali na Kamyk, aby łątać i zalepiać dno krypy. Zabrali Glimasińskiej spod ręki pęk oczesanego lnu i wymieszawszy smołę z piachem – utykali tym szpary. Po pracy umyli ręce w rzeczce, zdzierając ostrą cegłą resztki smoły wraz ze skórą. Ale co tam krew – grunt, że będzie frajda nie z tej ziemi.

24 czerwca na Jana, odbębniwszy imieniny ojca – dzieci poszły do szkoły. Nie bardzo czekały na świadectwa, nieciekawe pewnie ocen. Niespokojne serca były im teraz mocno przed wielką wyprawą po tajemniczych zakolach Zagożdżonki. Pozostał jeszcze problem przeciągnięcia łodzi nad rzekę. Tego mógł dokonać tylko koń – nasza Kara.

Zaroilo się na podwórzu od wyrostków, oczekujących, jak zbawienia – decyzji Janka. Zgodził się. Nakładł tylko w puste głowy, jak się małą z koniem obchodzić.

Bosa Joanna, jako że z gospodarstwem obeznana od lat, siadła na oklep, mając na ramieniu postronek jak arkan zwinięty w koło. Podobna wtedy była do dziewczyny z farmy. Wszyscy za nią, z całą paradą, hucznie i ze śmiechem podążyli na Kamyk. Biedna klacz musiała kilka kilometrów po leśnych wertepach wlec ciężką łódź. Toteż wróciła do domu po paru godzinach z bokami w pianie. Kazałam je wytrzeć, żeby mąż nie widział.

Zaczęła się przygoda. Dzieci nie wzięły z domu jedzenia (tak postanowiły) prócz soli i koszyka ziemniaków. Parę butelek wody studziennej miało wystarczyć do gaszenia pragnienia, a niezły woreczek pierwszych papierówek wykrcających gębę – na deser. Pies, kundel, którego wziął ze sobą Bohdan Oko – miał dostarczać świeżego mięsa, bo podobno w tym się kiedyś sprawdził. I faktycznie – upolował im królika, którego wsadzili w ognisko oblepionego gliną i rozszarpali z głodu jeszcze niedopieczonemu. Tyle że posolili go suto. Było kąpanie, podczas którego

Gienek topił się dwa razy, było przeciąganie ciężkiej łodzi przez groblę i mielizny i łowienie kielbi na wędkę ze sznurka. Boguś Cywka – indywidualista – łowił je w durszlak. Zdobycz oczyszczoną i osoloną, utarzaną w ospie, pieczono na patykach nad ogniem. Smakowało bosko! (ich określenie). Zbyszek Ornat złapał w rzece pod nawisem raka. Tego ugotowano w wodzie z koperkiem, zdobytym cichcem z ogródka leśniczego, w zardzewiałej puszcze po konserwach. Podzielono go między wszystkich sprawiedliwie, choć miał tylko dwie nogi ze szczypcami, kilka drobnych i jedną szyjkę, ale za to był czerwony jak prawdziwy rak i jak rak smakował. W jarze, gdzie rosły lipy, chłopcy znaleźli surojadki, gołąbki i rydze – więc i te przyczyniły się do urozmaicenia menu. Joanna wycyganiła jeszcze od żony leśniczego plaster słoniny, pokrajała go w paski i przekładając nią na przemian grzybowe czapeczki – soliła i rozdawała, a każdy sobie według własnego gustu wędził nad płonącym na łące ogniskiem. Po godzinie do rozgrzanych węgli wrzucono opłukane w rzece ziemniaki (własne i kradzione). Poszukiwacze przygód legli pokotem wokół ogniska umordowani niesamowicie. Upieczone, kruche ziemniaki wypełniły wreszcie nienasycone żołądki.

Trzeba było jednak powoli szykować się do powrotu, zwłaszcza że zrobił się chłód i przemoczone „jedenastki” ziębiły niemiło. Od wody wstawały białe mgły. Zatopiono łódź przy brzegu, by nie ukradli jej miejscowi. Księżyc wzeszedł i oświetlił lipinę ponad jarem, odezwały się nocne ptaki. Pohukiwał puszczyk, bąki pojękiwały z bagien, a wtórował im chór żab z nadrzecznych zarośli. Idąc, śpiewali więc dla kurażu, bo pewnie bali się ciemności i śmiechu puszczyka, od którego cierpła skóra. W dodatku ścieżka prowadziła obok zbiorowej mogiły niemieckiej z czasów wojny. Ale zdzierzyli i tę próbę. Kiedy znaleźli się na szerokiej drodze – fantazja wstąpiła w nich na nowo. Już bliżej domu wydzielali się niemiłosiernie i fałszywie, ile tylko sił w płucach, tak że słyhać ich było wyraźnie z odległości kilometra. Aby było prędzej, szli „na skuskę” przez zarośla.

Z falą ogniskowego dymu wtargnęli nasi do kuchni wymęczeni i usmoleni. Skierowali się od razu do łazienki, mówiąc, że muszą się wykąpać i zrobić coś z nogami. Obejrzałam więc ich stopy. Palce były dokładnie zlepione smołą! Napracowałam się nieźle, kiedy polewając i smarując przeróżnymi płynami próbowałam je rozkleić. Najlepszym środkiem na rozpuszczenie smoły okazało się masło, ale i tak tego wieczoru nie dokończyłam mojego dzieła, bo delikwenci przelewali się wprost przez ręce ze zmęczenia. Trzeba było stopy poowijać gazą i ponowić próbę nazajutrz. Do dziś dzieci wspominają tę przygodę jako zupełnie wyjątkową.

## Moja praca artystyczna i opiekuńcza

W 1949 roku, w stulecie śmierci Chopina, odbył się w miejscowym tartaku w Pionkach koncert, którego byłam pomysłodawcą, scenografem, reżyserem i wreszcie wykonawcą. I taki był początek. Koncert musiał się chyba podobać, bo wkrótce otrzymałam z trzech pionkowskich szkół propozycje współpracy. W gimnazjum zaczęłam więc uczyć rysunku, a w szkołach podstawowych muzyki. Tam też stworzyłam chóry dziecięce, zespoły muzyczne i grupy taneczne. Równocześnie przy państwowym tartaku prowadziłam chór mieszany dorosłych. Występowaliśmy na miejscu i na wyjazdach. Tam również założyłam teatr amatorski, wystawiając szereg obrazków scenicznych, a w szkołach prowadziłam kółka teatralne.

Gdy już raz pokazałam swoje możliwości, nie było sposobu, abym mogła się wycofać i nie pomagać wiecznie zagonionym nauczycielom. Urządzałam więc szkolne występy, akademie okazjonalne, ozdabiałam i dekorowałam sale na zabawy, bale i studniówki. Ta ogromna i wyczerpująca praca trwała aż do 1972 roku, kiedy moje młodsze dzieci ukończyły gimnazjum. Pomysłów miałam wiele i dużo chęci, bo znajdowałam w tej pracy satysfakcję i przyjemność. Była to prawdziwa odskocznia i oderwanie się od zajęć w gospodarstwie, które zresztą i tak po powrocie ze szkół nie omijały mnie.

Kiedy moje starsze dzieci chodziły jeszcze do podstawówki, uzyskałam zezwolenie na organizowanie występów w kasynie oficerskim przy wytwórni prochu Pronit w Pionkach.

Scena była olbrzymia. Dekorację tylnej ściany o wymiarach pięć na osiem metrów czasami trzy razy zmieniano podczas jednego aktu, a do tego jeszcze boczne ekrany, kiedy miały być na scenie las, rzeka czy góry. To było wprost szaleństwo. Na szczęście, mając w nadleśnictwie pięciopokojowe olbrzymie mieszkanie, mogłam do woli rozkładać na podłodze brystole, papiery, kleić je, malować i wycinać. Nie raz wypaprałam mężowi wszystkie akwarele Karmańskiego, za co otrzymywałam burę, Janek bowiem nadal malował.

Każdą dekorację musiałam wykonać w czterech mniejszych częściach. Jeżeli wypadły trzy zmiany dekoracji, co się równało dwunastu oddzielnym obrazom, to całość dopiero na dużej scenie mogłam połączyć klejem. Gotowe dekoracje nawinięte na drążek podciągało się w górę, aby tam, w miarę akcji, czekały na swoją kolej. Kłopotliwe to było bardzo, ale pomysł i wykonanie znalazły uznanie wśród znawców.

Projektowałam również do każdej sceny stroje, które szyłam z matkami występujących dzieci.

Janek często doradzał mi w przypadku dekoracji i pomagał w ich realizacji. Kiedy wystawiałam bajkę Janiny Porazińskiej, zaprzęgam konie do drabiniastego

wozu i wyściełałam go słomą. Wspólnie załadowaliśmy w koszach na bieliznę akcesoria, stroje i zwinięte na drążkach dekoracje.

Wjechaliśmy do miasta, śpiewając. Na koźle, obok Janka, który na stojąco powoził, Boguś Cywka z harmonią wyciągał skoczne melodie, podczas gdy Gienek Jasek siedział okrakiem na olbrzymim kogucie o rdzawo-zielonych piórach, który należał również do eksponatów przedstawienia i piał na całe gardło – zamykając przy tym oczy. Janek jechał wolno, bo wóz był również pełen dzieci. Na przodzie przed końmi niesiono wielki transparent zapowiadający premierę. Widząc taką reklamę – ludziska przychodzili tłumnie, prowadząc swoje pociechy i nie szcędząc pieniędzy na dość drogie bilety. Z uzbieranej sumy, pomimo sporego wydatku, zostawał dla szkoły jeszcze pokaźny grosz na zakup książek do biblioteki czy wyposażenie sali fizycznej.

Innym razem odbyło się *Wesele Środy z Piątkiem*, w którym występowała nasza Joanka jako pan młody. Ubrana była w bardzo ciasny czarny fraczek o przykrótkich rękawach, aby podkreślić szczupłość figury tego głodomora. Okrągła Środa, gospodarna, rumiana dziewczuszka, mogła się podobać jako panna młoda. Po zalecankach czterech kawalerów, jako że była bardzo kapryśna, odrzuciła trzech konkurentów, a upodobała sobie właśnie Piątka, bo szczupły, zgrabny i biały na twarzy. Teksty były śpiewane, a akompaniował Boguś Cywka.

Joanka od rana nic nie jadła, by móc dopiąć ten ciasny fraczek. W roli Piątka wypadła doskonale. Kiedy sunął po scenie korowód polonezowym krokiem – chór śpiewał: „Chociaż Piątek żyje śledziem i do zabaw nie ma głowy, dzisiaj w tany go powiem, bo to Piątek wyjątkowy”. Mała, grubiutka Bogusia – narzeczona, z powagą szła tanecznym krokiem, uśmiechając się z wdziękiem do swojego Piątka, gdy wtem Czwartek niechcący nadepnął na wlokącą się po podłodze białą suknię i Środa została w majteczkach. Spódniczka była na gumce – więc narzeczony z galanterią szybko przykłęka i zręcznie naciąga ją z powrotem. Uczta, toasty, brawa. I dzieci zadowolone, i rodzice nie żałują, że przyszli.

Te dwanaście par wyuczyłam poloneza w naszym mieszkaniu, gdzie można było snuć korowód przez cztery łączone pokoje. Dzieci przychodziły na próby pod opieką polonistki, pani Jadwigi Popławskiej. Ale nawet we dwie nie mogliśmy dopilnować spokoju i porządku, bo to bractwo chciało się bawić po swojemu. Kiedy nikt nie widział, Gienek Jasek ze Zbyszkiem Ornatem zaczajali się przy drzwiach i Jaškami zabranymi z kanapy okładali niemiłosiernie po głowach pary wychodzące tanecznym krokiem i trzymające się za ręce. Może dwuletnia Małgorzatka, która zawsze asystowała mi przy każdym występie – była przerażona tą bitwą. Ale kiedy zrozumiała, że to żarty, sama była rada tym figlom i później, cała przejęta, opowiadała nam, jak się to robi.

Gdy starsze dzieci były już w gimnazjum, oprócz lekcji rysunku prowadziłam tam chór. Było czego posłuchać i na co popatrzeć. Pieśni, oparte

najczęściej na motywach ludowych, wykonywano w strojach regionalnych. Świetnie brzmiący chór, trójgłosowy, miał swoją solistkę – panienkę z Garbatki, która, jak słyszałam, skończyła potem Konserwatorium Muzyczne w klasie śpiewu.

W roku 1953, jeszcze przed śmiercią Stalina, odbyło się otwarcie Domu Kultury w Pionkach. Wszystkie szkoły przygotowały się do występów. Ja zaproponowałam kilka ludowych piosenek na głosy, jakieś patriotyczne wojSkowe, wreszcie (że to zaledwie tydzień przed Bożym Narodzeniem), zaryzykowałam i nauczyłam młodzież kilku starych kolęd – pastorałek, w tym na zakończenie przepiękną góralską: *Oj, maluśki, maluśki jako rękawicka*. Na scenie paliła się tylko jedna świeczka, światła wygaszone, nastrój prawdziwie bożonarodzeniowy i te wzruszające staropolskie kantyczki, które zrobiły wrażenie nawet na zatwardziałych „czerwonych”. Większa część widzów śpiewała z nami, nie myśląc o konsekwencjach. A przecież na sali siedział pierwszy sekretarz ze świtą i wszyscy wielcy dygnitarze małomiasteczkowi, łącznie z tajniakami, którzy tylko weszli podczas takich imprez – kogo by tu przymknąć.

Aplauz był niesamowity. Widziałam tylko uśmiechnięte twarze; takie nowe, odświętne. Co do skutków tego wybryku byłam do końca dobrej myśli. Czy mi rozum odebrało? Już na drugi dzień podczas lekcji rysunku woźny wsunął głowę do klasy i powiedział, że ktoś na mnie czeka. No, myślę sobie, nie jest dobrze, ale tanecznym krokiem weszłam do pokoju nauczycielskiego. Tu zobaczyłam te same co wczoraj twarze – ludzi z pierwszego rzędu. Przekrzykując się nawzajem, uświadamiali mnie, jaki to czyn niegodny popełniłam, bez zastanowienia wciągając w tę całą aferę nieletnią młodzież. Niektórzy starsi użyli tonu ojcowskiego, udzielając mi nagany. Nie czułam lęku, nie byłam bowiem zależna od żadnego dyrektora tych szkół – przecież pracowałam społecznie, za darmo! Wyjaśniłam więc, że za zatwierdzenie mojego programu odpowiedzialny był dyrektor. Na taki argument popatrzyli po sobie, pokiwali głowami i zamknęli sprawę. A mnie zostało zadowolenie, że nowe mury Domu Kultury usłyszały w czasach stalinowskich nasze polskie kolędy.

Po tym zwycięstwie wprowadziłam do kościoła swój chór i śpiewałabym tam z dziećmi przez cały maj – miesiąc Maryjny, tak jak mi proboszcz obiecał, ale stało się inaczej. Tym razem zaprotestował młody ksiądz Major – katecheta. Przyczepił się, że wcześniej śpiewałam z młodzieżą na scenie Domu Kultury pieśń o Stalinie.

No, owszem, była taka. Pamiętam nawet jej słowa: „Hej, radzili Kozaczkowie, kiedy zorzy załśnił świt, rozważali, rozmyślali o kołchozach pięknych swych. Gdyby do nas, mili bracia, Stalin zjechał jako gość, toby miał popatrzeć na co, bo dobytku u nas dość!”. Musiałam w tym czasie uczyć rosyjskich pieśni, a podobały się wszystkim – bo były bardzo melodyjne, oparte na starych dumkach, pamiętających jeszcze carską Rosję. Dyrektor Bień, dając mi do wglądu

*Zbiór pieśni radzieckich*, kazał korzystać z niego, bo takie było rozporządzenie Inspektoratu z Kozienic. Ja tu nic nie miałam do gadania. Kazano mi też nauczyć młodzież hymnu radzieckiego, który przy większych uroczystościach musiał być śpiewany.

Otrzymałam zawiadomienie, że już więcej śpiewać w kościele nie będę. Miałam o to wielki żal. Dzieci również.

Za czasów dyrektorowania w gimnazjum profesora Bienia dostałam się na etat. Pracowałam teraz za całe sto złotych miesięcznie, zaniedbując jednak, co tu dużo mówić, i dom, i dzieci. Byłam całym sercem zaangażowana w te nasze lekcje śpiewu i rysunku, kiedy to ukazywałam młodzieży zaczarowany świat barw i kształtów i zapoznawałam je z malarstwem polskim z ubiegłych stuleci, nie mówiąc o stylach w architekturze, które były im całkiem obce.

Po skończonych lekcjach, kiedy było już ciemno, przyjeżdżał po mnie Janek. Byłam mu za to wdzięczna, że rozumie mnie, moje upodobania, i pomaga w ich realizacji.

Po pewnym czasie doszła mi jeszcze jedna odpowiedzialna praca. W powiecie dowiedzieli się o moich działaniach na rzecz chorych i biednych. Zaproponowano mi pracę społeczną. Miał mi podlegać olbrzymi rejon miasta. Spadła na mnie odpowiedzialność za organizowanie pomocy biednym. Było w tym rozwożenie prowiantu: mąki, cukru, kaszy, grochu i tłuszczu. Przydzielono mi do pomocy specjalną grupę harcerzy. Dzielenie i ważenie odbywało się u nas w domu, widocznie wierzono w moją uczciwość.

Chyba wywiązywałam się dobrze z pracy, bo już po roku w sali kasyna publicznie zostałam udekorowana Odznaką Zasłużonego Opiekuna Społecznego. Znając swoich podopiecznych, mogłam decydować i proponować władzom wysokość pomocy pieniężnej, składać podania o opiekę nad ludźmi chorymi i niedołącznymi i kierować ich do Domów Starców. W administracji Opieki Społecznej spotykałam się ze zrozumieniem. Chętnie pomagano mi w tej pracy, udzielając niezbędnych informacji. Raz w tygodniu składałam raport ze swojej działalności.

Opiekowałam się również trudną młodzieżą, zwłaszcza dziewczętami uciekającymi z domu. Często udawało mi się sprowadzić je z powrotem z odległych miejsc i zażegnać konflikt z rodzicami.

Pracowałam tak przez dwadzieścia dziewięć lat, aż do chwili naszego wyjazdu do Warszawy.



## Pani Pułkownikowa

Pani Maria Postępska pochodziła z Kresów, z zamożnej, hrabiowskiej rodziny Miączyńskich, herbu (podobnie jak mój) Suchekomnaty.

Maria wychowywała się u sióstr w Sacré-Coeur. Ojciec jej, kiedy wybuchła rewolucja w Rosji, w popłochu przed bolszewicką nawałą zabierającą nie tylko mienie, ale i życie, kazał dwóm Kozakom zakopać w lochu swego pałacu srebra rodzinne, precjoza i, aby nie było świadków, zlikwidował obojha. Przyjechał do Warszawy i tu na ulicy Zwycięzców, na Saskiej Kępie, wystawił kamienicę czynszową, która podczas II wojny światowej została zburzona.

Maria, przez liczne parantele, była skoligacona z pierwszymi rodami w kraju. Wykształcona, przystojna, wychowana w dobrobycie, zwiedzała i poznawała inne kraje. Na wyjeździe „do wód” w Baden-Baden zakochała się w pułkowniku Postępskim, a że to była podobno samowolna panna, decydująca o sobie już od dziecka, szast-prast i wpadła w sidła małżeńskie.

Wesołe życie oficerskie, bale kotylionowe, korsa kwiatowe (zabawy, pochody z ukwieconymi pojazdami), reduty w niekończącym się karnawale, bale maskowe tak popsuły Marię, że pragnęła ciągle nowych strojów, adoracji i wystawnych przyjęć. Pułkownikowska gaża nie wystarczała na opłacanie tych wybryków i zachcianek. Toteż zaczęło się pierwsze „kruszenie kopii” u współmałżonków, niesnaski, wymówki. Samodzielna jak zwykle, odwiedziła kiedyś Siostry Sercanki w Warszawie – i tam, w gimnazjum słynącym na całą Polskę z dobrej renomy, zaczęła udzielać lekcji francuskiego. A trzeba przyznać, że grasejowała wspaniale.

Maria Postępska odróżniała się od innych kobiet polotem, dużą wiedzą, elegancją i sposobem bycia. Wiedziało się, że to był ktoś i że na tę jej swobodę w obcowaniu z ludźmi, na grację i szyk pracował czas i dzieje wielu pokoleń.

Poznałam ją, gdy była już rozwiedziona i sama wychowywała córkę Jeżennę.

Pewnego dnia przyszedłam do sali widowiskowej w budynku tartacznym na jakieś okolicznościowe przedstawienie i zobaczyłam, jak z wielkim zaangażowaniem prowadzi występ. „Artyści” byli surowym materiałem, z którego trudno było cokolwiek wykrzesać. Byli to robotnicy leśni i tartacznicy, z wypiekami na twarzach, przejęci, dawali z siebie wszystko – tak im to imponowało. W tym samym czasie uczyłam już muzyki w szkołach i byłam zaabsorbowana piętrzącymi się zajęciami. Ale na jej propozycję, by prowadzić stronę muzyczną w tym zespole – przystałam dość chętnie.

Utworzyłam chór składający się z dwudziestu kilku osób. Mój mąż wiódł prym, podtrzymując tenory siłą swego głosu. Joanna z Maćkiem pomagali w sopranach. Zespół działał parę dobrych lat.

Pani Postępska otrzymała od Państwa sumę rekompensującą w części stratę

kamienicy w Warszawie. Wybudowała więc mały, dwupokojowy domek w pobliżu naszej działki, na której i my rozpoczęliśmy budowę. Tak zaczęły się nasze bliższe kontakty i wreszcie przyjaźń.

Maria kochała muzykę i śpiew, знаła chyba wszystkie opery kompozytorów rosyjskich. Arię z *Borysa Godunowa* Musorgskiego śpiewała głębokim basem, jak mężczyzna. Pamiętała urywki z *Konika Garbuska*, *Dziadka do orzechów*, nuciła często wyjątki *Jeziora łabędziego*.

Kiedyś sprowadziła z Warszawy nuty arii z *Damy Pikowej* Czajkowskiego. Gdy grałam ją na pianinie, na scenie tańczyły pasterki z chłopcami, a chór za kulisami śpiewał: „Mój mileńkij družok, maleńkij pastuszek...”. Publiczność biła brawa, chociaż nie każdy rozumiał treść tej opery. Często pani Maria przesiadywała u nas. Korzystała z telefonu lub słuchała, kiedy grałam jej ulubione dumki ukraińskie. Tym podbiłam jej serce ostatecznie.

W jej domu, u kobiety, która kiedyś była wielką panią, czuło się ogromny niedostatek. Toteż zanosłam jej ciasta własnego wypieku, owoce, opiekowałam się, gdy leżała chora. A chorowała często, miała cukrzycę. Zrezygnowała w końcu z pracy i zajmowała się tylko wychowaniem wnuczki Iwony, jedynej córki Jeżenny. Jeżunia, zalotna panna, jak matka również samowolna, popełniła mezalians, wychodząc za mąż za chłopca. Zajmowali się skupowaniem szmat z całego powiatu. Jeżdżąc wozem po wsiach, wymieniali starzyznę za nici, igły, garnki i skorupy. Wszyscy dziwili się jej zamążpójściu, pracy i dziwnym upodobaniom.

Mijały lata. W czasie moich wizyt opowiadała pani Maria o swej młodości spędzonej na Ukrainie w zamożnym domu rodziców. Mojej Małgosi podarowała ogromną koronkową chustę jedwabną, należącą kiedyś do jej krewnej księżnej Sapieżyny. Dała jej również barwny naszyjnik robiony przez włoskich zakonników z chleba, na jego koralikach widać było linie papilarne. Służył on kiedyś jako pas zakonnika (również jej krewnego).

Dziś już nie żyje.

## Janek i las

Janka całym życiem był las. To dla niego pracował czterdzieści lat i dla niego zrobiłby wszystko. Ja i nasze dzieci mało mieliśmy go w domu. Pamiętam niekończące się wizyty leśników z kraju i z zagranicy, przyjeżdżających, by zwiedzić puszcę. Były też urządzane kuligi ze szkolnymi dziećmi, z przyjaciółmi, proszone obiady – kiedy ściany naszego domu „rozstępowały się” na przyjęcie gości. Więc piekłam ciasta, robiłam kremy, pieczone, własne masło, sery i wędliny. Poilałam mlekiem prosto od krowy, karmiłam świeżymi owocami leśnymi i grzybami. (Sami nie mieliśmy wiele czasu na rewizyty).

Janek organizował piękne akcje wiosenne w Puszczy Kozienickiej. Z Nadleśnictwa dowożono szpadle, motyki, lancety i kosze do noszenia sadzonek. Był to budujący widok, gdy od rana młodzież licealna w dobrych humorach, bo bez przymusu, ustawiała się rzędami wzdłuż przygotowanych powierzchni i rozpoczynała sadzenie lasu.

Pamiętam jak Janek, martwiąc się idącymi „świętojańskimi przymrozkami”, które mogły „oparzyć” młode dębczaki w szkółce, postawił na nogi o trzeciej rano leśniczego i gajowego, aby zebrali ze wsi ludzi z podlewaczkami. Wodę dowożono beczkowitzem z rzeki. Sadzonki zostały obficie skropione i w ten sposób uratowane od zniszczenia.

Jako pracodawca był surowy, ale i od siebie wymagał wiele. Często pracował ponad siły. Nigdy nie odmawiał pomocy ludziom pracowitym i uczciwym. Ale nienawidził pijaństwa, kręactwa i lenistwa. Współpracownicy – widząc jego zaangażowanie, szanowali go i byli mu bardzo oddani. Dzięki niemu jego podwładni mieli wybudowane nowe, wygodne osady. On też wyszkolił dobrą kadrę leśniczych, gajowych i robotników. (Pamiętam postać gajowego Wąchockiego, byłego żołnierza AK, który nosił w ciele odłamki szrapnela. Pewnego lata rana otworzyła się i powstała gangrena. W oczekiwaniu śmierci polecił żonie, by ubrała go w mundur z odznaczeniami wojennymi. Chciał, aby takiego zastał go mój mąż).

W Puszczy Kozienickiej szkółki Janka były najpiękniejsze. Jego wyborowe i wyselekcjonowane sadzonki zasłynęły w wielu innych okręgach. Nie bez powodu więc, wraz ze swą załogą, został wyróżniony na stałe proporczykiem przechodnim za wybitne wyniki w pracy. On sam ma Dyplom Uznania za pracę na rzecz lasów kielecczyzny, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Złotą Odznakę Polskiego Towarzystwa Leśnego i Odznakę Zasłużonego dla Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego.

W jednym z siedmiu podległych mu leśnictw w Augustowie powstał z jego inicjatywy rezerwat o powierzchni 66 hektarów. Jest to najpiękniejsza część Puszczy Kozienickiej, słynąca z potężnych dębów i wspaniałych jodeł, buków

i jaworów. Pełno tam również lip, brzoź, klonów i wiązów. Dno lasu obfituje w rośliny chronione: czosnek niedźwiedzi, konwalię, śnieżyczkę (przebiśnieg), zdrojówkę, kokorycz lekarską. W leśnictwie Brzeźniczka zaś górują modrzewie polskie przy Kamiennej Grobli oraz grupa świerków odmiany kolumnowej. Każdemu, kto znajdzie się w puszczy, wydaje się, że jest w świątyni. Ogarnia go cisza, powaga, mrok i jakaś dziwna zaduma. Kiedy mąż, będąc w lesie, swoim zwyczajem patrzył w górę na wierzchołki tych olbrzymów – sama czapka, jak mówił, przez szacunek spadała mu z głowy. Tam też chętnie modlił się, bo tam właśnie czuł bliskość Boga.

Najpiękniejsza puszcza jest w jesieni, kiedy rozświetla ją słonecznie złociste listowie grabów. Dęby kolosy, z których wiele przeżyło 200 lat, miały na długości dwudziestu metrów od ziemi „strzałę” tak równą, gładką i bezszępną, że idealnie wbijały się w niebo. Inne, przysadziste, dziuplaste i omszone wiekowe drzewa – mogłyby nam opowiedzieć wiele o dawnych łowach, bo zwierzyny było wtedy w bród.

## Nasze młodsze dzieci:

### Małgosia

Małgorzatka urodziła się dziesięć lat po Joasi, 21 września 1948 roku. Grzegorz Tomasz w 1952. Bawili się razem, dopóki Grześ nie uznał, że nie warto zadawać się z dziewczynami i nie poszukał sobie kolegów w sąsiedztwie.

Małgorzatka, wyjątkowo ładne i kochane dziecko, była naszą „przylepką”. Drobną, o smagłej cerze i małym zgrabnym nosku, podobała się wszystkim. Cicha, delikatna, nie sprawiała kłopotu. Nie kaprysiła, jak inne dzieci. Kiedy leżała jeszcze w wózek, dawałam jej kartkę papieru do zabawy i to jej wystarczało. Szłam wtedy do pracy w kuchni lub w podwórzu. Mogła godzinami bawić się sama. Latem zostawiałam ją w kojcu w cieniu, pod rozłożystym jesionem, przed oknami kuchni. Gdy nadchodziła pora spania, Czarnecka kołysząc wózką, śpiewała dziecku nabożne i weselne pieśni, omiatając je zieloną gałęzią od komarów.

Kiedy Małgosia była większa, krzątała się ze mną w podwórzu, trzymając – na niby – ciężkie wiadro lub wybierała z kurnika jajka do koszyczka. Lubiała karmić pszenicą ptactwo domowe i taka wydawała się wtedy maleńka pośród stada indorów czy krzyżących gęsi. W ogrodzie miała swoją grządkę z samodzielnie wsianymi warzywami, którą lubiła plewić z chwastów. Byle jak to rosło, bo krzywo posiane lub za grubo przykryte nie wzeszło, ale sprawiało jej wiele radości, gdy do obiadu mogła mi przynieść swój mizerny koperek.

Za Czarnecką nosiła zwykle jedno drewnienko do palenia w piecach i zawsze śpiewała z nią cieniutko powtarzające się przyśpiewki.

Często, kiedy nie miałam dla niej czasu, bo go naprawdę miałam niewiele, zwłaszcza po urodzeniu Grzesia, przyprowadzałam ją do biura, do męża. Tam rysowała na karteczkach kolorowymi kredkami, oglądała książki albo – siedząc na poręczu fotela za plecami ojca – czesała i zaplatała jego włosy. Dzisiaj aż jest mi przykro pomyśleć, że tak niewiele poświęcałam czasu temu wyjątkowemu dziecku.

Po godzinach urzędowania Małgosia przychodziła do pustego pokoju sekretarza nadleśnictwa, pana Szostkiewicza, i tam wdrapawszy się na biurko, sięgała po słuchawkę telefonu na korbkę. Wiedziała, że leśniczy Latałski ze Stanisławic ma córeczkę Marysię, jej rówieśnicę (miała wtedy pięć lat). Wykręciłam numer leśniczego i doprowadziłam do rozmowy obu dziewczynek. Od tej pory sama kręcąc korbką i wybierając jakiś tam numer, „łączyła się” na niby z Marysią.

Pewnego dnia przypadkowo naprawdę uzyskała połączenie. Gdy usłyszała głos pana Latałskiego, krzyknęła, rzuciła słuchawkę i spadła ze stołu. Długo była w szoku i nie mogłam opanować jej drżenia i płaczu. Patrzyła na mnie oczyma

pełnymi łękami i długo w nocy nie pozwoliła mi od siebie odejść, płacząc cicho i czepiając się moich rąk. Od tej pory zauważyłam, że zrobiła się bojaźliwa i nerwowa, a gdy dzwonił w biurze telefon, uciekała, tuląc się w fałdach spódnicy.

Któregoś jesiennego dnia pojechaliśmy końmi do Stanisławic na jeżyny. Tu dziewczynki poznały się wreszcie. Małgosia bardziej wygadana i rozwinięta odniosła pewne „intelektualne” zwycięstwo. Widziałam, że była z siebie zadowolona. Pan Latałski tłumaczył nieśmiałość Marysi tym, że nigdy jeszcze nie bawiła się z dziećmi.

Kiedy prowadziłam chór, uczyłam muzyki lub tańca, zabierałam córeczkę ze sobą, co bardzo lubiła, chętnie przebywając z dziećmi i młodzieżą. (Przedszkoli wtedy nie było). Ale wieczory poświęcałam już tylko jej, opowiadając wymyślone przeze mnie bajki i przytulając do siebie to małe, wrażliwe dziecko.

Była bardzo czuła i delikatna. Kiedyś stała w furtce, trzymając w ręczce torebkę z cukierkami. Drogą szła kobieta z Augustowa, niosąc w płachcie na plecach olbrzymi kosz grzybów, a w dłoniach dwa nieco mniejsze. Małgosia, mało myśląc, odebrała od niej te mniejsze koszyki i pomaszerowała z nią w stronę dworca. Po drodze częstowała kobietę cukierkami, a na stacji, życząc szczęśliwej podróży, oddała jej całą torebkę. Taka to była Małgosia. Opowiedziała nam potem, jak to pomogła tej „biednej i zmęczonej kobiecie”. Do cukierków się nie przyznała. Na pewno Małgorzatka jest nieodrodną córką Sulimierskich i Stępkowskich, o wrażliwym sercu i zaangażowaniu w cudze sprawy.

Do szkoły podstawowej odległej o trzy kilometry chodziła tą samą niebezpieczną drogą przez tory kolejowe i most na rzece, którą wcześniej „wydeptało” jej starsze rodzeństwo. Po latach dowiedziałam się, jak panicznie bała się przechodzenia pod wagonami pociągów i skakania z rampy.

Mając osiem lat, założyła małą, własną bibliotekę. Odpowiednio poukładane na półce książki wypożyczała innym dzieciom, wydając im przy tym numerki.

(Oprawiła z czasem i skatalogowała książki w bibliotece Nadleśnictwa, a jako osoba dorosła skończyła bibliotekoznawstwo).

W liceum zaprzyjaźniła się z paroma dziewczynkami; z Niną Wojciechowską, Anią Szafran, ale najczęściej przebywała z Krysią Koniarczykówną, która mieszkała najbliżej nas. (Była moją protegowaną, bo z wiejskiej szkółki w Augustowie, do której chodziła, nawet najzdolniejsi nie mieli żadnych szans dostania się do liceum).

Dziewczynki odrabiały razem lekcje, razem chodziły na spacer do lasu lub pichciły dziwne zupki na płycie parnika usytuowanego w rogu podwórza. Takie to były zabawy.

Bywało, że Małgorzatka wracała bardzo późno do domu. Grała bowiem po lekcjach na próbach tańca prowadzonych przez jej wychowawczynię, panią Bieniową. Pracowita i sumienna, zawsze niepewna swoich wiadomości –

zamawiała telefoniczne budzenie po północy i uczyła się do rana. Była blada i mizerna, a myśmy dowiedzieli się o tym uczeniu dopiero wtedy, gdy przyszedł rachunek telefoniczny do zapłacenia. Czasem, kiedy już była bardzo zmęczona lekcjami, wzdychała, mówiąc: „Ach, jakbym chciała być chora i tak sobie w łóżku poleżeć. Tak mi wtedy dobrze, bo i ciebie mam przy sobie na dłużej...”.

Grześ

Grzegorz Tomasz urodził się 1 stycznia 1952 roku. Nazwaliśmy go „ostatnim Mohikaninem”, bo uznaliśmy, że będzie to nasze ostatnie dziecko. Poza tym miał wydatny nos, po którym Janek rozpoznał go w szpitalu pośród innych noworodków. Zgrabny i gibki, wszędzie go było pełno. Jako pięcioletni chłopiec nauczył się liter, najpierw z etykiety na butelce z octem, potem z pudełka z zapalkami, z torby po cukrze i mące...

Pewnego dnia, siedząc na nocniku i przeglądając ogłoszenia, krzyknął na całe gardło: „Tato, co to jest ginekolog?!”. Właśnie trwało zebranie w biurze. Drzwi z powodu upału były otwarte i wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem.

Krople, które zaczęły niespodziewanie kapać z sufitu na papiery sekretarza biura, tym razem pana Stanisława Skoczewskiego – okazały się również sprawką Grzesia. Znalazłszy w polepie na strychu dziury po mysich norach, zał ewał je wodą z podręcznej pompki przeciwpożarowej.

Pewnego dnia wrócił do domu późno, a że drzwi były zamknięte, zaczął stukać w okno do Małgosi, by mu je otworzyła. Gdy ta robiła głupie miny i natrzęsała się z jego bezsilności – rzucił w nią butelką po perfumach, tłukąc dwie szyby w dużych weneckich oknach. Trząśił się potem ze strachu przed gniewem ojca, ale go jakoś wybroniłam.

Kiedy z Małgosią pogubili w jesiennych liściach membrany z biurowych aparatów telefonicznych, obydwój – znów panicznie bojąc się ojca – przybiegli do mnie po pomoc. Z latarką do późna szukaliśmy zguby. Udało się. Dziękowali mi ze łzami w oczach.

Grześ był ambitny i uparty. Kiedyś, gdy ojciec odmówił mu zabrania motocyklem do lasu, krzyknął w złości: „To jedź sobie z diabłem!”. Mąż zdenerwowany odkrzyknął: „A ty idź z domu!”. Wtedy Grześ zaczął się przygotowywać do noclegu w drwalni. Ogromną, blaszaną balię wyściełał flagami narodowymi, które czekały tam na swoje święto, w butelce po likierze Baczewskiego postawił wodę ze studni, a w torebce płatki owsiane. Zaopatrzył się jeszcze w kilkanaście jabłek i gruszek ulęgałek. Byłby tam spędził nie wiadomo ile czasu, gdybym go wreszcie nie namówiła, aby przeprosił ojca.

Edukacja Tomka przebiegała podobnie jak Małgosi. Asystował mi często w moich szkolnych zajęciach. Sam potem również występował, tak jak inne nasze dzieci. Był jednak trudniejszy do prowadzenia i nie tak pilny w nauce. Nieraz

„gubił” dzienniczki ucznia, kiedy dostał złą ocenę. Znajdowaliśmy je w dole z lasowanym wapnem. Ponieważ bał się borowania, sam zalepiał sobie dziury pastą do zębów, zamiast iść do dentysty.

Kiedyś wybrał się z kolegą skuterem osa na „akcję”. Ulepionymi kulami z tak zwanych dziadów, to jest rzepów – kwiatów łopianu – rzucali w przejeżdżających szosą motocyklistów. Akcja skończyła się tak, że kolegę Grzesia dowieziono na komisariat w Kozienicach, a Grześ uciekł i rozgorączkowany, czerwony jak upiór po wielogodzinnym przedzieraniu się przez krzaki i bagna – wrócił wieczorem do domu. Długo nie mógł wyjść z szoku. Innym znów razem (miał już dwanaście lat) jakimś cudownym sposobem uruchomił bez kluczyka motocykl męża. Było to stare WSK. Popisując się przed idącymi z kościoła dziewczynami, stawał na tylnym kole, a one patrzyły z zachwytem. Zdarzyło się jednak, że motocykl uciekł mu spod siedzenia, a on, leżąc na drodze, prawie płakał ze wstydu i złości.

Nie lubił uczyć się ani pracować w gospodarstwie, miał za to dar ułatwiania sobie życia. Kiedy musiał na przykład rozbijać zbrylony sztuczny nawóz w workach, wymyślił coś w rodzaju żurawia – na jednym jego końcu uwiązał pięciokilogramowy odważnik, aby, zaledwie poruszając drugim końcem, wykonać bez wysiłku to zadanie. Innym znów razem na polecenie ojca, aby łopata odśnieżył ścieżki do budynków gospodarczych, furtki i studni – zaszył się na czas jakiś w drwalni, po czym wyjechał stamtąd rowerem. Z przodu pojazdu umocowane były dwie deski tworzące dziób, które w zupełności spełniały funkcję pługa. Z pracą uporał się w ciągu kilkunastu minut.

W gimnazjum zaczął uczyć się gry na gitarze. Nauczyła go korzystania z nut. Akordy dobierał sobie sam, bo jak wszystkie nasze dzieci – miał idealny słuch. Niczemu nie poświęcał tyle czasu, co grze i układaniu piosenek.

Jedną z pierwszych skomponował po ciemku w schowku pod schodami, gdzie siedział zamknięty za karę. Wcale się tym zdarzeniem nie przejął. Znalazł wśród rupieci jeszcze studencką gitarę ojca ze złamanym gryfem i grając na niej, trąbił równocześnie na blaszanym sitku od polewaczki. Przesiedział tak godzinę. (Dzisiaj wykonuje wiele piosenek country, grając na gitarze i harmonijce ustnej).

Grześ najbardziej liczył się z Joanną. Przekupywała go. Gdy wychodziła na prywatki bez naszej zgody, umawiali się, że po powrocie pociągnie za sznurek przywiązany do jego nogi, a on otworzy jej wtedy bezszelestnie okno. Powtarzało się to wielokrotnie, wydało się dopiero po latach.



## Dzieci dorosłeja

Od 1959 roku trwała budowa domu, w którym według naszych oczekiwań miało zamieszkać któreś z czworga dzieci. Joasia z Maćkiem studiowali już w Warszawie – ona na Akademii Wychowania Fizycznego, on na Politechnice. Maciej musiał uzyskać pozwolenie na zdawanie egzaminu wstępnego, ponieważ miał zaledwie szesnaście lat. Ale udało się. Studiował długo, na trzech kolejnych wydziałach, bo bardziej niż studia interesowała go działalność kabaretowa.

Założył kabaret Bufor, który przez pewien czas, po spaleniu się klubu Stodoła na Wspólnej, pełnił funkcję centralnego kabaretu Politechniki Warszawskiej. W kilkusobowym składzie wykonywano pełne humoru piosenki, mówiono skecze, dowcipnie odgrywano pełne satyry scenki rodzajowe. Maciej był duszą zespołu. Pisał teksty, muzykę, był reżyserem, konferansjerem i wykonawcą. W końcu przyszły liczące się sukcesy. Bufor wystąpił z powodzeniem w Maratonie Kabaretowym w Opolu. Występowały w nim również Joanna i Małgosia. Jacek Koźbielski komponował piękne, nastrojowe piosenki. Lecz szczególną postacią był Bodzio Jaczewski. Miał głos ładząco podobny do Fogga, którego był zagorzałym fanem. Doszło kiedyś do wspólnego występu na estradzie w Hali Gwardii, który potwierdził talent Bodzia. Kiedy po jego występie Fogg zapowiedział w swoim wykonaniu *Bujaj się, Fela*, jakiś podпиты głos z tłumu krzyknął: „Stary, ty się sam bujaj – niech ten młody śpiewa!”. Po tym niemiłym incydencie Fogg poprosił Bogdana, aby już więcej publicznie nie występował. Bogdan dotrzymał słowa. W Buforze śpiewał tylko parodie Foggowskich piosenek.

Maciek przysyłał nam z Warszawy na widokówkach dobre stopnie i ozdabiał je kwiatkami, lecz Politechnika nie była dla niego. Pozostał humanistą. Jego wiersze pełne są liryzmu i ciepła lub refleksyjnej satyry.

Joanna od dziecka wykazywała wielki talent sportowy. Nauczyciel wychowania fizycznego w liceum, pan Rabsztyn (ojciec Grażyny – rekordzistki Polski w biegu przez płotki), widział w niej obiecującą sportsmenkę. Była niezwykle wszechstronna. Jeździła dobrze na nartach, a po jednym sezonie treningów zajęła szóste miejsce na mistrzostwach Polski juniorów w narciarskim biegu na 5 kilometrów. Świetnie też grała w siatkówkę. Była filarem miejscowej drużyny w Pionkach, a potem już na AWF-ie znalazła się w kadrze narodowej. Pamiętam jej debiut w meczu z Japonią, wtedy uderzeniem piłki znokautowała jedną z przeciwniczek. Z mniej sportowych dyscyplin – kładła „na rękę” wszystkich mężczyzn i pluła na odległość 9 metrów.

Dość późno odkryła jeszcze jeden swój talent. Założyła pracownię wyrobów artystycznych ze skóry. Ma na swym koncie udział w wystawie w Muzeum im. Jana Kilińskiego w Warszawie.

Małgorzatka po maturze wyjechała również do Warszawy. Nie dostała się na

filologię polską Uniwersytetu Warszawskiego. Skończyła bibliotekoznawstwo i pracowała w bibliotece Politechniki Warszawskiej. Tu zaczęła występować w kabarecie Bufor, a potem w kabarecie Stodoła.

Odkryła w sobie również zdolności bio – i psychoterapeutyczne. Zaczęła pomagać ludziom, nieustannie doksztalając się i doskonaląc w tych dziedzinach. Widzę dzisiaj wielkie podobieństwo jej i moich działań. Na stałe współpracuje z pismami o tematyce medycznej, publikując w nich swoje artykuły.

Po latach, kiedy śledzę losy całej czwórki, ich prywatne rozterki i niepowodzenia, biję się w piersi i spowiadam, bo przyznaję, że wiele tu mojej i Janka winy. Poświęciliśmy dzieciom zbyt mało czasu, często byliśmy zbyt surowi i mało tolerancyjni. Myślę, że purytanizm zakorzenił się zwłaszcza we mnie. Jakby dla usprawiedliwienia sięgam pamięcią jeszcze raz w swoje dzieciństwo. Urodziłam się, gdy mama miała już trzydzieści dziewięć lat. Moi zacni rodzice należeli do tej grupy społecznej, która zasklepiona w swoim tradycjonalizmie dbała o moralność i czystość obyczajów – przekazywanych przez wieki. Każda pojawiająca się forma emancypacji czy uniezależnienia stawała się kością niezgody. Nie uwolniłam się i ja od powielania tych samych błędów. Bezkrytycznie naśladowałam sposób bycia rodziców, gusty, poglądy i zasady moralne – ślepo wierząc i ślepo kochając. Bo przecież, tak naprawdę, byli to ludzie najlepsi na świecie, pełni poświęcenia i ufności.

Mój purytanizm pogłębił się jeszcze poprzez wychowanie u sióstr zakonnych. Tam wpajano mi różne maksymy, które miały niewielkie zastosowanie w codziennym życiu. To przeładowanie „dobrymi przykładami” i zakazami spowodowało, że wychowywałam własne dzieci zbyt rygorystycznie.

Chyba dopiero teraz stałam się tolerancyjna, bo nie oburzam się, całując czwartą z kolei dziewczynę mojego wnuka.

## Przeprowadzka – Warszawa

Janek, po reorganizacji Lasów Państwowych, po licznych zmianach, będąc świadkiem wielkich zniszczeń oraz ingerencji przemysłu w środowisko (ścieki, dymy z elektrowni, kwaśne deszcze) – zaczyna nagle chorować. W 1973 roku przechodzi na emeryturę. Ja nadal uczę muzyki. Prowadzę też plantację truskawek i czarnej porzeczki. Zostaliśmy sami. Wszystkie dzieci są już poza domem. Pomagamy im, chowając ich dzieci, czyli pierwsze wnuczeta. (Mamy ich dzisiaj ośmioro i dwie prawnuczki). Wysyłamy dzieciom do Warszawy paczki żywnościowe i pieniądze. Spotykamy się na święta, imieniny i wakacje.

Już od roku wiedziałam, że nie będziemy tu długo mieszkać. Należało jednak rozwiązać dwa problemy: sprzedać dopiero ukończoną willę i kupić jakieś mieszkanie w stolicy.

Wędrując po pokojach nowego domu, naszego domu – z żalem patrzyłam na efekt tego dziewięcioletniego wysiłku. Wszyscy budowaliśmy po trochu – ja i dzieci – dowoziliśmy zaprawę i cegły, wywoziliśmy ziemię, robiąc miejsce pod piwnice. Mąż był dostawcą materiałów budowlanych i główną kasą, pokrywającą niekończące się wydatki. Było to dla nas zupełnie nowe i wspaniałe doświadczenie. Ale przecież sytuacja się zmieniła – nic tu po nas. Dzieci urządzone w Warszawie, a my mocno już schorowani wymagaliśmy specjalistycznej opieki lekarskiej. Więc gdy tylko mąż dostał propozycję sprzedaży willi Okręgowemu Zarządowi Lasów Państwowych – skorzystaliśmy z tego. Mieliśmy pół roku na przygotowanie przeprowadzki.

Uprzątając stary dom, zaczęliśmy sprzedawać za bezcen meble, maszyny rolnicze i bydło. Rozglądaliśmy się za domem w Warszawie lub na jej obrzeżach. Marzyłam o domku z ogrodem, bo nie wyobrażałam sobie mieszkania w kamiennym bloku bez zieleni. Ceny domów były tu jednak zbyt wysokie i wyraźnie różniły się od cen w naszym mieście.

Pewnego dnia dostaliśmy wiadomość od Maćka, że jest do kupienia mieszkanie na Saskiej Kępie, dzielnicy pełnej zieleni, położonej w bliskości pól, łąk, no i nad Wisłą. Był maj 1974 roku. Kupiliśmy to mieszkanie, gdzie, jak się później okazało, sąsiedztwo przedszkola nie było tak uciążliwe jak zsypany śmieć tuż pod naszymi oknami.

No więc przyjechaliśmy – bagażowym samochodem wypożyczonym z Zarządu, aby rozpocząć nowe życie w stolicy. Zabraliśmy ze sobą tylko dwa tapczany, pianino Bettinga, zegar Beckera i maszynę do szycia. Był jeszcze dawny stolik do gry w preferans, rozkładany, z sukniem zielonym pośrodku i schowkiem na akcesoria do gry (lichtarze, świece, kredy kolorowe i kilka talii kart). Urządzając się, musieliśmy dokupić brakujące sprzęty.

Mocno odczuliśmy tę wielką dla nas zmianę. Zostawiliśmy przecież wielu

przyjaznych nam sąsiadów i znajomych, z którymi nadal utrzymujemy serdeczne kontakty.

W pierwszych tygodniach po przeprowadzce byłam jak ogłupiała – nie wiedziałam dosłownie, co robić, jak i z czego gotować. Woda podła, niesmaczna i chlorowana, jaja – jakich w życiu nie jadłam, nie mówiąc o maśle, mięsie i warzywach. Ale po pewnym czasie musieliśmy się przecieżyć do tych zmian przyzwyczać.

Ze sprzedaży domu została nam jeszcze pewna suma pieniędzy, więc szast-prast podzieliłiśmy ją na cztery równe części i rozdaliśmy dzieciom. Jednak z czasem emerytura Janka okazała się zbyt mała jak na warszawskie warunki. Była z tak zwanego starego portfela, więc żyliśmy skromnie, zastanawiając się, jak by tu dorobić.

Pewnego dnia Joanna przywiozła mi kawałki sztucznej skóry, abym z niej wykonała parę futerałów na okulary, na zamówienie znajomego optyka. Spróbowałam. Na początku były bardzo skromne. Po pewnym czasie jednak zaczęłam na nich malować kwiaty, łby koni, psów.

Ze sporym zapasem takich malowanych futerałów pojechałam kiedyś z mężem do Śródmieścia i za całe 500 złotych sprzedaliśmy wszystkie! Pieniądze zostały wydane momentalnie, bez mrugnięcia okiem. Kupiłam sobie sweter. Z radości całowaliśmy się w bramie na Nowogrodzkiej. Poznaliśmy właścicieli innych sklepów i tak realizowałam kolejne zamówienia. Teraz dopiero złapaliśmy głębszy oddech. Do największej przyjemności należało liczenie wieczorami zarobionych pieniędzy – znów mogliśmy pomagać dzieciom.

Gdy zaproponowano mi wykonanie etui z prawdziwej skóry, udałam się do Cechu Rzemiosł Skórzanych przy Szerokim Dunaju. Przedstawiłam swoje dotychczasowe prace i zostałam do Cechu przyjęta. Miałam teraz możliwość kupowania skór różnego gatunku i grubości. Cech nie posiadał jednak żadnych materiałów informacyjnych, szkoleniowych. Szłam więc do celu na oślep. Kupiliśmy z Jankiem farby, denaturat, bejcę, klej, kolorową emalię do skór – i od tego momentu rozpoczęła się żmudna, lecz ciekawa nauka. Śmieszne, niezdarne prace mam jeszcze do tej pory. Gdy nabrałam doświadczenia – podjęłam decyzję o zarejestrowaniu swej pracowni w Urzędzie Finansowym. Otrzymałam księgę rachunkową i usiadłam do wypełniania rubryk – całkiem zbita z pantałyku. Nie rozumiałam ani w żąb formularzy i przepisów, które jej dotyczyły. Tworząc coś z grubej skóry, musiałam każdy wyrób ważyć, aby wiedzieć, jaką ilość materiału zużyłam, cieką skórę zaś mierzyć, bo kupowana była nie na wagę, ale na metry. To była makabra! Zapominałam o tym jednak, bo teraz tworzenie stało się moją pasją.

Robiłam bransoletki skórzane, często inkrustowane półszlachetnymi kamieniami, paski, klamry do włosów, ale głównie kwiaty – broszki lub elementy

ozdobne do wazonów i na ścianę. Naturalnej wielkości, wielobarwne, do złudzenia przypominały kwiaty żywe. Było to za każdym razem niepowtarzalne rękodzieło. Zaopatrywałam w swoje wyroby wiele sklepów w Polsce.

Wreszcie nadszedł czas wystaw. Było ich dziewięć w różnych miastach, jedna o charakterze międzynarodowym. Zdobyłam dwa złote medale i jeden srebrny. W roku 1979 otrzymałam z rąk ówczesnego Ministra Kultury i Sztuki, profesora Wiktora Zina, honorowy tytuł Mistrza Rzemiosła Artystycznego.

Dowiedziałam się o tym wyróżnieniu, będąc na wczasach. Jeszcze pięć lat wstecz zaledwie raczkowałam w swoim nowym zawodzie. To wyróżnienie było mi bardzo potrzebne jako wyraz uznania dla moich pomysłów i wyobraźni.

Jadę więc taksówką do Warszawy, a kilometrów nie ubywa. Ledwo zdążyłam do Izby Rzemieślniczej przy ulicy Miodowej. Szofer ma czekać na mnie. Wpadam na salę, trwa jakaś przemowa. Wreszcie słyszę swoje nazwisko i - na nogach z waty – dochodzę do podium. Odbieram dyplom. Życzenia owocnej pracy, uśmiechnięte twarze, oklaski. Jeszcze przed zakończeniem uroczystości wymykam się z sali. Rezygnuję z przyjęcia, by jak najprędzej znaleźć się przy Janku, aby móc mu opowiedzieć o wszystkim. Jakby mnie kto na sto koni wsadził. Szłam teraz od zwycięstwa do zwycięstwa.

Kiedyś zajechałam na Długą do Pałacu Krasińskich, gdzie miała się odbyć kolejna wystawa. Joanna wyjęła z otwartego bagażnika olbrzymi słonecznik zrobiony ze skóry, ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami. Skądś przyfrunęła pszczoła, choć był to już październik, i usiadła na żółtym kwiecie. No, tu nie trzeba słów, nie trzeba pochwał – owad sam ocenił moją pracę. Dopiero po chwili zawiedziona pszczoła odleciała. Śmiałyśmy się obydwie...

Posypały się teraz zamówienia z kraju i z zagranicy. Robiłam przez kilka lat kwiaty dla japońskiego ambasadora, którymi obdarowywał znajomych w Polsce i w Japonii. Kilka wyrobów wyjechało do Izraela. Do Włoch robiłam olbrzymie róże przytwierdzone do konstrukcji metalowych, będące ozdobą ścian. Do Stanów Zjednoczonych wykonywałam pasy skórzane nabijane metalowymi ozdobami – wypalane i malowane. Kwiaty do Niemiec, Węgier i Anglii. Znajomemu wyjeżdżającemu do Szwecji zrobiłam słonecznik naturalnej wielkości. (Miał około 1,5 metra wysokości). Przeszedł bez kłopotu ów pan przez kontrolę celną, trzymając słonecznik zwyczajnie, za łodygę. A przecież w owym czasie zabronione było wywożenie z kraju wyrobów skórzanych. Historia powtórzyła się w porze kwitnienia sadów, kiedy do Szwecji, w identyczny sposób, wyjechała cała gałąź kwitnącej jabłoni. Wiele takich eksponatów zakupił do swego salonu pan Tyszkiewicz, właściciel dużego sklepu z ulicy Rutkowskiego. Moi synowie zaopatrzyli mnie w przywiezione ze Stanów: wypalarki, metalowe wybijaki o najprzeróżniejszych kształtach, piłki różnej wielkości, noże i specjalne igły do haftowania w skórze. Mogłam teraz robić ścienne bieżniki pokryte wzorem

krzyżykowym, wykonanym barwnymi rzemykami. Była to żmudna praca, wymagająca siły w palcach.

Po dwunastu latach urządziłam w Muzeum Cechu Rzemiosł Skórzanych w Warszawie swój wernisaż. Najnowszym eksponatem była duża gałąź sosnowa z szyszkami i ogromny pień sosnowy z pająkiem w dziupli. Ponieważ wernisaż zbiegł się z 600-leciem istnienia Cechu (1386-1986), wykonałam jeszcze obraz na skórze przedstawiający dwóch patronów rzemiosła skórzanego – Kosmę i Damiana. W bogato inkrustowanych ramach, o wypalanych i tłoczonych ornamentach – był imponujący. Na tej uroczystości otrzymałam Medal 600-lecia z brązu.

Niebawem okazało się, że ręce odmawiają mi posłuszeństwa. Po operacji dłoni – jej sprawność już nie wróciła. Przeszłam na rentę inwalidzką. Ofiarowałam część eksponatów muzeum przy ulicy Kilińskiego, w którym do dzisiaj można je oglądać. Chyba najpiękniejszy jest krzew kwitnącego ostu, którego nawet kolce są ze skóry! Są też storczyki na utwardzonych łożdżkach z olbrzymimi liśćmi – do złudzenia przypominające te żywe, z kwiaciarni.

Nie posługiwałam się nigdy drutem ani drewnem. Najgrubsza nawet gałąź była klejona z kilku warstw skóry i dopiero modelowana. Kochałam swoją pracę, więc kiedy fizycznie nie mogłam już jej podjąć – długo przed zaśnieciem obmyślałam nowe projekty. Przyroda, bliska mi od dziecka, sama nasuwała pomysły, które przeistaczały się w stopy kwiatów o najrozmaitszych barwach i kształtach. Jaka szkoda, że ten etap w swoim życiu musiałam zamknąć.

## Nasza jesień

Teraz, kiedy nadszedł nasz złoty wiek, opiekuję się Jankiem i dbam o jego zdrowie, a on odpłaca mi tym samym. Przeżyliśmy wspólne lata skromnie i w ciągłej pracy, ale w obopólnym porozumieniu i miłości. Według horoskopu ja – Strzelec, jestem ogniem, a on – Skorpion, wodą. W życiu było odwrotnie. Często byłam dla niego wodą, studzącą rozpaloną głowę, i doradcą niewidocznym na tyle, że często podsunęty projekt uważał za swój.

Przyglądam mu się nieraz, jak pisze. Szpera w starych czasopismach leśnych, porównuje rady i zalecenia innych leśników ze swoimi doświadczeniami i - podekscytowany pracą – wysyła w końcu do druku swoje artykuły. Cieszę się jego zasłużonymi sukcesami i uznaniem, jakiego do dziś doświadcza. Nieraz dzień wydaje mu się za krótki. Żywot tego człowieka natury, wspaniałego hodowcy lasu i malarza z upodobania – zafascynował mnie i nie ukrywam, że wspomnienie tej półwiecznej drogi wspólnie przebytej wzrusza mnie jak jakaś legenda o rajcu bezpowrotnie utraconym. Jego tęsknoty są moimi tęsknotami i marzeniami w coraz bardziej ciasnym i obcym świecie. Jeszcze śnieg za oknem, ajemu już się marzy zobaczyć te piękne „kultury” niedaleko gajówki Wąchockiego. Wiosną więc, w jakiś ciepły dzień, wiozą go dzieci po ten jeden uśmiech i blask w oczach.

Do prawdy i wiedzy dążył własnymi duktami, na przełaj, przez brzoźowe gaje, ostępy leśne, przez wydmy i bagniste olsy.

Na prawdziwą prawość człowieka nie ma żadnych reguł. Wyrasta ona z życia nie zafałszowanego i nie skłamanego w niczym. Taki jest mój Janek.

Ma dzisiaj osiemdziesiąt pięć lat i wielkie kłopoty z chodzeniem. Dbam o niego bardzo, ale nie mogę nic więcej zrobić. W tej bezsilności jest mi smutno.

Staramy się wyjechać z miasta choć raz w roku, aby mieć nad głową kawałek czystego nieba i zachować je nad naszym życiem jak najdłużej.

Małgosia wozi nas w różne strony. Widzimy znów pola, gdzie w zbożu przepiórka szeleści, a nad głowę zanoszą się chwałę skowronek. Wchodzimy w ogromne lasy, gdzie dęby czerwone, jeżyny dojrzałe i sarna przebiega. I szyszki strącone, i wielkie mrowisko, a ożywcze powietrze pachnie cynamonem. Te niezapomniane chwile stokrotnie się liczą wtedy, gdy człowiek czuje brzemień wieku. Młodzi tego nie rozumieją. Chociaż kto wie! Przecież za ich przyczyną przeżywamy to wszystko raz jeszcze.

Wszystkiego jednak mi mało, jestem bowiem zachłanna na podróżowanie, a tam w Warszawie, te same ulice... i codzienne smutki.

Kiedyś kupiłam koszyk renet. Widywałam w dzieciństwie takie złote jabłka u mamy w piwnicy, w Boczkowicach. Usiadłam i trzymając kosz na kolanach, wpatrzona niewidzącymi oczyma, wdychałam ten zapach, a z nim przeszłość odległą. I wtedy właśnie mnie naszło... Bo takie momenty przeżywa się dopiero po

odejściu osób bardzo nam bliskich, po zniszczeniu rzeczy z dawnej przeszłości i kiedy już na pozór nic nie istnieje. Wówczas zapach i smak są żywsze, trwalsze i wprost materialne. Wtedy w nas wstępuje szczęście. Jawią się dawne obrazy: dom, pokoje, drogie nam twarze, alejki w parku, po których się biegało, staw pokryty liliami, konie i psy... i wszystko, czego już nie ma. To właśnie wyszło nagle do mnie z kosza z jabłkami!





Moja babka Irena, z domu Zarębianka, w żałobie po śmierci męża, sędziego Ludwika Błażeja Stępkowskiego.



Stryj mojego ojca, Stanisław Kazimierz Stępkowski, sędzia pokoju w Kazaniu, późniejszy właściciel majątku Boczkowice.  
Zdjęcie z czasów pobytu w Rosji.



Babka Urszula Saramowicz, z domu Sulimierska, dała mężowi sześciu synów i sześć córek.

Mój dziadek profesor Wincenty Saramowicz.

W czasach młodości okręcał dwukrotnie wokół uszu swoje sumiaste wąsy.



Mama, Waleria z Saramowiczów, przed ślubem w 1900 roku.

Ojciec, Wacław Stępkowski, przed ślubem w 1900 roku.

To ja, Manusia, gdy miałam dwa lata. Ubrana w tę sukienkę zabłądziłam w poszukiwaniu rodziców i gości, którzy pojechali do lasu na grzyby. 1917 rok.





Moja siostra i ja, dziesięcioletnia Anusia i sześćioletnia Manusia. Właśnie zdałam do pierwszej klasy szkoły podstawowej. 1921 rok.



Aniusia i Maniusia, ok. 1926 roku.

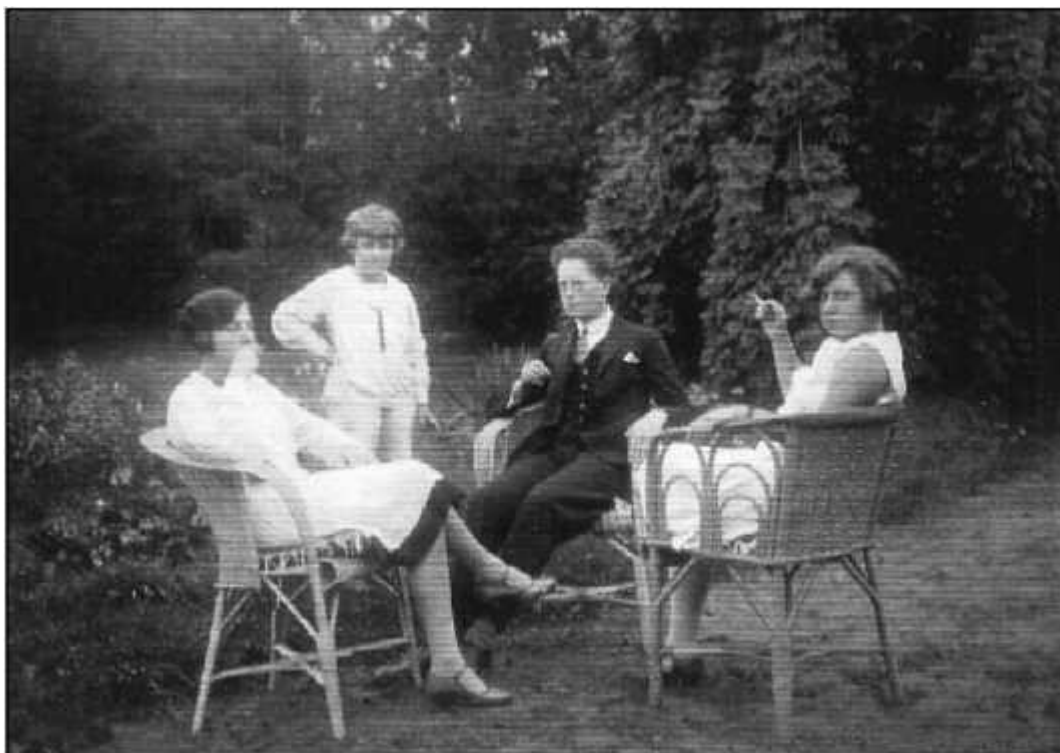


Boczkowice. Manusia Stępkowska ma piętnaście lat. Stoję pierwsza z prawej obok ojca Wacława. 1930 rok.



Boczkowice. Od lewej stoją: Manusia, siostra Anusia, stryj Stanisław Stępkowski, ojciec Wacław.

Siedzą: ciotki Janka i Wanda Stępkowskie, mama Waleria i ciotka Stasia. 1930 rok.



„Nowoczesna” młodzież przed dworkiem w Boczkowicach. Lata dwudzieste.



Narożnik dworu Boczkowice.  
Młodzież przy kartach. Lata dwudzieste.





Szczawnica.  
Marynia ma siedemnaście lat. 1932 rok.



Już Maria, nie Marynia. 1935 rok.



Maria Stępkowska-Szwed, początek okupacji.



Jan Szwed, leśnik, mój mąż. Później wieloletni nadleśniczy Puszczy Kozienickiej. 1936 rok.

## Przypisy

1 Inną wersję historii Boczkowic przedstawia Anna ze Stępkowskich Szymańska w pracy *Zapiski i wspominki (fragmenty z wydania rodzinnego)* w: *Materiały i źródła do dziejów powiatu włoszczowskiego*, Włoszczowskie Towarzystwo Krzewienia Kultury, Włoszczowa 2008.

2 Inną wersję historii Boczkowic przedstawia Anna ze Stępkowskich Szymańska, *op. cit.*

3 Inną wersję historii Boczkowic przedstawia Anna ze Stępkowskich Szymańska, *op. cit.*

